

# Jacques Neirynck

Przepis  
na

nieśmiałe  
felnosce

Powiesć

WYDAWNICTWO 

**Jacques Neiryneck**

**Przepis na nieśmiertelność**

*Nieśmiertelność duszy to rzecz dla nas tak ważna, dotycząca nas tak głęboko, że trzeba chyba zatracić wszelkie uczucie, aby być obojętnym w tym względzie.*

Blaise Pascal, Myśli

*Dla Cecile*

## I

Wątrobę Norberta pożerał sęp, choć jakoś bez apetytu. Od czasu do czasu rzucał okiem na swoją ofiarę, jak gdyby chciał się upewnić, że mięso, które dziobał, jest w ogóle jadalne.

Norbert wisiał przywiązany za ręce i nogi do ściany klifu - najwyższego punktu szczytu Rochers de Naye. Roztaczał się stąd wspaniały widok na Jezioro Genewskie. Pod jego stopami rozciągało się Montreux, a za horyzontem kryło się Saleve. Niezwykły zachód słońca malował na czerwono góry Sabaudii i obficie rozlewał na chmurach cynobrową krew wypływającą z otwartej rany jego boku. Cały krajobraz karmił się jego raną i jego życiem. Żył źle, ale przynajmniej umierał w pięknym otoczeniu.

Ból, jaki odczuwał, nie wydawał się nie do zniesienia. A zatem można mieć wszystkie wnętrzności na wierzchu, przekopywane haczykowatym dziobem, i nie tracić przy tym przytomności ani nie wyć z bólu. Tę niewrażliwość Norbert przypisał swej wrodzonej niedoskonałości. Nie potrafił nawet cierpieć, by odpokutować za grzechy.

Postanowił więc zachęcić sępa do roboty, mlaskając językiem, ale

wyschnięte niczym pergamin podniebienie i wargi nie wydały żadnego dźwięku. Zamilkł więc i apatycznie wisiał w tej okropnej pozycji. Na jego miejscu każdy zacząłby od razu jęczeć. Norbert był jednak zupełnie nagi, dlatego w żadnym wypadku nie chciał, by zobaczył go ktoś spośród jego wielu znajomych. Trwał zatem w przezornej ciszy.

- Cóż za ohydne żarcie! - powiedział w końcu sęp z paryskim akcentem, zupełnie nie na miejscu, zważywszy na okoliczności. - Twoja wątroba jest zgniła. Umrzesz na marskość wątroby. Adieu!

Norbert nigdy wcześniej nie spotkał sępa mówiącego z paryskim akcentem. Zrozumiał, że to tylko sen. Zaraz potem się obudził.

Ocknął się spanikowany. Nie powinien był zasypiać. Na ogół nie zdarzało mu się to w biurze. Ciągłe czuł się winny, że pracuje mało i źle, ale przynajmniej nie spał. Rektor politechniki nie ma prawa do drzemki w czasie godzin pracy, nawet jeżeli chodzi o południową przerwę. Kapitan powinien czuwać na mostku, szczególnie gdy przerasta go robota, jakiej się podjął.

Nigdy nie będzie godzin tego stanowiska, o które co prawda nie zabiegał, ale na które niestety się zgodził. Osiągnął i bez wątpienia już dawno przekroczył poziom swojej niekompetencji. W tym momencie właśnie stanął na kolejnym szczeblu drabiny swej niegodziwości. Nieznośny upał panujący w gabinecie wywoływał piekielne obrazy w mózgu Norberta przyćmionym siarkawym białym winem, które wypił do obiadu. Pochodziło z należącej do niego winnicy, która była jego racją bytu i ziarnem śmierci.

Nikt, kto kieruje się zdrowym rozsądkiem, nie próbuje produkować wina nad brzegiem Jeziora Genewskiego, na wysokości czterystu metrów. Tutaj dojrzewa tylko chasselas<sup>2</sup>, z którego może powstać jedynie mdły trunek. Trzeba zatem zatrzymać fermentację moszczu odpowiednią dawką siarki. Tworzony w ten sposób toksyczny napój wywołuje u jednych bóle głowy, u innych biegunkę. Jako

ze umowy społeczne nakazują pić lokalne wino przy każdej okazji, wielu mieszkańców kantonu cierpi na przewlekłe migreny i uporczywe zapalenie okrężnicy. Maszerują więc z głową pochyloną ku ziemi i ściśniętym żołądkiem. Ich patriotyzm mierzy się gotowością wystawienia swego zdrowia na szwank dla trywialnej przyczyny.

## 2 Odmiana winorośli (przyp. tłum.).

Oprócz bezwodnika siarkawego i alkoholu Norbertowi doskwierał upał. Od końca czerwca klimat w Lozannie staje się czasem nie do zniesienia. Przez pozbawione zasłon okna oślepiające promienie białego niczym topiąca się stal słońca zalewały podłogę. Aby nie trwonić publicznych pieniędzy, w biurach politechniki nie zainstalowano klimatyzacji. Tylko delikatne urządzenia korzystały z tego przywileju, jakiego wydział budynków i lokali odmówił ludziom, którzy widocznie są bardziej odporni i mniej cenni niż maszyny.

Norbert starał się dawać dobry przykład, dlatego nie brał urlopu i całe lato spędzał na Politechnice, wegetując w przegrzanym gabinecie. Kiedy był sam, zdejmował marynarkę, a w obecności swej sekretarki Solange pozwalał sobie nawet na podwinięcie rękawów koszuli. W ciągu dnia pod jego pachami powiększały się wielkie dwie ciemne plamy)” potu, a jego mdło-słodki zapach rozprzestrzeniał się w całym pomieszczeniu.

W południe, za zamkniętymi na dwa spusty drzwiami biura, urządził sobie z sekretarką piknik. Jak zawsze przy przyrządzanym naprędce obiedzie zadowolili się grubymi kromkami białego chleba tostowego, ozdobionymi kilkoma plasterkami szynki i sera, które Norbert grubo pociosał scyzorykiem - pamiątką po służbie wojskowej. Otworzył butelkę białego wina ze swojej winnicy, które wypili z papierowych kubków. Potem Norbert wytarł scyzoryk chusteczką, a Solange, wymawiając się pilną pracą, pobiegła zaradzić jelitowemu rozprężeniu, jakie wywołało siarkawe wino.

Przez uchylone drzwi biura mieszczącego się w tym samym korytarzu kierownik ds. personelu po raz kolejny zarejestrował stan faktyczny, notując godziny zamknięcia i otwarcia drzwi gabinetu rektora, jak również podejrzane wizyty Solange w toalecie. Ciągle miał nadzieję, że zostanie awansowany na dyrektora human resources. Ten tytuł pozwoliłby mu przeskoczyć o dwa szczeble w górę w tabeli liczącej trzydzieści sześć pól pracowników Konfederacji Szwajcarskiej. Mając na względzie ewentualne negocjacje, cierpliwie zbierał materiały przeciwko Norbertowi Viredazowi.

Jednak za zamkniętymi drzwiami nie działo się nic romantycznego. Wbrew podejrzaniom kierownika ds. personelu rektor nie wdawał się w błahe romanse. Nawet gdyby chciał, nie potrafiłby przejść do czynów. Jego ciało od dawna się od tego wykręcało, a serce zawsze odrzucało miłość. Żył samotnie i tylko pozornie, cały czas skoncentrowany na ulepszaniu lemańskiej winorośli, która była jego jedyną pasją.

Norbert i Solange rozmawiali o upale, chłodnym winie, dzielili się ostatnimi plotkami na temat profesorów. Gawędzili w miłym, wiejskim tonie, opowiadając sobie bez pośpiechu jakieś banały, tym większe, że powtarzane do znudzenia.

Dawniej, zanim brytyjscy lordowie włożyli nowe buty, nosili je ich służący. Podobnie Norbert oczekiwał od Solange, by kształtowała jego już z natury elastyczną myśl, biorąc pod uwagę oczekiwania prostych ludzi. Tarzał się w przeciętności, która dawała mu wytchnienie od nowatorskich pomysłów i oryginalnych przedsięwzięć swych profesorów, z których większość należała do niepokojącej rasy intelektualistów. Człowiek nie może utrzymać się u władzy, bez względu na pozycję, jeżeli nie stanie się specem od banalności i wirtuozem jednomyślności.

Targnięty nagłym porywem poczucia winy Viredaz spojrział rozpaczliwie na biurko zavalone przynajmniej półmetrową stertą dokumentów, które nazbierały się

w ciągu roku akademickiego, w oczekiwaniu na wakacje. Szpargały leżały jeden na drugim w porządku chronologicznym, dlatego brzegi papierów na dole sterty były wypłowiałe od słońca i pokryte kurzem. Wszystko było pomieszane: rozprawy doktorskie, protokoły komisji, artykuły z gazet, anonimowe donosy i oskarżenia, dokumenty profesorów, których trzeba ponownie mianować przed jesienią, zaproszenia na mnóstwo kolokwiów, a nawet koperty ciągle zamknięte od dnia prasowego, kiedy wylądowały na tym biurku.

Na ogół Norbert odpowiadał tylko na pisma przychodzące z góry, od wysoko postawionych urzędników. Oczywiście zawsze w pełni podzielał ich zdanie. Wszystko, co przychodziło z dołu, było lekceważone. W żadnej organizacji myśli nie powinny krążyć z dołu do góry, skoro brak myśli rozprzestrzenia się tak łatwo z góry do dołu w wyniku swego ciężaru.

By uciec od tej syzyfowej pracy, Norbert spojrzął na zegar zawieszony na ścianie. Nie mogąc zorganizować przestrzeni własnego biura, starał się przynajmniej kontrolować czwarty wymiar - czas. Miał jeszcze pięć minut, zanim wejdzie pierwszy gość, a zatem tylko tyle czasu, by się odświeżyć. Nie musi więc zabierać się za tę stertę papierów. Wyrównał oba stosy, które wydawały mu się nierówne, i brudną chusteczką starł kurz z biurka. Pranie stanowiło najślabszy punkt w jego kawalerskim życiu.

Pod koniec wakacji Solange z pewnością zaproponuje, że uporządkuje te papiery. W rzeczywistości wyrzuci je do kosza, gdyż będzie już za późno, by podejmować jakieś decyzje czy odpowiadać na listy. Ale Norbert będzie oczywiście udawał, że tego nie widzi. Jego zdaniem cała sztuka zarządzania polega na oczekiwaniu, aż sprawy pilne ulegną przedawnieniu. Nawet o tym nie wiedząc, dołączył w ten sposób do najlepszych specjalistów od zarządzania, którzy zakładają, że najlepsze decyzje podejmują się same, spadają niczym dojrzałe owoce z drzewa, podczas gdy skomplikowana dokumentacja szybko butwieje i

przekształca się w administracyjny kompost.

Kiedy chodziło o delikatne decyzje, Norbert zdawał się najczęściej na przypadek. Doświadczenie pokazywało, że miał rację. Eksperci od zarządzania nie przestawali wychwalać dynamizmu politechniki. Jedynie Norbert wiedział, że to przez jego wyrachowane niedbalstwo, które jest cenniejsze od źle udzielanej pomocy, profesorowie mogli bez przeszkód wykorzystywać swoją energię. On zajmował się kretowiskami, a góry zajmowały się same sobą.

Jednak nie zdawał sobie sprawy, że jedna z takich gór zbliża się do niego i może go zmiążdżyć.

\*

Oczekiwany gość, Charbel Kassis, przemierzał dużymi krokami korytarze politechniki, nie mogąc znaleźć właściwej drogi. Był coraz bardziej zirytowany: wszędzie takie same betonowe ściany, metalowe drzwi, okna wychodzące na dziedzińce wewnętrzne. Może szedł już tym korytarzem, po którym właśnie krążył, ale nie potrafił tego ocenić, ponieważ wszystkie wyglądały jednakowo. Wchodził i schodził po ślepych schodach, otwierał drzwi przeciwpożarowe, czasem wydostawał się na nieznane i podobne do siebie parkingi.

Co jakiś czas znajdował tablice, które niby wskazywały drogę, ale przedstawiały jakieś niejasne znaki i schematy zrozumiałe tylko dla architektów, którzy je stworzyli. Charbel miał wrażenie, że błąka się po labiryncie nauki, niestety nie miał nici Ariadny. Czy w środku tego labiryntu znajdzie Minotaura, który będzie gotów go pożreć? A może spotka się z niewypowiedzianą miłością?

Wpadł na dziedziniec wewnętrzny. Drzwi same się za nim zatrzasnęły. Próbował wyjść tą samą drogą, którą przyszedł, ale drzwi nie chciały się z powrotem otworzyć. Był na dnie czegoś w rodzaju kwadratowej studni, której bok miał mniej więcej dwanaście metrów. Z dziedzińca było widać okna, ale nie można było dostrzec ani jednego człowieka. Nie było żadnego wyjścia. Znajdował się w



środku labiryntu i nie mógł z niego się wydostać. Pewnie za chwilę wyłoni się Minotaur.

- Jest tu ktoś? - zawołał Charbel.

Brak odpowiedzi. Krzyknął jeszcze głośniejsze, ale i tym razem nie doczekał się żadnej reakcji. Sytuacja stawała się groteskowa. Próbował po kolei otworzyć okna wychodzące na dziedziniec. Pot oblewał mu ciało, a koszula przykleiła się do skóry.

Ostatnie okno w końcu ustąpiło tylko dlatego, że należało do toalety, którą trzeba wietrzyć. Charbel przeskoczył przez parapet, odświeżył się w umywalce, poprawił krawat, który ciągle uciekał w lewą stronę, i wyruszył na dalszą tułaczkę.

Norbert Viredaz zamknął się w toalecie. Nabrał w obie ręce wody i spryskał obficie twarz. Nie użył jednak mydła. Każdego ranka, obojętnie, czy była zima, czy lato, jego ojciec, Daniel Viredaz, właściciel winnicy, rytualnie obmywał się w fontannie stojącej na dziedzińcu w Epesses.

Norbert poczuł, że pozostało w nim jeszcze coś, czego nie skalało jego stanowisko. Zgodnie z prawem rolnym posiadłość odziedziczył jego starszy brat. Jednak Norbert także posiadał winnicę. Była mała, ale tylko na taką było go stać: sześćset szczepów winorośli rosnących między Jeziorem Genewskim a szlakiem kolejowym w przełęczy Simplon, sto metrów przed dworcem w Villette. Słońce, które tutaj go zadręczało, tam pomagało dojrzewać kiściom winogron.

Kiedy skończył się delectować tą pokrzepiającą refleksją, wrócił do swego koszmaru. Historia z nagim mężczyzną przyczepionym do klifu i sępem pożerającym jego wątrobę coś mu przypominała. Ale co? Każdy sen posiadał jakieś znaczenie, a jednak do tego właśnie snu Norbert nie miał klucza.

Od czasu do czasu, przez uchylone drzwi, Charbel Kassis dostrzegał jakiegoś młodego mężczyznę lub młodą kobietę. Siedzieli ze wzrokiem wlepionym w monitor, pochłonięci tajemniczą robotą. Nie mając innego wyjścia, popchnął jedne

z takich drzwi i stanął przed dobrze zbudowanym, krzepkim mężczyzną, ubranym w coś w rodzaju koszuli, która dawno temu była biała, tenisówki bez fasonu oraz pstrokate i postrzępione szorty, które powstały po odcięciu nogawek doszczętnie znoszonych dżinsów.

Charbel doznał szoku. W banku pracownicy zawsze są starannie ubrani, ponieważ nikt nie powierzyłby pieniędzy łachmaniarzom. Wiarygodność finansisty jest oceniana na podstawie jego nienagannego stroju, a nie głębokości jego myśli, która stanowiłaby raczej zawodowe kajdany. Za to sądząc po tym, co tutaj zobaczył, powagę badacza mierzy się niedbalstwem ubioru. Charbel wchodził w świat, o którym nic nie wiedział, by przedstawić projekt, jakiego sam nie potrafił sformułować. Pomyślał o osobie, która powierzyła mu tę misję, i nabrał trochę odwagi.

Młodzieniec w łachmanach wskazał Charbelowi drogę, przez wycięcie w kamizelce drapiąc się jednocześnie po owłosionej klatce piersiowej. Charbel pomyślał, że poza tym ohydny szczegółem, dzięki niewyjaśnionej mieszance prostoty i powagi, mimo swego roznegliżowanego stroju, ten mężczyzna przypomina anioła. Gdyby współczesne anioły nosiły oślepiająco białe suknie, wszyscy braliby je za reklamy proszków do prania.

Charbel Kassis dotarł w końcu do korytarza prowadzącego do gabinetów dyrekcji. Bez trudu odnalazł drzwi sekretariatu i delikatnie zapukał. Nie doczekawszy się żadnej odpowiedzi, zapukał jeszcze raz. Po kilku sekundach stwierdził, że bez żadnych ceremonii może wejść do środka: sekretarki uwielbiają pić razem kawę, by oderwać się od nudnej pracy, czasem też przepisują nagrania ze słuchawkami na uszach. W sekretariacie nie było nikogo. Postanowił więc spróbować szczęścia w gabinecie rektora.

Te drzwi otwały się natychmiast i Charbel zobaczył dosyć niskiego, krzepkiego mężczyznę o rumianej twarzy, ubranego w przemoczony, niezgrabnie

leżący garnitur. Na pierwszy rzut oka Norbert Viredaz sprawiał wrażenie wieśniaka w odświętnym ubraniu. Kilka sekund później Kassis poczuł nieprzyjemny zapach - mieszaną acetonu i amoniaku. Skończył studia medyczne, dlatego zareagował jak lekarz: przypatrzył się czerwonym dłoniom Norberta; pod szyją, dzięki brakującemu guzikowi w koszuli, dostrzegł kilka małych gwiazdek uformowanych z pękniętych naczyń krwionośnych. Były to wyraźne oznaki marskości wątroby.

Mężczyzna wydał mu się sympatyczny, ale zupełnie nie nadawał się do zarządzania uczelnią wyższą o międzynarodowej sławie. Wyglądał na przyzwoitego, zaskoczonego deszczem człowieka, który pożyczył od kogoś parasol i który cierpiał na napad niewspółmiernej winy. Charbel od razu się zorientował, że rozmówca jest niezbyt skłonny do duchowych spekulacji, dlatego jego misja stawała się wysoce delikatna.

Rektor zaprosił gościa do środka i, po kilku chwilach wahania, zaproponował, by usiadł przy stole, na którym leżało nieco mniej papierów niż na biurku.

Norbert Viredaz przyjrzał się uważnie Charbelowi Kassisowi. Wcześniej widział go tylko na zdjęciach w gazetach, ale w rzeczywistości ten człowiek wyglądał inaczej. Był średniego wzrostu, miał smukłą twarz i przenikliwe spojrzenie. Przypominał żaglowiec skonstruowany specjalnie na regaty. Norbert był rozczarowany, że nie dostrzegł w nim żadnych rysów fizycznych, które naiwnie przypisywał Arabom. Miał niebieskie oczy, prosty nos i jasną karnację skóry.

Viredaz postępował zupełnie inaczej niż większość rektorów, którzy ciągle biegają na spotkania z nieznanymi sobie ludźmi. On nie dopuszczał do siebie nawet większości profesorów, nawet w pilnych sprawach. Za to Charbel Kassis miał olbrzymią władzę - władzę pieniądza, która szczerze wynagradzała jego ułomne, w oczach Norberta, pochodzenie: finansista był Libańczykiem, mimo szwajcarskiego paszportu, który zdobył, stając się obywatelem Szwajcarii.

Przez pięć minut wymienili między sobą jedynie grzeczności. Norbert przeżywał męczarnie: czegoż mógł chcieć od niego ten bankier? Dlaczego nie odkrywał kart? Ukrywając nieufność pod dziwacznym uśmiechem, zapytał półgębkiem o powody wizyty. Charbel już wcześniej przygotował natarcie:

- Panie rektorze, mam zamiar stworzyć fundację naukową, z której korzystałaby politechnika.

Norbert zareagował delikatnie. Jego zdaniem finansiści mieli tylko jedno zaszczytne zadanie: rozdawać pieniądze, które zdobyli dzięki podejrzanym umiejętnościom wykorzystywanym w ryzykownej dziedzinie.

- Chciałbym wesprzeć prace z zakresu psychologii fizycznej - ciągnął bankier. - Wie pan, że studiowałem medycynę, ale nie praktykuję jako lekarz, ponieważ odziedziczyłem rodzinny bank. Osiągnąłem jednak wiek, gdy wraca się do młodzieńczych pasji. Trzydzieści lat temu byłem zafascynowany problemem świadomości oraz sporu między dualizmem a monizmem. Przejrzałem kilka ostatnich książek z tej dziedziny i zdałem sobie sprawę, że dzisiaj wiemy na ten temat tyle samo co i wczoraj. Pragnę więc zainwestować pewien kapitał, by przyczynić się do rozwiązania zagadki: czym jest świadomość? Czy można ją zredukować do elektrycznych sygnałów, jakie powstają w naszym mózgu, a może jej podstawą jest jakaś niewidzialna istota, którą często nazywa się duszą lub duchem?

Norbert Viredaz poczuł niepokój, potem konsternację. Był zaniepokojony, ponieważ Charbel używał nieznanego mu terminów. Prawdopodobnie sądził, że rektor politechniki musi wiedzieć, jaka jest różnica między dualizmem a monizmem. Norbert domyślał się, że każda z tych etykietek kryła w sobie jakąś teorię filozoficzną. Ale jaką? Był również skonsternowany, ponieważ wszystko wskazywało na to, że ten człowiek pomylił drzwi, a zatem jego pieniądze przypadną na byle jakim uniwersytecie.

Marszcząc grube wargi, by lepiej oddzielić jedno słowo od drugiego, rektor podsumował:

- Panie Kassis, znajduje się pan na uczelni, która kształci inżynierów. Nie prowadzimy żadnych badań z dziedziny psychologii. Naprawdę bardzo żałuję, ale muszę pana skierować na uniwersytet. Ta szlachetna instytucja z pewnością będzie mogła odpowiedzieć na pańskie pytanie lub przynajmniej będzie próbowała, rozpoczynając prawdopodobnie długie i kosztowne prace.

Cisnął mięszożernym uśmiechem w stronę bankiera, by przekazać mu wiadomość, której nie mógł sformułować bardziej otwarcie: psychologowie to szarlatani, choć zapewne skuteczniej niż filozofowie czy teolodzy budują naukową sławę, ale są tak samo niepewni, ponieważ żadne wyniki ich pracy nie mogą znaleźć dochodowego zastosowania na rynku.

Ku zaskoczeniu Norberta, jego rozmówca zrozumiał przesłanie.

- Panie rektorze, nie doszło z mojej strony do żadnej pomyłki. Nie zamierzam płacić za zredagowanie tysięcznej rozprawy filozoficznej o świadomości. Przeczytałem wszystko, co na ten temat napisano, znam te wszystkie sprzeczne poglądy. Muszę stwierdzić, że nie opierają się one na niczym konkretnym, jedynie na przekonaniach autora. Przed chwilą wspomniałem o psychologii fizycznej. Ten epitet jest bardzo ważny. Chcę, by zbadano funkcjonowanie świadomości środkami eksperymentalnymi, takimi, jakimi dysponuje uczelnia kształcąca inżynierów. Wybrałem tę placówkę ze względu na jej doskonałą renomę. Według moich informacji politechnika Federalna w Lozannie jest największą szkołą techniczną kształcąca w języku francuskim. I najlepszą.

Zaraz potem, chcąc zrobić dobre wrażenie i przekonać do siebie rozmówcę, dodał:

- I najlepiej zarządzaną, pozwolę sobie zauważyć! Norbert pokiwał

ślamazarnie głową, dając do zrozumienia, że zarejestrował komplement. Nic nie dziwiło go bardziej niż wysoki poziom instytucji, którą nie potrafił zarządzać. Czasami dręczyła go myśl, że im mniej próbował kierować uczelnią, tym więcej odnosiła sukcesów. Wyobrażał sobie też, że świat ludzi, ta szalenie skomplikowana machina, funkcjonuje, ponieważ nikt nie posiada nad nim władzy. Po takiej refleksji przychodziła ostateczna, najbardziej rozpaczliwa myśl: gdyby Bóg istniał, pewnie nie zajmowałby się światem, wiedząc w swej wszechwiedzy, że jest to najlepsze rozwiązanie.

- A zatem jakie jest pytanie? - zapytał grzecznie, kończąc tę krótką metafizyczną medytację.

- Czy to wrażenie, że istniejemy, które wszyscy odczuwamy, wynika tylko z elektrycznej aktywności neuronów w naszym mózgu? Czy może wyraża coś innego, czego nie znamy? Na przykład niematerialne pole, które byłoby nośnikiem informacji, gdzie mieściłoby się to coś, co powszechnie nazywamy duchem lub duszą.

Przez biuro Norberta Viredaza przewinęła się już cała gromada utopistów, maniaków i dziwaków. Od razu wszystkich wypędzał, ale nie było mowy, by postąpić w ten sposób z bankierem. Dzięki pieniądзом Kassis miał władzę, a tym samym prawo do formułowania szalonych pomysłów. Niezwykle ostrożnie rektor przystąpił do zdobycia najważniejszej informacji:

- By podjąć się tego zadania, musielibyśmy przekształcić niektóre nasze laboratoria, potrzebne byłyby inwestycje, pracownicy. Obawiam się, że drogo by to kosztowało.

Kassis wbił swe jasne irysy w żółte oczy rektora. Powiedział powoli:

- Niezupełnie. Laboratorium profesora Martina specjalizuje się w tworzeniu obrazów mózgu, wykorzystując nuklearny rezonans magnetyczny. Można wirtualnie zbadać mózg, kiedy pozostaje w stanie aktywności. Jeżeli to

laboratorium odpowie na moje pytanie, jeżeli dowiem się, czym tak naprawdę jest człowiek, to pieniądze nie grają roli. Wie pan, jakie są zasoby prywatnego banku i jaką swobodę posiada jego główny akcjonariusz. Zanim tu przyszedłem, zasięgnąłem informacji. Budżet przeznaczony na funkcjonowanie tej instytucji, finansowanej przez Konfederację Szwajcarską, szacuje się na około dwustu milionów franków szwajcarskich rocznie. Roczne zyski Banku Środkowego Wschodu pozwoliłyby mi pokryć prawie całość tego budżetu. Oczywiście na początku nie chcę proponować tak wysokich subwencji. Zresztą jeżeli znajdziemy odpowiedź na moje pytanie, badania te mogą przynieść niewyobrażalne zyski. Może jestem mniej hojny, niż się panu wydaje. Spiszemy umowę: do mnie będą należały patenty uzyskane podczas badań, które finansuję. W gruncie rzeczy wszystko, co najlepsze, wydaje się najbardziej ryzykowne na początku.

Norbert Viredaz poczuł, że to nie on podejmuje tutaj decyzję. Stał naprzeciw jednego z władców świata, członka wysokiej kasty, do której nigdy nie będzie należał skromny nauczyciel, syn właściciela winnicy i nauczycielki, człowiek modzelowaty, nieokrzesany, źle wychowany, który został powołany na stanowisko akademickie, choć nie ma rzeczywistej władzy. Całą sprawę trzeba przedstawić wyżej, a finansista musi być cierpliwy.

- Teraz lepiej pana rozumiem. To bardzo interesujący projekt. Pod żadnym pozorem nie chciałbym go stracić. Naturalnie muszę skonsultować się z profesorem Martinem i być może innymi kierownikami laboratoriów. Naprawdę zależy panu na Martinie?

- Tak. Jest najlepszy w swej branży. Czy mogę mieć nadzieję, że otrzymam odpowiedź w ciągu tygodnia? - dodał Kassis. - Chciałbym jak najprędzej spotkać się z profesorem Martinem, by dobrze mu wytłumaczyć, o co mi chodzi.

Przesłanie ukryte pod tymi miłymi słowami było jasne: trzeba albo brać, albo odpuścić. Norbert Viredaz zapewnił, że wchodzi w to, i odprowadził swego gościa

do windy, a takiego szczytu dostępował średnio jeden gości na stu.

Dzięki swej intuicji Charbel Kassis wy dostał się jakoś z uczelnianego labiryntu, nie myląc się ani razu. Uznał to za dobry znak. Musi od razu zadzwonić do tego, kto zlecił mu tę niemal niewykonalną misję.

Po wyjściu gościa Norbert zdjął marynarkę i rozwiązał krawat - dwie ozdoby, których nienawidził. Spostrzegł, że w koszuli brakowało guzika. Zirytował się, ponieważ jego grube dłonie nie bardzo potrafiły szyć. Zadzwonił do Solange, ona jednak nie odpowiadała. Wpadł więc do sekretariatu, ponieważ godzina sjesty dawno już minęła. Znalazł ją w końcu przy kopiarce. Wydawało się, że była to jedyna czynność, jaką lubiła. Ale dlaczego? Tego Norbert nie potrafił zrozumieć. W jego oczach była to niezwykle dobrodusza istota i nawet do głowy mu nie przyszło, że tak naprawdę miała za zadanie go śledzić.

Poprosił ją, by odwołała popołudniowe spotkania. Musi bardzo dokładnie przemyśleć całą tę sytuację, w której od razu dostrzegł wiele niebezpieczeństw: nie może ani odrzucić, ani przyjąć tej propozycji.

Postanowił przedstawić sprawę wyższej władzy, wystukując numer telefonu, który nie widniał w żadnej książce telefonicznej. Telefon zadzwonił w pokoju, który Norbert Viredaz mógł wyobrazić sobie z zamkniętymi oczami, tyle bowiem doświadczył w tym miejscu upokorzeń.

Na ostatnim piętrze banku, na poddaszu, znajduje się pomieszczenie, które wynajmuje pewne stowarzyszenie o niesprecyzowanych celach. Ściany pomalowane na beżowo, standardowe meble biurowe, ułożone w szeregu i zamknięte na klucz segregatory, drzwi pancerne wyposażone w alarm podłączony bezpośrednio do policji kryminalnej - niebagatelny przywilej. Segregatory są wypchane dokumentami na temat różnych osób, między innymi są też akta opatrzone jego nazwiskiem - Norberta Viredaza. Poczzerwieniał, gdy tylko pomyślał o ich zawartości.



W pomieszczeniu stoi tylko jedno biurko, a za nim siedzi pewien mężczyzna, zawsze ubrany w trzyczęściowy ciemnoszary garnitur, nawet w największe upały. Jego rude włosy zaczyna przyprószać siwizna. Bezbarwne brwi dodają chłodu ponuremu spojrzeniu. Siedzi ze skrzyżowanymi na biurku rękami, na którym nie leży ani jeden dokument. Przypomina kota, który czai się przy dziurze myszy, czeka zastygły, gotów zadziałać z szybkością błyskawicy.

Faktycznie to on rządzi miastem i regionem. Jest po prostu Władcą. Nikt bez jego zgody nie może otrzymać nominacji na prefekta okręgu czy dyrektora szkoły. Czasem wprowadza swojego kandydata. Kontroluje Radę Synodalną Ewangelicznego Kościoła Reformowanego, a także Federację Parafii Katolickich, ponadto rozmaite loże masońskie, rotarian, partię radykalną i partię socjalistyczną. Nie słyszano, by miał jakiegoś przyjaciela czy rodzinę, żadnych złych przyzwyczajęń i jeszcze mniej wad. Wie wszystko, niczego nie zapomina i nigdy nie wybacza. Sprawowanie władzy to jedyny sens jego życia. Tylko w niewielu sprawach pozwala decydować innym i zawsze żąda wyjaśnień. Nie ma żadnego tytułu, żadne nazwisko nie wisi na drzwiach jego biura. O jego istnieniu wiedzą tylko najlepiej poinformowani ludzie. I choć wiedzą, nigdy o nim nie rozmawiają.

To właśnie Władca zdecydował powierzyć stanowisko rektora politechniki Norbertowi Viredazowi, skromnemu profesorowi wydziału matematycznego, który swymi zdolnościami jako nauczyciel, badacz czy zarządca nigdy nie zaskoczył żadnego ze swych kolegów czy studentów. Trzeba było odsunąć innych kandydatów na to stanowisko, których wyraźne zalety nie były neutralizowane substancjalnymi dokumentami spoczywającymi w segregatorach zamkniętych na klucz w biurze Władcy.

Po trzech dzwonekch Władca podniósł słuchawkę. Norbert ostrożnie się przedstawił:

- Dzień dobry. Mówi Norbert.

- Słucham panie Viredaz.

- Odwiedził mnie pan Charbel Kassis, dyrektor Banku Środkowego Wschodu, i zaproponował utworzenie fundacji z poważnymi dotacjami.

- Jak poważnymi?

- Dokładnie nie powiedział. Kilka milionów subwencji rocznie.

- Bank Środkowego Wschodu to instytucja genewska. Dlaczego zwrócił się do pana, a nie do Uniwersytetu Genewskiego?

- Otóż to. Dokładnie tego nie rozumiem. On chce powierzyć fundusze uczelni technicznej, a nie wydziałowi nauk humanistycznych.

Potem nieśmiało dorzucił:

- Powiedział także, że zdecydował się na naszą uczelnię ze względu na jej dobrą renomę.

Daremnie Norbert czekał na słowo gratulacji, niczego takiego nie usłyszał. Po drugiej stronie linii nastąpiła długa cisza. W końcu Władca zapytał:

- Czy będzie pan mógł dysponować tymi środkami w dowolny sposób?

- Nie. W tym właśnie tkwi problem. Pieniądze mają zostać przeznaczone na badania nad świadomością. Krótko mówiąc, on pragnie stworzyć nową dyscyplinę, którą nazywa psychologią fizyczną.

- Co to oznacza?

- Chodzi o to, by za pomocą badań laboratoryjnych wykazać, że istota ludzka posiada świadomość, która jest niezależna od mózgu.

Znowu cisza, przedłużona tym razem z powodu kaszlu. Ten rudy mężczyzna o szarych oczach zatruwał się tytoniem i był to jego jedyny słaby punkt, najbardziej ludzki w nim pierwiastek.

- Dobrze pan zrobił, dzwoniąc do mnie. Moim zdaniem sytuacja jest jasna, a rozwiązanie ewidentne.

To była metoda upokarzania innych: oznajmić im, że kompletnie niczego nie

rozumieją.

Cisza się przedłużała. Po drugiej stronie linii Władca zapalał papierosa. Odgłos zamykanej zapalniczki oznaczał koniec przerwy.

- Jeżeli odrzuci pan te subwencje, zostanie pan uznany za złego zarządcę. Jeżeli je pan przyjmie, ucierpi na tym pańska reputacja naukowa.

- Zgadzam się z panem! - przyznał pokornie Norbert, który od początku dostrzegał tę pułapkę.

- A zatem może pan wybierać. Chyba że uda się panu wykorzystać te subwencje w taki sposób, by zadowolić przynajmniej opinię publiczną, która jest uprzedzona do wszelkich badań naukowych.

- Wątpię, by było to możliwe.

- Panie Viredaz, za bardzo pan w siebie wątpi. Trochę sprytu, a okaże się to możliwe. Zastanówmy się! Może pan powierzyć te pieniądze jakiemuś profesorowi, którego chce się pan pozbyć i który posłuży za bezpiecznik na wypadek skandalu. W tej sytuacji trzeba dopilnować, by wszystko zostało omówione ustnie, nie mogą zostać żadne ślady na piśmie. On będzie w to wmieszany, a pan się nie skompromituje. Przykro mi, że muszę przypominać tak ewidentne rzeczy, ale nie zawsze pan to rozumiał, załatwiając sprawy, które były panu powierzane.

- Tak - przyznał załośnie Norbert.

- Sugerowałbym panu zaangażować w ten projekt profesora Martina. Wyrządził poważne szkody podczas afery z komputerem Fujitsu. Zdaje pan sobie sprawę, jak ważna jest to kwestia dla naszego regionu. Japończycy proponowali utworzenie swojego laboratorium w Lozannie, pod warunkiem, że pańska uczelnia kupi ich najnowszy komputer. A ten Martin oświadczył, że politechnika go nie potrzebuje. Bezczelny kretyn!

- Ten genewski bankier życzył sobie, bym powierzył badania właśnie

profesorowi Martinowi. Twierdzi, że jest on najbardziej wykwalifikowany do tego przedsięwzięcia. Potrafi tworzyć wirtualne obrazy działającego mózgu.

- A zatem ma pan dwa powody, by jego właśnie wybrać. Dlaczego się pan waha? Po co pan do mnie dzwoni?

Znowu nastąpiła cisza, tym razem krótsza. Władca w końcu zapytał:

- Chce mi pan jeszcze coś powiedzieć, panie Viredaz?

- Tak. Profesor Martin, któremu zaproponuję ten projekt, z całą pewnością się nie zgodzi.

- Domyślam się. Od razu pojmie, że w tych głupich badaniach ryzykuje swą reputację. Zagrozi mu pan, że ograniczy środki, jakimi obecnie dysponuje. Pozbawi go pan etatów dla asystentów. W każdym razie, by ukarać go za kłopoty, jakie nam sprawił, ograniczył pan już to wszystko do minimum. Przynajmniej mam taką nadzieję!

- Naturalnie. Nie rozumiem, w jaki sposób jego laboratorium ciągle funkcjonuje. Tonie w długach, więc będzie zmuszony przyjąć tę propozycję. - Norbert spróbował zrobić krok do przodu. - Jeżeli projekt Kassisa zakończy się fiaskiem, będę musiał zwolnić profesora Martina?

- To się rozumie samo przez się. Dlatego właśnie jemu powierzy pan tę niemożliwą misję. Będzie można mu zarzucić, że zaangażował się w badania, które wykraczają poza jego kompetencje i daleko odbiegają od celów politechniki.

- Ależ to jeden z najbardziej szanowanych profesorów uczelni!

- Nie uda się panu utrzymać dyscypliny wśród intelektualistów, jeżeli od czasu do czasu nie popełni pan samowolnego aktu. Jeżeli wyśle pan na przedwczesną emeryturę profesora z początkami alzheimera, wszyscy pana poprą. Natomiast jeżeli zwolni pan cieszącego się prestiżem naukowca, który posiada swoje środki, nikt już nie będzie się czuł bezpiecznie. W momencie kiedy jakiś profesor z uniwersytetu może zostać bez problemu zwolniony, żaden pracownik

przemysłu nie będzie czuł się bezpiecznie. Wszyscy będą się bardziej starać. Rozumie pan?

- Tak - rzekł z trudem Norbert, którego chłopski zdrowy rozsądek wzdrygał się przed utraceniem jednego z bardziej błyskotliwych wykładowców uczelni w tak obłudnym spisku.

- Rozwój kraju zależy od wydajności jego pracowników, za czynając od kadr. One muszą stale być w centrum uwagi. I na leży im podziękować, kiedy ustępują ze względu na wiek czy chorobę. Nie ma innego sposobu, by walczyć z mondializacją. Chińczycy ścinali głowy osobom, które do niczego się nie nadawały. My nie jesteśmy na tym poziomie. Przynajmniej jeszcze nie!

Norbert próbował się zastanowić mimo ostrego bólu głowy, który miażdżył mu skronie. Obiecał sobie, że podczas przyszłorocznego winobrania nie doda już tyle siarki do wina. Znalazł w końcu śmieszny sposób obrony:

- A jeśli profesorowi Martinowi się uda? Wzmocni to jego stanowisko.

- Panie Viredaz, powinien pan wiedzieć, że z całą pewnością mu się nie uda. Nie ma na świecie niczego, co przypomina duszę. Niczego nie znajdzie. Gdyby dusza istniała, wiedzielibyśmy o tym. Od dawna. I byłoby już na to mnóstwo dowodów.

- To oczywiste.

Znowu niekończąca się cisza. Norbert miał wrażenie, że mózg jego rozmówcy pracuje na najwyższych obrotach, niczym zespół dobrze zazębiających się kół. Z kolei jego mózg, miażdżony migreną, nie pozwalał mu połączyć ze sobą dwóch myśli. Na kartce papieru napisał pośpiesznie kilka słów, by streścić to, co ma robić. Nie było mowy, by odłożyć słuchawkę czy przerwać medytację Władcy, który w końcu powiedział:

- Jeżeli Martinowi uda się stworzyć wrażenie, że odniósł sukces, będzie to oznaczało, że pan poniósł porażkę. A konsekwencje dobrze pan zna.

Władca odłożył słuchawkę, po czym pośpiesznie wykręcił numer do Watykanu, by obwieścić, że operacja się rozpoczęła.

## II

Od szóstej rano Michel Martin zmagał się, by przynajmniej spróbować uregulować ogrom spraw, jakie nazbierały się w czasie roku akademickiego. Chciał wszystko załatwić, by wyjechać na wakacje z w miarę czystym sumieniem. Przyjął po kolei każdego z trzech doktorantów, którzy zbliżali się do decydującej fazy rozprawy, a więc do punktu, kiedy zaczynają pojawiać się oryginalne rezultaty. Trzeba było sprowadzić ich na właściwą drogę, dodać im odwagi, nakłonić do pisania, skierować na kongresy, gdzie mogliby zaprezentować swe prace i jednocześnie nie dopuścić, by za daleko się zapędzili.

Michel czuł się nawet zobowiązany wyrazić pewne zainteresowanie ich życiem osobistym, przynajmniej w takim stopniu, by stworzyć pozory sympatii, na prawdziwe przyjaźnie nie miał bowiem czasu. I wreszcie chciał napomknąć o dalszej karierze jednego z nich, którego planował zatrudnić w swoim laboratorium.

Od ósmej rano do południa przeprowadzał egzaminy na trzecim roku. Kiedy skończył, był wyczerpany i przygnębiony. Na dwunastu studentów tylko dwóch przejawiało jakiegokolwiek zainteresowanie przetwarzaniem sygnałów i miało o tym mgliste pojęcie. Dziesięciu pozostałych było przerażonych na samą myśl, że będą musieli się przyznać do całkowitej ignorancji, której w żaden sposób nie da się ukryć, wynikającej z wrodzonej nonszalancji względem jakiegokolwiek poważnej nauki.

W porze obiadowej posilił się sałatką i kawą w Latarni, czyli stołówce, gdzie spotykają się studenci i wykładowcy. Udawał, że czyta gazetę, by przypadkiem nikt go nie zaczepił. Kontakty z ludźmi tolerował tylko w dawce homeopatycznej.

O pierwszej po południu zasiadł do pracy z sekretarką. Zabrali się za stos korespondencji, jaka nagromadziła się w ciągu tygodnia. Zaproszenia na kolokwia,

odbitki artykułów do korekty, listy polecające, formularze administracyjne, zamówienia książek i sprzętu - taka różnorodność dokumentów, przygniotłaby każdy normalnie zbudowany umysł. Ale mózg Michela nie był zwyczajnie skonstruowany.

O godzinie czwartej zadzwonił rektor: pragnął natychmiast z nim porozmawiać. Jego telefon śmiertelnie zaniepokoił Michela. Deficyt na rachunku jego laboratorium był ogromny, ale nawet nie zdawał sobie sprawy, jakie będą tego konsekwencje.

Zgodnie z wypróbowaną metodą policjantów Viredaz na wstępie odpowiednio usposobił Michela Martina. Kazał mu czekać dwadzieścia minut, prosząc jednocześnie Solange, by przyniosła dwie filiżanki kawy, którą razem z nią wypił za zamkniętymi na dwa spusty drzwiami swego gabinetu. Profesor Martin, przemęczony i zavalony robotą, będzie rozdrażniony, że marnuje w ten sposób czas, a tym samym nie będzie w stanie w pełni przeanalizować propozycji, jaką otrzyma. Wszystkie okna w poczekalni były pozamykane, ale przedzierały się przez nie promienie ostrego słońca. Pomieszczenie było niczym sauna, która odwodni przyszłą ofiarę i odbierze jej chęć do dyskusji. Norbert przypominał niezręcznego matadora, który obawia się spotkania oko w oko z niebezpiecznym bykiem, dlatego wcześniej każe pikadorom zadać mu jak najwięcej ciosów. Zawsze tak postępował z ludźmi, którym miał stawić czoło. Po dwudziestu minutach Solange wyszła z dwiema pustymi filiżankami. Jej twarz wykrzywiła się w uśmiechu i oświadczyła profesorowi, że może wejść do gabinetu rektora.

Norbert uściśnął rękę Michela najbardziej łagodnie, jak było to możliwe, i znużonym gestem wskazał mu krzesła, dając przez to do zrozumienia, że życzliwie pozwala mu usiąść, gdzie tylko chce, chociaż jego niższa ranga wymaga raczej, by pozostał w pozycji stojącej.

- Profesorze, zna mnie pan, dlatego nie będę owijał w bawełnę. Ale zanim

przedstawię niezwykle interesującą dla pana propozycję, chciałbym omówić dwie pilniejsze sprawy. Po pierwsze, komisja informatyczna, której pan przewodniczy, nie chce się zgodzić na zakup nowego modelu komputera Fujitsu. Jest to szczególnie dla mnie przykre, ponieważ będę zmuszony nie uwzględnić tej decyzji. Przez pana po raz kolejny zostanę potraktowany jako człowiek, który nie liczy się ze zdaniem pozostałych pracowników uczelni. Oczywiście w tej instytucji nie ma mowy o demokracji. Jesteśmy placówką publiczną, która próbuje funkcjonować jak prywatne przedsiębiorstwo. To ja podejmuję decyzje, ale staram się brać pod uwagę rozsądne głosy, które do mnie docierają. Podkreślam: rozsądne, a nie nierealistyczne kaprysy intelektualistów. Nie chcąc poprzeć decyzji podjętej przez władze uczelni, pańska komisja niszczy konsensus i tworzy złą atmosferę. Zadaniem komisji jest wspieranie kadry zarządzającej, a nie stawianie jej na drodze. Zaś rola przewodniczącego komisji polega na przekonywaniu pozostałych członków do pewnych racji. Jak wszystkim Francuzom, pewnie ciągle się panu wydaje, że zdobywa pan Bastylę. Co konkretnie ma pan przeciw nowemu komputerowi Fujitsu?

- Nie chodzi tutaj o moje osobiste zdanie. Komisja odrzuciła ten projekt jednomyślnie. Panie rektorze, komputer Fujitsu nie jest nikomu potrzebny. Byłby to zakup wyłącznie prestiżowy, który kosztowałby nas czternaście milionów. Te pieniądze można znacznie lepiej wykorzystać, wymieniając stacje robocze i komputery osobiste. Te ostatnie są już trochę przestarzałe.

Podobnie jak wszyscy członkowie komisji, Norbert zdawał sobie doskonale sprawę, że jest to wyrzucanie pieniędzy w błoto. Zamiast trwonić taką sumę, można by na przykład jemu zrobić ładny prezent. Mając czternaście milionów, kupiłby sobie jedną z najlepszych winnic w Lavaux czy Chablais, osiedliłby się tam, produkował wino i w ten sposób dokończył żywota. Niestety pozostawał na rozkazach Władcy, dlatego musiał wspierać nie mającą żadnych logicznych



podstaw tezę.

- W jaki sposób politechnika ma się wyróżniać spośród innych instytucji, jeżeli nie będzie miała najnowocześniejszego sprzętu? Lekceważy pan laboratorium meteorologii profesora Pasche'a. Dysponując najlepszym na świecie komputerem, będzie mógł przekazywać do Europejskiego Instytutu Meteorologii najbardziej dokładne prognozy pogodowe na siedem dni.

- Za pomocą obecnego sprzętu układa całkiem niezłe prognozy meteorologiczne na sześć dni - odparł Michel Martin. - Nie widzę praktycznego sensu, by dodawać jeszcze jeden dzień. Komputer Fujitsu to tylko ogromna maszyna, która z największą prędkością przetwarza cyfry. Nie prowadzi się tutaj żadnych oryginalnych badań w dziedzinie programowania czy cyfrowych algorytmów. Jest to zwykła robota w zasięgu obojętnie jakiego informatyka. Taka praca nie powinna być wykonywana w laboratorium politechniki.

Te słowa ugodziły Norberta. Wyłożył więc na stół kartę, której nigdy nie powinien odkrywać:

- Chce pan przez to powiedzieć, że pański kolega Pasche jest niekompetentny?

Michel powstrzymał się od odpowiedzi. Profesor Pasche został wyznaczony jako następca Norberta Viredaza: jego zdolności naukowe były nieuchwytnie dla najbardziej pobłażliwego oka, ale oczywiście przez kilka następnych lat musiał stwarzać iluzję. Nawet Viredaz nie miał najlepszego zdania na jego temat i podczas niektórych przyjęć, po kilku kieliszkach, specjalnie tego nie ukrywał. W rzeczywistości nawet nienawidził Pasche'a, ponieważ to on któregoś dnia miał go zastąpić.

Norbert przybrał odpowiednią na tę okoliczność minę i oświadczył:

- Rozumie pan, że żądam, by zrzekł się pan członkostwa w komisji.

- Dymisję złożę niezwłocznie. Nie mógłbym świadomie rekomendować

zakupu nikomu niepotrzebnej maszyny, która ma tylko i wyłącznie zwiększyć prestiż uczelni.

Świadomie. Powiedział: świadomie. Norbert Viredaz, który miał poważne trudności ze zmianą tematu rozmowy, od razu to wykorzystał:

- A propos świadomości...

Michel spojrzał na niego zmieszany. Głupota rektora na ogół go bawiła, ale czasem też niepokoiła. Viredaz kontynuował obłudnym tonem:

- Skoro poza kierowaniem laboratorium nie zajmuje pan już żadnego innego stanowiska, skoro wszędzie stwarza pan problemy ze względu na ekscesy pańskiej „świadomości”, proponuję pozostać w tym ograniczonym kręgu zainteresowań i zająć się problemem, który właśnie został mi powierzony - chodzi dokładnie o kwestię świadomości.

Następnie Norbert streścił mu najważniejszą część rozmowy, jaką odbył z Charbelem Kassisem. Kiedy skończył wykład, Michel zaproponował:

- Przykro mi, panie rektorze, ale nie widzę związku. Moje laboratorium zajmuje się przetwarzaniem sygnałów. Psychologia fizyczna - skoro istnieje coś takiego - nie wchodzi w zakres moich kompetencji.

- Panie Martin, zaraz zobaczy pan, jaki jest związek, tym bardziej że leży to w pańskim interesie. Tutaj dochodzimy do drugiej sprawy, dotyczącej pana. Przypominam, że deficyt na pańskim rachunku wynosi kilkaset tysięcy franków. Uczelnia pożycza panu pieniądze, zresztą bez oprocentowania. Ale dalej tego robić nie będzie, ponadto termin spłaty został wyznaczony do końca lipca. Pańskie laboratorium może zdobyć teraz kilka milionów. Nie skorzystać z takiej okazji, by spłacić długi, byłoby wielkim błędem z pańskiej strony.

Michel pojął przesłanie. Norbert dla przykładu zwalniał każdego roku jednego czy dwóch profesorów. Niby wybierani przypadkiem, ale w rzeczywistości były to decyzje starannie przemyślane, by siać niepokój, z którego drobni

możnowładcy robią użytek. Michel niczego innego się tak nie obawiał jak nielogiczności władzy, tym bardziej że nie dostrzegał tutaj ani prawdziwego jej depozytariusza, ani zasad. Często odnosił wrażenie, że Viredaz to tylko podstawiona marionetka i że dałoby się z nim porozumieć, gdyby nie był agentem tajemniczej władzy. Ale kto za nim stał?

Michel absolutnie nie miał zamiaru kompromitować laboratorium. Poświęcił dziesięć lat, by je stworzyć. To rodzaj przedsiębiorstwa, które buduje się tylko raz w życiu. Nie mógł też stracić pracy pozwalającej mu jako tako utrzymać liczną rodzinę. Miał inne, pilniejsze sprawy do załatwienia. Dzisiaj, a raczej dzisiejszej nocy, ostatecznie spróbuje zlikwidować zadłużenie laboratorium. Jeżeli się uda, znacznie łatwiej będzie mu odrzucić tę nedorzeczną propozycję.

Poprosił o dzień na zastanowienie. Viredaz zgodził się niechętnie, dorzucając, że decyzję pozostawia już Michelowi Martinowi.

\*

Michel wyszedł z gabinetu rektora. Błąkał się przez chwilę po labiryncie korytarzy, nie bardzo mając ochotę wracać do swego biura. Próbował po prostu się uspokoić: miał za sobą dziesięć godzin nieprzerwanej pracy, a teraz jeszcze następna cegła spadała mu na głowę.

Rektor zastawił na niego sidła. Próbował się go pozbyć. Tak naprawdę złożył mu tę propozycję, by ukarać go za aferę z komputerem Fujitsu. Długi laboratorium dostarczą prawnego argumentu, by go zniszczyć. Przez ten śmieszny projekt przypadnie w oczach świata naukowego. Znalazł się w labiryncie bez wyjścia, jedynym ratunkiem miała być ta beznadziejna próba, którą chciał podjąć dzisiejszej nocy.

W końcu skierował kroki do biura profesora Theophile'a de Fully'ego z nadzieją, że tam usłyszy jakąś radę. Michel niezwykle wysoko cenił Theo, jeszcze wyżej niż on sam siebie.

Od dwóch lat Theo był na emeryturze. Odszedł z politechniki w Zurychu, gdzie dzięki pracom nad datowaniem węglem C14 otrzymał Nagrodę Nobla. Przeniósł się do rodzinnego domu w Valais. Chcąc jednak utrzymać intelektualną formę, trzy dni w tygodniu spędzał na Politechnice w Lozannie. W jego gabinecie ciągle ktoś przesiadywał. Był to jeden z tych rzadkich umysłów, które opanowują wszystkie dziedziny naukowe i dostrzegają związki, jakie je łączą. Idealnie pasowała do niego dewiza scholastyków, którzy z pewną zarozumiałością rozprawiali dawniej „o wszystkim, co można było wiedzieć, i o kilku innych sprawach”.

Prestiż Theo był tym większy, że jego brat, Emmanuel de Fully, został papieżem i kierował Kościołem pod imieniem Jana XXIV. Był to pierwszy w historii Szwajcar, który zasiadł na tronie Piotrowym<sup>3</sup>, i pierwszy, który chciał rozprawić się z watykańską biurokracją. Jan XXIV pragnął ograniczyć swą funkcję do biskupa Rzymu. Jego prymat miał być tylko honorowy, pragnął zrzec się władzy podejmowania decyzji, z której tak kiepsko korzystali jego poprzednicy.

Siostra Theo i Emmanuela - Colombe - otworzyła prywatny szpital w Stanach Zjednoczonych. Zdobyła światową sławę, zajmując się chorymi w fazie terminalnej. W popularnych mediach zajmowała to samo miejsce co niegdyś Dante we Florencji, gdzie uważano go za jedyne go człowieka, który przekroczył próg śmierci i stamtąd powrócił. W telewizji Colombe była często przedstawiana jako jedyna kobieta, która wie, co dzieje się po śmierci.

Wszyscy troje odnieśli sukces w różnych dziedzinach, dlatego rodzeństwo de Fully wpisywało się w mitologię takich sławnych rodzin, jak Bachowie, Carnot, Bernoulli, de Broglie, Kennedy. Odnosiło się wrażenie, że rodzina de Fully posiada jakiś rodzaj wielopostaciowej inteligencji, dzięki której potrafi stawić czoło najbardziej skomplikowanym sytuacjom i zawsze doskonale zakończyć to, do czego się zabiera.

Uchylone drzwi gabinetu oznaczały, że Theo nie był zajęty. Przez szparę, podnosząc wzrok znad książki, emerytowany profesor mógł obserwować ruch na korytarzu, to młodzieńcze ożywienie, które nadaje uczelniom tak ujmującą atmosferę. Przypominał królową w ulu, która siedzi skulona w jakimś zakamarku, podczas gdy robotnicy krzątają się, by zbierać nektar. Pukając do drzwi, Michel wiedział, że wkracza do prawdziwego środka ciężkości politechniki, podczas gdy Viredaz reprezentował tylko wynurzoną, najbardziej powierzchowną część góry lodowej.

Theo ani nie czytał, ani nie pisał, ani nie siedział przy komputerze. Nie odpoczywał też w swoim fotelu - wspaniałym Charles Eames, który ofiarowali mu jego asystenci, gdy otrzymał Nagrodę Nobla.

Profesor de Fully przesuwiał ręcznym odkurzaczem po powierzchni swego biurka, polując na mało prawdopodobny w tym miejscu kurz: sama myśl, że na biurku mógł leżeć choć jeden pyłek, wystarczyła, by pohamować u niego wszelki wysiłek koncentracji. Skutecznie potrafił myśleć tylko w pomieszczeniu tak czystym jak sala operacyjna. Ludzki umysł jest odporny na logikę, dlatego, by go zdyscyplinować, trzeba zadbać, by pracował w surowym otoczeniu. Grecy wymyślili geometrię, ponieważ w wyniku erozji góry ich kraju zostały ogołoczone, a ich nagie skały i morze przywodziły na myśl najważniejsze pojęcia z zakresu geometrii - punkt, linia, płaszczyzna.

Gabinet był umeblowany w spartańskim stylu. Sam Theo przypominał jeden z tych standardowych mebli, w jakie zaopatrzył go zarząd: skromny, wymagający, dyskretny, skuteczny. Bezbłędna maszyna do myślenia, funkcjonująca w stałych godzinach i według precyzyjnych schematów, w idealnie uporządkowanym otoczeniu.

Michel wszystko mu opowiedział. Theo od razu zgodził się, że propozycja, jaką złożył mu rektor, to przede wszystkim pułapka. Ale swoją opinię wyraził dość

subtelnie:

- Okażmy trochę miłosierdzia i nie oskarżajmy, nie mając dowodów. Nie mówmy od razu, że Viredaz jest złośliwy, być może zwyczajnie sam się przeraził. Jest najlepszym z rektorów, jaki trafił się najlepszej uczelni kształcącej inżynierów, ponieważ ledwo się zauważa, że w ogóle istnieje. Jest to człowiek wystarczająco pokorny, by zdawać sobie sprawę ze swej niekompetencji i nie podejmować żadnej inicjatywy.

I ciągnął dalej:

- Viredaz przekazał panu najbardziej niebezpieczną, a zatem najbardziej interesującą propozycję badawczą, ponieważ dzięki niej dojdzie pan do granic nauki. Może przekona do tego pana fakt, że tym tematem zajmowali się najznamienitsi współcześni uczeni, a więc Jean-Pierre Changeux, Francis Crick, Jacques Monod, Karl Popper, a przed nimi Kartezjusz, Locke, Hume, Kant, Hegel, James, Poincare, Schrödinger - sama śmietanka wśród myślicieli. Obojętnie, czy ktoś zajmuje się biologią, lingwistyką, filozofią, matematyką, czy fizyką, prędzej czy później każdy zastanawia się, jakie jest narzędzie, którego używa, jaka jest natura tego instrumentu, który myśli, jakie jest źródło tego, co odkrywa? Nie możemy nie stawiać sobie pytania, dlaczego właściwie myślimy.

- Oczywiście jak wszyscy zastanawiałem się nad tym, ale bardzo szybko zrezygnowałem z tego typu pytań - zaproponował Michel. - W jaki sposób umysł może zastanawiać się nad samym sobą?

- Świetna analiza! Instynktownie doszedł pan do sedna problemu. Nie można obiektywnie poznać tego, co już z definicji jest subiektywne. Stwierdzając tę oczywistą rzecz, nie wyeliminowaliśmy jednak problemu, ponieważ istnieje coś więcej niż umysł. Ale rozwiążmy najpierw ten problem, czyli problem samego umysłu, który leży trochę z boku w stosunku do świadomości. Na pewno stworzył pan jeden czy dwa programy do gry w szachy.

- Nie. Ja się takimi rzeczami nie zajmuję. Ale zrobił to jeden z moich kolegów z laboratorium pracujący nad sztuczną inteligencją. Taki program to już zwykły banał, od kiedy naukowcom pracującym dla IBM udało się pokonać największych mistrzów, zaczynając od Karpowa w 1997 roku. Teraz taki projekt zadaje się jako pracę inżynierską studentom informatyki, którzy nie przepuszczają takiej okazji. Opracowują program, który niezawodnie pokonuje nawet tego, kto go stworzył. W studentach rodzi to zarówno uczucie dumy, jak i niepokoju. Ale to nic nie znaczy. Program używa strategii, którą oni doskonale znają, ponieważ ją zakodowali. Działa szybciej niż oni i analizuje sytuację, przewidując w śmiesznie krótkim czasie wszystkie możliwe posunięcia, czego nie potrafi zrobić gracz. Ponadto program zapamiętuje wszystkie początkowe i końcowe ruchy, które wykonuje z błyskawiczną prędkością, by zaoszczędzić czas na obliczanie nieprzewidzianych ruchów w środku gry. Zapamiętuje też wszystkie złe posunięcia, jakie popełnił we wcześniejszych partiach i nigdy nie powtarza błędów. Program wygrywa z programistą dzięki mocy i szybkości, rozmiarowi pamięci i brutalnej sile kalkulacji.

- Zgadza się - przyznał Theo. - Dobrze zrozumiał pan granice tej gry. Taki program nie posiada żadnej inteligencji, w którą nie wyposażyliby go człowiek. Gdyby gracz dysponował nieskończonym czasem, zawsze wygrałby z maszyną, zwłaszcza jeżeli wie, jak jest zaprogramowana, ponieważ wówczas mógłby przewidzieć, w jaki sposób zagra. Nie możemy powiedzieć, że ten program czy też komputer, który go obsługuje, posiada świadomość. Jest to automat w całości stworzony przez człowieka. Może wydaje się bardziej inteligentny niż system regulacji centralnego ogrzewania, ale tak naprawdę istotnie się od niego nie różni. Automat nie ma świadomości, ponieważ ci, którzy mają świadomość - my, ludzie - nie są automatami lub przynajmniej nie uważają się za automaty. Warto byłoby dokładnie to sprawdzić. Od tego mógłby zacząć pan swoje badania.

Theo strzepnął urojony kurz ze swego nieskalanie czystego biurka. Popatrzył na Michela zza okularów, by, zachowując bezpośredni kontakt wzrokowy, lepiej podkreślić to, co zaraz powie:

- Ale Charbel Kassis żąda od pana dużo więcej. Tu chodzi o magnum opus. Chaldejscy magowie, greccy filozofowie, średniowieczni alchemicy, masoni z epoki oświecenia - wszystkich ich nurtowało to pytanie: czym jest moja świadomość bycia tym, kim jestem? Moje wspomnienia, moje myśli, moje decyzje, moje marzenia, mój charakter, moje wyobrażenia, moja wola - przyznaję, jest to trochę bezładne, ale to wszystko tworzy mnie. Mnie, Theo de Fully'ego, w oczach pana, Michela Martina. Nie można nas zastąpić, jesteśmy niepowtarzalni. „Każdy umysł jest jak osobny świat zadowolający się samym sobą” - mawiał już Leibniz. Jaka jest substancja tego świata? Czy można go streścić do elektrycznej i chemicznej działalności neuronów? Czy jesteśmy czymś więcej niż tylko materią, która nas tworzy? Czy jesteśmy zdolni, by narzucić jej swoją wolę, swobodnie decydując o naszych czynach? Czy istnieje zatem coś takiego, co nazywamy duchem lub duszą, która jest niezależna od materii, która używa mózgu, by komunikować się ze światem? Czy dusza, która mieszka w ciele, może oderwać się od niego w momencie śmierci i istnieć wiecznie, czyli poza czasem i przestrzenią? Czy jest ona obrazem samego Boga? - Theo spojrział na Michela lekko kpiącym spojrzeniem. - To właśnie, mój drogi kolego, Norbert Viredaz powinien był panu powiedzieć, gdyby miał choć trochę oleju w głowie. Ale on rozmawia z panem z pozycji szefa, jego postępowanie jest uzależnione od skromnych zadań, jakie mu powierzono. Jest zmuszony kupić komputer Fujitsu z tak bardzo odrażających powodów, że ani pan, ani ja, nie możemy sobie tego nawet wyobrazić: próżność, natrętne polecenie aferzystów, którzy zasiadają w rządzie czy administracji, obowiązek wyświadczenia przysługi jednemu z koleżków z partii, udawanie, że ten żaloszny Pasche, który ma go zastąpić za dwa lata, prowadzi jakieś ważne badania.



Musi pan poznać słaby punkt władzy. Właściwie władza łapie pana w pułapkę, tak samo jak niegdyś Sfinks stał u bram Teb i zadawał nierozwiązywalne pytania przybyszom, by móc ich pożreć, stwarzając pozory, że jest to całkiem uzasadnione. Ale pan może pokonać tę intrygę i naprawdę zająć się tym problemem. Musi pan zrobić tak samo jak Edyp, który rozwiązał zagadkę Sfinksa i go wyeliminował.

- W jaki sposób mógłbym przyczynić się do rozwiązania kwestii nierozwiązywalnej, i to w laboratorium, które zajmuje się zupełnie czymś innym? - zaproponował zjadliwie Michel, gdyż był już zmęczony. - Moi asystenci mają coś innego do roboty, niż gapić się przed siebie, czekając, aż jakiś miliarder przedstawi im swoje dziwaczne zagadki do rozwiązania. W pewien sposób potrafię odpowiedzieć na pytanie, jakie stawia Charbel Kassis, ale w innym sensie, niż on tego oczekuje.

- Tak - powiedział Theo. - Wiem, że zdobył pan sławę dzięki pracom poświęconym analizom mózgu.

- W swojej pracy - kontynuował Michel - analizuję i sprzęgam sygnały, by jak najwierniej je przekazać, usuwając niepotrzebne i zakłócające informacje. Oczywiście badam mózg szczegółowo, ale tylko po to, by się dowiedzieć, w jaki sposób analizuje on sygnały odbierane przez siatkówkę oka czy słuch i jakich informacji trzeba mu dostarczyć, by mógł je odtworzyć. Kiedy rozkładam na części ludzki głos, nie chodzi o to, by dowiedzieć się, jakie jest jego znaczenie lub czy to umysł go wytwarza, ale robię to tylko po to, by go rozkodować i skonstruować maszynę do dyktowania, która rozpozna ludzki głos i będzie potrafiła zarejestrować go w formie tekstu. Kiedy analizuję obraz telewizyjny, robię to po to, by usunąć z niego na przykład dekorację, która nie musi być przekazywana z każdym obrazem, ponieważ się nie zmienia. To są właśnie moje konkretne, pilne i priorytetowe cele. Cóż ja mam wspólnego z tą filozoficzną tandetą, jaką mi się proponuje?

- Proszę się zastanowić nad metodą, jakiej pan używa, a wtedy zrozumie pan,

jaki ma ona związek z proponowanym projektem - zasugerował Theo.

- Próbuję skonstruować maszyny, które mają symulować pracę mózgu. Z tego względu jestem naturalnie zmuszony postrzegać mózg jako maszynę. Chociaż muszę podkreślić, iż mózg to nie jest automat, lecz maszyna innego gatunku, która potrafi gromadzić doświadczenia i wykonywać złożone prace właśnie dzięki wcześniej zebranym doświadczeniom. Prawdę mówiąc, udało mi się co nieco dokonać, ponieważ patrzę na mózg materialistycznie. Niech pan nie oczekuje ode mnie, że powiem coś zupełnie przeciwnego, nawet by zarobić sporą sumę pieniędzy.

Theo schował odkurzacz, zamknął szufladę na klucz, który przyczepił do pęku pozostałych kluczy.

- Ma pan świetne laboratorium. Jeżeli ktoś jest najlepszy na świecie w jakiejś dziedzinie, nie powinien się dziwić, że stawia mu się tego typu pytania. Jest pan i zawsze pozostanie człowiekiem, dzięki któremu można było stworzyć maszynę do dekodowania ręcznego pisma na kopercie pocztowej lub na czeku. Ale żeby do tego dojść, musiał się pan dowiedzieć, co się dzieje w ludzkim mózgu, by ta maszyna mogła symulować jego funkcjonowanie. A to wcale nie jest banalna sprawa. Z pewnością dzięki temu jest pan odpowiednio uzbrojony, by rozwiązać problem, z jakim się do pana zwrócono.

Zaraz potem ciągnął dalej:

- Niech pan sobie przypomni moją historię. Stworzyłem laboratorium specjalizujące się w datowaniu metodą węgla C14. Byłem najlepszy, najdokładniejszy, najlepiej wyposażony i zorganizowany. Młodzi naukowcy bili się, żeby ze mną pracować, a moim jedynym zmartwieniem było, kogo z nich zwerbować. Dokonywałem pomiarów brył lodu odciętych z lodowców Antarktyki czy kamieni wyciągniętych z jeziora Neuchatel. Pewnego dnia poproszono mnie, bym określił wiek Całunu Turyńskiego, by potwierdzić jego autentyczność.

Kardynał był przekonany, że jeżeli potwierdzą, iż pochodzi on z pierwszego wieku, Kościół będzie posiadał niemal dowód na zmartwychwstanie Jezusa. Zajmowałem się badaniami fizycznymi, a zwrócono się do mnie, bym rozstrzygnął problem metafizyczny. Dalszy ciąg już pan zna.

- Tak - przyznał prawie niechętnie Michel. - Cała sprawa dobrze się skończyła, jeżeli zapomnimy o tym szaleńcu, który wbił panu nóż w klatkę piersiową.

- To tylko oznaczało, że naprawdę dotknąłem sedna problemu. Jeżeli jest pan dobrym fizykiem, będzie musiał się pan w końcu zająć metafizyką, a władcy ciemności mszczą się, gdy ktoś je przepędza.

- Jacy władcy ciemności? W całej tej sprawie widzę tylko jedno szkaradztwo - rektora!

Theo lekko się uśmiechnął.

- Nie jego miałem na myśli. Mimo tych wszystkich naiwnych intryg zostanie uratowany przed piekłem dzięki swej głupocie. Nie jest na swoim miejscu, gdzie indziej byłby wspaniałym człowiekiem. Ale zna pan zasadę Petera: w organizacji hierarchicznej pracownik awansuje aż do osiągnięcia własnego progu niekompetencji. To spotkało Viredaza i on pierwszy cierpi z tego powodu. - Theo poczuł lekki dreszcz. - Nie! Niech pan zapomni o Viredazie i o tych, którzy nim kierują! Niech pan powróci do pytania Charbela Kassisa. Ono dręczy najznamienitsze umysły. Nie ośmieszy się pan, zabierając się do tej pracy. Jeżeli się pan zgodzi, jestem gotów panu pomóc. A zatem ma pan dodatkowy powód, by przyjąć tę propozycję.

Theo uważał, by nie zapędzić się za daleko. Michel Martin nie może się dowiedzieć, kim jest najważniejszy cichy wspólnik tej operacji. W przeciwnym razie na pewno nie podejmie się realizacji projektu.

\*

Jeszcze bardziej wstrząśnięty słowami Theo niż rozmową z rektorem Michel wrócił do swego gabinetu i zamyślił się dłuższą chwilę, patrząc w pustkę. Rzadko mu się to zdarzało. Rektor polecił mu spotkać się z Charbelem Kassisem. Na wszelki wypadek poprosił sekretarkę, by umówiła go na spotkanie, choć cały czas miał nadzieję, że po wydarzeniach dzisiejszej nocy nie będzie musiał zgadzać się na ten projekt, a wtedy spotkanie z Kassisem nie będzie konieczne.

Ku jego zaskoczeniu okazało się, że bankier jest całkowicie dyspozycyjny następnego dnia o godzinie, która będzie odpowiadała Michelowi. Wszystko wskazywało na to, że ten nieznany finansista chciał jak najprędzej poznać odpowiedź na pytanie, na które nie ma odpowiedzi, a które ludzie zadają sobie od czasów, gdy tylko zaczęli myśleć: dlaczego potrafię myśleć? dlaczego jestem sam o siebie niespokojny?

Michel wyrwał się z tej zadumy, by zadzwonić do Iriny i uprzedzić ją, że się spóźni. Przez okno popatrzył na jezioro i Alpy. Powoli zapadał zmrok. Niebo było idealnie niebieskie, jak gdyby na świecie nie istniała najmniejsza chmurka. Tutaj, w pępku świata, w tym kantonie między Jurą a Alpami, wszystko wydawało się takie proste. Wystarczyło pracować jak skromny rzemieślnik, by dojść na sam szczyt. Tak jak Rousseau: uczeń zegarmistrza został filozofem. Zwrócono się tylko do inżyniera Michela Martina, by odpowiedział na pytanie, które zadają sobie ludzie: czy jestem bezwartościową zgnilizną, która przez przypadek znalazła się na tej zatraconej planecie, która różni się tylko odpowiednią temperaturą, atmosferą i wskaźnikiem wilgotności?

Po trzech sygnałach Irina podniosła słuchawkę:

- Dziękuję, że dzwonisz, Michelu. Słyszałam już nowinę.
- Jaką nowinę? Jakim cudem się o tym dowiedziałaś? Michel zdał sobie sprawę, że drugie pytanie zaprzeczało pierwszemu. Szybko więc dorzucił:
- Nie mogę teraz z tobą rozmawiać. Następną cegła spada mi na głowę.

- Nie, Michelu - odparła łagodnie Irina - to nie jest nieszczęście, lecz łaska, o którą proszę Boga każdego dnia. To pierwszy krok ku twemu nawróceniu.

Wzmianka o Bogu tylko zirytowała Michela. Ta osoba, w jego mniemaniu zupełnie urojona, ciągle zajmowała miejsce trzeciego w ich małżeństwie. Gorzej niż kochanek. Był niewidzialny, a zatem cały czas obecny. Zamilkł, gdyż nie chciał zdradzać swego rozdrażnienia:

- Chcesz mi jeszcze coś powiedzieć? - zapytała łagodniejszym tonem Irina.

- Obiecałem, że zajmę się dziećmi dziś wieczorem. Chciałbym po prostu wiedzieć, kiedy wychodzisz i o której wrócisz do domu, bo muszę zorganizować mój wyjazd do Divonne. Nie będzie mnie przynajmniej do drugiej, trzeciej w nocy.

Tym sposobem Michel chciał uniknąć wspomnienia o celu wyjścia Iriny. Zamilkł i czekał na odpowiedź. Irina odezwała się w końcu, jakby z żalem, gdyż bała się drażnić go jeszcze bardziej, mówiąc o tym, co leżało jej na sercu. Żyli razem, ale każde jakby na innej planecie.

- Spotkanie modlitewne zacznie się w Vennes około siódmej. Z domu wyjeżdżam o szóstej trzydzieści. Przygotowałam ciasto na naleśniki. Dzieci na ciebie czekają. Nie mogą się doczekać, kiedy cię zobaczą. Tak wcześnie dziś rano wyszedłeś.

- O której wrócisz?

- Około dziesiątej.

- Będę musiał natychmiast pojechać do Divonne z Seanem i Ruth.

- Nie podoba mi się, że tam jedziesz.

- Nie mam wyboru, dobrze o tym wiesz. Laboratorium potrzebuje tych pieniędzy.

- Ale ja wiem, że ci się to nie uda, stracisz pieniądze. Przepowiednie Iriny zawsze się spełniały. Michel dobrze o tym wiedział, ale jego duma nigdy nie pozwalała mu brać ich pod uwagę. Jeszcze bardziej się zirytował, słysząc, że

ostatnia próba, by wyjść z tego wszystkiego o własnych siłach, spełnić na niczym.  
Wybełkotał tylko:

- Nie mogę się wycofać. Sean i Ruth wszystko zorganizowali.
- Dlaczego nie mówisz Ruth i Sean?
- Wymieniam ich w przypadkowej kolejności, ponieważ w moim laboratorium nie robimy różnicy między kobietami a mężczyznami.
- Dalej są w sobie zakochani?
- Nie obchodzi mnie to. Irino, to nie są nasze sprawy.

Po drugiej stronie słuchawki usłyszał ciche westchnienie. Na tym zakończyli rozmowę. Michel ponownie zabrał się za dokumenty, ale praca jakoś mu nie szła.

Dlaczego tak jest, że najbardziej racjonalnie myślący na tej planecie człowiek musiał się ożenić z kobietą żyjącą w świecie zupełnie irracjonalnym? Dlaczego każe mu się dowodzić istnienia czegoś, co jego zdaniem nie istnieje? Cóż to za czary, które dwa razy konfrontują go z tym samym paradoksem? Czy był bezwolnym sługą tego fatum, w które wierzył, że nie wierzy?

\*

Norbert wrócił do swej nory o siódmej wieczorem. Na stole w kuchni, gdzie spożywał samotne posiłki, leżał Le Matin - regionalny dziennik skierowany do umysłówr przyćmionych wczesnymi lozańskimi porankami.

Na pierwszej stronie opisywano najważniejsze wydarzenie dnia: orłosep został zastrzelony przez myśliwego z Valais. A sprowadzenie tego ptaka do Alp było niezwykle kosztową operacją, którą kierowała bardziej ekologiczna mistyka niż czysty rozsądek.

Ta nowina bardzo zainteresowała Norberta wczesnym rankiem, kiedy próbował oczyścić swój mózg, wlewając w siebie mocną kawę doprawioną szklaneczką jabłkowego alkoholu. Nienawidził ekologów, dlatego ciągle o tym myślał, jadąc samochodem na uczelnię. Ten sęp dosłownie go prześladował.

Norbertowi ulżyło, kiedy odkrył prozaiczne wyjaśnienie snu. Poza rzeczywistością, w świecie snów nie istnieje więc nic innego, jak tylko fragmenty wspomnień połączonych ze sobą bez żadnego konkretnego znaczenia. Świat był płaski, a ludzie niskiego wzrostu mogli mieć nadzieję, że ogarną go wzrokiem.

### III

Ręka Iriny samowolnie biegła po małym zeszycie z okładką w kolorze czerwonym - kolorze Ducha. Jak za każdym razem, była ciekawa, co odkryje w tym szlachetnym i majestatycznym piśmie. Przypominało litery nakreślone w średniowiecznych manuskryptach. To nie było jej pismo.

Anioł mocniej ścisnął nadgarstek, by zaznaczyć ostatni punkt.

- Dziękuję, Panie - wyszeptała Irina.

Nagle rozległ się dźwięk telefonu. Od razu powróciła do rzeczywistości. Zgodnie z poleceniem anioła podniosła się z kolan i złapała słuchawkę. Po drugiej stronie usłyszała głos matki. Jak zawsze dzwoniła w najmniej odpowiednim momencie.

Piętnaście lat temu, podczas podróży poślubnej Iriny i Michela, każdego wieczoru pani Vescovici dzwoniła do nich kilka razy. Ewidentnie chciała przerywać ich miłosne chwile sam na sam i nawet nie potrafiła tego ukryć. Doszła do mistrzostwa. Gdy tylko Michel brał Irinę w ramiona, ona sztywniała, czekając na dźwięk telefonu. I najczęściej chwilę później telefon dzwonił. W taki właśnie sposób Irina wydała na świat szóstkę dzieci, nigdy nie doznając prawdziwej przyjemności.

Ale anioł był nieustępliwy. Kiedyś wyjaśnił Irinie, że nawet jeżeli jest w siódmym niebie, a jej matka dzwoni, powinna zejść z nieba i odebrać telefon.

Ojciec Balthasar Alvarez, kapłan z lozańskiego ośrodka Opus Dei, kierownik duchowy Iriny, był pod wrażeniem tego polecenia. Był to dla niego dowód, że wizje Iriny są prawdziwe. Wszyscy mistycy otrzymywali tę samą instrukcję:

przysługa, jaką oddajemy bliźniemu, jest ważniejsza od ekstazy. Z namaszczeniem powtarzał słowa Teresy z Avila: „Człowiek zawsze musi być gotów przestać służyć Panu, by pospieszyć na służbę bliźnim”.

Matka Iriny cierpiała na okropne migreny, a niestety skończył się jej doliprane.

Ciężko wzdychając, Irina zamknęła starannie szafę - swą prywatną kapliczkę. Uważała, by nie przytrzasnąć drzwiami alby anioła. Czasem się to zdarzało i stąd brały się te fałdy na jego szacie. Najwyraźniej w niebie nie było żelazka. A może mieszkają tam tylko nieżonaci mężczyźni, którzy o nic nie dbają. Albo kobiety nie muszą się już zajmować praniem.

Irina nie była najlepszą kucharką i niezbyt dbała o porządek, za to uwielbiała pranie. W jej mniemaniu wystarczyło dbać, by wszyscy nosili czyste i uprasowane ubrania, by zrekompensować brud i nieporządek, jakie panowały w niezwykle małym mieszkaniu. Często dodawała podwójne dawki proszku do prania, ale przez to ubrania sprawiały wrażenie bardziej spłowiałych.

Irina wyszła z mieszkania i poszła do apteki. Zaraz potem zaniósła tabletki swej matce, która mieszkała w odległości dwustu metrów od ich mieszkania. Kiedy do niej dotarła, matka oświadczyła, że znalazła doliprane i ból głowy sam minął. Irina niedbale ją pocałowała i wróciła do siebie.

W domu było dwoje dzieci. Wróciły już ze szkoły i kłóciły się w najlepsze. Nie miała już czasu na modlitwę, musiała przygotować kolację i pozmywać naczynia, które stały w kuchni od poprzedniego dnia. Może Michel zdąży wrócić, by zjeść kolację z rodziną. Irinie udało się jednak wygospodarować troszeczkę czasu, by przeczytać, co wcześniej napisała jej ręka:

”Córko moja, niczego się nie obawiaj. Moja ręka czuwa nad twoją rodziną. Mężczyzna, którego kochasz, nawróci się. Przeniknie tajniki Mego Ducha...”

Przesłanie było napisane po francusku. Anioł, posłaniec Pana, używał tego



języka, kiedy chciał przekazać jej praktyczne instrukcje. Czasem dyktował po grecku, w języku, którego Irina nie rozumiała. Nie знаła nikogo, kto mógłby przetłumaczyć jej najbardziej tajemnicze słowa Boga. Posługując się tym językiem, chciał z pewnością zachować w sekrecie swoje przesłanie. Nie wolno było się temu sprzeciwiać. Bóg rządził światem poprzez tajemnicę.

Theo nigdy nie trwonił niepotrzebnie pieniędzy. Jak zawsze skorzystał z tańszej taryfy, by zadzwonić do Emmanuela. Oczyma wyobraźni zobaczył swego brata: papież, który pragnął być tylko biskupem Rzymu, tkwił w swym przygnębiającym biurze na Piazza di Porta San Giovanni. Zapewne siedział w samej koszuli, pochylając się nad stosem dokumentów i słuchając jednocześnie kantaty Mendelssohna, swego ulubionego kompozytora.

Nie pomylił się. W słuchawce usłyszał chór Paulus, którym trochę zbyt energicznie kierował Kurt Masur. Głos Emmanuela wydawał się znużony:

- Ach, to ty, stary piracie. Czemu zawdzięczam tę przyjemność?

- Bankier z Genewy, którego mi poleciłeś i który zgodził się zebrać fundusze wśród swych kolegów, by sfinansować operację, spotkał się z rektorem politechniki. Jeżeli chodzi o projekt, wszystko jest na właściwej drodze. Albo prawie, jeżeli nie pojawi się żadna przeszkoda.

- Co chcesz zrobić?

- Ja nic. Nie mam żadnego laboratorium do swojej dyspozycji. Rektor przekazał projekt profesorowi Martinowi, który specjalizuje się w teorii sygnałów. Chciałem, aby to właśnie on wszystkim się zajął.

- Cóż to takiego ta cała teoria sygnałów?

- Nie potrafię ci tego wyjaśnić przez telefon, potrzebna by mi była tablica.

Emmanuel głośno westchnął na samo wspomnienie niekończących się seansów, kiedy to Theo na próżno dwoił się i troił, by wyjaśnić swemu młodszemu bratu najważniejsze podstawy fizyki.

- Powiedz mi po prostu, co on może zrobić? To bardzo dla mnie ważne, wiesz o tym.

- Bardzo szczegółowo zbadał funkcjonowanie mózgu. Posiada niezbędny sprzęt, ponieważ pracuje nad rozpoznawaniem pisma, głosu i obrazu, czyli głównych sygnałów, które emitujemy i które odbieramy. Jeżeli więc będziemy posiadali inne kanały przekazu informacji, jak telepatia, jasnowidztwo, telekineza, Martin będzie w stanie je rozpoznać.

- A on sam? Co to za człowiek?

- Dokładnie taki, jakiego potrzebujemy: kompletny racjonalista, uczciwy i dokładny. Wzór naukowca. Do tego projektu zmusił go rektor. A on nie ma wyjścia, jego laboratorium tonie w długach, musi zdobyć pieniądze.

- Nie podoba mi się to. Mam wrażenie, że przykładamy mu nóż do gardła.

- Mój biedny Emmanuelu! Ciężko musi się żyć z tak surowym sumieniem jak twoje. To tak, jakby ktoś prowadził samochód z zaciągniętym hamulcem ręcznym. Trochę realizmu! By przekonać niewierzących, trzeba zacząć od bezbożnika, który wcale nie ma ochoty się nawracać. Profesor Martin to szkolny przypadek. Jeżeli uda nam się wstrząsnąć jego przesadami, będzie świetnym przykładem. Ale najważniejsze jest to, że nikt nie będzie go podejrzewał o specjalną życzliwość względem tego projektu.

Emmanuel nie odpowiedział. Theo nie musiał go nawet widzieć, doskonale wiedział, że jego brat jest przybity.

- W czym tkwi problem?

- We wszystkim. Od roku pleśnieję w tym przygnębiającym pałacu biskupim na Lateranie. Opuszczając Watykan, chciałem oczyścić to miejsce z tej całej kościelnej administracji, która zdecydowanie nazbyt jest rozbudowana i szczególnie szkodliwa dla wiary. Ale to nic nie dało, ja jestem tu, oni ciągle są tam.

- Wyznacz więc kogoś energicznego, kto będzie w stanie zwolnić cały ten

personel!

- Łatwo powiedzieć. Wybrałem monsignore Tarcisia Bertiniego. Był moją prawą ręką, kiedy pełniłem funkcję prefekta Kongregacji Nauki Wiary.

- Czy to koniecznie musiał być Włoch?

- Koniecznie musiał to być Włoch! Był jedyną osobą, która mogła zrozumieć wszystkie subtelności tego zadania.

- Ale okazuje się, że jednak zbyt dobrze ich nie rozumie, czy tak? - zapytał Theo.

- Włochy to raj, w którym zamieszkały demony...

- ...po tym, jak te twoje Włochy stworzył Bóg na rysunkach Michała Anioła - dokończył Theo zgodnie z rytualną formułką obu braci. - Posłuchaj, ja ze swej strony robię tutaj, co mogę. Pogadamy za miesiąc. Wówczas przekażę ci już coś konkretnego.

- Ale chyba nie dowód na istnienie Boga!

- Nie, ale dowód na to, że nie istnieje dowód na Jego nieistnienie.

\*

- Nigdy nie widziałem cię w tej sukience - powiedział Sean, patrząc na seledynową kreację, która okrywała młodzieńcze ciało Ruth. Ten kolor bosko kontrastował z jej śniadą cerą.

Ruth urodziła się w Tunisie. Była mieszanką wszystkich ras, które przewinęły się przez to skrzyżowanie Morza Śródziemnego. Miała fenickie oczy, rzymski nos, greckie stopy, arabski podbródek, żydowskie włosy i berberyjską skórę. Patrząc na nią, odnosiło się wrażenie, że bogini Atena porzuciła swoje atrybuty między ludy i wszystkie one skoncentrowały się w Ruth. Ona wiedziała wszystko, zanim jeszcze się tego nauczyła, a książki otwierała tylko po to, by sprawdzić, czy autorzy się nie pomylili.

Sean był irytujący. Ten komplement wypowiedział tonem najbardziej

obiektywnego stwierdzenia. Ruth była rozczarowana. Oczekiwała trochę więcej entuzjazmu:

- Kupiłam ją specjalnie na tę okazję. Nie chciałeś pójść ze mną na zakupy. I nigdy nie zabrałeś mnie do miejsca, gdzie mogłabym ją włożyć. Nigdy nie chodzimy do opery ani na koncerty galowe. Nie mówię już nawet o balu.

- Właściwie nie mam na to wszystko czasu - przyznał Sean wciąż nijakim tonem.

„Mógłby przynajmniej przeprosić” - pomyślała Ruth. Uwierała ją antena. Miedziany drut biegł od obcasa w prawym bucie aż do dolnej części karku. Do nogi i kręgosłupa był przyklejony za pomocą kilku plastrów. Pod długą suknią nie było niczego widać, ale przez to całe urządzenie nie mogła się skoncentrować. Sean mógł zastosować jakąś małą antenę, która wystarcza dla GSM, ale obawiał się jakichś zakłóceń elektromagnetycznych i wolał pozostawić margines bezpieczeństwa. Ruth zakochała się w mężczyźnie, u którego zawsze wszystko musiało działać niezawodnie.

Postarała się uśmiechnąć i odwzajemnić komplement:

- Bardzo ładnie wyglądasz w tym granatowym garniturze.

- To garnitur, który kupiłem jeszcze w Dublinie, kiedy broniłem pracę magisterską. W Irlandii są jeszcze dobrzy krawcy. Kraj jest dosyć biedny, dlatego ludzie zarabiają na życie, krojąc garnitury na miarę.

Zawsze w każdej rzeczy musiał doszukać się czegoś nieprzyjemnego. Jego zdaniem świat to złożona i zdeprawowana maszyna, dlatego należy robić wszystko, by jej się nie narażać.

Po raz kolejny Ruth popatrzyła na człowieka, którego nazywała mężczyzną swego życia. Zakochała się w nim na własne nieszczęście. Nie potrafiła wyzwolić się od niego i nie pozwalała rozwinąć się żadnej innej miłości. Ciągle odwoływała się do tego modelu: Sean Brian Montague, najbardziej błyskotliwy inżynier swego

pokolenia specjalizujący się w telekomunikacji, piękny niczym aniołowie i Celtowie, przerażająco silny i zdrowy. Mężczyzna wysoki, szczupły, z opaloną twarzą częściowo schowaną pod lekkim zarostem, który zapuścił nie ze względów estetycznych, ale praktycznych.

Sean obliczył, ile czasu zyskuje, podcinając brodę tylko raz w tygodniu, zamiast golić się codziennie. Wynik, jaki uzyskał, wpłynął na jego decyzję: będzie nosił brodę, gdyż jest to bardziej opłacalne. Jego życie było zoptymalizowane w czasie i przestrzeni jak dobrze zaprojektowana maszyna, a w pracy racjonalnie organizował życie innych.

Zgodnie ze swym rozumowaniem Sean wielokrotnie przedstawiał Ruth idealnie logiczne zasady, które miały kierować ich związkiem:

- Naukowiec dokonuje najwspanialszych odkryć, zanim osiągnie wiek czterdziestu lat. Nie powinien więc marnować żadnej chwili ani swoich sił. Nie może sobie pozwolić na małżeństwo, które pociąga odpowiedzialność finansową, odbiera dyspozycyjność i pożera cenny czas. Ale musi też uważać, by nie wpaść w pułapkę miłosnej namiętności, gdyż zmienność uczuć między kochankami rodzi emocjonalną niestabilność. Wstrzemięźliwość jednak nie wchodzi w grę, gdyż jest źródłem niebezpiecznych, pokus, które rodzą się z frustracji. Natomiast seksualne koczownictwo łączy w sobie wszystkie trudności wcześniejszych rozwiązań. Te ogólne postulaty odnoszą się szczególnie do każdego z nas dwojga, ponieważ w swoich dziedzinach jesteśmy najlepszymi naukowcami naszego pokolenia. Musimy więc postępować tak, by zaspokoić nasz popęd, nie przekształcając go w uczucie.

Ruth potrafiła powtórzyć słowo w słowo tę przemowę, którą wygłaszał niczym twierdzenie matematyczne za każdym razem, kiedy sam chciał się pozbyć skrupułów.

Sean był nie tylko przystojny i inteligentny, ale także mówił doskonałą francuszczyzną, której nauczył się, mieszkając w niewielkim dworku w stylu

Ludwika XIV. Wybudował go w Galway w XVII wieku jego przodek - pułkownik dowodzący oddziałem irlandzkiej gwardii króla Francji. W rodzinie Montague mówiono między sobą po francusku, a po angielsku zwracano się tylko do służby, od czasu kiedy służba manifestowała zdolność do zapominania języka gaelickiego i zaczęła się uczyć języka odwiecznego wroga.

- Każde z nas może poprosić drugie, by użyczyło mu swojego ciała, kiedy odczuwa taką potrzebę. Stosunek seksualny staje się w ten sposób aktem fizycznym, który łączy dwoje przyjaciół, i niewiele różni się od joggingu czy gry w tenisa. Po wyświadczeniu sobie wzajemnych usług każde wraca do swego życia, wyzwolone od przekleństwa seksu, ale bez nierozważnej egzaltacji. Jeżeli będziemy trzymać się tej umowy, zmylimy naturę. Być może któregoś dnia będą nas stawdać za wzór. Po tragicznym micie Tristana i Izoldy nadejdzie roztropny model Seana i Ruth. Wówczas ludzie zrozumieją, że namiętna miłość zawsze była tylko chorobą wyniszczającą próżniacze klasy, które żyły w całkowicie sztucznych warunkach.

Sean nigdy nie wątpił w najbardziej szalone idee pod warunkiem, że sam był ich autorem.

Trzy lata temu, kiedy przyjechał do Lozanny, Ruth zgodziła się na tę umowę. Była przeświadczona, że ten pakt nie potrwa długo i chodzi tylko o ekstrawaganckie wymysły starzejącego się młodzieńca. Zgodnie ze starym żydowskim przysłowiem: „by mieć gorącą wodę, trzeba postawić czajnik na ogień”, Ruth czekała cierpliwie, aż woda zacznie wrzeć.

Tymczasem wszystko wskazywało, że temperatura rozważnego kochanka nie wzrastała. Ruth tworzyła więc „roztropny model” zgodnie ze słowami Seana, nie zniechęcając się ani nie rezygnując. Podchodziła nawet do tego z pewną ciekawością: chciała się przekonać, dokąd zaprowadzi ich ta szalona logika.

Jednak odziedziczona pradawna mądrość Izraela podpowiadała jej, że takie

podejście stwarza jeszcze większe niebezpieczeństwo niż wszystkie miłosne namiętności świata.

Kiedyś nieśmiało zapytała Seana, w jaki sposób godzi ten nieformalny związek z surowym katolickim wychowaniem, jakie otrzymał w college'u jezuitów w Galway. Odpowiedź przekroczyła jego najbardziej śmiałe spekulacje:

- Gdybyś otrzymała prawdziwą formację moralną, wiedziałabyś, że zawsze bez wahania należy wybierać mniejsze zło i nie żałować później tej decyzji. Dzięki naszym kontaktom fizycznym nie pogrążam się w niewiernym związku, nie uciekam się do prostytucji czy zboczenia homoseksualnego. Nie grzeszę, dając minimalną karmę memu ciału poszukującemu doznania. Mój kierownik duchowy mawia, że odczuwanie wrażeń zmysłowych wcale nie oznacza, że człowiek się na nie zgadza. Wolałbym żyć w czystości, ale nie potrafię.

Po czym uraczył ją uśmiechem:

- Odczuwam więc z tobą ogromną przyjemność, ale wolę się do tego nie przyznawać.

- A może prościej byłoby przyznać, że nie potrafisz być katolikiem, ponieważ zasady moralne tej religii ci nie odpowiadają - odparła Ruth obojętnym tonem, starając się opanować drżący głos.

- Irlandczyk, który nie jest katolikiem, może zostać wzięty za Anglika - odparł szorstko Sean.

Ruth doszła do wniosku, że wszyscy katolicy przejawiają tendencję do schizofrenii, zwłaszcza gdy są pod wpływem irlandzkich jezuitów.

Mieszkali razem z innymi młodymi naukowcami, którzy nie byli ani żonaci, ani samotni. Ruth i Sean zajmowali dwa oddzielne pokoje w dużym domu przy ulicy Beausejour, tuż nad dworcem w Lozannie. Zapewne to ciemne, grobowe miejsce służyło dawniej jednocześnie za mieszkanie i gabinety lekarzy albo adwokatów. Teraz siedmiu naukowców zajmowało siedem pokoi w ogromnym

domu, gdzie jedynym prawem, jakie obowiązywało, była wolna wola jego mieszkańców. Sean wyrwał ją z zamyślenia:

- Już czas. Musimy pojechać po szefa, zanim wyruszymy do Divonne.

- Boję się - powiedziała Ruth.

Nie potrafiła jednak określić, co tak właściwie budziło w niej strach. Może po prostu się obawiała, że plaster na plecach się odzepi i antena odpadnie.

- Niczym się nie przejmuj! Wyjdę pierwszy - powiedział Sean. - Mój samochód jest zaparkowany daleko, a ty nie możesz chodzić na tych wysokich obcasach. Zejdź dokładnie za siedem minut. Tylko nie każ mi czekać. Jest dziesiąta cztery. O dziesiątej jedenaście podjadę pod dom.

Ruth odpowiedziała trochę uszczypliwie:

- Może należałoby nauczyć cię czekać.

- Nie wydaje mi się, by był to dobry pomysł.

- Znasz historię bezrobotnego Żyda? - zapytała Ruth, której najwyraźniej się nie spieszyło.

- Nie. Opowiedz, ale szybko!

- Skromny żydowski robotnik nie miał pracy. Poszedł więc do rabina, by ten pomógł mu znaleźć jakieś zajęcie. „Usiądź przy drzwiach synagogi i czekaj na nadejście Mesjasza” - polecił mu rabin. „Ależ rabinie, tym sposobem nie zarobię pieniędzy!” A rabin odpowiedział: „Oczywiście, że nie, ale przynajmniej jest to stała posada”.

Na twarzy Seana pojawił się grymas:

- Ładna historia, ale ty nie jesteś Mesjaszem.

- Co ty możesz o tym wiedzieć?

- Moja droga, w całej Biblii zapowiedź Mesjasza odnosi się do chłopca, a nie do dziewczyny.

Ruth nie odpowiedziała. Nigdy się nie zastanawiała nad tą dyskryminacją



kobiet, która wyłaniała się z Tory. Potem wzruszyła ramionami. Bóg musi dopiero przyjść. Wypełni jednak swoje prawdziwe zadanie, jeżeli nigdy nie przyjdzie. Wtedy nie trzeba będzie rozstrzygać, czy jest mężczyzną, czy kobietą.

\*

Wchodząc do domu o szóstej wieczorem, Michel przytrzasnął drzwiami balon: huk uprzedził rodzinę, że już wrócił. Dwoje dzieci nadbiegło ze łzami w oczach. Prowadziły bezpodstawną kłótnię, którą Michel rozładował kilkoma zdaniem. Usiłował przedostać się do salonu, deptając po drodze zabawki porozrzucane w całym przedpokoju. Zmiażdżył tubkę farby i pośliznął się.

Natychmiast zjawił się kot, by sprawdzić, co się dzieje. Podskakiwał na trzech łapach, ponieważ czwartą stracił w pułapce, jaką sąsiad zastawił na kuny. Michel chciał go uspić, ale dzieci i Irina wyblagały dla niego łaskę. Kot przeszedł więc na zasłużoną emeryturę w mieszkaniu, którego odtąd już nie opuszczał. W życiu Michela wszystko było popsute, nawet zwierzęta domowe.

Irina była w kuchni, skąd dochodził hałas naczyń chaotycznie zmywanych z energią proporcjonalną do czasu, o jaki się spóźniła. W salonie na kanapie leżały stosy starych gazet. Stół nie był nakryty. Walały się na nim jeszcze resztki ze śniadania. Kot przewrócił butelkę ze zsiadłym mlekiem. Dwoje dzieci siedziało ze wzrokiem przykutym do telewizora. Najstarsza córka Sophie nie oglądała telewizji i z nikim się nie kłóciła. Z pewnością siedziała w swoim pokoju, skąd dochodziła dziwaczna muzyka, którą uwielbia dzisiejsza młodzież.

Michel był wykończony. Usiadł na rogu kanapy. Nagle zobaczył obok siebie różowego pluszowego misia. Był odrażający i brudny. Była to ulubiona zabawka Henriego. Michel pomyślał o swym szóstym dziecku, które odeszło. Chłopczyk umarł na mukowiscydozę, dusząc się powoli, nie mogąc nabrać powietrza do swych zgniłych płuc. Kiedy umierał, z wytrzeszczonymi od wysiłku oczami, przekazał swojego misia Michelowi.

Ojciec Balthasar Alvarez zorganizował pogrzeb, wyjaśniając, że wola Boga wyniosła to dziecko najwyżej, ponieważ zmarło w całkowitej niewinności, zanim zdążyło popełnić poważne grzechy, jakie nieuchronnie popełniają dorośli. Michel nie lubił tego Boga. Głosił, że Bóg nie istnieje, a jednocześnie szczerze Go nienawidził.

Aby odegnąć od siebie te myśli, zaczął zestawiać w głowie faktury i podatki, które będzie musiał zapłacić przed końcem lipca. Jego pensja profesora pozwalała zaledwie wyżywić siedmioosobową rodzinę. W tym kraju żywność, ubrania i czynsz były horrendalnie drogie.

Oprócz tego ciągle musiał dbać o potrzeby matki Iriny, która razem z córką uciekła z Rumunii przez Algierię. Zabrały ze sobą tylko ubrania, jakie miały na sobie. Pani Vescovici była absolutnie niezdolna do pracy. Mieszkała w oddzielnym mieszkaniu, ponieważ Michel nie zniósłby jej codziennej obecności. Całymi dniami z zamkniętymi powiekami rozmyślała nad kilkoma wspomnieniami z pełnych chwały czasów, kiedy jej mąż był jedną z ważniejszych osób w Bukareszcie. Teraz miała drewnianą rzeźbioną łyżkę, malowane jajka i haftowany obrus. Piła porto i paliła papierosy jeden za drugim. Wbrew temu, czego Michel - nie bez wstydu - się spodziewał, alkohol i nikotyna wcale nie skracały życia starszej pani, wręcz przeciwnie: konserwowały ją. Ten szkielet był przesiąknięty trucizną, która chroniła go przed mikrobami i wirusami.

Mieszkanie Martinów nie było zbyt duże. W trzech małych pokojach dało się jakoś wcisnąć piątkę dzieci. Rodzice spali na rozkładanej kanapie w salonie. Każdego wieczoru i rana rozkładanie i składanie kanapy uszczuplało już i tak krótkie noce. Agencje nieruchomości, które decydowały o rozmiarach mieszkań, nie brały pod uwagę, że istnieją też rodziny wielodzietne. Nawet jeżeli rodziny te produkowały przyszłych klientów, żaden kompetentny zarządca nie mógł sobie pozwolić na tak długoterminową inwestycję, ponieważ dzieci dopiero przynajmniej

w wieku dwudziestu lat przynoszą dochody, zostając konsumentami. Irina zbierała się do wyjścia. Duchem była już zupełnie gdzie indziej. Wyruszała do miejsca, którego Michel wolał sobie nawet nie wyobrażać. Dziś wieczorem popilnuje dzieci, to jedyny dzień w tygodniu, który Irina chciała mieć wolny, by przewodniczyć zgromadzeniu modlitewnemu. Michel nigdy nie uczestniczył w tego rodzaju ceremonii. Był to jedyny wyraz dezaprobaty, na jaki sobie pozwolił. Delikatnie go pocałowała, na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech, ale on wmówił sobie, że ten uśmiech był wymuszony.

Zabrał się za smażenie góry naleśników. Musiał zaspokoić wilczy głód i poprawić zły humor swych latorośli. Serwował naleśniki z serem, szynką, konfiturami, cukrem. Pracował metodycznie i prędko, starając się jednocześnie uporządkować myśli. Kiedy zakończył zonglowanie dwoma patelniami, otworzył butelkę cydru, którą wypił z dwojgiem starszych dzieci, pochłaniając swoją partię naleśników. Jedzenie, alkohol i rozmowa z dziećmi trochę go odprężyły. W tym czasie uspokojeni już malcy oglądali kreskówkę na wideo. Zapanował spokój. Między ósmą a dziewiątą wszystkie dzieci bez protestów po kolei wędrowały do łóżek.

Kiedy Irina dotarła na miejsce, zobaczyła, że przed salą należącą do urzędu gminy w Vennes stoi kilka autokarów. Niektóre miały francuskie tablice rejestracyjne z departamentów Savoie i Ain. Odczuła poryw próżności, który natychmiast stłumiła, tak jak nauczył ją tego anioł: wierni nie przybywali dla niej, ona była tylko posłanką.

Wszystkie miejsca w sali były zajęte. Jakies sześćset, siedemset osób. Irina rozpoznała kilka zakonnice po czepkach pielęgniarskich, w które się wystroiły dwadzieścia lat temu, by zbliżyć się do ludzi. Tylko jako pielęgniarki mogły zrzucić welon, nie chciały bowiem, by ludzie widzieli w nich jedynie zakonnice.

W pierwszych rzędach siedziało trzech księży. Irina od razu ich rozpoznała,

choć żaden zewnętrzny szczegół nie zdradzał, że to duchowni. Uczestnicząc w zgromadzeniach modlitewnych prowadzonych przez Irinę, okazywali nieposłuszeństwo biskupowi. Potępił on zgromadzenia w liście pasterskim, który został odczytany z ambony we wszystkich parafiach diecezji. By tu przyjść i nabrać trochę sił, powracając do źródeł, księża zdejmowali po prostu krzyżyki przypięte do klapy marynarki. Słowo Boga jest silniejsze od słowa ludzi, myślała.

Irina wdrapała się na scenę i usiadła przy niewielkim stoliku nakrytym zielonym obrusem. Przywitała zgromadzonych i zaprosiła czterech młodych ludzi siedzących w pierwszych rzędach, by zajęli miejsca obok niej - mieli razem z nią prowadzić modlitwę. Zaraz potem rozpoczęła pierwszą dziesiątkę różańca, oświadczając, że będą rozważać tajemnice radosne: Zwiastowanie Najświętszej Marii Panny, Nawiedzenie św. Elżbiety, Narodzenie Pana Jezusa, Ofiarowanie i Odnalezienie w Świątyni. Następne dziesiątki prowadzili wyznaczeni uczestnicy. Tłum odpowiadał cierpliwie. Słysząc było tajemniczy szum szeptanych słów, niczym falowanie nigdy nieznużonego morza, które uderza o plażę i opada, fala po fali. Od czasu do czasu Irina podnosiła oczy i wpatrywała się w swoich wiernych. Przynajmniej tutaj wszyscy przyszli tylko po to, by się modlić, a nie dokonać społecznego rytuału czy wypełnić moralny obowiązek. Nikt tutaj nie chciał zmieniać woli Boga, lecz poznać ją i przyjąć.

Jak zawsze sama odmówiła ostatnie Ojciec nasz po aramejsku. Chciała być jak najbliżej słów, które naprawdę wypowiedział Jezus. Następnie rozpoczęła po łacinie Litanię do Najświętszej Marii Panny. W kilku słowach zachęciła zebranych do praktykowania codziennej modlitwy. Wreszcie poprosiła, by odśpiewać Salve Regina i Veni Creator. Po godzinie modlitwy wszyscy rozeszli się w zupełnej ciszy. Zgodnie z jej prośbą nie przeprowadzono zbiórki. Za wynajem sali płaciło kilku bogatych wiernych, Irina nie musiała się tym martwić. Od trzech lat nie troszczyła się o nic, a wszystko zawsze układało się tak, jak miało się ułożyć. Druga

część wieczoru odbywała się w małej dyskretnej sali. Kilku wiernych czekało, aż Irina nałoży na nich swoje ręce. Wchodząc do sali, ledwo powstrzymała się od śmiechu, widząc idealnie przygotowaną ceremonię. Dwadzieścia lat temu w górskim miasteczku w Rumunii raz uczestniczyła w takim rytuale. Było to niczym folklorystyczne święto, którego nie potraktowała poważnie. Przypomniała sobie, że ceremonia odbywała się w radosnym zamęcie, który świetnie sprzyja działaniu Ducha.

Tutaj na podłodze przyklejona była linia z żółtego sztucznego tworzywa, za którą ustawili się w szeregu, niczym defilada wojskowa, kandydaci. Za każdym z nich stał asystent gotowy przytrzymać podopiecznego w razie upadku. Duch wiał gdzie, kiedy i jak chce, ale w Szwajcarii Jego objawienia są odbierane metodycznie: tutaj sam Bóg stoi karnie w szeregu.

Irina podeszła do pierwszej osoby. Był to młody mężczyzna o twarzy anioła i jasnych włosach. Jego usta poruszały się szybko, jak gdyby odmawiał modlitwę. Stał z zamkniętymi oczyma. Irina położyła na jego czole prawą rękę, w której trzymała krzyżyk z hebanu i kości słoniowej. Wyszepiała: „Panie Jezu, Synu i Boga żywego, miej litość nad nami, biednymi grzesznikami”.

Młody mężczyzna upadł na wznak. Asystent złapał go za ramiona i delikatnie położył na ziemi.

Irina kontynuowała rytuał. Średnio jedna osoba na dwie upadały na wznak. Powoli przesuwała się wzdłuż szeregu, który wydawał się nie mieć końca. Stopniowo opuszczały ją siły. Kilka razy poczuła, że nakładała ręce na zatwardziałego grzesznika, który nie odczuwał żadnej skruchy. Za każdym razem rozpoczynała rytuał od nowa tak długo, aż węzeł się rozwiązał. Wymagało to z jej strony niesamowitego wysiłku: rozdawała cząstkę swego życia duchowego, przywracała życie niewierzącemu. Było to jak transfuzja, ale krew, którą oddawała, była niewidoczna.

O dziewiątej trzydzieści zwała się na tylne siedzenie nieznanego samochodu, który odwiózł ją do domu. Była wyczerpana.

#### IV

Irina wróciła do domu kilka minut przed dziesiątą. Na jej ustach błąkał się tajemniczy uśmiech, który sprawiał, że wyglądała niczym anioł z Reims. Był to uśmiech skierowany ku wnętrzu, uśmiech kobiety, która na próżno szukała poza sobą tego, co było ukryte w najgłębszych zakamarkach jej serca. Zdążyła jeszcze minąć się z Michele. Miał ponurą minę i był zatrwożony. Wyruszał zrealizować swe niepewne przedsięwzięcie.

Gdy tylko wyszedł z mieszkania, trzaskając drzwiami trochę bardziej, niż było trzeba, Irina obeszła wszystkie pokoje. Nie odmówiła sobie radości, by przypatrzeć się twarzy każdego ze swych dzieci. To był jej skarb na ziemi. Była przeświadczona, że dzięki nieustannej i gorliwej modlitwie uda jej się oszczędzić im, jeżeli nie trudów życia, to przynajmniej męczarni piekła. Zmusi Niebo, by obdarzyło je zbawieniem. Jeżeli będzie trzeba, poświęci własne życie, a przesłania coraz częściej dawały jej do zrozumienia, że tak właśnie będzie. Wszystko inne nie miało znaczenia.

Uklęka przed swoją małą kapliczką, którą urządziła w szafie w przedpokoju. Miotły, ścierki i wiadra zostały stamtąd wypędzone i walały się w najbardziej niestosownych miejscach mieszkania. Ale dzięki temu żaden religijny przedmiot nie drażnił Michela i nie kompromitował go w oczach gości, jakich czasem zapraszał. W gnostyckim środowisku, czyli obojętnych i ateistycznych naukowców, nie akceptowano żadnego symbolu: dla nich przedmioty były tylko materią, z której się składały, a więc gipsem, brązem czy papierem. Punkt przecięcia się świata widzialnego ze światem niewidzialnym, otwarcie się na to, co boskie, powab duchowości - to wszystko nie miało dla nich sensu. Mieli klapki na oczach.

Kiedy Irina była sama, wystarczyło, by otworzyła drzwi szafy, a od razu dostrzegła skrawek Nieba. Na desce, na wysokości jej oczu, stały w szeregu figurki Najświętszej Marii Panny z Lourdes i Sacre-Coeur. W środku postawiła ikonę św. Jana. Była dla niej szczególnie cenna. Otrzymała ją od pewnego popa, którego przypadkowo spotkała na jednej z uliczek w Patmos, gdy była tam po raz pierwszy. Nigdy wcześniej ani później nie widziała tego człowieka. Czasami myślała, że to jej anioł przybrał tę postać, by podarować jej ten obraz nie namalowany ręką ludzką.

Po bokach, w odpowiednio skromniejszych miejscach, stał obrazek Teresy z Lisieux i zdjęcie Ojca Pio - oba wycięte z gazetek leżących na stojakach w kruchcie kościoła. Irina nie zapłaciła za nie, by nie trwonić pieniędzy z gospodarstwa domowego. W Rumunii nauczyła się kraść za każdym razem, gdy nie było ryzyka. Anioł często urządzał jej sceny z tego powodu. Ale ona wiedziała swoje: anioł nigdy nie żył pod rządami Ceaucescu. Brakowało mu doświadczenia.

Uklękała i wpatrywała się w ikony i figurki. Zaczęła się modlić, by nocna eskapada Michela zakończyła się fiaskiem. Prawie natychmiast ogarnął ją przemożny spokój. Pan słuchał i przyrzekł spełnić jej prośbę:

- Posłuchaj, posłuchaj, moja córko! Mężczyzna, którego, kochasz, nawróci się, ale ty musisz być gotowa na to, że go stracisz. Musisz zrezygnować ze swojego życia, by uratować siebie i uratować jego.

A potem po raz pierwszy usłyszała inne przesłanie, wypowiedziane z wielkim naciskiem:

- A ty uratujesz Rzym od wielkiego niebezpieczeństwa, w którym znalazł się mój Kościół. Spotkasz się z moim sługą Emmanuelem. Ostrzeżesz go przed zdrajcą, który stoi u jego boku! Módl się za Emmanuela...

W tym czasie Irina nie znała żadnego Emmanuela. Nie czytała gazet, nie słuchała radia, nie oglądała telewizji. Dla niej papież nazywał się Jan XXIV. Płynął

niczym bańka mydlana po niebie Rzymu - niemal mitologicznego miasta, którego nawet nie potrafiła zlokalizować na mapie.

\*

Po wyjściu z mieszkania Michel wskoczył do samochodu Seana i rozłożył się na tylnym siedzeniu. Klimatyzacja nie była zbędnym luksusem w tak gorącą jak dzisiejsza noc. Sean był kawalerem, dlatego mógł sobie pozwolić na bmw ze skórzanymi siedzeniami - był to jedyny luksus w jego bardziej niż surowym życiu. Ręka Michela odruchowo głaskała to wspaniałe tworzywo. Delektował się iluzją ucieczki od codziennego przekleństwa - braku pieniędzy.

Tej nocy raz na zawsze próbuje rozwiązać obsesyjny problem, czyli spłacenie zobowiązań laboratorium. Jego długi wobec politechniki były tak duże, że Michel będzie zmuszony zwolnić doktorantów, zanim zdążą ukończyć swoje prace doktorskie, chyba że w inny sposób zdobędzie pieniądze. To właśnie chciał zrobić dzisiejszego wieczoru razem z Ruth i Seanem, balansując na granicy legalności i rozsądku.

Pogłaskał ponownie siedzenie, tak zmysłowo, jak nigdy nie głaskał Iriny. Siedzenia są o tyle lepsze od kobiet, że nie odwzajemniają pieśzcot.

Dzisiaj naruszy mieszczański porządek. Aż do tej pory był największym konformistą spośród wszystkich buntowników. Do Projektu z ruletką zaangażował dwóch współników: pierwszym był Sean Brian Montague - syn powieszzonego przez Anglików działacza IRA, drugim Ruth Naouri, która wywodziła się z długiej linii tunezyjskich Żydów. Jej dziadkowie zostali zagazowani przez nazistów, a ojciec, oficer izraelski, zmarł na Synaju.

Bunt Michela miał mniej ewidentne korzenie. Zapuszczały się one w świecką próchnicę niesprawiedliwości, której ofiarą jest ciągle buntujący się lud francuski. Na próżno zmieniano we Francji władców, po każdej rewolucji tęskniono za poprzednikami. Francuzi to wieczni rewolucjoniści.



Wszyscy troje nie ufali prawom, konwencjom i kompromisom, a tym bardziej odrażającym osobnikom, którzy z tego żyli. W laboratoriach finansowanych przez władze publiczne kryją się zatem spokojni rewolucjoniści, którzy zajmują się wysadzaniem w powietrze prawd dobrze ugruntowanych w społeczeństwie. Wystarczy, że ktoś odkryje prawa naturalne, a od razu chce obalić dowolne zasady prawodawców.

Korzystając ciągle z niższych taryf, Theo zadzwonił do Colombe. Dzięki dziewięciogodzinnej różnicy czasu złapał ją około pierwszej po południu. Miała akurat popołudniową przerwę, potem znowu rzuci się w wir pracy. Słyszac jej zadyszkę, zorientował się, że zamiast jeść obiad, uprawia jogging. Colombe dbała o swoje ciało, jak gdyby chodziło o precyzyjny mechanizm! Chciała zrzucić zbędne kilogramy tak samo urojone jak kurz, który ciągle strzepywał Theo.

- Dzień dobry, Theo! Mam tylko dwie minutki. O drugiej rozpoczyna się szkolenie, które prowadzę. Co nowego?

- Zabieram się do wielkiej rozgrywki. Wczoraj wszystko się zaczęło.

- Powinieneś był poczekać, aż wrócę do Szwajcarii. Za tydzień przyjeżdżam na wakacje. Moglibyśmy to spokojnie przedyskutować.

- Nie ma mowy o odkładaniu czegokolwiek. Trzeba łapać naukowców, kiedy są do dyspozycji, czyli kiedy kończą się egzaminy.

- A kim jest twoja ostatnia ofiara?

- Profesor Michel Martin we własnej osobie.

- Do diabła! Jak to zrobiłeś, że tak wybitny człowiek się na to zgodził?

- Prawdę mówiąc, nie zgodził się, ale skorzystałem z okazji, kiedy rektor politechniki przystawił mu nóż do gardła.

- Profesor Martin potrzebuje pieniędzy?

- Zgadza się!

- Theo, gdzie się podziały twoje zasady moralne! Ty już nawet nie wiesz, co

znaczy słowo „etyka”.

- Nigdy nie odczuwałem zbyt wielu doznań estetycznych. Wittgenstein twierdzi, że estetyka i etyka idą ze sobą w parze. Nie musisz mi przypominać o moich ułomnościach. Nauczyłem się z nich korzystać.

- No właśnie! Gdybyś przynajmniej raz w życiu pokochał jakąś kobietę, nauczyłbyś się kochać ludzi. Ludzie to nie są ekwiwalenty równań, które się rozwiązuje.

- Naprawdę tak myślisz?

- To wszystko mnie nie przekonuje. Co chcesz osiągnąć przez ten szalony projekt? Nigdy nie uda ci się dowieść, że dusza istnieje. Wiesz to lepiej ode mnie.

- Próbuję rozwiązać odwrotny problem. Francis Crick i Jean-Pierre Changeux opowiadają ludziom, że niby dowiedli, iż dusza nie istnieje. Muszę rozłożyć ich argumentację.

- Niczego nie musisz! To Emmanuel poprosił cię, byś to zrobił, ponieważ znalazł się w krytycznym położeniu. Watykańscy urzędnicy są spętani w sprzecznościach. Jego wiarygodność jest zerowa. Najpierw powinien pozamiatać swoje podwórko. Jego duchowieństwo jest w rozsypce i nie wierzy już ani w dyscyplinę, ani w dogmat, ani w moralność, którą głosi częściej, niż ją praktykuje. Emmanuel musi zacząć od zreorganizowania swojej paczki. Gdyby mój szpital funkcjonował w taki sposób, od razu mielibyśmy obławę policji, kontrolę finansową, a wszyscy pacjenci by uciekli!

Jadąc autostradą, z Lozanny do Divonne można dotrzeć w ciągu zaledwie pół godziny. Sean zaparkował samochód około stu metrów od Kasyna. Dzięki temu można było liczyć na dobrą łączność między autem a salą do gry w ruletkę. Wcześniejsze próby potwierdziły, że transmisja radiowa nie stwarza żadnego problemu. Ale zawsze zdarzają się jakieś nieprzewidziane okoliczności, dlatego lepiej zadbać o każdy szczegół.

Plan był prosty: przy użyciu komputera chcieli pokonać ruletkę - ten diabelski wynalazek z XVII wieku, który powstał, by zamącić w głowach hazardzistom.

Większość metod gry, jakie stosują naiwni gracze, opiera się na sekwencji wyników. Niektórzy stawiają na serię, obstawiając zawsze tę samą prostą szansę, na przykład kolor czerwony, i podwajają stawkę przy każdym rzucie tak długo, aż ten kolor wypadnie: żywią przekonanie, że długa sekwencja czarnych zwiększa prawdopodobieństwo, iż wypadnie kolor czerwony. Inni zaś przeciwnie: obstawiają kolejno wszystkie numery i wyobrażają sobie, że kulka wpadnie do każdego z tych pól.

Stosując te metody, jeszcze żaden gracz nie wzbogacił się trwale na ruletce. W rzeczywistości zawsze mamy do czynienia z ciągiem niepewnych liczb. Nie wystarczy znać wyniki sekwencji liczb, jakie wypadły, by przewidzieć następne wyniki.! Przy każdej rundzie wszystko zależy od prędkości kręcącego się koła i kulki rzuconej przez krupiera. Nie ma szans, by powtórzyły się te same prędkości. Przy każdym rzucie wszystkie numery mają taką samą możliwość, by wypaść, bez względu na wcześniejsze wyniki. Nawet jeżeli czarny wypadł sto razy z rzędu, przy sto pierwszym rzucie oba kolory mają taką samą szansę.

Projekt Michela i jego asystentów całkowicie zrywał z tymi fałszywymi założeniami. Nie mieli zamiaru spekulować nad serią rzutów. Chcieli skupić się na jednym rzucie i przewidzieć jego wynik w ciągu kilku sekund, między rzutem kulka a zakończeniem obstawiania.

W pojedynczym rzucie nie ma mowy o przypadku: jeżeli ktoś dokładnie zna początkowe prędkości kulki i koła, może przewidzieć wynik. Ale ruletka została tak chytrze zaprojektowana, by gracze myśleli coś innego - że kulka wpada do jednego z trzydziestu siedmiu pól koła i nie da się przewidzieć, do którego. To wrażenie bierze się stąd, że koło obraca się w jednym kierunku, podczas gdy kulka

jest rzuca w kierunku przeciwnym. Jeden obserwator nie jest w stanie śledzić jednocześnie dwóch okrężnych ruchów w przeciwnych kierunkach. Jego percepcja jest w takim wypadku zaburzona i gracz nie może niczego przewidzieć.

Jednak Michel, Sean i Ruth doskonale wiedzieli, że kulka podlega prawom mechaniki. Jeżeli przy danym rzucie znane są prędkości oraz wzajemne pozycje koła i kulki można, przynajmniej teoretycznie, obliczyć, w które pole kulka wpadnie. Przypadek jest wykluczony: znając wyjściowe dane, można dokładnie przewidzieć wynik. Problem polega jednak na tym, by ocenić na początku prędkości, a także pozycje kulki i koła, oraz wprowadzić je do komputera na tyle wydajnego, by obliczył wynik w rzeczywistym czasie, zanim padną słynne słowa: „Koniec obstawiania”.

Taki był plan Michela i jego towarzyszy. Oczywiście nie mogli wnieść komputera do sali kasyna, dlatego trzeba było wymyślić system transmisji radiowej między ukrytym w samochodzie komputerem a graczami.

Sean cierpliwie przygotował sprzęt. Próby odbywały się w jego mieszkaniu, gdyż plan z ruletką był naturalnie utrzymywany w absolutnej tajemnicy. Gdyby dyrekcja politechniki dowiedziała się, że pracownicy wykorzystali sprzęt uczelni do tak skandalicznego doświadczenia, osoby za to odpowiedzialne, zaczynając od Michela, zostałyby natychmiast zwolnione. A gdy ktoś traci miejsce w uniwersyteckim świecie za pogwałcenie kodeksu postępowania badacza, już nigdzie nie znajdzie pracy. Michel ryzykował bardzo wiele. Honor naukowca jest jak zapalka - spala się tylko raz.

Po niezliczonych próbach program obliczeniowy został udoskonalony przez Ruth, świetną programistkę. Komputer potrafił wyznaczyć jedną ósmą części koła, gdzie kulka w końcu wpadnie, co spiskowcy nazwali oktantem. Kręcące się koło posiada trzydzieści siedem pól, byli więc w stanie wyznaczyć pięć pól - w jednym z nich na pewno zatrzyma się kulka.

Wynalazcom ruletki z XVII wieku nie brakowało rozsądku! Starannie ułożyli porządek pól na ruchomym kole. Wszystko jest pomieszane: pola parzyste i nieparzyste, czerwone i czarne, serie numerów Pięć kolejnych pól, na przykład czerwone 32, czarne 15, czerwone 19, czarne 4 i czerwone 21, należą do wszystkich kategorii. Nie ma więc mowy, by obstawiać prostą szansę, na przykład kolor czerwony, numer parzysty lub nieparzysty a dzięki takiemu zagraniu gracz podwajałby swoją stawkę przy każdej wygranej.

Jedyna strategia polega na obstawieniu pełnego numeru, który - jeżeli wypadnie - pozwala powiększyć stawkę trzydziestopięciokrotnie. W sumie jest trzydzieści siedem pól ponumerowanych od 0 do 36, dlatego przeciętny gracz ma jedną szansę na trzydzieści siedem, by wygrać trzydziestopięciokrotność swojej stawki. Z czasem przegrywa na rzecz kasyna, chyba że oszacuje wzajemne prędkości kręcącego się koła i kulki, dzięki czemu zawęzi liczbę pól, do których wpadnie kulka. Z tak dopracowanym systemem spiskowcy powinni wygrać średnio jeden na pięć rzutów, powiększając swój wkład trzydziestopięciokrotnie. Teoretycznie, na koniec wieczoru powinni wyjść z kasyna z siedmiokrotnie powiększonym wkładem, który wnieśli.

Teoretycznie. Michel całkowicie ufał prawom fizyki taki długo, jak długo potwierdzały wyniki podane czarno na białym w publikacjach naukowych. Teraz teoria zostanie poddana próbie rzeczywistości i zaklasyfikowana w zależności od wygranej lub przegranej około dziesięciu tysięcy franków szwajcarskich, które pobrał ze swojego konta. Za te pieniądze jego rodzina miała żyć przez następny miesiąc. Jeżeli przegra, jak pokaże się Irinie na oczy? Jeśli nie zwróci długów, jakie zaciągnął w dziale finansowym politechniki, jego stanowisko będzie poważnie zagrożone. Może też zgodzić się na propozycję Charbela Kassisa, ale wówczas znajdzie się w ogniu krytyki, narazi się na kompromitację. Musi wybrać jedno spośród kilku złych rozwiązań.

W ciągu piętnastu lat małżeństwa nigdy nie zdradził Iriny. Nigdy nie wrócił do domu pijany. Upił się kilka razy, ale zawsze jedynym świadkiem były cztery ściany pokoju hotelowego. Zdarzało mu się to w wolne wieczory, kiedy padał ze zmęczenia i rozpacz. Tej nocy zaryzykuje reputację ojca, by uratować honor szefa. Zastawi rodzinne pieniądze, mimo że nie uprzedził o tym żony. Jeżeli mu się nie powiedzie, będzie zmuszony przyjąć projekt Charbela Kassisa i pracować, zaprzeczając swoim najgłębszym przekonaniom.

Dziś wieczorem nie ma prawa się pomylić, zaufa ruletce. Ale ruletka to najlepszy sposób, by stracić pieniądze, czas lub godność. A najczęściej wszystko to razem.

Ruth usiadła naprzeciw krupiera. Oparła łokcie o stół, a dłońmi podtrzymywała głowę, by cały czas zachować tę samą oś widzenia. Jej zadanie polegało na określeniu prędkości kulki, mierząc oś środkową koła. Za każdym razem, kiedy kulka znikła za osią, dużym palcem prawej stopy naciskała przycisk zainstalowany w bucie. Specjalnie na tę okazję kupiła buty w sklepie Diora przy ulicy Rhône w Genewie. Czyste szaleństwo, anomalia w ascetycznym życiu. Ale Ruth wiedziała, że nigdy nie należy przesadnie oszczędzać na inwestycjach, i zakładała, że dobrze ubrany gracz wzbudzi mniej podejrzeń.

Sean usadowił się naprzeciw Ruth, tak by jego spojrzenie było współliniowe do osi koła i spojrzenia towarzyszk. Miał mierzyć prędkość koła, naciskając palcem u nogi umieszczony w prawym bucie włącznik za każdym razem, kiedy za osią zniknęło pole 0. Łatwo je było dostrzec, gdyż jako jedyne było koloru zielonego. Impulsy emitowane przez Ruth i Seana były wychwytywane przez antenę odbiorczą samochodu i analizowane przez komputer, który wyznaczał względną pozycję i prędkość koła oraz kulki, obliczając w ten sposób oktant, w którym kulka powinna w końcu wylądować.

Michel siedział w samochodzie i na bieżąco odczytywał pięć numerów oktanta

tu, jakie pojawiały się na ekranie komputera. Ruth i Sean odbierali jego prognozy za pomocą dwóch słuchawek. W rzeczywistości były to udoskonalone przez Seana aparaty słuchowe - małe połączane kapsułki umieszczone w przewodach słuchowych.

Ustalili wcześniej, że Ruth będzie obstawiała numer parzysty, a Sean przy kolejnym rzucie wybierze numer nieparzysty. Dziesięć tysięcy franków zainwestowanych przez Michela zamienili na sześćdziesiąt żetonów po sto euro. Każdy gracz otrzymał trzydzieści żetonów. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze powiększą ten wkład siedmiokrotnie - powinni wyjść z kasyna z czterdziestoma dwoma tysiącami euro w kieszeni. Liczyli więc, że w sumie zarobią trzydzieści sześć tysięcy euro. Tymi sposobem zwrócą się poniesione koszty i można będzie zacząć spłacać długi. Po tak wspaniałym początku spiskowcy planowali wracać tu od czasu do czasu, nie rzucając się za bardzo w oczy.

Michel pozostał sam w samochodzie. Był przygnębiony. Nie podobało mu się, że działa na granicy legalności, przyzwoitości i rozsądku. Nie istnieje metoda gry w ruletkę, ciągle to sobie powtarzał. Gdyby to, co chcieli zrobić, było w ogóle możliwe, już dawno ktoś by to wykorzystał.

Do komputera dotarły pierwsze sygnały wyemitowane przez Seana i Ruth. Michel ocknął się z przygnębienia i zabrał do roboty. Podyktował cyfry wyznaczone przez komputer.

Po dziesięciu próbach bez obstawiania Michel nabrał zaufania. Nie mógł widzieć, w którym polu kulka się zatrzymała, ale ani razu nie otrzymał sygnału, że się pomylili. Gdyby kulka wpadła poza przewidziany oktant, Sean wyemitowałby jeden impuls, naciskając specjalny przycisk umieszczony pod wielkim palcem lewej stopy.

Michel wydał więc polecenie, by obstawiać i zaczął dyktować szacowane numery, uwzględniając lekkie wahania prognozy:

„5, 24, 16, 33, 1; drugi szacunek: 10, 5, 24, 16, 33; trzeci szacunek: 24, 16, 33, 1, 20”.

Ruth obstawiła 16. Kulka wpadła w pole 24. Grabki krupiera porwały żeton o wartości stu euro.

Następny rzut był szczęśliwszy. Sean wygrał trzydzieści pięć żetonów i zasygnalizował to, naciskając trzy razy przycisk w lewym bucie. Trzeci rzut Ruth przegrała, przy czwartym Sean znowu zgarnął wygraną.

Partia ciągnęła się dalej, ale teraz przegrywali już każdy kolejny rzut. O pierwszej w nocy zdali sobie sprawę, że szczęście uśmiechnęło się do nich tylko dwa razy na trzydzieści. Byłoby lepiej, gdyby obstawiali przypadkowo. Za każdym razem kulka wpadała w przewidziany oktant. Ich metoda działała więc niezawodnie. Ale nigdy dobrze nie trafili numeru, jaki wybierali przypadkowo z przewidzianych pięciu.

Michel był rozczarowany. Szybko policzył: dwie wygrane przyniosły siedemdziesiąt żetonów, podczas gdy obstawiono trzydzieści. Wygrana podniosła się więc do czterdziestu. Ze wstępnej amunicji pozostawało jeszcze trzydzieści żetonów. Zaczynali z sześćdziesięcioma żetonami, a teraz mieli siedemdziesiąt. Zysk brutto wyniósł więc tysiąc euro. Ale to kropla w morzu w porównaniu z długami laboratorium.

Pozwolił współnikom obstawić jeszcze jeden raz. Tym razem ruletka nie zachowała się zgodnie z prognozą. Sean przesłał sygnał błędu. Michel zarządził, by przestali obstawiać i wrócili do samochodu.

A jednak przypadek się objawił niczym duch wyłaniając się z grobu, w którym spiskowcy usiłowali go zamknąć. Złośliwy przypadek, który szepnął im do ucha kilka pouczających słów, nad którymi teraz trzeba się zastanowić.

Na ostatnim piętrze banku zadzwonił telefon. Władca drzemał w ubraniu na kanapie. Kiedy rozpoczynała się jakaś operacja, nie wychodził z biura. Podnosząc



słuchawkę, zdążył zapalić papierosa. Zadbał o to, by jego rozmówca usłyszał dźwięk zamykanej zapalniczki, był to znak rozpoznawczy.

- Osoby, które pana interesują, całą noc grały w ruletkę.

- Z jakim wynikiem?

- Niczego nie wygrały albo straciły istotną część.

- Bardzo dobrze. Dokładnie tak miało być. Odłożył słuchawkę i paląc papierosa, zamyślił się chwilę. Potem ponownie wyłożył się na kanapie. Nie warto już było wracać do domu. Nie mógł zasnąć. Świat, ta skomplikowana i kapryśna maszyna, kręci się dzięki bezsenności. Władza należy do ludzi cierpiących na bezsenność.

- Wygraliśmy brutto dziewięćset euro. Po odliczeniu różnych inwestycji i napiwku dla pracowników straciliśmy około tysiąca franków szwajcarskich - oświadczyła chłodno Ruth, zamykając notes, gdy tylko przekroczyli granicę szwajcarską.

Michel już wcześniej przeanalizował wyniki, które zgadzały się z tymi wnioskami. Trudno. Praktycznie wrócił do punktu wyjścia. Był zmęczony, nie zdążył się przespać ani odpocząć! Ale tak naprawdę był wytrącony z równowagi, gdyż ich idealny system rozregulował się na jego oczach. Zatem niczego nie można być pewnym. Mogli siedzieć w kasynie całą noc, nie wygrać ani razu i stracić cały początkowy wkład. Projekt zawalił się w śmieszny sposób, a on nie potrafił znaleźć żadnego wiarygodnego wytłumaczenia.

- To po prostu diabelska sprawa - opowiadał Sean. - Nawet nie wiem, ile razy kulka prześlizgnęła się w ostatnim momencie do pola obok tego, które wybraliśmy. Widziałem, jak się waha i spada po złej stronie, jak gdyby stał tam ktoś niewidzialny i ją popychał. To nie było normalne. Jeżeli mamy jedną szansę na pięć, że wygramy, i obstawiamy trzydzieści rzutów, średnio sześć z nich powinniśmy wygrać. Tymczasem udało nam się tylko dwa razy. Zrozumiałbym

jeszcze, gdybyśmy wygrali sześć czy siedem razy, ale dwa? To naprawdę zakrawa na kpiny. Można pomyśleć, że personel kasyna potrafi manipulować kołem w taki sposób, by kulka wpadała do pola, którego nikt nie obstawił.

- Ta hipoteza nie ma sensu - przerwał Michel. - Pracownicy nie mieli żadnych podstaw, by podejrzewać, że korzystacie z obliczeń komputerowych. Obstawialiście na przemian jeden numer przy każdym rzucie, a Sean wygrał tylko dwa razy na piętnaście. Nie działo się więc nic nadzwyczajnego, co mogłoby przykuć ich uwagę. Jeżeli chodzi o Ruth, przegrała piętnaście razy z rzędu. To właśnie wydaje mi się nieprawdopodobne, gdyż średnio powinna wygrać trzy lub cztery razy.

Ruth odezwała się bardzo łagodnie. Michel widział jej twarz lekko oświetloną światłem fosforescencyjnym tablicy rozdzielczej. Jej profil wydał mu się zadziwiająco delikatny. Zadrżał. Zapragnął, by jego usta przywarły do jej twarzy. Szybko się jednak opanował i wysłuchał rozumowania Ruth:

- Nie ma w tym nic bezsensownego. To, co się dzieje, zawsze ma jakiś sens, ale niekoniecznie taki, jakiego oczekujemy. Staliśmy się ofiarami powszechnego złudzenia, że zdarzenie prawdopodobne musi bezwarunkowo nastąpić. Wymyśliliśmy taki sposób obstawiania, że byliśmy zmuszeni zdać się na przypadek. To nie jest tak, że mając jedną szansę na pięć, koniecznie musimy wygrać sześć razy na trzydzieści. Może się zdarzyć, że nie wygramy wcale albo dwa razy, jak to właśnie dzisiaj się zdarzyło. Jedynym sposobem, by pewnie wygrać, jest obstawienie jednocześnie pięciu przewidzianych numerów. Gdybyśmy zdecydowali się na taką strategię, z pewnością powiększylibyśmy nasz, wkład siedmiokrotnie. Zamiast spekulować nad prawdopodobieństwem wygrania jednego na pięć rzutów, mogliśmy wygrać za każdym razem, gdybyśmy zdecydowali się obstawiać pięć razy; więcej. Nie przemyśleliśmy do końca naszego systemu. Logika w końcu zawsze się mści.

- To nie wchodziło w grę - sprzeciwił się Sean. - Nie mogliśmy zastosować takiej metody, gdyż wygrywając za każdym razem, zwróciłibyśmy uwagę personelu. A dyrekcja bardzo szybko by się zorientowała, że zawsze obstawiamy pięć sąsiednich numerów na kręcącym się kole. Stąd już tylko krok, by się domyślić, że opracowaliśmy system obliczający pola, w jakie wpadnie kulka. Zostalibyśmy odprowadzeni do drzwi kasyna w mniej lub bardziej grzeczny sposób i musielibyśmy przyrzec, że nasza noga już tam więcej nie postanie. A w najgorszym razie przeszukałaby nas policja. Natomiast strategia, jaką zastosowaliśmy, jest nie do wykrycia. Gracz obstawia jeden numer, niby zdając się na, przypadek, i trafia średnio raz na pięć razy. Dla zewnętrznego obserwatora taki gracz ma po prostu szczęście.

- Zgadza się - zauważył gorzko Michel. - Ale tej nocy niej mieliśmy szczęścia. Spróbujemy jeszcze innym razem?

- Oczywiście, że tak - odpowiedział Sean.

- Oczywiście, że nie - sprzeciwiła się Ruth.

- Moglibyście dojść jakoś do porozumienia? - wtrącił Michel, który zaczynał już przysypiać.

- Tak, ponieważ prawo wielkich liczb w końcu zadziała. Im więcej gramy, tym bardziej zbliżamy się do średniej jednej piątej wygranych rzutów.

- Teoretycznie to prawda, ale w praktyce nie wiadomo, ile czasu potrzebowalibyśmy, by zadziałało prawo wielkich liczb - zaproponowała Ruth. - Jeżeli chcemy długo grać, musimy się liczyć z tym, że trzeba będzie wykładać niemałe pieniądze i czasem je tracić. By pokonać przypadek, musielibyśmy mieć niewyczerpany skarbiec. Prawo wielkich liczb to rozumowanie z ograniczeniami, które zadowala umysł matematyczny, ale nie przewiduje wyniku gry ograniczającej się do pewnej liczby partii.

- Chyba że jest bardzo długa - wtrącił Sean.

- Wcale nie. Mylisz się. Jesteś wybitnym elektronikiem, ale nie najlepiej u ciebie z matematyką. Urok wygranej wypacza osąd, a nawet rozumowanie. Człowiek wyobraża sobie, że przypadkowe zjawisko jest przewidywalne pod warunkiem, że zawierzmy rachunkowi prawdopodobieństwa. Ale nigdy nie kontrolujemy przypadku. Dyrektorzy kasyna sprawdzili doświadczalnie, do jakiego stopnia prawo wielkich liczb może być zdradzieckie dla graczy. Kasyna są bogate, a gracze się rujną, ponieważ bank kasyna dysponuje większymi pieniędzmi niż większość graczy. To jest eksperymentalny dowód matematycznego wyniku, który właśnie wam przypominałam.

Mówiąc to, odwróciła się w stronę Michela i wbiła w niego wzrok. Pozostali tak przez kilka sekund, patrząc sobie w oczy.

- W sumie - podsumował Michel - by pewnie wygrać z ruletką, stosując naszą taktykę, trzeba dysponować niekończącym się zapasem pieniędzy. I wiecznością!

- Dokładnie, proszę pana.

- To przypomina mi - powiedział Sean - anegdotę związaną z Einsteinem. Podczas jednej z kolacji pewien światowiec zapytał geniusza, jaka jest różnica między czasem a wiecznością. Einstein mu odpowiedział, że nawet gdyby poświęcił swój czas, by mu wyjaśnić tę różnicę, on potrzebowałby całą wieczność, by zrozumieć pierwsze słowo z tych wyjaśnień.

- Einstein był zarozumiałcem - wtrącił Michel.

- Poza tym jest jeszcze coś, czego nie potrafię do końca wytłumaczyć - powiedziała Ruth, wracając do tematu. - Mam przeczucie, że to nigdy nie zadziała.

- Wnioskujesz to na podstawie słynnej kobiecej intuicji, która przewiduje nieprzewidywalne? - wtrącił Sean z nutką sarkazmu. - Ten dziwaczny instynkt, który szepcze kobiecie, że ma rację, nawet gdy racji nie ma.

- Nie wierzysz w kobiecą intuicję? - zapytała Ruth.

- Zastanawiam się raczej, dlaczego Żydówka zawsze odpowiada pytaniem na pytanie.

- A dlaczego nie?

Po tym ostatnim ciosie zadany przez Ruth, wszyscy zamilkli. Nie odzywali się aż do przyjazdu do Lozanny.

Michel od razu zwałił się do łóżka. Miał jeszcze tyle siły, by spojrzeć na budzik: była druga w nocy. Irina spokojnie spała. On był kapitanem swej rodziny i swego laboratorium. Miał przed sobą podwójnie niebezpieczną wyprawę.

Przez całą noc śniła mu się katastrofa morska. Nie spał zbyt twardo, dlatego mógł zanalizować swój sen i zrozumieć, że wszystkie jego katastrofy symbolizowały trudności finansowe. Nie miał wyboru: będzie musiał się zgodzić na projekt Charbela Kassisa i osiąść na mieliźnie na nieznanym wybrzeżu. Zanim się przebudził, mieszkał na bezludnej wyspie niczym Robinson ze swym towarzyszem Piętaszkiem. Ale Piętaszek nie był mężczyzną, lecz kobietą, a tą kobietą nie była Irina, lecz Ruth.

W ten sposób rozstrzyga się przeznaczenie mężczyzny: jego największe sukcesy wieńczą przedsięwzięcia podejmowane wbrew sobie na końcu paradoksalnego sennego epizodu.

O szóstej rano Norbert Viredaz pchnął drzwi swego gabinetu z satysfakcją zaspanego, ale gorliwego szefa, który przychodzi jako pierwszy. Zdawał sobie sprawę, że ta praca go przerasta, ale nikt nie może się zorientować, że jest aż tak niekompetentny. Dozorcy nie zdążyli jeszcze otworzyć drzwi uczelni ani pozbierać koszy na śmieci. Na tym ogromnym ciemnym okręcie paliła się tylko jedna lampa: w gabinecie rektora. Tak powinno być. Gdyby nie to, że jest dobrym protestantem, poczułby, jak powiększa się aureola wokół jego głowy.

Ledwo usiadł, usłyszał dzwonek telefonu. Zanim odebrał, doskonale wiedział, kto dzwoni. Była to już rutyna: zawsze sprawdzano, o której godzinie

przychodzi do biura. Przez pierwszy rok urzędowania jako rektor starał się być na stanowisku o czwartej rano, nawet gdyby miał ponownie zasnąć z głową między łokciami na stosie nigdy nie przeczytanych dokumentów.

- Słucham pana.

- Wczoraj wieczorem profesor Martin i jego dwaj asystenci pojawili się w kasynie w Divonne. Niczego wielkiego nie wygrali. Zatem Martin nie będzie miał innego wyjścia: musi zgodzić się na propozycję, jaką pan mu złożył.

- Dziękuję panu.

Przez chwilę Norbert zastanawiał się, skąd Władca wie o wszystkich takich szczegółach. Szybko jednak doszedł do wniosku, że to pewnie rutynowa kontrola. Szwajcarzy, których opanował demon gry lub którzy są zmuszeni podreperować swój budżet, wyruszają do Francji, do Divonne lub Evian, by tam wszystko przegrać. Lepiej bowiem skompromitować się za granicą niż we własnym kraju. Wystarczyło przekupić krupiera lub kasjera w kasynie, by być o wszystkim informowanym. Numery rejestracyjne szwajcarskich samochodów były z pewnością odnotowywane przez portierów lub stróżów parkingowych. Celnicy również mogli maczać w tym palce. Norbert pogratulował sobie, że nigdy nie przestąpił progu kasyna. To wykroczenie przeciwko kodeksowi poprawnego zachowania kalwinisty byłoby bez wątpienia odnotowane w jego papierach.

Jego rozmówca stawał się coraz bardziej natarczywy:

- Zrozumiał pan?

- Tak, proszę pana.

- Co pan zrozumiał?

- Że Martin zgodzi się na propozycję.

- I co jeszcze?

- Że zostawiam go na uczelni.

- Pod warunkiem, że...? Norbert nie wiedział, co odpowiedzieć. Rozmówca

wydawał się coraz bardziej zniecierpliwiony.

- Panu trzeba wszystko zawsze tłumaczyć. Zostaje na uczelni, dopóki nie zbierze pan dowodów przeciw niemu. Potrzebny będzie informator.

- Jego sekretarka jest powiadomiona i dostarcza nam kopie dokumentów, które uznaje za interesujące.

- To nie wystarczy. Ten Martin może przeciągnąć ją na swoją stronę. Może też być tak, że sam będzie przysyłał pisma Internetem lub faksem.

- Nie będzie łatwo znaleźć innego informatora. Większość współpracowników tego laboratorium to obcokrajowcy. Lokalna polityka ich nie interesuje.

- A zatem trzeba zagrozić wygnaniem temu, któremu najbardziej zależy na pozostaniu w naszym kraju, i omamić go obietnicą kariery, jeżeli będzie z nami współpracował.

- Może pan na mnie liczyć.

Gdy tylko rozmowa się zakończyła, Norbert zanotował parę słów na kawałku papieru, nie ufał bowiem własnej pamięci i nie był pewien, czy dobrze zrozumiał. Kartkę schował w prawej kieszeni marynarki - był to zbiornik tylko i wyłącznie na tego typu gryzmoły. Potem ponownie zasnął. Wiedział, że przez następne dwie godziny nikt nie będzie mu przeszkadzał.

W górach w Valais słońce wstawało w pełnej chwale. Na jeziorze jeden z łąbodzi rozwinął skrzydła i pokonał przyciąganie ziemskie, wznosząc w powietrze swe ciężkie ciało. Miał zamiar wzbić się nad ziemię tylko i wyłącznie po to, by podziwiać uroki poranka.

Mózg łąbódzia jest wystarczająco rozwinięty, by odczuwać emocje, ale nie na tyle sprawny, by marnować te wrażenia, starając się je analizować.

## V

Charbel Kassis mieszkał na przedmieściu Genewy w Cologny, które leżało

na szczycie wzgórza. Stojąc na tarasie jego posiadłości, tyłem do Mont Blanc, można było podziwiać piękny widok na redę, fontannę, Jurę i vaudyjskie wybrzeże.

Mimo oślepiającego słońca Michel dostrzegł pagórki porośnięte winoroślami, łany zboża, małe porty, żaglowce przy nabrzeżu. Od czasu do czasu w Cointrin lądował lub startował jakiś samolot. Patrzył na krajobraz, który przypominał mapę w perspektywie, szkic nakreślony przez pilnego rysownika. Czuł się niczym grecki bóg na Olimpie, który trochę ze współczuciem, a trochę z litością, wpatruje się w mrówki zwane ludźmi. Może i był bogiem, ale bogiem, który nie potrafi uniknąć bardziej śmiesznego niż tragicznego przeznaczenia. Kazano mu szukać czegoś, co nie istnieje, co nawet nie ma nazwy. Jeśli tego czegoś nie znajdzie, straci pracę. Jeśli zaś znajdzie, jego reputacja legnie w gruzach. Obojętnie, jaki będzie finał tego wszystkiego, on będzie skończony.

Ostre słońce rozlewało swe bardziej niebieskie niż białe promienie, rozdzielając szczyty Jury. W miejscu, gdzie niebo spotyka się z ziemią, rodzi się ten nieuchwytny element geometrii nazywany linią - matematyczny byt, który z definicji nie ma żadnej grubości i istnieje tylko w wyobraźni ludzi. „Matematyka - pomyślał Michel - to sztuka wyrażania niezbitych prawd na temat nieistniejących bytów. Nie wiadomo, o czym mowa, ale przynajmniej wiadomo, czy to, co zostało powiedziane, jest prawdziwe”. Czekał niezłomnie, aż to ugruntowane stanowisko zaatakują amatorzy jakichś mrzonek, którymi musi stawić czoło.

Czekali na niego w trójkę: Charbel, jego żona Mona i Theo. Profesor de Fully siedział zanurzony w fotelu niczym duży kot, który - odpoczywa w czasie sjeisty u swych państwa. Michel był zaskoczony. Nie było wątpliwości: Theo był stałym bywalcem tego domu, pewnie osobistym konsultantem naukowym Kassisa. By jeszcze bardziej podkreślić swój sukces, bankierzy uwielbiają torować sobie drogę, obcując z geniuszami: znanymi fizykami, dyrygentami, ministrami, pisarzami, dyktatorami mody czy gwiazdami filmowymi.



Podczas wczorajszej rozmowy Theo nawet słowem nie wspomniał, że zna Kassisa. Czyżby to Charbel Kassis, poinstruowany przez Theo, szepnął nazwisko Michela rektorowi? Czyżby Theo od samego początku doskonale o wszystkim wiedział, a mimo to udawał, że nie ma o niczym pojęcia, kiedy Michel opowiadał mu o proponowanym projekcie? Kto kim tutaj manipuluje?

Michel po raz kolejny poczuł, że jego życie to jakiś labirynt, w którym się błąka. Kroczy ścieżką, której tak naprawdę nie wybierał. Nad jego głową wisiała sieć powiązań łącząca możliwych tego świata, którzy nieustannie tkają pajęczynę władzy. Czy uniknie tyranii Norberta Viredaza, by wpaść w ręce genewskiego bankiera? Przewidziane za miesiąc spotkanie z papieżem Janem XXIV bardziej go niepokoiło, niż mu schlebiało. Jego zdaniem Kościół zawali się pod ciężarem swych sprzeczności i taki obrót sprawy jawił mu się jako nieuchronny i wręcz pożądany.

Podano sok owocowy. Charbel Kassis wlał w siebie trochę napoju, delikatnie podrapał się po gardle, po czym otworzył ogień:

- Temat, który panu proponuję, jest pasjonujący. Nie należę do ludzi, którzy kierują się namiętnością, dlatego podejść do niego z dużo większą powściągliwością i rezerwą. Bardzo dobrze rozumiem pańską reakcję, by wycofać się z projektu, jaki przedstawił panu Viredaz. Zgadzam się z moim przyjacielem, profesorem de Fullym, że nasz rektor potrafi przekształcić każdą uczciwą i interesującą propozycję w polityczną pułapkę. Dlatego po pierwsze chciałbym pana uspokoić, a po drugie wyjaśnić sens tego przedsięwzięcia, które wbrew pozorom jest bezwzględnie naukowe.

„Bezwzględnie naukowe” - Michel poczuł ukłucie w żołądku, jak gdyby dostał porządnego kuksańca. Dzisiaj wszyscy, nawet bankierzy, zagarniali ten przymiotnik, podczas gdy był on najcenniejszą cechą Michela, jego racją bytu.

Charbel Kassis łagodnym tonem ciągnął dalej:

- Chciałbym zrobić jedną rzecz: nawrócić materialistyczny, racjonalistyczny i deterministyczny świat. Naprawdę go nawrócić, czyli przewrócić go jak ubranie. Na razie widzimy tylko podszewkę, ale w końcu zobaczymy go takim, jak powinniśmy. Gdybym w moim projekcie chciał tylko karmić się pięknymi słowami, zwróciłbym się do mistyków czy poetów. Znam ich, obcuję z nimi, uwielbiam ich. Oni mnie przekonują, że prawdziwe życie jest gdzieś indziej, ale niewielu poza mną potrafią jeszcze przekonać, ponieważ to inżynierowie stali się wirtuozami tego, co jest tu i teraz.

- Co chce pan powiedzieć, stwierdzając, że „prawdziwie życie jest gdzieś indziej”? - przerwał Michel, który nie potrafił opanować swego zniecierpliwienia. - Tutaj jest reda Genewy. Gdzie indziej jest reda San Francisco czy Hongkongu. „Gdzie indziej” to dla mnie okolicznik miejsca.

Charbel Kassis odpowiedział bardzo łagodnym, prawie kobiecym głosem. Mówił jak księża i psycholog, kiedy dochodzą do najdelikatniejszego punktu rozmowy:

- W każdym cywilizowanym języku słowa posiadają sens dosłowny i sens przenośny. W tym drugim przypadku „gdzie indziej” oznacza coś innego, radykalnie różnego, niepojętego w życiu codziennym.

- Ja pragnę uchodzić za specjalistę od „tu i teraz” - odciął się Michel.

- Właśnie dlatego nas pan interesuje. Badania, jakie pan przeprowadzi, będą poza jakimikolwiek podejrzeniami. Pańska hipoteza robocza nie zgadza się z moją, dlatego tylko doświadczenie pozwoli rozstrzygnąć, który z nas ma rację. Nikt nie będzie podejrzewał, że jest pan mistykiem - tego akurat o panu powiedzieć nie można. Jeżeli odkryje pan wskazówki tego „gdzie indziej”, o którym wspomniałem, pańskie prace przekonają opinię publiczną.

- Jeżeli! Ciągle tylko słyszę „jeżeli”! A jeżeli takich wskazówek nie odkryję, co wtedy pan pocznie? - zapytał oschle Michel.

- Proszę poczęstować się jeszcze sokiem - powiedziała Mona Kassis, która co prawda była obecna przy tej rozmowie, ale jak dotąd nie odezwała się ani słowem. Wyczuła jednak moment, kiedy trzeba polać ogień niepalną ciecżą.

Michel przystał na tę propozycję. Na jego twarzy pojawił się wymuszony uśmiech, ale przynajmniej trochę się odpręży. Od tego zaciskania zębów bolały go już szczęki.

Wszystko stawało mu w gardle: długi laboratorium, asystenci, których być może będzie musiał zwolnić, skryta wrogość Norberta Viredaza, pustki na prywatnym koncie bankowym, żona mistyczka, mnóstwo dzieci, dziwaczna teściowa, ciągła harówka bez dnia odpoczynku, niezrozumiała porażka eskapady do Divonne, uwodzicielska i niedostępna Ruth i wreszcie jedyne wyjście z tej sytuacji: szalony projekt, który z góry skazany jest na porażkę. Nie zdając sobie nawet z tego sprawy, rzucał spanikowanym spojrzeniem na prawo i lewo niczym jeleni otoczony sforą psów, które zaraz się na niego rzuca.

Wymieniwszy porozumiewawcze spojrzenie ze swą małżonką, Charbel Kassis kontynuował:

- Spójrzmy na ten problem z innej strony. Praktycznie nie ma pan wyjścia, znalazł się pan w potrzasku z powodów godnych szacunku, choć nie mają one nic wspólnego z pana naukowymi przekonaniami.

Michel odetchnął trochę, dostrzegając, że Charbela stać na współczucie.

- Musi się pan zająć badaniami, które się wzajemnie odpychają i kłócą się ze sobą. Nie znajduje pan oparcia ani w pracy, ani w rodzinie. Jest pan jednym z najbardziej niezbędnych ludzi w gospodarce światowej, a płacą panu za to niewiele więcej niż żandarmowi z wieloletnim stażem. Tak! Wiem, jakie są zarobki w budżetówce. Zanim przejdziemy do kwestii naukowych, chciałbym, by poczuł się pan swobodnie. Nie mam w zwyczaju pokazywać się ze złej strony.

- Rozumiem, co chce pan powiedzieć - odparł znużony Michel. - Pański

projekt badawczy pozwoli mi opłacić kilku asystentów, pod warunkiem, że przydzielę ich do pracy przy projekcie, który mi pan proponuje. Nie reguluje to jednak problemu moich pracowników, którzy rozpoczęli już inne projekty, przekraczając tym samym przydzielony mi budżet. Nie chcę przerywać ich pracy, chociaż tak czy siak będę zmuszony to zrobić ze względu na brak pieniędzy. - Przełknął ślinę i w ślepych odruchu, sam nie wiedząc dlaczego, kontynuował. - Jeżeli chodzi o moje wynagrodzenie, to raczej nic się w tej kwestii nie zmieni. Zgodnie z zasadami uczelni nie mogę pobierać żadnego honorarium ze środków, które zostały mi powierzone na sfinansowanie badań.

- Ja mam dla pana zupełnie inną propozycję - odparł Charbel. - Oprócz pieniędzy zainwestowanych w zlecone przeze mnie badania, spłacę pańskie długi względem politechniki. Będzie to zaliczka na patenty, które pan uzyska i na których ja zarobię. - Napił się soku, potem wbił wzrok w Michela. - Oprócz tego projektu, proponuję panu stanowisko konsultanta w Banku Środkowego Wschodu. Zapoznałem się z regulaminem Politechniki: ma pan prawo podjąć pracę na jedną piątą etatu jako konsultant. Pracowałby pan dla mnie w środku tygodnia, powiedzmy w środy. Pana biuro będzie obok mojego gabinetu, w siedzibie banku w Genewie. Obecnie jesteśmy zaważeni projektami wymagającymi zaawansowanej technologii, które przyciągają kapitały obciążone ryzykiem. Pomoże mi pan zmniejszyć to ryzyko i świadomie inwestować środki. Pańskie honorarium za jedną piątą etatu będzie dwa razy większe od wynagrodzenia, które wypłaca panu Konfederacja. I wcale nie robię panu prezentu, to pan mi go robi. Pańskie doświadczenie jest bezcenne.

Michel się odprężył. Wkraczał w magiczny świat, gdzie nie istniały problemy finansowe. Jego racjonalistyczne przekonania zaczynały się chwiać. Charbel bardzo skutecznie zacierał powoli wspomnienie rodziców Michela, nieskazitelnych męczenników laickiej cnoty. Jednym słowem Michel miał już

dosyć biedy.

- Przejdźmy do stołu - rzekła Mona, nieco zaniepokojona dyskusją o pieniądzach, która nie pasowała do salonu, nawet jeżeli rozmowa toczyła się w plenerze.

\*

Irina klęczała przed szeroko otwartą szafą. Modliła się od trzech godzin bez przerwy. Dzisiaj nie napisała jeszcze ani jednej linijki pod dyktando anioła. Słyszała głos, który niestrudzenie powtarzał te same słowa, choć nie kazał jej niczego notować:

„Nie myśl, że dałem ci ten charyzmat, ponieważ kocham cię bardziej niż inne moje dzieci. Dałem ci tę łaskę, by nasycić ciebie i nakarmić nią innych, którzy rozpaczliwie tego potrzebują. Zwłaszcza mężczyzna, z którym żyjesz”.

Najtrudniejsze przesłania przekazywał zawsze anioł. Bóg był samą miłością i miłosierdziem, dlatego napomnienia pozostawiał swemu posłańcowi. „Mężczyzna, z którymi żyjesz”, tak anioł nazywał Michela. Pewnie chciał przypomnieć Irinie, że jej mąż zwykłym wzruszeniem ramion odrzucił jej prośbę, by wziąć ślub kościelny.

Zanim Irina nawróciła się na chrześcijaństwo, wyznawał kult Natury, tego zastępczego boga, usytuowanego w sercu marksistowskiej Wulgaty. Kiedy przyjechała do Szwajcarii, bez żadnej trudności wyrzekła się pozornego marksizmu i z przekonaniem czciła ekologizm. W końcu wyszła za mąż za Michela. Na początku ich małżeństwa zgadzała się na stosunki seksualne. Uważała je za coś oczywistego pod warunkiem, że są naturalne, nieskażone farmaceutycznymi manipulacjami. I tak w naturalny sposób sprowadzili na świat sześcioro dzieci, a każde rodziło się w odstępie jednego roku.

Pewnego dnia spotkała anioła. Już przy pierwszej rozmowie wyjaśnił jej, że stosunki seksualne w małżeństwie, które nie zostało pobłogosławione przez Kościół, są niemoralne, choć naturalne. Od tego czasu Irina nie zgadzała się na

współzycie z mężem. Mały Henri musiał umrzeć, by zmazać winę rodziców, a jeżeli nie będzie żyła w czystości, pozostałe dzieci też umrą. Chyba że nawróci Michela. Zajmowała się więc ciałem i duszą, lekceważąc to pierwsze i wywyższając drugie.

Od trzech lat, ze względu na przekonania religijne, nie sypiała już z mężem. Michel zdania jednak nie zmienił i w ogóle nie chciał słyszeć o ślubie kościelnym. Wolał żyć w czystości, niż zaufać ceremonii religijnej. Dla Iriny była to rzecz niepojęta. Michel na pewno już jej nie kocha. Może ma kochankę.

Wreszcie jej ręka poruszyła się i w czerwonym zeszycie napisała słowa, których do końca nie rozumiała:

„Musisz ostrzec chrześcijan przed fałszywymi nauczycielami i fałszywymi prorokami, którzy błędnie interpretują Ewangelie i sięją spustoszenie w duszach. Nieprzyjaciół dotarł do samego serca Rzymu”.

Czytając te słowa, poczuła się nieswojo. Od jakiegoś czasu ciągle powracały podobne przesłania wypowiedane z coraz większym naciskiem. Ale cóż ona mogła zrobić? Nigdy nie była w Rzymie. Wiedziała, że papież Jan XXIV zmaga się z ogromnymi trudnościami, ale nie miała pojęcia, w jaki sposób mogłaby go ostrzec. Szwajcarscy biskupi nie traktowali jej poważnie, zabraniali wiernym uczestniczenia w prowadzonych przez nią zgromadzeniach modlitewnych. Jaką więc miała szansę, by wysłuchał ją ten tak bardzo zajęty człowiek, którego z pewnością nigdy w życiu nie spotka? No i co właściwie miałyby mu przekazać?

Nagle jej ciało naprężyło się niczym łuk. Zdarzało się to w każdy piątek rano, zawsze o tej samej godzinie. Z pewnością była to godzina, w której dwadzieścia wieków wcześniej gwoździe przebiły nadgarstki i stopy Jezusa z Nazaretu. Cztery ciosy przeszły członki ciała Iriny. Zawsze w takim momencie była przerażona, ale przeżywała to w posłuszeństwie, wypowiadając tylko jedną przyziemną i banalną prośbę: powrócić do rzeczywistości, zanim o czwartej po

południu wróca dzieci.

Zdażyła jeszcze złapać cztery chusteczki leżące pod obrazkiem Teresy z Lisieux i owinać nimi nadgarstki i stopy. Przedpokój, w którym stała szafa na miotły, był przykryty jasną wykładziną, obawiała się więc, by nie pozostały na niej plamy. Stygmat na klatce piersiowej poplami tylko bawełniany T-shirt który łatwo się wypierze. Potem poddała się męce. To jedyna modlitwa, jaka została jej zaproponowana.

Kiedy skończy już uczestniczyć w Męce Chrystusa, będzie jeszcze miała czas, by zrobić pranie. Ta myśl ją uspokoiła. Poddała się ekstazie. Ach! Gdyby tylko potrafiła wyprać swą duszę!

\*

Jadalnia państwa Kassisów przypominała czasy Dyrektoriatu, tym bardziej że stały tu meble bankiera Jacques'a Neckera, który zamówił je w 1791 roku u stolarza Adama Weisweilera kiedy wrócił do Genewy po swej porażce jako minister finansów monarchii francuskiej.

Michel natomiast zaopatrywał się w Ikei. Kupował prefabrykowane meble, które potem sam składał, klnąc na źle przetłumaczoną ze szwedzkiego instrukcję obsługi. Nie miał zatem pojęcia, że siedzi na krześle, które - gdyby zostało wystawione na sprzedaż w Drouot - kosztowałoby tyle, ile wynosi jego miesięczne wynagrodzenie.

Michel przyglądał się umeblowaniu mieszkania. Był zafascynowany tymi odniesieniami do starożytności, która została zagarnięta przez rewolucyjny i napoleoński folklor: sfinksy, czapki frygijskie, dzidy, różgi liktorskie. W momencie gdy pojawiła się perspektywa nowego świata, ludzie zaczęli się odwoływać do starego, jak gdyby tym sposobem chcieli ręczyć za szaloną odwagę pragnienia wolności. Francja była już zmęczona byciem sobą, uważała się za Rzym. Lecz francuski lud ze swej natury jest ludzki tylko wtedy, kiedy trzyma się w równej

odległości od niegodziwości i cnoty. Próbował praktykować bezkompromisową cnotliwość z Robespierre'em i rozpętał straszliwą masakrę pod egidą Napoleona. Te meble świadczyły o spustoszeniach czystego rozumu.

Mona Kassis posadziła Theo po swej prawej stronie, a Michela po lewej. Charbel usadowił się naprzeciwko nich. Skończono przystawkę - danie rybne. Filety z pstrąga były przeplatane filetami z okonia, a cała konstrukcja polana sosem rybnym. Majonez z dodatkiem kremu Chantilly został przyprawiony szczypiorkiem. By zrosić to cudo, podano białe wino - Calamin z winnicy należącej do Jeana Duboux, która zajmuje najbardziej strome zbocze w Lavaux. W tym miejscu winorośl otrzymuje potrójną dawkę słońca: jego promienie docierają tu bezpośrednio, inne odbijają się od murków podtrzymujących tarasy, a jeszcze inne od jeziora, wodnego lustra o szerokości dziesięciu kilometrów.

Mona oznajmiła wszystkim, że ten wyśmienity posiłek zawdzięczają rybakowi Hermenance'owi, który regularnie przynosi jej swoje najlepsze zdobycze, ogrodnikowi, który, jeśli trzeba, zbiera świeże warzywa, a także kucharzowi, którego zwerbowała u Girardeta de Crissiera, zanim jeszcze zdążył porzucić tam pracę. Była niczym dobra wróżka, która - potrząsając magiczną różdżką - zwoływała wszystkie elementy uroczystości.

Michel poczuł ulgę, że nie musi już się martwić o pieniądze, ale pozostawał czujny. Przez całe życie znosił upokorzenia. Pod tymi pieszczotami, którymi głaskano jego zmysły, bez wątpienia krył się jakiś wstrętny spisek.

Od czasu do czasu zerkał ukradkiem na Monę, tak samo jak poprzedniego dnia patrzył na Ruth. Skrycie ją podziwiał. Była cudownie piękna, podobnie jak mieszkanki Wschodu, które przez całe pokolenia opaleni emirowie wybierali sobie spośród kobiet o najbledszej cerze, najbardziej regularnych rysach, najczarniejszych włosach. Mona wywodziła się z długiej linii syryjskich księżniczek, greckich małżonek i czerkieskich nałożnic.



Michel policzył szybko w pamięci: ostatni raz kochał się z Iriną trzydzieści siedem miesięcy temu, czyli zanim jeszcze wyrwał mu ją jakiś niewidzialny, tajemniczy i przerażający kochanek. Mona niesamowicie go pociągała, ale w końcu jakoś się opanował. Pomógł mu w tym Charbel, który powrócił do tematu wcześniejszej rozmowy:

- Profesorze, wspomniał pan, że interesuje pana wyłącznie „tu i teraz”. Jakim cudem doświadcza pan tego podwójnego uczucia? W takim wypadku musi pan mieć świadomość, że istnieje.

Michel zastanowił się przez chwilę, po czym odpowiedział:

- Dopóki nikt nie zadał mi tego pytania, odpowiedź wydawała mi się oczywista. Ale teraz, kiedy je pan sformułował, odnoszę wrażenie, że kwestia ta jest nierozwiązywalna. Jestem w pańskiej jadalni, przed chwilą zjadłem rybę i wypłem białe wino, widzę przed sobą trzy osoby, wiem, że jest dwunasta dwadzieścia, wszystkie te odczucia sumują się i uzupełniają wzajemnie, sytuując mnie w czasie i przestrzeni. Nie ma wątpliwości, że odziedziczyłem tę zdolność po moich dawnych przodkach myśliwych. Nawet zwierzę musi być świadome swego otoczenia, miejsca i czasu, w których przebywa. Nie możemy temu zaprzeczać, zwierzę musi posiadać świadomość, nawet jeżeli różni się ona od naszej. A zatem nie możemy twierdzić, że ta odczuwana przez nas świadomość, iż istniejemy, jest wyłącznie cechą ludzi. - Postarał się uśmiechnąć, by nie wydać się nudziarzem. - Zdajemy sobie jednak sprawę, jak bardzo różni się świadomość zwierząt od świadomości ludzi. Chętniej jadamy rybę niż mięso ssaków, ponieważ zimnokrwistym zwierzętom przypisujemy mniejszą świadomość niż ciepłokrwistym. Jeżeli chodzi o antropofagię, wykluczamy ją z tych samych powodów, których jakich ludożercy ją kochają: zjadając ludzkie ciało, przywłaszczamy sobie umysł zjadanej istoty ludzkiej. To jeden z wielu sposobów, by zmanifestować, że umysł i ciało tworzą jedną całość. Nie ma umysłu bez ciała.

Nie ma ciała bez umysłu.

- To bardzo stary pogląd - przerwał Theo. - Już dwadzieścia cztery wieki temu Demokryt twierdził, że dusza znajduje się w niektórych atomach ciała, które są bardziej okrągłe i bardziej gładkie niż pozostałe. Dzięki temu szczególnemu kształtowi w momencie śmierci rozpraszają się we wszystkich kierunkach, by ponownie się połączyć, być może także z atomami pochodzącymi z innych dusz. Wtedy taki umysł rozpoczyna nową przygodę. Jednak te olśnienia Demokryta jakoś nie wywierają na mnie wrażenia. Takie przesady winniśmy traktować jako poglądy czy szalone pomysły, które wymyśla człowiek, by opisać fakty. Czy zna pan jakieś bardziej aktualne teorie?

Wino pobudziło zmysły Michela. Teraz całym sobą pożądał Mony. Czystość, jaką narzuciła mu Irina, przeobrażała go w seksualnego maniaka. Kątem oka pieścił Monę, jej szyję, ramiona i piersi. Marzył o najczulszych pieszczotach. Chcąc zapanować nad sobą, skoncentrował się na swej przysadce, tym malutkim gruczole długości jednego centymetra, który steruje przepływem hormonów wstrząsających jego ciałem. Mimo wysiłków po raz kolejny stwierdził, że mężczyzna nie potrafi panować nad swą przysadką.

Czując ciągle ogromne podniecenie, odpowiedział w końcu:

- Nigdy nie zajmowałem się duszą, o której pan mówi. Dusza nie pojawia się na żadnym ekranie, nie można jej zważyć na żadnej wadze, nie wchodzi w reakcję z żadnym kwasem. Jak mawiał nasz bystry Demokryt, dusza znajduje się w naszym mózgu i nie istnieje poza nim. Theo odpowiedział:

- Jeżeli chodzi o bardziej aktualne prace na temat istnienia niematerialnej duszy, możemy odnieść się do bardzo znanego dzieła Francisa Cricka zatytułowanego Zdumiewająca hipoteza, które posiada ironiczny podtytuł: czyli Nauka w poszukiwaniu duszy.

- Ach tak - przyznał Michel. - Crick, ten który odkrył DNA. Przejrzałem jego

książkę, ponieważ omawia w niej przede wszystkim mechanizm postrzegania. Może i ten człowiek zna się na biologii molekularnej, ale ciężko u niego z wiedzą na temat przetwarzania obrazów. Nie wczytywałem się w jego wnioski, gdyż staram się nie marnować czasu. Kiedy dany autor zaczyna się rozwodzić się na jakiś temat, przeskakuję dalej.

- Właściwie Crick przyłączył się do tezy Demokryta - ciągnął Theo. - Ta ciągle utrzymująca się hipoteza zakłada, że to, co nazywamy duszą, jest tylko przejawem substancji mózgowej, i odkrywając w 1953 roku DNA, Crick sprowadził życie do czegoś w rodzaju bezwładnej materii. Czterdzieści lat później chciał znowu zabłyszczeć: udowodniwszy że życie daje się streścić do zjawiska chemicznego, pragnął następnie dowieść, że myśl ogranicza się do życia. Tym sposobem jeszcze bardziej rozczarował ludzi, ponieważ, jeśli mu wierzyć, jesteśmy tylko stosem atomów a świadomość pozostaje jedynie zacierającym się złudzeniem. To jest właśnie bolączka naszych czasów: nie potrafimy uchwycić głębszego sensu rzeczy, dlatego ten sens kwestionujemy. Tymczasem umysł istnieje: to, co myśli, musi posiadać inną naturę od tego, co jest myślane. W jaki sposób myśl pojęłaby determinizm, gdyby sama mu się nie wymykała?

Mona uznała, że rozmowa zaczyna zbaczać na coraz bardziej abstrakcyjne tory. Potrząsnęła więc dzwoneczkiem: pora przystąpić do drugiej części posiłku.

Z domu w Normandii, niedaleko Isigny, który Michel odziedziczył po przodkach, zabrał tylko kilka przedmiotów - te, które kształtowały jego dzieciństwo. Ale odwiedzający go goście mogli zobaczyć tylko jeden z nich: wiszące w przedpokoju duże owalne lustro. Jego rama z gipsu przypominała wieniec z róż i wawrzynu. Samo szkło zostało wyprodukowane w procesie rtęciowym, który nadaje odbiciu ponury zielonkawo-morski odcień. Można było sobie wyobrazić niezliczone sceny, jakie to lustro odbijało, i zastanawiać się, skąd miało jeszcze siłę, by ciągle to robić. To było lustro zmęczone odbijaniem.

W wieku ośmiu lat Michel odkrył w nim samego siebie. Aż do tej pory nie miał pewności, czy naprawdę istnieje: był częścią mieszaniny nieożywionych przedmiotów i istot żyjących, które zaludniały świat. Nie pojmował, że między nim a światem istnieje pewna granica: jego skóra, ten worek, w którym był zamknięty razem ze szkieletem i trzewiami, tym całym aparatem biologicznym, który odbierał dźwięki, obrazy, smaki i zapachy, który wchłaniał pożywienie i który w zamian zwracał ślinę, mocz i ekskrementy. Myśl, że jest zamknięty w tym worku i że nigdy się z niego nie wydostanie, wydawała mu się wówczas oczywista i jednocześnie nie do zniesienia. Jego sobowtór w kolorze morskim, jaki pojawił się w lustrze, groził mu śmiercią: prędzej czy później wyjdzie z tej zniszczonej ramy ze stiuku i połączy się z jego mięsnym ciałem, by wtrącić go w nicość.

Aż do owego dnia, jak wszystkie dzieci w tym wieku, Michel praktykował powierzchowny animizm. Jeżeli uderzył się o jakiś mebel, oznaczało to, że ów mebel był źle do niego usposobiony, karał go więc śmiałym kopniakiem. Grzmot, wiatr, ogień, morze, elektryczność, radio, lekarstwa - to wszystko żyło własnym życiem i było wprowadzane w ruch przez przekorne, podstępne, czasem prawdziwie okrutne duchy.

Kiedy zobaczył siebie w zielonym lustrze, wpadł w głębię samego siebie, jak gdyby do przepaści bez dna. Olimp dowcipnych bogów został wchłonięty przez tę otchłań. Nie było już miejsca dla nikogo, zwłaszcza dla Boga jedyne, który jakoby połączył w swojej osobie wszystkie trudności bycia licznych poprzedników. W Niebie nie było nikogo, ziemia była opuszczona, a Michel pozostał sam. Było to z całą pewnością jedyne metafizyczne doświadczenie z jego dzieciństwa, całkowicie negatywne, potęgowane wychowaniem w laickiej i wojującej rodzinie: ojciec był nauczycielem, a matka działaczką związkową. Przez to chłodne połączenie laickiego wychowania i marksistowskiego materializmu Michel przyszedł na świat na duchowej ławicy.

W ten piątek lustro także wisiało w przedpokoju jego mieszkania, naprzeciw szafy na miotły. Kilka minut wcześniej, upadając na wznak, Irina zobaczyła w nim swoje odbicie: leciała głową w dół, nogami do góry, ramiona miała rozłożone niczym na krzyżu. W ten sposób, na własną prośbę, został ukrzyżowany Piotr. Chciał skromnie cierpieć męczeństwo, nie czuł się godzien umierać tak jak jego Mistrz. Gdy tylko Irina to sobie przypomniała, od razu poczuła się lepiej, zawsze bowiem miała ogromny szacunek dla papieży.

Irina zauważyła, że za każdym razem, kiedy cierpiała mękę, jej ciało układało się symetrycznie w stosunku do ułożenia ciała Chrystusa na krzyżu: głowa Jezusa zawsze pochyla się w prawą stronę, natomiast jej głowa przechylała się w lewo; ponadto Jezus ma lekko podniesione lewe kolano, tymczasem Irina prawe. To lustro, które zmienia stronę prawą i lewą, sprawiło, że po raz pierwszy zobaczyła się w identycznie takiej samej pozycji jak ukrzyżowany Chrystus.

Kilka sekund później już się nie widziała. Jej twarz zmieniała wygląd, teraz była olśniewająca i ekstatyczna. Odbijała się na niej zarówno radość, jak i cierpienie. Jej duże oczy wpatrywały się w wizję, której tylko ona dostępowała. Rzekła: „Pragnę” Zaraz potem nie miała już siły, by wydać z siebie jakikolwiek dźwięk, zaczęła jęczeć i cicho szlochać. Chwilę później jej głowa przechyliła się jeszcze bardziej. Straciła przytomność. Chusteczki, którymi owinęła nadgarstki, były poplamione wyciekającą przez skórę krwią. Trzy inne ciemne plamy pojawiły się na stopach i klatce piersiowej. Wykładzina została oszczędzona.

Kiedy skończyli danie główne, Theo pochwalił kuchnię i wino - sześćioletnie Chateau Margaux. Wyjaśnił, że najbardziej z wszystkich win lubi bordeaux, ponieważ jego cierpki smak sprawia, że delikatne umysły piją je nieuważnie, nie dostrzegają jego zalet, ale za to stają się skłonne do refleksji. Nie mógł się powstrzymać, by nie spojrzeć na sekundnik zegarka. Pragnął zmierzyć, jak długo smak wina pozostaje w ustach. Okazało się, że dziesięć sekund.

Przesłał Charbelowi uśmiech z powinszowaniem, po czym zwrócił się do pani domu, by pochwalić danie - pularde polaną kremem z rukwii. Całą zasługę Mona przypisała swemu szoferowi, który pokonał około stu kilometrów, by kupić kurę w sąsiednim Bresse: tam dokonuje się uboju drobiu w osiemdziesiątym dniu, natomiast w Szwajcarii w czterdziestym drugim, zgodnie z nieubłagalnym rachunkiem, który zapewnia finansowe optimum hodowli. Rukiew, marchewki, pory, nowe ziemniaki - to wszystko pochodziło z ogrodu warzywnego, który Mona obiecała pokazać.

Michel znowu poczuł się źle. W jego domu posiłki rodzinne były przygotowywane byle jak: zupy z paczek, filety rybne, ziemniaczane puree, na deser sałatka owocowa z puszki, a wszystko to podane w wystroju Ikei, na plastikowych naczyniach, które mają tylko jedną zaletę: są odporne na uderzenia. To całe stołówkowe czy akademickie życie nie miało żadnego smaku: prawdziwe życie, jakie wiedziono w dworze w Cologny, toczyło się obok niego. Zbliżał się do pięćdziesiątki. Może przynajmniej teraz zacznie wreszcie żyć, goniąc za tą chimera, która nie wiedzieć dlaczego tak fascynowała bankiera.

Charbel dostrzegł na jego twarzy wyraz powierzchownego entuzjazmu. Gdy tylko stół został uprzątnięty, a wszystkie okruszki zmiecione przez szefa służby, który przypominał Michelowi jakąś postać z kina czy kreskówki, Charbel postanowił się wytłumaczyć:

- Drogi profesorze, na pewno zastanawia się pan, jakie motywy mną kierują. Chodzi tu przede wszystkim o to, co spotkało mój kraj, czyli Liban. Wojna, której w żaden sposób nie da się wyjaśnić, wybuchła w tym zakątku Środkowego Wschodu, gdzie najmniej się jej spodziewano, gdyż Liban to cywilizowany i spokojny kraj, który pomyślnie się rozwija.

- Zawsze tak jest, nawet jeżeli wydaje się to paradoksalne - wtrącił Theo. - W pierwszej połowie XX wieku Niemcy zniszczyły Europę, ponieważ było to

ognisko kultury, centrum badań naukowych, szczyt techniki. Chińskie przysłowie mówi, że ryba gnije od głowy. Chcemy zatem przeprowadzić badania, by dowiedzieć się, jaki jest mikrob zepsucia, a nie dlaczego wyłania się w miejscu, w którym ludzie najmniej się go spodziewają i gdzie właściwie stale zagraża. *Corruptio optimi pessima*.

Michel miał niewiele więcej pojęcia o łacinie niż o stylowych meblach, znakomitej kuchni czy winach. Ale całym sobą pochłaniał te subtelne wiadomości. Udawał więc, że rozumie i docenia. Charbel kontynuował:

- Przy powierzchownej analizie, jaką przeprowadzają kancelarie czy media, wyłania się wiele przyczyn wojny w Libanie - konflikt między Izraelem a Palestyńczykami, irański integralizm, spory między libańskimi klanami, apetyty syryjskiego sąsiada czy po prostu działania mafii handlujących bronią albo narkotykami. Ale Liban był tylko wrzodem chorego świata, chorego na głowę, cierpiącego na chorobę, która wylęgła się na Zachodzie: ta choroba to redukcja świata do tego, co mówią o nim nauki przyrodnicze; redukcja człowieka do tego, co wiemy o materii, z jakiej zbudowane jest jego ciało. Człowiek nie potrafi już dostrzec, że umysł rzeczywiście istnieje, dlatego rozpaczliwie kwestionuje jego istnienie.

Michel wtrącił najgrzeczniej, jak tylko potrafił:

- Myślę, że prawda jest dużo bardziej banalna. To, co się stało i nadal się dzieje na Bliskim Wschodzie, można wyjaśnić o wiele prościej: tam współistnieją różne wierzenia religijne, a więc religia żydowska, chrześcijańska i muzułmańska, które skłaniają do wzajemnej nietolerancji. Gdyby wojownicy wszystkich sprzecznych ze sobą religii zdobyli się na wysiłek i spróbowali działać bardziej racjonalnie, zjednoczyliby się, zamiast wchodzić sobie w drogę.

- Spodziewałem się takiego wyjaśnienia - rzekł Charbel - ale ono pozostaje ciągle powierzchowne. Węzeł gordyjski Bliskiego Wschodu tkwi w Izraelu. Ten

kraj został wskrzeszony w 1948 roku, by mogli się w nim schronić ocaleni z Szoah, pierwszego pogromu, który miał podstawy naukowe. Ta przemysłowo zorganizowana masakra była uzasadniana teorią wyższej rasy. W XX wieku diaspora żydowska z Europy została wypędzona do Izraela, ponieważ w Niemczech stawała się nie do zniesienia. W obliczu triumfującej nauki i techniki ten naród mieszkający wśród Niemców świadczył o prymacie transcendentnego i jedyne Boga. Germański imperializm w kulturze, nauce, przemyśle opierał się na rzekomych racjonalnych i uniwersalnych zasadach, którym zaprzeczało życie każdego przeciętnego Żyda i nie miało znaczenia, czy był wierny, czy nie Prawu Mojżeszowemu. Niewierzący Żyd - określmy go w ten sposób - ciągle pozostaje osobą wierzącą, która tylko gniewa się na Jahwe.

- Przepraszam, ale nie mogę się z panem zgodzić - odezwał się Michel. - Według mnie źródło niemieckiego rasizmu może równie dobrze tkwić w starej istocie germańskiego pogaństwa, które opiera się na muzyce Wagnera, blond boginiach i niepokonanych bohaterach. By wypowiedzieć wojnę, trzeba być przekonanym, że jest się najsilniejszym, i wierzyć, że ma się do tego prawo. Religia to drugorzędny motyw.

Charbela jakoś to nie przekonało. Kontynuował więc swoją myśl:

- W momencie gdy człowiek zaczyna uważać, że świat ogranicza się tylko do materii, która podlega ślepych siłom kierującym jej ewolucją, nie ma już miejsca na wolność i godność człowieka. Istota ludzka staje się jedną z wielu rzeczy. W końcu dochodzimy do horroru: Auschwitz to maszyna do uprzedmiotowienia ofiar, do odmawiania im wszelkiej transcendencji, do sprowadzania ich do skupiska cząsteczek, które można rozłożyć na części. Zbiera się włosy, by wytwarzać włókna, tłuszcz, by produkować mydło, złote zęby, by wytapiać sztabki, skórę, by robić abażury.

- Charbel! Jesteśmy przy stole! - krzyknęła Mona. Jak każda kobieta Mona



wierzyła, że wszystkie okropności można unicestwić, po prostu o nich nie mówiąc. Nie dlatego, że chciała za wszelką cenę zachować pozory. Ona naprawdę marzyła o świecie, którego hałas i szaleństwo nie byłyby większe od dźwięku trzymanej w koniuszkach palców srebrnej łyżeczki obijającej się o filiżankę. Gdyby Bóg był światową kobietą, rzeczy potoczyłyby się zupełnie inaczej.

Ta przesadna elegancja znowu ostro pobudziła zmysły Michela. Starał się nie patrzeć w stronę Mony, ale nie potrafił nie wdychać jej perfum. Między nagim ramieniem Mony a jego ręką był jakiś metr odległości, ale miał wrażenie, że z ciała tej kobiety promieniuje ciepło, które przeszywa jego skórę.

- Obóz zagłady to tylko wynurzony czubek góry lodowej - ciągnął z niezmaconym spokojem Charbel. - To miejsce, gdzie obrzydliwość tego projektu wyszła na światło dzienne. Dzisiaj to nadal trwa, ale odbywa się dużo ciszej. Maszyna redukująca ludzi do ich funkcji ekonomicznej rządu obecnie całym światem, a jej siłą napędową są Stany Zjednoczone. Wewnątrz tego kraju umożliwia to asymilację imigrantów, na zewnątrz zaś normalizację rynków, uzależnienia reklamowe, produkowanie infantylnej i konwencjonalnej kultury masowej. - Odetchnął, po czym powiedział wreszcie, o co tak naprawdę mu chodzi. - Jeżeli istnieje możliwa do zbadania różnica między człowiekiem a rzeczą, pragnę, by pan ją określił. Mam nadzieję, że powszechnie dzisiaj królująca ideologia deterministyczna, materialistyczna i rynkowa zawali się, tak samo jak runęła doktryna marksistowska wraz z upadkiem muru berlińskiego. Musimy zmienić kulturę. To jedyna nadzieja na pokój na płaszczyźnie cywilnej i międzynarodowej, jaką mogę sobie wyobrazić. Nie będzie pokoju między ludźmi, jeżeli nie będzie pokoju między wiarą a rozumem.

Kiedy Charbel zakończył swą wzniosłą mowę, Mona, która często musiała wysłuchiwać podobnych wywodów, zaproponowała, by przejść do deseru. Na tarasie podano kawę. Wpatrując się w przepiękny krajobraz, biesiadnicy mogli

spokojnie przejść do dalszej części rozmowy. Charbel Kassis poprosił Theo, by formalnie omówił projekt.

- Istnieje wiele sposobów, by określić, czy człowiek jest lub nie jest rzeczą. Żaden sposób nie jest rozstrzygający, ale wszystkie razem mogą współdziałać, by wzmocnić tę czy inną tezę. Wyjaśnić nam może to na przykład tak skrajny przypadek, jakim jest klasztor, chrześcijański czy buddyjski, wszystko jedno. Klasztor pokazuje, że człowiek nie jest rzeczą. Wyrzeka się on wszelkich rzeczy, by żyć mogło w nim tylko to, co rzeczą nie jest. Kilku osobom się to udało: Janowi od Krzyża, Teresie z Lisieux czy jeszcze innym. W naszych badaniach nie możemy lekceważyć doświadczeń mistycznych. Są one powszechnym i pewnym zjawiskiem.

- Tak - odezwał się Michel - ale tego doświadczenia nie da się opisać i dotyczy ono tylko garstki ludzi. To doświadczenie świadczy o skłonności do marzenia, iluzji. Jest to odchylenie od normy. I to samo możemy przecież powiedzieć o oprawcy. Oba przypadki są równie niejasne. Jeżeli żaden człowiek nie jest rzeczą, to dlaczego kilku z nich usuwa się z życia, wstępuje do klasztoru, by udowodnić, że nie są przedmiotami? Chyba tylko po to, by dowieść, że pozostali nimi są.

Charbel zagwizdał z podziwu, choć w przypadku człowieka tak powściągliwego mogło to uchodzić za niestosowne:

- Profesorze, jest pan wyśmienitym dialektykiem. Proponuję, byśmy pozwolili mówić profesorowi de Fully'emu. Jesteśmy dopiero na etapie metodologii. Musimy się zdecydować, jakie doświadczenia przeprowadzimy. Oczywiście żadne z opisanych dotychczas doświadczeń nie stanowi dowodu. To są tylko przypuszczenia, że dusza istnieje. Ale proszę być spokojnym, nie mam bynajmniej zamiaru otwierać ani obozu koncentracyjnego, ani klasztoru.

Zanim Theo zdążył odpowiedzieć, wtrąciła się Mona:

- Muszę przyznać, że niczego nie rozumiem z tych waszych przemyśleń. Zastanawiam się nawet, o czym wy mówicie i gdzie leży problem. Nigdy w życiu nie przyszło mi do głowy, że mogę być rzeczą, chyba że nadamy temu słowu nowy sens. Rzecz nie zastanawia się, czy jest rzeczą. Jeżeli człowiek, a zwłaszcza kobieta, zastanawia się, czy jest rzeczą, to ewidentnie oznacza, że rzeczą nie jest.

Irina zdołała przygotować sobie herbatę, która dodała jej trochę otuchy i pomogła nabrać sił. Cztery chusteczki i T-shirt wesoło tańczyły w pralce razem z innymi ubraniami. Siedmioosobowa rodzina seryjnie produkuje brudne ubrania. Jej ekstazy nie stanowią więc większego problemu, jeżeli chodzi o pranie. Pralka była jej ulubionym narzędziem. Natomiast nigdy nie próbowała się oswoić ze zmywarką. Najwięcej wagi przywiązywała zawsze do tego, by ciało było schludnie przyodziane, a to, co wchłaniało, nie miało już dla niej większego znaczenia.

Starannie zamknęła szafę, a klucz zawiesiła na noszonym na szyi łańcuszku, obok malutkiego złotego krzyżyka, jaki otrzymała w dniu swego chrztu, czterdzieści lat temu w miasteczku w Karpatach, gdzie wysłannicy tyrańca Ceaucescu nie wysłędzili obecności popa.

Zadzwoiła jej matka. Potrzebowała butelki wody mineralnej, by popić lekarstwa. Do wody z kranu jakoś nie była przekonana. Irina zrezygnowała więc ze służby Stwórcy, by poświęcić się służbie stworzeniom.

Przez krótką chwilę, kiedy zamykała drzwi mieszkania, wydawało się jej, że z drzwi szafy wystaje lśniąco biała szata. Anioł lubił nieszkodliwe żarty. Uśmiechnęła się. Wiedziała, że sam za chwilę ją schowa.

Dzięki aniołowi tak wiele dowiedziała się o sobie samej, ale on sam też ciągle się uczył. Bóg, podobnie jak wszyscy kochankowie, starał się objawiać w tych, których kochał.

Norbert Viredaz uwielbiał piątkowe popołudnia, gdyż każdej soboty wyjeżdżał z miasta i spędzał cały dzień w swojej winnicy. Dzień wcześniej, mając taką perspektywę, nabierał wystarczająco siły, by w ostatniej chwili podjąć jakieś działania, angażując tę krztę umysłu zarządcy, w jaką wyposażyła go natura.

Około godziny czwartej osobiście zadzwonił do Seana Briana Montague'a. Chciał natychmiast z nim porozmawiać. Nie było to w jego zwyczaju. Na ogół unikał rozmów nawet z profesorami, których wzywał tylko wtedy, gdy miał zamiar ich zwolnić. Całkowicie jednak ignorował asystentów.

Sean wszedł więc do gabinetu rektora, przeczuwając najgorsze. Jako Irlandczyk był szczególnie podejrzliwy. Zaatakowany Celt to ludzki odpowiednik wygłodzonego tygrysa, który poszukuje zwierzyny.

Norbert poprosił gościa, by usiadł. Na jego twarzy pojawiło się coś w rodzaju uśmiechu. Spomiędzy zaniedbanych zębów wydostawał się jego ciężki oddech. Poklepał leżące przed sobą dokumenty Seana, po czym odezwał się:

- Panie Montague, nie będę owijał w bawełnę. Jest pan jednym z najbardziej błyskotliwych pracowników tej uczelni. W świetle szwajcarskiego prawa ma pan tylko jedną wadę: od bardzo dawna przebywa pan w tym kraju, choć nie jest pan jego obywatelem. Oczywiście, posiadając umowę o pracę i kartę pobytu, ma pan prawo tutaj pozostać. Ale dzięki swym zdolnościom naukowym zasługuje pan na bardziej stabilny status.

Wspominając o narodowości, Viredaz ukłął Seana w najczulsze miejsce.

- Jestem obywatelem Irlandii - powiedział pogardliwym tonem.
- Wiem, wiem, ale to nie stabilizuje pańskiej sytuacji.
- Życzy pan sobie, bym odszedł z uczelni?
- Ależ nie. Wręcz przeciwnie. Jednak nie możemy w nieskończoność zatrudniać naukowców, którzy nie są Szwajcarami.
- Chce pan, bym przyjął obywatelstwo szwajcarskie?

- To niemożliwe. Powinien pan o tym wiedzieć, panie Montague. By rozpocząć starania o obywatelstwo, trzeba najpierw dwanaście lat mieszkać w Szwajcarii. Potem cała procedura zajmuje przynajmniej dwa, trzy lata. Pan przebywa tutaj od trzech lat. W najlepszym razie, jeżeli nasza politechnika wystawi panu pozytywną opinię dla Urzędu ds. Cudzoziemców, będzie pan musiał czekać jeszcze siedem, osiem lat. Nie będziemy więc mogli zatrzymać pana na stanowisku asystenta. Obcokrajowcy pozostają na ogół na uczelni do czasu ukończenia prac doktoranckich.

- A zatem staje się jasne, że muszę odejść.

- Wcale nie. Wręcz przeciwnie. Pragnę, by pan pozostał. Jest jedna furtka, z której mogę skorzystać: przyznać panu tytuł profesora. Dzięki takiej nominacji automatycznie otrzyma pan kartę stałego pobytu.

Sean zebrał myśli:

- Chce pan otworzyć drugą katedrę przetwarzania sygnałów?

- Niestety nie. Zna pan ograniczenia budżetowe, jakie narzucają nam urzędnicy w Bernie.

Norbert Viredaz zamilkł. Skrzyżował ręce na piersi i zaczął obracać kciukami. Tym sposobem dawał do zrozumienia Seanowi, by sam się zastanowił i wyciągnął wnioski. Rektor, którego czas już z definicji był niezwykle cenny, siedział sobie i kręcił palcami. Dawniej, w czasach kiedy wszystkie parafialne grupy teatralne szalały na punkcie języka gestów, Norbert amatorsko bawił się w mima. Zapamiętał tę metodę. Pewnego dnia, w przyływie dobroci, wyjaśnił wszystkie jej subtelności kierownikowi ds. personelu. On jednak nic z tego nie zrozumiał i potem odczuwał jeszcze większą nieufność do rektora. Wiedział, że Viredaz jest pijakiem i bałaganiarzem, podejrzewał, że jest erotomanem, a teraz odkrywał, że najwyraźniej jest niedorozwinięty umysłowo.

W umyśle Seana zaczęły rodzić się mordercze myśli. W końcu jakoś nad

sobą zapanował i niezwykle chłodno zapytał:

- Sugeruje pan, iż miałbym zastąpić profesora Martina.

- Dobrze mnie pan zrozumiał.

- On nie jest w wieku, kiedy przechodzi się na emeryturę.

- Za sześć miesięcy wygasa jego sześcioletni mandat. Może się zdarzyć, że nie otrzyma ponownej nominacji.

Sean przewyciężył wstręt, by przekonać się, dokąd doprowadzi go ta rozmowa:

- Panie rektorze, nie ma żadnego powodu, by profesor Martin nie został ponownie mianowany. Laboratorium przetwarzania sygnałów działa najaktywniej z całej uczelni. Wystarczy tylko spojrzeć na liczbę publikacji, doktoratów, patentów. Laboratorium podejmuje też szeroką współpracę z branżą przemysłową. Zdaniem wszystkich pracowników profesor Martin jest najlepszym na świecie specjalistą od przetwarzania sygnałów. Nie znajdzie pan ani jednego eksperta, który by temu zaprzeczył. Byłoby to śmieszne.

- No właśnie!

- No właśnie co?

- Jak wszyscy Francuzi, profesor Martin jest zarozumiały. Ma za dużą władzę na tej uczelni. Sprzeciwia się postanowieniom zarządu. Przez swoją szaloną działalność i światową sławę ośmiesza niektórych kolegów, może mniej bystrych, ale za to bardzo wpływowych w kręgach rządzących tym krajem. Pod względem naukowym jest bez zarzutu, pod względem politycznym nie do zniesienia. Między nim a dyrekcją nie ma już porozumienia.

Ta formułka weszła do słownictwa Viredaza pod wpływem Władcy, który zawsze w ten sposób okazywał niezadowolenie. Sean zaniemówił z osłupienia: wydawało mu się, że na dobrotliwej twarzy Norberta Viredaza dostrzegł uśmiech władzy. Rektor powtórzył z lekkim rozdrażnieniem, jak gdyby zwracał się do

dziecka, które niczego nie pojmuje:

- Powinien pan wiedzieć, że odwołanie profesora Martina stanowi rzeczywiście problem. Jest doskonale znany w mediach, a one mogą rozpętać burzę. Zatem zarząd uczelni musi posiadać mocne dowody, a pan pomoże nam je skompletować. Profesor Martin, jak wszyscy ludzie, ulega czasem jakimś pokusom. Ja nie mogę wszystkiego widzieć. Dla dobra politechniki musi pan mieć uszy i oczy szeroko otwarte. Nie pozostanę niewdzięczny.

Viredaz machnął ręką, jak gdyby odpędzał muchę. Był to znak, że audyencja została zakończona. Sean uciekł najprędzej, jak tylko mógł.

Po wypitej późnym popołudniem herbacie Michel i Theo pożegnali się i odjechali z Cologny. Michel siedział za kierownicą, dlatego z pewnością był skupiony. Theo uznał więc, że to dobry moment, by szczerze mu powiedzieć, czego tak naprawdę oczekuje:

- Proszę przez chwilę założyć, że telepatia istnieje. Czy mógłby pan przeprowadzić doświadczenia w tym zakresie?

- Nie mam na to najmniejszej ochoty - odpowiedział Michel. - Nie interesuje mnie ani telepatia, ani horoskop, ani latający talerz, ani cudowne uzdrowienia. Nie bawi mnie ta cała gmatwanina fałszywej nauki, która wywiera tak wielkie wrażenie na miłośnikach zjawisk nadprzyrodzonych. Ośmieszyłbym się w oczach kolegów. W jednej chwili moja reputacja ległaby w gruzach. Moi współpracownicy wyśmialiby mnie, a tym samym Viredaz miałby świetny pretekst, żeby się mnie pozbyć.

- Nie mówię panu o hipotezach - powiedział Theo. - Zanim podjąłem decyzję, by zająć się naukowo tym projektem wziąłem udział w kilku doświadczeniach u Charbela Kassifa. Zaraz panu wszystko wyjaśnię. Mamy dwie stacje robocze Sun jedna u mnie, w Fully, a druga tutaj, w Cologny. Odległość

między nimi wynosi jakieś sto kilometrów. Są ze sobą połączone linią telefoniczną, a wymiana danych odbywa się w następujący sposób: na monitorze w Fully wyświetlają się liczby od jeden do pięć, które wybiera generator liczb losowych. Równie dobrze mogłaby je wybierać ruletka posiadająca tylko pięć pól.

Michela przeszedł dreszcz. Czy Charbel albo Theo wiedzieli o jego wczorajszej eskapadzie? Jeżeli tak, oznacza to, że on i jego współnicy byli śledzeni. Ale dlaczego ktoś miałby to robić? Przez całą noc grali w tę samą grę, obstawiając jedno z pięciu pól, w które miała wpaść kulka. A wynik niemiło ich zaskoczył.

- Ja przypatruję się cyfrze, która pojawiła się na ekranie - ciągnął Theo. - Potem naciskam pytajnik, który wyświetla się w Cologny. Teraz Charbel musi zgadnąć, która z pięciu liczb wyświetliła się w Fuldy, i wpisać ją do komputera. Jeżeli są to te same cyfry, zostaje wyemitowany specjalny dźwięk. W przeciwnym razie nie słyszymy nic. Oznacza to, żeśmy się pomylili. Wyniki są cały czas rejestrowane i sumowane. Pracujemy seriami, a każda seria składa się z trzydziestu testów. Potem robimy pięciominutową przerwę, po czym rozpoczynamy następną serię. Z doświadczenia wiemy, że skuteczność maleje po pięciu kolejnych seriach i że trzeba odpocząć. Ten spadek skuteczności jest sam w sobie argumentem potwierdzającym, że to zjawisko rzeczywiście istnieje.

- A wyniki? - zapytał Michel. Theo de Fully odczytał wydruk z komputera:

- Przeprowadziliśmy 151 serii, a zatem 4530 testów. Średnio powinniśmy uzyskać 906 prawidłowych wyników, czyli jeden na pięć. Tymczasem nam udało się 1003 razy, czyli o 10 procent więcej, niż można się było spodziewać. Przy tak dużej liczbie przeprowadzonych testów takie odchylenie ma szansę pojawić się przypadkowo tylko trzy razy na dziesięć tysięcy. Uważamy więc, iż jest to niezwykle interesujące doświadczenie. - Wydawał się naprawdę podekscytowany. Ciągnął dalej. - To samo doświadczenie przeprowadziliśmy w jednym z pokoi w



Cologny. Pomieszczenie było podzielone na dwie części za pomocą nieprzejrzyściego ekranu, a dwa komputery były ustawione tyłem do siebie. Na 2910 wykonanych testów otrzymaliśmy 932 poprawne wyniki, podczas gdy średnio mogliśmy się spodziewać tylko 582. Prawdopodobieństwo, że taki wynik to przypadek, jest mniejsze niż jeden na miliard. Oba doświadczenia powtórzyliśmy dwanaście razy i za każdym razem otrzymywaliśmy porównywalne wyniki. Oznacza to, że wynik jest zawsze wyższy od tego, co uzasadniałby przypadek. Możemy więc mówić o jakimś zjawisku natury fizycznej. Jestem fizykiem, dlatego interesują mnie takie rzeczy. Czy to panu wystarczy?

- Nie jestem zbyt dobry w statystyce - odparł Michel. - Kiedy wynik jest zależny od przypadku, wszystko może się zdarzyć. Wynik niczego nie dowodzi. Przekażę pańskie rezultaty Ruth Naouri. To jedna z moich asystentek.

Na tym rozmowa się zakończyła. Jadąc do Lozanny, Michel więcej myślał o Monie niż o projekcie. Postanowił, że zgodzi się na to wszystko, choć sam nie rozumiał dlaczego. Nie chciał przyznać przed sobą, że zdecydowałby się na największe szaleństwo, byle tylko mieć okazję znowu ją zobaczyć. Kobiety są ucieleśnieniem humoru Boga.

Gdy tylko Theo wszedł do swego biura, zadzwonił do brata, by go o wszystkim poinformować. Emmanuel wysunął obiekcje:

- Odnoszę wrażenie, że chcemy przedobrzyć. Byłoby dużo prościej, gdybym bezpośrednio przekazał ci pieniądze i to ty byś ewentualnie stworzył własne laboratorium badawcze. Profesor Martin nie może odkryć czegoś, co uważa, że nie istnieje, i czego w żadnym wypadku odkryć nie chce.

- Martin to strażnik laickiej racjonalności. Tylko we Francji możemy znaleźć tak osobliwe umysły, które stosują ścisłą metodę do dziwacznych celów. Profesor Martin wywodzi się z politechniki i Telecom Paris, czyli dwóch wielkich szkół, które kontrolują Republikę. Jeżeli on się zgodzi zająć tym projektem, Wolter,

Comte i Monod będą musieli zwrócić to, co bezprawnie zabrali, choć dawno już nie żyją. Jeden z ich uczniów musi poczuć skruchę. Paweł z Tarsu stał się największym chrześcijańskim misjonarzem, ponieważ wcześniej prześladował chrześcijan. Jeżeli człowiek się nawraca, to wcale nie nadaje nowego kierunku drodze, którą idzie, lecz diametralnie zmienia całą drogę.

- Ja dysponuję wszystkimi środkami, które powierzyli mi chrześcijańscy finansiści. Charbel Kassis to tylko pośrednik. Jest to jedna z ostatnich szans dla Kościoła. Dlaczego mamy aż tak ryzykować?

- Mój drogi Emmanuelu, rozumiesz jak bankier, a ja jak badacz. Czy wiesz, że wszystkie wielkie odkrycia dokonały się w wyniku jakiejś pomyłki?

- A zastanowiłeś się, jak Martin zareaguje, gdy odkryje, że pracuje dla Kościoła, choć nikt go o tym nie poinformował? Będzie wściekły, że w ten sposób się nim manipuluje.

- Nie ma o czym mówić. Każdym z nas ktoś manipuluje. Pozostaje tylko zastanowić się kto. W którym momencie manipulator sam zaczyna być manipulowanym? Co jest początkowym motorem tego całego przedsięwzięcia?

- Pewnie masz rację - odparł Emmanuel, głośno przy tym wzdychając. - Nawet diabła stworzył Bóg.

Gdy tylko Theo odłożył słuchawkę, zadzwonił telefon. Po drugiej stronie usłyszał swą siostrę. Przedstawił jej sytuację. Colombe nie była zbytnio zachwycona:

- Zupełnie nie mogę zrozumieć, co próbujesz osiągnąć. Czy nie mógłbyś przez chwilę założyć, że przekonania tego całego Michela Martina są solidnie zakorzenione i na nich zbudowana jest cała jego osobowość? By udowodnić, że dusza istnieje, jesteś gotów zniszczyć jedną z nich.

Theo chciał odpowiedzieć cynicznie: by zrobić omlet, trzeba rozbić jajka. Jednak na tyle dobrze znał już siostrę, by wiedzieć, że od razu wpadłaby w szal.

Sam zresztą też miał skrupuły i pragnął wysłuchać do końca, co ma do powiedzenia:

- A właściwie co chcecie udowodnić? Nigdy żadne fizyczne doświadczenie nie potwierdzi ani jednego punktu wiary. To już samo w sobie jest sprzeczne. Nie istnieje dowód na istnienie Boga ani dowód na istnienie duszy, co praktycznie na jedno wychodzi. Emmanuel jest przerażony, bo jego Kościół się wali. Uważa, że to wina postępu w nauce, dlatego chce przeciągnąć naukę na swoją stronę. To dziecinada. Nie powinienes mu pomagać w taki sposób. Ponosisz ogromną odpowiedzialność w całej tej sprawie.

- Właśnie o to tu chodzi. Nauka nie może powiedzieć, czym są Bóg i dusza, ale może powiedzieć, czym nie są.

- To nic nie znaczy. Zwykle puste słowa, jakaś czcza gadanina. Za dużo rozmawiasz z Emmanuelem. Jeszcze trochę i zaczniesz mówić jak on, czyli będziesz głądził tak, by nic nie powiedzieć.

- Nie. To ma sens. Przed Newtonem uważano, że wszechświat to kula, a tę kulę otacza sklepienie gwiazd. To sklepienie stanowiło materialną granicę między tym, co na Dole, a tym, co w Górze. Kopernik, Galileusz i Newton wyrzucili Boga z fizycznie zlokalizowanego Nieba poza wszechświat, a mędracy z XX wieku dokończyli tego dzieła ze swą względnością i fizyką kwantową. Obecny model wszechświata jest czymś w rodzaju przestrzenno-czasowej bańki i tylko wewnątrz niej cztery wymiary mają jakiś sens: transcendentja sytuuje się poza przestrzenią i czasem; Bóg nie jest ponad wszechświatem ani z boku; nie istniał przed wszechświatem; nie ma czasu absolutnego, który byłby wiecznością. Zlikwidowano pewien obraz Boga, który był zbyt mitologiczny, zbyt antropologiczny. Chrześcijański teolog nieuchronnie musiał produkować coś w rodzaju mieszanki metafizycznej między Bogiem Abrahama, Zeusem z Olimpu a bogiem Platona.

- A ty, który uważasz się przynajmniej za Newtona, co próbujesz odkryć?
- Gdybym to wiedział, nie musiałbym tego szukać.

## VII

W soboty i niedziele Michel poświęcał się rodzinie. Prawdziwa rutyna: zakupy, lekcje pływania i gry na pianinie, wizyty u pediatry, wycieczki do pralni chemicznej i szewca, podpisywanie dzienników, pomaganie dzieciom w odrabianiu lekcji, wymienianie bezpieczników i przepalonych żarówek. Ale przede wszystkim zajmował się gotowaniem. Przyrządzał koguta w winie, wołowinę po burgundzku, kurczaka z ryżem, rosół, udziec z indyka, kapustę - te wszystkie dania, które trzeba gotować powoli, by nabrały odpowiedniego smaku. Była to jakaś odmiana od hamburgerów, hot dogów, chipsów, puree ziemniaczanego z paczki, sałatki owocowej z puszki, czyli tego codziennego pożywienia, które serwowała jego żona, by zaoszczędzić czas. Tylko cóż takiego robiła w tym zaoszczędzonym czasie?

Irina już z natury była niezdolna do ogarnięcia siedmioosobowej rodziny. Przez całe dzieciństwo karmiono ją sztuką złego życia, a teraz sama propagowała ją wokół siebie. Dzieciństwo, jakie spędziła w Rumunii, nauczyło ją niedbalstwa i rezygnacji. Brudna podłoga, zepsute zęby, byle jakie posiłki wpisywały się w logikę świata planowanego przez niekompetentnych aparatczyków, którzy bez ustanku rozprawiali o dobrobycie ludzkości, choć jednocześnie bez żadnych wyrzutów sumienia go lekceważyli. Rumunia była idealnym polem doświadczalnym dla marksistowskiej ułudy, sławiącej jednocześnie słowiańską anarchię, łacińską nonszalancję i otomańską brutalność. Ktoś kto wychował się w kraju rządzonym przez tyrana Ceaucescu - współczesnego Nerona, łatwo wybacał takie wady Iriny, ale zgodnie z pedantycznymi kryteriami jej szwajcarskich sąsiadów Irina była kompletnym zerem jako gospodyni domowa, niezgłębionym domowym nadirem. Gdy tylko jakaś kobieta w okolicy powątpiewała, czy dobrze

zajmuje się domem, jej przyjaciółki radziły jej odwiedzić, pod byle jakim pretekstem, mieszkanie Martinów. Samopoczucie takiej kobiety od razu się poprawiało.

Od czasu do czasu anioł robił jej z tego powodu drobne wyrzuty, ale aż tak bardzo nie naciskał. Koniec końców lenistwo było jednak mniejszym grzechem niż na przykład rozwiązłość czy pycha. Te napomnienia co prawda zawstydzaly Irinę, ale jakoś nie wpływały na zmianę jej zachowania, ponieważ w jej oczach anioł, a nawet sam Bóg, nie przejawiali zbyt dużych zdolności w prowadzeniu domu. Ich ziemski przedstawiciel, ojciec Balthasar Alvarez, wydawał się również pozbawiony takich umiejętności. A zatem uwagi - tak, rady - nie. Według obserwacji Iriny Duch wiał zawsze mocno, gdzie chciał i kiedy chciał, ale Jego powiew słabo odczuwało się w kuchni i pralni. Czasem wyobrażała sobie, że Jezus z Nazaretu był porządnym młodym Żydem, który mieszkał z matką do trzydziestego roku życia. Jezusa przerastała jednocześnie troska o sprawy swego ziemskiego ojca i Ojca niebieskiego. Stąd właśnie pewnie brały się te Jego ciekawe braki typowe dla kawalera: nie bardzo radził sobie z wymaganiami codziennego życia. Bóg stał się człowiekiem, jednak nie chciał stać się kobietą.

W sobotę wieczorem Michel ugotował ogromną miskę spaghetti po bolońsku, nie oszczędzając oliwy z oliwek ani parmezanu. W niedzielę zaś na obiad zaserwował wystawnie przyrządzony kuskus. Przyozdobił go czarnymi winogronami i polał ładnie pachnącym topionym masłem. Pani Vescovici uświetniła posiłek swoją obecnością i najadła się przynajmniej na dwa dni.

W ten sposób, w tajemnicy przed córką, za zaoszczędzone pieniądze będzie mogła sobie kupić papierosy i porto.

Dzieci z pełnymi żołądkami przestały się w końcu kłócić, a wieczór zakończył się oglądaniem kreskówki w telewizji. Potem Michel opowiedział najmłodszemu bajkę o Pinokiu, a starszemu historię o Krzysztofie Kolumbie. Ułożył

je do snu i patrzył przez chwilę na ich śpiące twarze. Pokochał w końcu te dzieciaki, choć dobrowolnie na świat ich nie sprowadził. Instynkt, ten węż umysłu, był najlepszym doradcą ludzkich działań, pewnie dlatego że ta forma inteligencji nie była świadoma samej siebie.

Po takim dwudniowym odpoczynku Michel lubił budzić się w poniedziałek rano. Wracał do na nowo obmytego świata. Jego umysł był pusty, tak samo jak kosz w komputerze, który zawsze opróżniał przed wyłączeniem maszyny. Przez resztę tygodnia tak właściwie nie żył. Jego mózg, niczym multiprocesor, pracował na największych obrotach, by jak najszybciej rozwiązać rozmaite problemy naukowe, administracyjne i rodzinne. Rzadkie i krótkie przerwy poświęcał na zaspokajanie potrzeb fizjologicznych. Na ogół brakowało mu czasu na sen i jedzenie - wszystko to robił w pośpiechu. Podtrzymywał swoje ciało tylko w jednym celu: miało ono utrzymywać ten fizjologiczny komputer, czyli jego mózg, który został świetnie połączony w całość przez rodziców i precyzyjnie programowany dzięki nieustannej nauce.

Zupełnie naturalnie zatem Michel doszedł w końcu do wniosku, że jest inteligentną maszyną, może nie automatem, ale raczej urządzeniem złożonym, które reaguje na sygnały zewnętrzne, gromadzi doświadczenia i przetwarza je ze ścisłą logiką. Dziwił się, że inni ludzie mają jeszcze czas wolny i chęć do życia. W wyniku jakiejś sekwencji niezrozumiałych wydarzeń należał do coraz mniejszej garstki ludzi, którzy pracują coraz więcej, by większość w ogóle nie musiała pracować. Doskonale zdawał sobie sprawę, że musi jakoś się trzymać. Jeżeli się załamie, straci pracę i zostanie wyrzucony na bruk, gdzie gniją ludzie skazani na łaskę opieki społecznej. Społeczeństwo było zainteresowane jedynie jego wyjątkowym mózgiem. Nie wahał się więc go nadużywać, z doświadczenia bowiem wiedział, że intelektualistę obowiązuje tylko jedna higiena: przepracowania.

Jednak w poniedziałek, po pierwszym spotkaniu z Charbelem Kassisem, Michel wstał z mieszanymi uczuciami: z jednej strony, jak zawsze, rozpoczynał tydzień z wypoczętym umysłem; z drugiej strony czuł się dziwnie - w nadchodzącym tygodniu czeka go zadanie, z którego najchętniej jak najszybciej by się wycofał, choć nie miał pojęcia, jak to zrobić.

Jeżeli naukowiec jest przeświadczony, że dusza istnieje, być może w końcu ją odkryje. Krzysztof Kolumb też przemierzał Atlantyk, nie tracąc wiary, że prędzej czy później dobieje do brzegu. I rzeczywiście zobaczył wreszcie brzeg, choć nie taki, jakiego się spodziewał. Ale w jaki sposób Michel miałby dowieść istnienia czegoś, co w jego mniemaniu nie istnieje? W pracy naukowej wystarczy odkryć jedno rozwiązanie, by upewnić się, że dany problem nie jest nierozwiązywalny, ale nie istnieje żadna metoda, by wykazać, że źle postawione pytanie nie ma odpowiedzi.

Na godzinę dziewiątą rano zwołał zebranie w swym biurze. Musiał poinformować Seana i Ruth o dziwacznej sytuacji, w jakiej się znaleźli. Nie chcąc się całkowicie ośmieszyć, poprosił Theo, by był obecny przy tej rozmowie. Prestiż, jakim ten stary mistrz cieszył się wśród młodego pokolenia, doda pewnego blasku spotkaniu, którego Michel się obawiał.

Na początku, kiedy już wszyscy się zebrali, przez chwilę panowała cisza. Michel wodził wzrokiem po gabinecie: biblioteczka zawałona książkami, które nie miały pojęcia, że dusza istnieje; zdjęcia jego dzieci, które wcale nie pchały się na ten świat; komputer, który był jego wiernym sprzymierzeńcem, gdyż zawsze dawał te same odpowiedzi na te same pytania; kilka dyplomów i wyróżnień, które w przypływie próżności oprawił w ramki. Dotarł do półmetka życia, choć tego życia nie wybierał. Nie zadowalał się pustymi słowami. Jediną rzeczą, z której był dumny, to fakt - że nie jest naiwny. Teraz żądają od niego, by wyparł się tego wszystkiego, co nadaje pozorny sens jego życiu.

Poinformował Ruth i Seana o rozmowach, jakie przeprowadził w ubiegłym tygodniu z Norbertem Viredazem i Charbelem i Cassisem. Jego raport był krótki, rzeczowy i ponury. Zakończył szorstkim komentarzem:

- To nie ja wymyśliłem ten projekt. Narzucił mi go rektor. Mógłbym się nie zgodzić, gdyby jakimś innym sposobem udało nam się zdobyć pieniądze dla laboratorium. Ale dobrze wiecie, że nasze przedsięwzięcie się nie powiodło. Muszę więc podjąć się tego projektu, mimo że nie mam na to najmniejszej ochoty. Ujmę to tak: schodzimy bez lampy do ciemnej piwnicy na poszukiwanie czarnego kota, którego tam nie ma.

Theo zmarszczył brwi, ale nie odezwał się ani słowem. Obiecał sobie, że nie będzie się wdawał w żadne spory. Michel oczekiwał jakiejś odpowiedzi, ale nie doczekawszy się po kilku chwilach żadnej reakcji, ciągnął:

- W tej sytuacji trzeba zrobić jedną rzecz: wypłatać się z tego wszystkiego przy pierwszej nadarzającej się okazji. A zatem marnując możliwie najmniej mojego i waszego cennego czasu, musimy dostarczyć niezbity dowód, że to, co mamy odkryć, w ogóle nie istnieje. A jeżeli po drodze uda nam się wyciągnąć jakieś wnioski na temat rzeczywistego funkcjonowania mózgu, to przynajmniej coś na tym wszystkim zyskamy. Prawdę mówiąc, nie wiem, jak ugryźć ten dziwaczny problem, od czego zacząć. Dlatego poprosiłem profesora de Fully'ego, by nam to wyjaśnił. W przeciwieństwie do mnie jest przekonany o zasadności tego przedsięwzięcia. Oddaję więc jemu głos.

Theo długo zastanawiał się nad swym wprowadzającym expose. Doskonale zdawał sobie sprawę, że naraża się na ryzyko, stojąc przed dwojgiem młodych naukowców, którzy najchętniej określiliby go jako niedołęznego starca. Miał kilka minut, by przekonać ich, że nie ma nic bardziej racjonalnego jak pochylenie się nad tym, co nieracjonalne. Trzeba wyjaśnić im, że w sferze takiej jak wiara, nie można używać czystego rozumu. Ale czy oni w ogóle wiedzieli, że wiara istnieje?



- Chciałbym przywołać historyczny moment, który jeszcze dzisiaj warunkuje nasz sposób postrzegania świata. Na początku XIX wieku Laplace odniósł się do współczesnej mu mechaniki ciał niebieskich. Dzięki wzorom Newtona można było dokładnie obliczyć położenie planet. To nadzwyczajna chwila w historii ludzkości: jeżeli znamy położenie i prędkość gwiazd w danym momencie, możemy dokładnie określić, jaka będzie ich wędrówka przez bardzo długi okres. Znajomość teraźniejszości pozwala przewidzieć przyszłość. Zgadza się to w astronomii. Tak bardzo się zgadza, że dwudziestowieczni scjentyści będą sobie wyobrażali, że wszystko podlega tej samej zasadzie: teraźniejszość jest przyczyną przyszłości, co oznacza, że przeszłość jest jedyną przyczyną teraźniejszości. Laplace, choć tego nie przyznawał, a może nawet nie zdawał sobie z tego sprawy, rozciągnął tę regułę, która jest prawdziwa tylko w odniesieniu do ciał niebieskich, na wszystkie możliwe do wyobrażenia zjawiska. Był zaślepiony sukcesem Newtona w astronomii i wyobrażał sobie, że całą Naturę (a dlaczego by nie ludzi, którzy też są jej częścią?) można opisać za pomocą tej samej metody naukowej. Każdy ruch, na który się decydujemy, wypływałby w rzeczywistości z absolutnego determinizmu: nasz śmiech czy płacz miałby to samo znaczenie co deszcz czy błyskawica w meteorologii. Wszechświat byłby ogromnym automatem, który włączył się wiele wieków temu i który niewzruszenie realizuje dawno wpisany w siebie program. Przyszłość jest tylko konsekwencją teraźniejszości: nie ma absolutnie żadnej autonomii. A przeszłość jest konieczną i wystarczającą przyczyną teraźniejszości. Ale skoro wszystko ma jakąś przyczynę, nie ma żadnej wolności. W tym głupim wszechświecie tylko człowiek wyobraża sobie, że jest wolny. No i oczywiście się myli.

- Wiem, do czego pan zmierza - przerwał Michel. - Nie musi mnie pan przekonywać, że Laplace nie ma racji, podobnie jak wszyscy współcześni mu fizycy. W rzeczywistości myli on dwie rzeczy: z jednej strony determinizm, czyli

koncepcję, która zakłada, że zjawiska podlegają równaniom; z drugiej strony przewidywalność, a więc możliwość przewidywania, jak dalek będą się rozwijały zjawiska. Właściwie dane zjawisko staje się jako tako przewidywalne nie dlatego, że jest deterministyczne, czyli że podlega równaniom, ale przewidywalne będzie dopiero, kiedy w równaniach tych nie będzie nawet najmniejszych błędów a te są nieuniknione. Funkcjonowanie wszechświata jest deterministyczne w teorii, ale nieprzewidywalne w praktyce. Jednak nie jest tak, że przyszłość jest nieokreślona, ponieważ my nie potrafimy jej określić. Podzielam pańskie przekonanie, że nie można przewidzieć, w jaki sposób zachowa się istota ludzka czy zresztą nawet kot, ale to nie oznacza, że człowiek sam podejmuje decyzje, ponieważ zamieszkuje go jakaś niematerialna dusza.

Theo skinął głową na znak, że zgadza się z obiekcją Michela. Przeszedł do drugiego argumentu:

- Otóż to! Jednak Laplace pomylił się drugi raz. Na pewnym poziomie zdarzeniami nie rządzą równania deterministyczne, lecz probabilistyczne. Nic już nie jest przewidywalne, nawet w teorii. Tak naprawdę nie możemy przewidzieć położenia elektronu, ale tylko wyznaczyć prawdopodobieństwo, że ułoży się w pewnym miejscu w przestrzeni. W momencie kiedy badamy to położenie, właściwie wyznaczamy je. Elektron przestaje być nieuchwytny, kiedy go dotykamy. Całkowicie może istnieć tylko pod spojrzeniem obserwatora. Na początku XX wieku fizycy dokonali cichej rewolucji, w wyniku której pewne przekonania Newtona, Laplace'a i Comte'a po prostu przestały obowiązywać. Już nic nie zgadza się z prostą intuicją w sensie ogólnym.

Światła nie daje się streścić ani do fali, ani do wiązki cząsteczek elementarnych, ale może być uważane zarówno za jedno, jak i za drugie, a często nawet za oba modele jednocześnie. Czas i przestrzeń nie są już wymiarami odrębnymi, ale wymiennymi. Nie ma już absolutnego punktu odniesienia we

wszechświecie, który nie ma ani środka, ani obwodu, który jest jednocześnie skończony i nieskończony. Światło i pole elektromagnetyczne przemieszczają się z nadzwyczajną prędkością dla obserwatora; który mierzy je w zwyczajnych warunkach. Ale czas również nie istniałby dla obserwatora, gdyby przemieszczał się on z prędkością światła. Jesteśmy przyzwyczajeni patrzeć na czas płynący z przeszłości ku przyszłości, ale niektóre fale mogłyby płynąć w przeciwnym kierunku. Jednym słowem rzeczywistość, taka, jaką w ostatnim wieku odkryli fizycy, jest dużo bardziej złożona, dziwna, zdumiewająca, niż wyobrażali to sobie obrońcy scjentyzmu na początku XIX wieku. Moja rada jest prosta: zejźmy z tępych ścieżek determinizmu i zastanówmy się, jakie konsekwencje dla człowieka ma ta nowa wizja świata. Michel energicznie potrząsnął głową:

- Nie zgadzam się! Już z definicji mechanika kwantowa zajmuje się cząstkami, a nie ludźmi, którzy są ogromnymi ciałami zbudowanymi z olbrzymiej liczby atomów. Mózgu nie można streścić do jednego elektronu, dlatego niczego nie spodziewam się po mechanice kwantowej. Ona nie dostarczy dowodu na to, że człowiek posiada wolną wolę. Teraz jestem jeszcze bardziej przekonany, że nie powinienem się podejmować tego projektu. Kiedy naukowiec nie ma nic do powiedzenia, powinien milczeć, a nawet zachować podwójne milczenie: pod względem naukowym nic nie wie o rzeczywistości, z wyjątkiem pola, w którym odniósł sukces, ale to pole jest ograniczone; ponadto, zajmując się swoją dziedziną, nie dowiadyuje się niczego istotnego o sobie samym.

Theo pokiwał głową, mógł tylko przytaknąć:

- Zgadzam się z panem!

Widząc, że Theo nie wnosi sprzeciwu, Michel kontynuował:

- W momencie kiedy rezygnujemy z praw abstrakcyjnych, nauka nic więcej nam nie powie. A jeżeli przypadkiem naukowcy się wypowiadają, na przykład na temat polityki, metafizyki czy etyki, wychodzą poza swoją dziedzinę, roszcząc

sobie prawo do surowych prerogatyw, którymi się już nie cieszą. Mój drogi kolego, nie przekona mnie pan, bym przekraczał sferę moich kompetencji. Już na własnym polu popełniam zbyt wiele błędów. Gdybym się zaczął wypowiadać na tematy, na których się nie znam, całkowicie bym zblądził.

Theo uśmiechnął się, gdyż Michel właśnie doszedł do punktu, do którego chciał go doprowadzić. Kiedy matador chce zadać śmiertelny cios, prowadzi byka w ciemne miejsce areny, by nie oślepiło go słońce.

- Musi pan przyznać, że takie wykroczenie popełniają neurobiolodzy, kiedy wypowiadają się na temat, który nas właśnie interesuje. Głoszą oni, że myśl ogranicza się do działania mózgu. Nie twierdzę, że się mylą, uważam raczej, że powinni siedzieć cicho. Changeux oświadczył, że za dziesięć lat nikt już nie będzie nawet wspominał o umyśle. Oczywiście myli się. Pan zaś obawia się, że sam popełni taki błąd jak on. Dwadzieścia lat temu Jacques Monod postąpił podobnie z wynikami z biologii: bardzo uprzejmym tonem oświadczył, że jesteśmy zgnilizną wszechświata, która pojawiła się przez przypadek i która nie ma żadnego sensu. Jedynym sensem tej zgnilizny jest odkrycie, że sensu nie ma, i z tego bolesnego ćwiczenia powinna wyciągnąć największą umysłową satysfakcję. By jednak ta zgnilizna trochę lepiej się poczuła, Monod proponuje jej przyłgnąć do socjalizmu. Dlaczego nie każe jej zapisać się do Rotary?

Michel odpowiedział:

- Zgodzi się pan, że ich przeciwnicy nie są wcale lepsi. Istnieje dzisiaj cała literatura propagująca badania z zakresu kosmologii czy biologii, czyli nauk, które utrzymują, że potrafią odpowiedzieć na niektóre metafizyczne pytania. Weźmy tak znanych autorów, jak Hubert Reeves, Stephen Hawking, Trinh Xuan Thuan. Oni prowadzą czytelnika aż do punktu, gdzie naukowa przemowa znika. Choć nie zawsze to przyznają, przekraczają razem z czytelnikiem tę granicę. Narzucają mu swoje własne duchowe teorie. Oni również powinni nauczyć się siedzieć cicho!

- Nigdy nie będzie mógł pan zmusić ludzi - sprzeciwił się Theo - by przestali zadawać sobie odwieczne pytania metafizyczne: dlaczego coś istnieje? Dlaczego nie ma pustki? Dlaczego Natura tak bardzo każe nam cierpieć, wywołując choroby, śmierć, katastrofy naturalne? Dlaczego stale zagraża nam głód, zimno, rozstanie? Jak się to wszystko zaczęło i jak się to skończy? Co musimy zrobić, by żyć jak najlepiej? I nie może pan zabronić ludziom, by interesowali się opinią naukowców na te tematy.

- Ja - powiedział się Michel - streściłbym te wszystkie pytania tylko do dwóch: czego ktoś od nas chce? Kim jest ten „ktoś” i kim jesteśmy „my”? Poważna rozprawa naukowa nie może dostarczyć ostatecznej odpowiedzi na te elementarne pytania. Są to tak wielkie pytania, że człowiek nie powinien na nie nawet próbować odpowiadać.

Theo poczuł, że nadszedł moment prawdy. Zaczął mówić prawie szeptem, z zamkniętymi oczyma, machinalnie drapiąc paznokciem urojoną plamę na swej marynarce:

- Sukces, jaki odniosły te wszystkie teorie, zmusza nas, byśmy poważnie się nad tym wszystkim zastanowili. Jeżeli granica między nauką a świadomością istnieje w miejscu, gdzie kończy się język nauki, ale gdzie życie ludzi pełne świadomości i smaku toczy się dalej, to jak ją usytuować? Czy ta granica oznacza, że nauka i świadomość są rozdzielone? Jeżeli jakaś opinia naukowa odrzuca pewne twierdzenie, czy oznacza to, że intuicja nie ma już nic do powiedzenia? I przeciwnie, jeżeli mamy jakieś przeczucie, to czy nie ma ono żadnego związku z rzeczywistością, jaką stara się zgłębiać nauka? Skąd pochodziłaby więc ta intuicja? Wszyscy, jak tutaj siedzimy, jesteśmy przekonani, że świat jest racjonalny, jest to podstawa pracy naukowej. To głęboko odczuwane przekonanie, że istnieje wyższy rozum, który objawia się w świecie doświadczenia, stanowi moją koncepcję Boga.

Cisza, jaka nastąpiła po tych słowach, przekonała Theo, że wygrał partię, nawet za cenę kilku demagogicznych argumentów, siejąc wątpliwość przynajmniej w sercach Ruth i Seana. Dotychczas nie odezwali się ani słowem. Jako młodzi naukowcy nie zdobyli się na odwagę, by przerwać pojedynek między Theo a Michelelem. W świecie akademickim każdy ma swoje miejsce. Jedna głupota wypowiedziana na głos lub zapisana na papierze może zrujnować karierę. Zatem jako pierwsi wypowiadają się zawsze silniejsi. Podobnie jak zwierzęta: słaba antylopa i nieśmiała zebra stoją z boku afrykańskiego grzędzawiska, w stosownej odległości, czekając, aż napoi się lew i lampart, zanim same zaczną chleptać błoto, które zostawiły drapieżniki.

Michel zareagował pierwszy. Jego niechęć przerodziła się w irytację:

- Upiera się pan, by naukowo dowieść, że Bóg istnieje albo że istnieje nieśmiertelna dusza, co właściwie wychodzi na jedno.

Z niesamowitą cierpliwością Theo odpowiedział:

- Wcale nie. Wręcz przeciwnie. Jeżeli nie można dowieść, że Bóg istnieje, tak samo nie można dowieść, że nie istnieje.

- W tym punkcie się zgadzamy - odparł Michel trochę znużonym tonem. - Jest to w miarę logiczne.

- Tak, ale w naszych rozważaniach trzeba pójść dalej. Dowody i zaprzeczanie tym dowodom pokazują tylko jedno: gdyby udowodniono, że Bóg istnieje, przestałby być Bogiem, byłby tylko jedną z wielu rzeczy w świecie. Nasi szanowani i wpływowi uczeni, jak Crick czy Changeux, twierdzą, że dusza nie istnieje, ponieważ nie można jej odkryć żadną metodą badawczą. Wszystko, czego się nie da sformalizować równaniami, przestaje w końcu istnieć. Niektórzy badacze uznają za rzeczywiste tylko to, co da się zanalizować, i ograniczają rzeczywistość do modelu, jaki sami stworzyli. I to jest właśnie ich wielki grzech. Mnie wcale nie chodzi o to, by wyszedł pan poza naukowy model ludzkiej myśli, ale by odkrył pan

jego granice. Proszę przypomnieć sobie mocne słowa Einsteina: jeżeli jakąś metodę matematyczną można zastosować do rzeczywistości, oznacza to, że nie jest ona dokładna; jeśli jakiś wynik matematyczny jest dokładny, nie można go zastosować do rzeczywistości. Michel odpowiedział:

- Drogi kolego, uważa pan, że ja nie dostrzegam czegoś bardzo ważnego. Proszę zatem opisać mi proste i konkretne doświadczenie, które mogłoby mnie przekonać, że coś, co nazywamy duszą, istnieje poza moją czaszką i znajdującymi się w niej neuronami. Słucham!

Na twarzy Theo pojawił się uśmiech, gdyż Michel rzucił mu wyzwanie dokładnie takie, jakiego się spodziewał, i do którego się przygotował:

- Jak pan sobie życzy.

W tym momencie do gabinetu niespodziewanie weszła sekretarka Michela. Przyniosła cztery kawy. Ze swych prywatnych zapasów dołożyła na każdy spodeczek po jednym ciasteczku Luw. Była to u niej niespodziewanie hojna inicjatywa, na ogół bowiem na wszystkim przesadnie oszczędzała.

Michel powinien mieć się na baczności przed tymi skromnymi produktami przemysłu spożywczego. Miały one pełnić tę samą rolę co drewniany koń, którego Grecy wprowadzili do Troi.

W rzeczywistości sekretarka nie miała zamiaru dogadzać naukowcom, a jedynie lepiej ich słyszeć. Zgodnie z instrukcjami, Solange, która wypełniała polecenia Norberta Viredaza, którym z kolei sterował Władca, sekretarka Michela próbowała od początku rozmowy zrobić jakieś notatki. Kręciła się więc przy niedomkniętych drzwiach. Jednak mimo że do jej uszu dotarła najważniejsza część rozmowy, i tak niczego nie zrozumiała.

Miała nadzieję, że zostawiając szeroko otwarte drzwi, będzie lepiej słyszała, a tym samym więcej zrozumie, podobnie jak niektórzy ludzie pozbawieni słuchu i cierpiący z tego powodu sądzą, że zrekompensują swój brak, kupując lepszy

wzmacniacz i doskonałej jakości kolumny. Panuje powszechne przekonanie, że technika, która poprawia ciało, potrafi też pomóc duszy.

\*

Theo przeplukał gardło łykiem czarnej kawy, po czym kontynuował:

- Żeby przeprowadzić pierwsze, najprostsze doświadczenie, wystarczy nam dwóch operatorów, chronometr, kartka papieru, ołówek, dzwonek i moneta. Ta ostatnia posłuży nam do gry w orła czy reszkę. Jest pan specjalistą od przetwarzania obrazów, jakie odbiera nasz mózg, dlatego to doświadczenie z pewnością pana zainteresuje.

Sean nie mógł się już dłużej powstrzymać. Odpowiadał za wyposażenie laboratorium i zamiast tego przedszkolnego materiału, jaki proponował Theo, wolałby raczej uzbroić się w sprzęt komputerowy. Jak każdy inżynier, nie bardzo lubił ocierać się o nagą rzeczywistość. Komputer jest łącznikiem między przynoszącym rozczarowania światem a umysłem, który go zgłębia.

- Nie bardzo pojmuję, jakie wiarygodne doświadczenie można przeprowadzić, bawiąc się w orła czy reszkę. Proponuję pominąć ten wstęp i od razu przejść do części zasadniczej.

- To doświadczenie wydaje się bardzo proste, ale jeżeli zostanie dobrze przeprowadzone, pozwoli stwierdzić, która z dwóch koncepcji dotyczących spojrzenia jest prawdziwa - rzekł mądrze Theo. - Pierwsza koncepcja spojrzenia opiera się na obserwacjach zwykłych ludzi. Zakłada ona, że z oka wychodzi promień wzrokowy, napotyka jakiś przedmiot i odbija się od niego. Codzienne doświadczenie skłania nas, by sądzić, że wychodzące z oczu promienie wyrażają naturę naszego spojrzenia. Mamy więc spojrzenia ukradkowe, przenikliwe, wściekłe, czułe. Spojrzenie wydaje się być jakąś rzeczywistością, która wyszła z ludzkiego ciała i rozprzestrzeniła się w otoczeniu. Na przykład zakochani patrzą sobie w oczy, by milcząco wyrazić zgodę, zanim wypowiedzą ją słowami. Na ogół



ludzie dorośli nie patrzą sobie zbyt długo w oczy, by nie powodować uczucia zażenowania. Usilnie wpatrywać się w kogoś jest po prostu niegrzeczne. W codziennym życiu spojrzenie posiada zatem wielką moc i ma ogromne znaczenie. Ale tej prostej koncepcji, jak zaraz zobaczymy, wcale nie podzielają naukowcy. W środowiskach naukowych panuje druga koncepcja spojrzenia i właśnie w nią pan wierzy. Chciałbym tu podkreślić słowo „wierzy”. Koncepcja ta sprzeciwia się powszechnemu przekonaniu. Według niej oko nie wydziela promieni, ale tylko je odbiera. Mechanizm widzenia jest rozumiany jako działanie promieni świetlnych wychodzących z przedmiotu i przechwytywanych przez oko, które jest organem pasywnym, czymś w rodzaju aparatu fotograficznego. Oko to camera obscura, do której docierają fotony analizowane za pomocą siatkówki. W ten sposób w mózgu, a dokładnie w płacie potylicznym kory mózgowej, tworzony jest obraz świata zewnętrznego. Spojrzenie zakochanej dziewczyny nie jest czułe, spojrzenie mordercy wcale nie jest groźne. Jedynie obserwowana osoba przypisuje jakąś intencję spojrzeniu, które z definicji jest puste i bez wyrazu. W głębi oczu nie ma nikogo, oczy to tylko proste płyty fotograficzne. Ta druga koncepcja neguje po prostu istnienie spojrzenia. Nawet jeżeli jest fizycznie poprawna, nie zgadza się z naszym doświadczeniem psychologicznym. Jednym słowem musimy zlekceważyć wszystko, co wiemy na temat spojrzenia, by „naukowo” opisać oko.

Wypowiadając słowo „naukowo”, Theo uniósł palce do góry i naszkicował w powietrzu cudzysłów. W uproszczonej retoryce naukowych kolokwiów taki gest należał do powszechnie zrozumiałego języka znaków, które mówiły więcej niż tablica zabazgrana równaniami.

- To nie źrenica jest ekspresywna, ale mięśnie twarzy, które otaczają oko - zauważył Sean. - Koncepcja fizyków jest oczywiście poprawna, nie można bowiem widzieć w całkowitej ciemności. A zatem to promienie świetlne odbijane przez przedmioty uderzają w naszą siatkówkę. Gdyby istniały promienie wzrokowe na

pewno dałoby się je zbadać, a tego nie potrafimy.

- Zgadza się! Właśnie to wam proponuję. Chcę, byście odeszli od naukowej i ogólnikowej koncepcji spojrzenia - powiedział Theo. - Chciałbym, byście przeprowadzili proste i rozstrzygające doświadczenie nie po to, by wykazać, że umysł istnieje, ale by go pokazać. Czy zdarzyło wam się kiedyś odwrócić, gdyż czuliście na sobie czyjeś spojrzenie?

- Nie - natychmiast odpowiedział Sean.

Michel zastanowił się przez chwilę, zanim zaprzeczył. Natomiast Ruth zapewniła, że często zdarza jej się coś takiego. Zresztą w dzieciństwie nieraz bawiła się w taki sposób z koleżankami: jedna z dziewczynek odwracała się tyłem do pozostałych i zgadywała, czy ktoś na nią patrzy. Zgodnie z doświadczeniem Ruth wszystko zależało od osoby; ona akurat była w tym dobra, praktycznie nigdy się nie myliła.

- Dobrze - rzekł Theo. - Założmy, że posiada pani tę umiejętność i że można ją eksperymentalnie sprawdzić. Jeżeli rzeczywiście ludzie posiadają taką zdolność, oznacza to, że umysł wychodzi poza ciało. Rekonstruuje w nas przedmioty, które są przenoszone za pomocą zjawiska widzenia, ale jednocześnie przyswaja sobie te przedmioty. Udaje mu się wpłynąć na osobę lub rzecz, na którą patrzy, tylko dlatego, że się jej przypatruje. Stąd bierze się zjawisko zwane zjawiskiem Coovera, od nazwiska pierwszego psychologa, który zbadał je w 1913 roku. Jeżeli zjawisko Coovera zostanie dowiedzione, będzie to oznaczało, że działanie umysłu nie ogranicza się do przepływu strumieni elektrycznych między neuronami wewnątrz czaszki, ale że działanie objawia się poprzez inne zjawiska, które się całkowicie wymykają naszej aktualnej wiedzy.

Zgodnie z przyzwyczajeniem Sean i Ruth zapisali na górze czystej strony swych zeszytów słowa: „zjawisko Coovera”.

Kiedy pół godziny później wyszli z gabinetu, Sean nie mógł się

powstrzymać, by streścić całą rozmowę dosadnym sformułowaniem:

- W gruncie rzeczy nic nie jest pewne.

- To, co powiedziałaś, nie ma żadnego sensu - poprawiła go Ruth. - Nie możesz twierdzić, że nic nie jest pewne, bo tym samym zakładasz, że twoje słowa są pewne. Źle więc rozumujesz. Oczywiście nie możemy się też zgodzić ze zdaniem: wszystko jest pewne. Ale negacja tego zdania absolutnie nie istnieje: nic nie jest pewne. Pomiędzy dwoma mocnymi i sprzecznymi twierdzeniami, jest jeszcze jedno, bardziej skromne twierdzenie: jest coś, co jest pewne. Wśród tych wszystkich wątpliwości to my musimy odkryć rzeczy pewne.

Sean musiał mieć ostatnie słowo:

- Wątpię, że ty potrafisz wątpić tak bardzo jak ja.

## VIII

Ledwo zebranie się zakończyło, a już wieść o nim szeroko się rozeszła. To jak gdyby włożyć kij w mrowisko, a od razu robi się wielkie poruszenie.

Sekretarka Michela zredagowała, najlepiej jak potrafiła, krótką notatkę i przefaksowała ją Solange. Z gmatwaniny nielogicznych zdań wyłaniała się jedna dokładna i nadająca się do wykorzystania informacja: zjawisko Coovera.

Solange przekazała faks Norbertowi Viredazowi, który poczuł się kompletnie bezradny. Nigdy nie słyszał o Cooverze. Zajrzał do Dictionnaire des sciences opublikowanego pod kierownictwem Michela Serresa. Słownik ten zdobił biblioteczkę stojącą za jego biurkiem. Był to jeden spośród zebranych tu ogromnych tomów, które miały pieścić oko, a nie umysł. W indeksie nie widniał jednak żaden Coover.

Nie bez powodu Norbert wybrał dzieło Serresa. Kiedy politechnika przyznała mu doktorat honoris causa, Michel Serres wygłosił okolicznościowe przemówienie. Norbert nic z niego nie rozumiał, a jego chłopski rozum podpowiadał mu, że miał do czynienia z genialnym mistyfikatorem, jednym z tych,

którzy bezczeszczą Paryż. Jeżeli istniał jakiś szarlatan o nazwisku Cooper, Serres na pewno by go zacytował, w końcu swój do swego ciągnie. W tej książce jednak niczego nie znalazł. Encyklopedia Britannica również o nim nie wspominała. Istnienie tego nieszczęsnego Coovera stawało się coraz bardziej problematyczne. A może wymyślił go Theo de Fully. Wielcy uczeni przejawiają czasem śmieszna wena twórczą. Norbert przypomniał sobie słynnego Bourbakiego. Tę postać dla żartu stworzyli pracownicy politechniki, którzy wydali traktat matematyczny w 24 tomach i opatrzyli go nazwiskiem tego nieistniejącego naukowca. Naturalnie rozprawa była niezrozumiała i doprowadziła wydawcę do ruiny.

Znużony tym wszystkim Norbert zadzwonił w końcu do Władcy, który od razu zapytał, o co chodzi w zjawisku Coovera. Viredaz był zmuszony wyznać, że nie ma o tym zielonego pojęcia. Oczywiście znowu usłyszał wymówki.

Teraz z kolei Władca wykręcił rzymski numer telefonu, by poinformować o zjawisku Coovera. Nie ukrywał, że informacja jest niekompletna. Jego rozmówca zapewnił go, że w olbrzymiej watykańskiej bibliotece na pewno znajdzie się jakaś wzmianka, która rozstrzygnie, czy Coover istnieje, czy nie istnieje. Jeszcze tego samego popołudnia swawolny ojciec dominikanin, z którym przełożeni nie bardzo wiedzieli, jak sobie poradzić, zabrał się za poszukiwania bibliograficzne.

\*

Mniej więcej w tym samym czasie Ruth i Sean rozpoczęli pierwszy eksperyment. Michel nie chciał sam zajmować się tą operacją i nalegał, by wszystko utrzymać w absolutnej tajemnicy. Był przekonany, że doświadczenie od razu przyniesie negatywne rezultaty. W takim wypadku miałby świetną okazję, by wyplątać się z tego absurdalnego i niebezpiecznego projektu. Z przezorności zrezagował i przesłał wszystkim członkom zarządu notatkę z rozmowy, jaką odbył z Norbertem Viredazem. Precyzował w niej, że robi to wszystko na prośbę rektora i tym samym uchyla się od wszelkiej odpowiedzialności.

Ruth i Sean wynieśli wszystkie niepotrzebne rzeczy z laboratorium, w którym studenci pierwszych lat przygotowywali się do egzaminów lub je zdawali. Na drzwiach pojawiła się wywieszka: „Zakaz wejścia”. Nawet pozostali asystenci nie mieli prawa zajrzeć do środka. Przez tę tajemnicę powstawały najbardziej fantastyczne plotki. Wkrótce cała politechnika rozmawiała o tajemniczych działaniach prowadzonych w laboratorium przetwarzania sygnałów. Przez kolejne dni sekretarka Michela pobożnie spisywała te pogłoski i każdego wieczoru przesyłała je faksem Solange, a ta z kolei jeszcze wyżej.

Ruth nie siedziała na krześle, lecz na taborecie. W ten sposób plecy nie były zasłonięte. Przed nią, a także z lewej i prawej strony stały czarne ekrany, które eliminowały możliwość jakiegokolwiek odbijania się obrazu. Sean usadowił się z tyłu, w odległości dziesięciu metrów. Łokciami oparł się o stół, na którym leżały: dzwoneczek, ołówek, papier, chronometr i moneta.

Kiedy sekundnik chronometru mijał zero, Sean rzucał monetą. Jeżeli wypadł orzeł, przez trzydzieści sekund wpatrywał się w szyję Ruth, jeżeli wypadła reszka, patrzył na stół. Okresy czasu były sygnalizowane dwoma dzwonekami. Po drugim dzwoneku Ruth mówiła po prostu „tak” lub „nie”, co oznaczało, że czuła na sobie spojrzenie Seana lub nie. Ten zaś odnotowywał na kartce papieru liczbę poprawnych i złych odpowiedzi.

Do tego zadania podeszli równie poważnie, jak gdyby starali się udowodnić najbardziej poprawne twierdzenie. Pół godziny później Ruth wstała i spojrzała na kartkę.

Wyniki były imponujące: Sean wpatrywał się w Ruth siedemnaście razy, a trzynaście razy, nie ruszając głową, patrzył na stół, myśląc o czymś innym. W pierwszym wypadku Ruth prawidłowo odgadła dwanaście razy, natomiast w drugim wypadku osiem. Na trzydzieści testów uzyskała zatem dwadzieścia poprawnych wyników.

- Jedna seria testów jest niewystarczająca - oświadczyła Ruth. - Może po prostu mieliśmy szczęście. Zaczynamy jeszcze raz od początku!

Tego popołudnia przeprowadzili pięć podobnych serii, czyli 150 testów. Ruth prawidłowo odgadła 89 razy. Sprawdziła tabelę i wywnioskowała, że prawdopodobieństwo przypadkowego uzyskania takiego wyniku wynosiło jeden do dwudziestu. Tym sposobem nie udowodniono zjawiska Coovera, ale także go nie wykluczono.

Byli zmęczeni. Oboje zgodzili się, że zasłużyli na nagrodę. Zeszli pieszo nad brzeg jeziora, do parku Vidy, i wypożyczyli małą łódkę. Równouprawnienie obowiązywało wszędzie: wiosłować mieli oboje. Usiedli zatem jedno obok drugiego, chwycili za wiosła i odbili od brzegu, wykonując politycznie poprawny manewr.

Pogodna była idealna. Nie czuło się nawet najmniejszego powiewu wiatru. Za Jurą zachodziło słońce, oświetlając na czerwono alpejskie szczyty. Ruth miała ochotę zatrzymać się od czasu do czasu: wiosła same kołysałyby się w wodzie, a oni cieszyliby się po prostu mijającymi chwilami. Kochała francuską poezję, nieśmiało zacytowała więc Lamartine'a. Sean jednak bardziej był zainteresowany ćwiczeniem mięśni niż stanem duszy romantycznego poety, który jego zdaniem zawsze był trochę śmieszny, wyrażając przesadne uczucia, jakich obecnie nikt już nie odczuwa.

Wiosłowali więc jak galernicy. Pot spływał po ich ciałach. Kiedy przybili do nabrzeża, Sean oznajmił, że to ćwiczenie podniosło mu ciśnienie krwi i że stosownie byłoby użyć sobie wzajemnie swych ciał. Ruth nic nie odpowiedziała, ale odpaliła silnik swego małego twingo. Dojechali aż do ulicy Beauregard. Na szczęście przed samym domem było wolne miejsce, by zaparkować samochód. Ruth idealnie wbiła się w wolną lukę. Łazienka była wolna, szybko więc pobiegli pod prysznic, gdzie spędzili dobre pół godziny, wydając

stosowne do ich wieku dzikie okrzyki.

Zaspokojeni i wysuszeni myśleli o wieczorze z optymizmem. W ich życie wkradło się coś nieprzewidzianego, coś, co wyraźnie zastępowało wzburzenie, jakie odczuwali po wyprawie do Divonne. Lodówka w kuchni była pusta, tak samo jak cały dom: wszyscy współlokatorzy wyszli. Postanowili więc zejść nad brzeg jeziora do Ouchy i tam zjeść kolację. Na dworze panował orzeźwiający chłód. Idealna pogoda, by wybrać się pieszo. Ruth miała ochotę spacerować, trzymając się za rękę, ale to wykraczało poza kodeks postępowania ułożony przez Seana. „Może - myślała Ruth - nie była to obojętność z jego strony, ale przesadna wstydlivość tłumacząca nadmiar uczuć”. Szybko jednak skarciła samą siebie. Między nimi nie działo się nic niepokojącego, a skoro tak, to po co się upewniać. Sean z pewnością to wyczuwał. Jeżeli nie chce go stracić, musi przestać go zdobywać.

Nad jeziorem kręciło się mnóstwo ludzi. Lozańczycy uciekali z przegrzanych mieszkań, szukając ochłody nad wodą. Oświetlone i obładowane turystami statki płynęły do Evian, Montreux czy Genewy. Wszędzie panowała radosna atmosfera. Sean i Ruth skierowali się ku najpiękniejszemu hotelowi w Lozannie - Beau Rivage - wznoszącemu się nad brzegiem jeziora niczym zamek Śpiącej Królowej.

Szwajcarski hotel to miejsce metafizyczne w całym tego słowa znaczeniu. Panuje tu idealny porządek. Gość nie może poczuć żadnego, nawet najmniejszego dyskomfortu. Dlatego nie ma możliwości, by nie oddać się medytacji w tej hotelowej katedrze.

W Beau Rivage w 1923 roku doszło do spotkania między Grekami a Turkami. Chcieli zakończyć wojnę, jaką ze sobą toczyli. Nie potrafili jednak wystarczająco oddać się kontemplacji. Łaska nie spłynęła na te odporne umysły i koniec wojny nie oznaczał końca nienawiści. Podobnie było w marcu 1984 roku: libańskie stronnictwa obiecały znaleźć porozumienie, ale nie zrobiły nic pod

pretekstem, że inaczej czciły tego samego Boga. W parku Beau Rivage znajduje się cmentarz dla psów, które całe swe życie spędziły w hotelu, towarzysząc bogatym i osamotnionym klientom. Tutaj uznaje się, że psy mają duszę, tym bardziej więc ludzie powinni zrozumieć, że też ją posiadają. Nie było bardziej odpowiedniego miejsca, by uczcić pierwsze eksperymentalne odkrycie duszy.

Sean i Ruth usiedli na ulubionym tarasie, w piwiarni hotelu Beau Rivage, i zamówili filety z okonia. Sean szybko zabrał się do kolacji, ale nagle, choć był niemiłosiernie głodny, odłożył widelec, spojrzał Ruth w oczy, co nigdy mu się nie zdarzyło, i powiedział:

- Znam pewnego asystenta w departamencie inżynierii lądowej i wodnej, który został wezwany przez Viredaza. Rektor kazał mu szpiegować swego szefa. Co o tym myślisz?

Ruth popatrzyła na niego z uśmiechem na twarzy:

- Myślę, że powinien być zapytać mnie o to wprost. Mógłby udawać, że przychodzi w imieniu kogoś innego, kogoś, kto się wstydzi!

We wtorek rano złożyli raport szefowi. Michel był załamany. Przeraziły go nie tylko wyniki, ale przede wszystkim Sean, który zdawał się przejawiać coraz większy entuzjazm dla tego projektu. A kiedy jego asystent wywęszy trop, staje się nieobliczalny.

Michel spodziewał się wszystkiego, ale nie tego, co się właśnie stało. Nie miał nic przeciwko temu, by jego dwaj najlepsi naukowcy spędzili popołudnie, zabawiając się monetą, pod warunkiem że na tym cała sprawa się zakończy. Tymczasem Sean i Ruth przedstawili wyniki, które zdawały się potwierdzać pewną wiarygodność zjawiska Coovera.

Stwierdził więc, że z całą pewnością w czasie eksperymentu miały miejsce jakieś niedociągnięcia i że tych dwoje młodych ludzi bada jakieś urojone zjawisko. Pewnie do uszu Ruth dochodził jakiś sygnał, dzięki któremu wyczuwała wbite w



nią spojrzenie Seana. Szybko odprawił asystentów i zajął się bardziej pożyteczną robotą.

Ostudzony uwagami Michela, Sean postanowił udoskonalić eksperyment. Być może rzeczywiście do uszu lub oczu Ruth dochodziły jakieś sygnały czy obrazy. Nałożył jej więc słuchawki, które emitowały biały szum. Zamiast dzwonek wyznaczających początek i koniec każdej próby Sean na chwilę wyłączał ów szum. Na oczach Ruth pojawiła się też opaska. Rozpoczęli serię trzydziestu testów.

Wynik ciągle potwierdzał to, przed czym Michel tak bardzo się wzbraniał. Na trzydziestu testów Ruth prawidłowo odgadła dwadzieścia jeden razy. Sean nieco się zaniepokoił. Nie spodziewał się, że spędzi cały dzień, powtarzając te głupkowate badania. Musiał jeszcze skończyć artykuł i najpóźniej wieczorem przesłać go Internetem.

Ale z drugiej strony zjawisko Coovera, które wydawało się rzeczywiście istnieć, zaczynało go coraz bardziej intrygować. zaproponował więc, by zamienili się miejscami.

Kiedy tylko nałożył opaskę i słuchawki, poczuł ogarniającą go senność. Zbyt mało spał w nocy, ponieważ do późnych godzin poświęcał się przeróżnym pasjonującym zajęciom: oglądaniem dobrych filmów, które telewizja puszcza dopiero po północy, czytaniem kryminałów, surfowaniem po Internecie, demontowaniem i składaniem zegarków. Sean wolał długie i wyczerpujące dni niż krótkie i luźne godziny. Zatem gdy tylko zamykał oczy, od razu zasypiał. Teraz starał się przezwyciężyć senność, siedząc prosto i kontrolując oddech. W trakcie doświadczenia niczego jednak nie czuł. Był zmuszony „strzelać”.

Uzyskał zupełnie inny wynik niż Ruth. Na trzydziestu razy udzielił tylko czternaście prawidłowych odpowiedzi. Ale w ten sposób uzyskali dodatkowe informacje: jeżeli rzeczywiście istnieje coś takiego, jak zjawisko Coovera, to z całą

pewnością nie dotyczy wszystkich ludzi. Chodzi tu zatem o jakiś szczególny dar, jak słuch absolutny, który posiadają niektórzy wybitni muzycy.

Na tym etapie doświadczenia Ruth zauważyła, że za każdym razem doskonale wie, czy jest pewna swojej odpowiedzi, czy nie. Postanowili uwzględnić ten dodatkowy parametr. Jeżeli Ruth nie będzie pewna swej odpowiedzi, nie musi odpowiadać.

Teraz dziewiętnaście razy oświadczyła, iż jest pewna odpowiedzi i ani razu się nie pomyliła. Zjawisko Coovera stawało się rzeczywistością, która coraz bardziej intrygowała Seana. Zaczął więc stawiać rozmaite hipotezy, by zlikwidować artefakty, które mogłyby zakłócać eksperyment. Co prawda Ruth nie mogła już go ani słyszeć ani widzieć, ale kto wie, czy nie wyczuwała wydzielanego przez niego zapachu. Nasadził jej więc na nos wielką laboratoryjną klamerkę i kazał oddychać przez usta. Tym razem wynik był jeszcze bardziej imponujący: odpowiadała za każdym razem i na trzydzieści testów prawidłowo odgadła dwadzieścia jeden razy. A zatem kiedy nie rozpraszała swego mózgu szkodliwymi sygnałami, potrafiła się lepiej skoncentrować.

Była jedenasta rano, a Sean czuł, że jego świat zaczyna się chwiać. Badał coś i miał wrażenie, że to coś namacalnego. Ale co? Czy jest to pole elektromagnetyczne wytwarzane przy pobudzaniu nerwu wzrokowego? A może jakieś nieznanne fizyczne zjawisko? Wpadł na pomysł, by ustawić kamerę i skierować ją na plecy Ruth. Sam zaś przeszedł do sąsiedniego pomieszczenia i obserwował ją na monitorze. Wynik Ruth był trochę słabszy: dziewiętnaście poprawnych odpowiedzi.

- Wystarczy - oświadczyła Ruth. - Wykonaliśmy osiemnaście serii po trzydzieści testów. Ani razu nie uzyskałam wyniku poniżej siedemnastu poprawnych odpowiedzi. Teraz jestem przekonana: zjawisko Coovera to rzeczywistość. Zastanawiałam się nad tym i chyba wiem, dlaczego go odczuwam.

Przez dwadzieścia lat żyłam w Jerozolimie, gdzie ciągle istnieje zagrożenie palestyńskimi zamachami. W takich okolicznościach musi się rozwinąć szósty zmysł. Jeżeli ktoś cię obserwował, było wiadomo, że twoje życie jest zagrożone. Nauczyłam się to wychwytywać. Jadąc autobusem, zawsze siadałam tyłem do okna i obserwowałam podróżujących ze mną ludzi, zastanawiając się, kto z nich mógłby być terrorystą. Nie cierpiałam podróżować, siedząc odwrócona plecami do potencjalnego niebezpieczeństwa. Z tyłu głowy wytworzyłam coś w rodzaju drugich oczu. Zjawisko Coovera można wyćwiczyć tak samo, jak można nauczyć się pływać czy śpiewać.

- Całkiem niezła hipoteza - przyznał Sean. - Gdybym mieszkał w Belfaście, a nie w Galway, być może sam nabyłbym taką umiejętność. Co robimy dalej? Zaczynamy od nowa, by jeszcze dokładniej potwierdzić nasze wyniki?

- Powinniśmy sprawdzić, jakie znaczenie ma odległość. Wykonamy jeszcze raz to doświadczenie z kamerą, ale musisz umieścić monitor dalej, na przykład w laboratorium elektronicznym w sąsiednim budynku.

Sean podłączył wszystko jak trzeba i sto metrów dalej rozsiadł się ze sterownikiem białego szumu i monitorem. Tym razem wynik był mniej precyzyjny: Ruth odpowiedziała szesnaście razy, z tego trzy razy się pomyliła. Był to poważny dowód na istnienie zjawiska Coovera, ponieważ wszystko wskazywało na to, że zależy ono od odległości. Chodziło zatem o jakieś zjawisko materialne.

Sean był niezwykle podekscytowany. Mimo że jego żołądek dopominał się już obiadu, przeniósł ostatni raz swój sprzęt do laboratorium swego przyjaciela fizyka, które mieściło się kilometr dalej. Zjawisko Coovera znikło. Ruth odmówiła odpowiedzi trzydzieści razy.

W środę po południu odbyła się tajna obrada w biurze Theo de Fully'ego. Tutaj można było liczyć na dyskrecję. Nieprzewidziane wtargnięcie sekretarki Michela, która podczas poprzedniego zebrania przyniosła niezamówione kawy,

wzbudziło podejrzenie Theo.

Ruth zapewniła, że poranny eksperyment, jaki przeprowadzili, zgadza się z jej wspomnieniami z dzieciństwa: potrafiła wyczuć, czy ktoś ją obserwuje, czy nie; zjawisko Coovera naprawdę istnieje; teraz trzeba jeszcze odkryć inne przeszkody, poza odległością dzielącą obserwatora i osobę obserwowaną; należy znaleźć innych ochotników, by ustalić jaka procent ludzkości odczuwa to zjawisko; potem trzeba jeszcze dopracować wyniki i postarać się, by potwierdziły je inne laboratoria. Ale stan faktyczny wydawał się nie podlegać dyskusji: słusznie kwestionuje się hipotezę naukową dotyczącą mechanizmu widzenia, czyli bierną naturę siatkówki oka. Spojrzenie człowieka to dająca się zbadać rzeczywistość.

- To wszystko jest pasjonujące, ale mam inne rzeczy do roboty niż zajmowanie się psychologią eksperymentalną - zrzędził Michel. - Jeżeli zbierzemy tutaj dziesięciu studentów, by poddać ich eksperymentowi i określić, ilu z nich odczuwa zjawisko Coovera, nie opędzimy się od ciekawskich, a pozostali asystenci o wszystkim się dowiedzą. Nie będzie już mowy, by utrzymać ten projekt w tajemnicy.

- Moglibyśmy w tym miejscu zakończyć to doświadczenie - uznał Theo. - Zachowajmy na razie wyniki dla siebie, nic nas nie nagli, by je publikować. Może uda się nam zainteresować nimi jakieś laboratorium psychologii na uniwersytecie. Tamtejsi ludzie zajęliby się badaniem ilościowym, a my przeszlibyśmy do następnego eksperymentu.

- Jakiego?

- Nie spodziewałem się, że zjawisko Coovera zostanie tak szybko odkryte, i to w tak wyraźny sposób. Dlatego nie przygotowałem dalszej części. Muszę się zastanowić dziś wieczorem. Spotkajmy się jutro rano w waszym biurze.

- Mnie nie będzie - rzekł Michel. - Jestem umówiony w Genewie z Charbelem Kassisem. Ale nie odkładajmy niczego, skoro ci młodzi ludzie są tak

chętni do dalszej pracy. Spotkajcie się beze mnie.

- Chciałbym jednak wiedzieć, czy macie tutaj sprzęt do obrazowania mózgu  
- zapytał Theo.

- Tak - odparł Sean, który lepiej się poczuł, wracając na dobrze znany mu grunt. - Potrzebujemy go do kompresji sygnałów telewizyjnych. Musimy bardzo dokładnie wiedzieć, jakie typy sygnałów są rzeczywiście dekodowane przez korę mózgową - W gruncie rzeczy w tym specjalizuje się nasze laboratorium, nie jesteśmy służbą medyczną, która zajmuje się neurobiologią, dlatego mamy taki sprzęt, by robić wkłucia bez pomocy lekarza czy pielęgniarki. Odrzuciliśmy zatem metody, które wymagają użycia wskaźników promieniotwórczych. Zresztą wcale nie jesteśmy przekonani, że są one takie nieszkodliwe, jak powszechnie się to ludziom wmawia. Wyeliminowaliśmy też tomografię magnetycznego rezonansu jądrowego, ponieważ w jej przypadku badany człowiek musi zostać wprowadzony do wąskiego kanału, który nie sprzyja eksperymentom odnoszącym się do widzenia. Właściwie najbardziej wygodna jest dla nas stara poczciwa elektroencefalografia: dzięki działaniu elektrycznemu mózgu pobiera się potencjał elektryczny wzbudzony na powierzchni skóry porośniętej włosami. Obecnie posiadamy znakomity skaner mózgu zawierający 128 elektrod przyczepionych do czegoś w rodzaju czapki, która ściska czaszkę. Przetworzenie komputerowe 128 sygnałów pozwala nakreślić obraz kory mózgowej widzianej z góry. Za pomocą kolorów przechodzących od czerwieni do niebieskiego uzyskujemy symboliczny schemat różnych ośrodków i ich funkcji. Możemy więc rejestrować działanie mózgu w każdej milisekundzie. Zaraz podam panu przykład: za pomocą tego przyrządu odkryliśmy radykalną różnicę między mową mężczyzn a mową kobiet. Mężczyźni mówią, używając lewej półkuli mózgu, natomiast kobiety używają obu półkul. Stąd wynikają czasem tak ciekawe nieporozumienia między mężczyzną a kobietą.

Ruth rzuciła w jego stronę wrogie spojrzenie.

- Jeżeli ten skaner mózgu potrafi wykryć różnicę między logiką mężczyzn i kobiet, jest to dokładnie takie urządzenie, jakiego potrzebujemy - podsumował Theo.

Potem wszyscy się rozeszli. Drzwi bezszelestnie przesunęły się na zawiasach. Irina dyskretnie wsunęła głowę do laboratorium. Zobaczyła Ruth, która układała jakieś przyrządy. Poczowała ulgę. Kobieta nie denerwuje się tak jak mężczyzna, kiedy ktoś przeszkadza jej w pracy.

- Przepraszam, Ruth, szukam męża. Pożyczyłam mu dzisiaj samochód i umówiliśmy się, że odbiorę go o siódmej.

- Szef jest jeszcze u profesora de Fully'ego. Mają konferencję. Ja wróciłam, bo zapomniałam torebki, a w ostatnim czasie grasują tu jacyś złodzieje. Kradzieże w Szwajcarii! To jest nie do pomyślenia!

Irina była tego samego zdania. Kiedy w wieku piętnastu lat przyjechała tutaj, uciekając z Rumunii, była zszokowana, odkrywając, że Szwajcarzy, jak wszyscy inni ludzie, źle się prowadzą. Na tej podstawie wywnioskowała, że nawet w Raju wybrańcy będą kuszeni i że pewnie nieraz zdarzy im się upaść. Ta sprawa ogromnie ją ciekawiła, dlatego pewnego dnia zagadnęła o to anioła. On jednak oziębło odmówił jej odpowiedzi. Wydawał się zażenowany, jak gdyby nie chciał przyznać, że rzeczywiście może tak być. Ale psychika aniołów jest tak dziwna, że nie należy wyciągać z tego żadnych pochopnych wniosków.

Inkwizytorski umysł Iriny skłonił ją do pytania:

- Co robisz w laboratorium o tej godzinie? Ruth zaczęła się śmiać:

- Przeprowadzamy mnóstwo tajemniczych doświadczeń, by sprawdzić, czy to prawda, że można wyczuć czyjeś spojrzenie. Wiesz, to wrażenie, które sprawia, że odwracasz głowę, kiedy ktoś na ciebie patrzy.

- A co tu jest do odkrywania?

- No cóż, moi drodzy koledzy wątpią, że takie zjawisko może istnieć.

- Dlaczego w to wątpią?

- Ponieważ nigdy nie doznali takiego uczucia.

- To mnie nie dziwi - powiedziała Irina. - Michel jest taki roztargniony. Cały czas myśli o czymś innym. Kiedy siedzimy przy stole, a ja do niego mówię, on często nawet mnie nie słyszy albo nie rozumie, co powiedziałam. Zawsze potem muszę mu wszystko powtarzać. Wieczorem, gdy jesteśmy już sami, mogę przez dziesięć minut wpatrywać się w niego, kiedy czyta, a on nawet się nie zorientuje. Naukowcy to nie są normalni ludzie.

Ruth wpadła na pewien pomysł:

- A ty, Irino, znasz to uczucie?

- Oczywiście. Kiedy siedzimy przy stole z dziećmi, nawet z zamkniętymi oczami mogę bez problemu zgadnąć, które na mnie patrzy.

- Nie miałabyś ochoty poddać się takiemu eksperymentowi? I tak musimy czekać na Michela.

Irina poczuła ukłucie w sercu. Ruth nazwała Michela po imieniu. Nigdy wcześniej jej się to nie zdarzyło. Czy to ona była tą nieznaną kochanką, której się obawiała?

Słumiła jakoś to podejrzenie. Kilka minut później siedziała już na krześle, z zawiązanymi oczyma, słuchawkami na uszach, klamerką na nosie i otwartymi ustami. Ruth zajęła miejsce Seana. Eksperyment mógł się rozpocząć.

Pół godziny później do laboratorium wkroczył Michel. Widząc dwie kobiety pogrążone w zabawie, poczuł irytację. Nie lubił, kiedy Irina mieszała się w jego sprawy. Za każdym razem gdy przekraczała próg tego laboratorium, kończyło się to długą pogawędką w kawiarni z Ruth i innymi dziewczynami. Miał wrażenie, że te kobiety spiskują, by obalić porządek, jaki on z taką trudnością tutaj zaprowadzał.

Zapanował jednak nad sobą i usiadł obok Ruth, która spojrzała na niego

niemal z przerażeniem. Była słodka, kiedy ogarniał ją niepokój. Michelowi wydawało się, że zakochał się w Monie, a teraz odkrywał, że Ruth pociąga go w równym stopniu. Po raz kolejny przeklął swoją przysadkę.

- To nieprawdopodobne. Dotarliśmy do dwudziestego szóstego testu. Pańska żona nie pomyliła się ani razu. Istnieją ludzie, u których występuje absolutne zjawisko Coovera.

\*

Michel zdenerwował się do tego stopnia, że stracił nad sobą panowanie. Schował się w swoim biurze i poprosił Ruth, by odwiozła jego żonę. Mając samochód do dyspozycji, będzie mógł pracować do późna.

Od kilku dni ponosił jedną porażkę za drugą. Czuł, że ogarnia go jakaś zawodowa niemoc. Był do tego stopnia wzburzony, że musiał odreagować, i to obojętnie jak: tytoń, alkohol, narkotyki, seks. Musi zrobić coś, co wyciągnie go z niego samego, co pozwoli mu zapomnieć, kim jest, da mu złudzenie siły. Wycodził w końcu przez zaciśnięte zęby, by przekonać się o genialności swego pomysłu:

- Nawet jeżeli nie można dowieść, że człowiek jest rzeczą, można udowodnić, że rzecz zachowuje się jak człowiek.

Zaczął grzebać między dyskietskami i płytami CD. Wyciągnął kilka programów. Zmontuje je, nawet gdyby miało mu to zająć całą noc. Za dwa lub trzy dni udowodni, że hipotezy Kassisa i Theo są mylne i człowiek, w całej swej chwale, jest tylko zespołem procesorów, a każdy z tych procesorów wykonuje elementarną pracę.

Właśnie takim sposobem piętnaście lat temu udało mu się rozwiązać problem rozpoznawania ręcznie pisanych liter. W tamtym czasie żadna, nawet najdroższa maszyna nie potrafiła wykonać zadania, które jest w zasięgu sześciolatniego dziecka: rozpoznać litery czy cyfry bez względu na styl pisanie czy kreatywność osoby piszącej, wymyślającej nową czcionkę. Umysł człowieka jest



więc tak skonstruowany, że potrafi odszyfrować i zinterpretować znaki, które nie zgadzają się z jakimkolwiek matematycznym kodowaniem. Sztuczna inteligencja opierająca się na algorytmach, bazach danych i fachowych systemach poniosła całkowitą porażkę. A jednak potencjalny rynek był obiecujący: maszynowe odczytywanie adresów na kopertach czy podpisów na czekach pozwoliłoby zaoszczędzić na pracownikach, którzy mieli już dosyć wykonywania tych rutynowych czynności.

Michel odniósł sukces, podchodząc do problemu od samej podstawy, tzn. symulując funkcjonowanie samego mózgu. W korze mózgowej nie istnieje ośrodek rozpoznawania liter, lecz mnóstwo operatorów, a każdy z nich jest wyspecjalizowany w rozpoznawaniu jakiegoś szczegółu: liczba kresek, długość, pochylenie, skrzyżowanie itd. Oddzielnie żaden z tych operatorów nie potrafi zidentyfikować litery, ale wszystkie razem pozwalają ją rozpoznać z niewielkim marginesem błędu.

Michel całkowicie zaufał tej logice. Zamiast stosować łatwo dostępne procesory cyfrowe, namiętnie zajmował się symulowaniem mózgu, i to nawet jego najdrobniejszych szczegółów. Wyspecjalizowane procesory Michela były skonstruowane z wykorzystaniem sztucznych neuronów. Były połączone tak samo jak neurony w mózgu i uczyły się dzięki sygnałom testowym. Odgrywały tę samą rolę co oryginał, tak samo szybko i prawie tak samo bezbłędnie.

Multiprocessor Martina pozwalał odczytać codziennie dwa miliony czeków, a największą korzyść czerpały z tego duże banki, które w miarę wprowadzania tego systemu zwalniały pracowników. Tysiące kobiet i mężczyzn przeklinało nazwisko Michela Martina, choć on zupełnie nie był tego świadom. Niestety, patent tego wynalazku należał do spółki informatycznej, w której Michel wówczas pracował, dlatego nie zarobił na tym nawet grosza. Pod koniec roku, kiedy patent został zarejestrowany, otrzymał od dyrektora drewnianą skrzynkę z trzema butelkami

marnego szampana. Michel wylał wszystko do toalety i poczuł niepohamowaną przyjemność - odrzucił jałmużnę władzy.

Teraz chciał zastosować tę samą ideę, by stworzyć urządzenie symulujące świadomość. Nie po to, by jakiś niewdzięczny finansista zarobił na tym grube miliony, ale by wysadzić w powietrze podstawy tego zadowolonego z siebie społeczeństwa; pokazać, że stworzenie świadomości nie jest wcale takie skomplikowane; by poczuć, że nie podlega rozkazom Viredaza, Kassisa i Theo de Fully'ego; by Bogu Stwórcy powiedzieć adieu. I to definitywnie.

Kiedy Theo wrócił do Fully, zaserwował sobie wyśmienitą kolację na tarasie. Z ogródka zerwał sałatę i otworzył puszkę gęsich wątróbek. Otworzył butelkę czarnego pinota wyprodukowanego z winorośli hodowanej i zebranej w Saint-Pierre-de-Clages przez Daniela Maglioco. Ten posiłek wart był dobrego burgundzkiego wina.

Otępiony winem i upałem, patrząc na słońce, które zachodziło jakby z żalem, pogodnie spoglądał w przyszłość. Około dziesiątej wieczorem pozostał już tylko lekko widoczny płomyk na północy, nad Grand Chavalaz. Wtedy wszedł do domu i zadzwonił do Emmanuela.

Jego brat był w Rzymie, ale słyszał go równie wyraźnie, jak gdyby stał w pokoju obok.

- Dobry wieczór, Theo.

W jego głosie dało się wyczuć znużenie. Może to upał. W Rzymie pogoda bywa nie do wytrzymania.

- Dobry wieczór, Emmanuelu. Mam dobre wieści. To podniesie cię na duchu.

- Cóż takiego znowu odkryłeś?

- Ja nic. Ale dwoje młodych ludzi, którzy zajmują się projektem, naprawdę się do tego zapaliło. Potwierdzili zjawisko Coovera, o którym już ci mówiłem.

- Tak - odparł Emmanuel. - A czego to dowodzi?

- Niczego wielkiego, tyle tylko że nie da się tego wyjaśnić, stosując klasyczny schemat widzenia. Najbardziej jednak cieszy mnie zupełna zamiana postawy tych żółtodziobów. Teraz chcą dalej pracować i odkryć inne zjawiska, by wykazać, że informacji nie da się streścić do fizycznych sygnałów, jakie przekazują sobie wzajemnie neurony.

- A ich szef, profesor Martin, co on na to?

- Och, on ciągle się opiera. Można było się tego spodziewać. Wygląda na to, że nie bardzo interesuje go ten projekt. Trzeba pokonać bardzo wysoką barierę.

- Nie byłoby prościej, gdybyś sam pokierował tymi operacjami?

- Niestety, nie jestem już zbyt wiarygodny, ponieważ jestem za stary. A moja wiarygodność w tym projekcie jest jeszcze mniejsza, ponieważ jestem twoim bratem.

- Theo, chcesz powiedzieć, że ja nie jestem już wiarygodny.

- Chcę powiedzieć, że twoi poprzednicy popełnili wielką niedorzeczność. Wierzyli, udawali, że wierzą, lub wmawiali wszystkim dookoła, że są nieomylni. Dzisiaj, jeżeli ktoś tak mówi, uchodzi za obłąkanego. A kiedy w rodzinie zdarza się obłąkany człowiek, cała rodzina staje się podejrzana o to, że straciła rozum.

- Theo, jestem zmęczony. Nie drażnij mnie. Zupełnie mnie to nie bawi. Jutro przekażę Tarcisio Bertiniemu to, co odkryliście na temat zjawiska Coovera.

- A to co za jeden?

- Wspominałem ci o nim. To mój dawny zastępca w Kongregacji Nauki Wiary, a teraz prawa ręka przy likwidacji Watykanu.

- Jest jakoś specjalnie zainteresowany zjawiskiem Coovera?

- Prawdopodobnie nawet nie wie, co to znaczy, ale jest zafascynowany tym projektem.

- Dlaczego mu o nim powiedziałaś? Emmanuelu, ta operacja to niezmiernie

delikatna sprawa, musimy być dyskretni. Bardzo łatwo możemy się ośmieszyć.

- Nie ja mu o tym powiedziałem. To on pierwszy podsunął mi pomysł tego projektu i zasugerował, bym z tobą o tym porozmawiał. Prosił mnie, bym nie wspominał nawet jego nazwiska. On jest taki skromny.

- Moim zdaniem za bardzo skromny, by być twoją prawą ręką, a ty jesteś za bardzo ufny jak na stanowisko, które zajmujesz. No, ale cóż, nigdy się już nie zmienisz! Jutro przyjeżdża Colombe, o wszystkim jej opowiem. Zanim w pełni zaangażuję się w ten tak ważny projekt, muszę się dowiedzieć, dla kogo pracuję. Tymczasem życzę ci miłej nocy.

- Miłego wieczoru, Theo.

- Wzajemnie. Emmanuelu, pamiętaj o mojej radzie: żeby dobrze spać, trzeba wypić dużą szklankę Petite Arvine<sup>5</sup> i łyk creme de cassis<sup>6</sup>.

5 Rodzaj białego wina, specjalność kantonu Valais (przyp. tłum.).

6 Likier z czarnych porzeczek produkowany w Burgundii (przyp. tłum.).

## IX

W środę rano Michel odłożył tajemniczą robotę, którą rozpoczął poprzedniego dnia, mimo że jego dzieło nie było jeszcze całkowicie ukończone. Włożył jedyny porządny garnitur, nie zważając, że jest on o wiele za ciepły na tę porę roku. Wyruszył w stronę Genewy, do siedziby Banku Środkowego Wschodu. Po drodze rozmyślał o Monie, miał nadzieję, że ją zobaczy. Może Charbel Kassis zaprosi go na obiad do swej rezydencji, a może jego elegancka i frywolna żona wpadnie do banku przy okazji zakupów w mieście. Kiedy dojeżdżał do Genewy, oderwał się w końcu od tych marzeń i zaczął się zastanawiać nad nową pracą, która na niego czekała.

Czy jego matka zgodziłaby się, by został asystentem bankiera? Nie potrafił jakoś uporządkować myśli. Od kilku dni ciągle działo się coś niespodziewanego. Egzystował na tym świecie, choć tak naprawdę nie żył, i taki układ jak dotąd mu

odpowiadał. A teraz jakieś dziwaczne wydarzenia zakłócały jego poukładane życie. Z trudem znosił stawanie się samym sobą. Był niczym nastolatek, który stara się jako tako mieszkać w swym ciele, choć stało się ono zbyt duże dla dziecka, jakim nadal pozostaje.

Dla Michela banki należały do świata równie mrocznego co luksusowe hotele, sklepy jubilerskie czy nocne kluby. To jedno z tych miejsc, na które ciągle zapracowany, nie mający na nic czasu profesor i ojciec wielodzietnej rodziny patrzy ostrożnym okiem. Nigdy nie udało mu się odłożyć nawet jednego grosza dlatego bank ograniczał się dla niego do sali z okienkami i bankomatu: abstrakcyjna granica między tajemną władzą pieniądza a masą żebraków, do których się zaliczał. Dawniej musiał najpierw długo i pokornie czekać, aż w końcu przykuł uwagę podrzędnego i zgryźliwego urzędnika, chowającego się za kratą. Ale w bankowości nastąpił postęp: od kilku lat zebrał o pieniądze w automacie, nie bardziej ludzkim od kasjera.

Dzisiaj Michel miał dołączyć do tego dworu dzięki księciu, który okazał swą dobroć i pochylił się nad nim. Parkując samochód w podziemnym garażu na końcu mostu Mont-Blanc, z radością odkrył zarezerwowane dla niego miejsce. Ten niewielki przywilej sprawił, że poczuł się swobodniej.

Charbel Kassis osobiście przywitał go w swoim biurze. Nie od razu Michel docenił, jak wielki zaszczyt go spotkał. Z zasady dyrektorzy banku przyjmują gości w parlatoriach urządzonych równie bez wyrazu jak parlatoria w zakonach i mają spełniać tę samą rolę: stworzyć nijaką przestrzeń między światem zewnętrznym a świętym spośród świętych.

Była dziewiąta rano, a na biurku Charbela nie leżał ani jeden dokument. Dwa czy trzy razy weszła sekretarka, by podać dyrektorowi jakiś dokument do podpisu. Dokonywało się to przy niesamowitej oszczędności gestów, stylizowanych niczym w liturgii. Tutaj wszystko było mistyczne: przytłumiona cisza stawała się równie

ogłuszająca co dźwięk wielkich organów, zapach pszczelego wosku przypominał kadzidło, bogate i nijakie meble świadczyły raczej o zamożności niż o dobrym guście, ubrania bardziej zakrywały ciało, niż je uwydatniały. W tym miejscu nie można było sobie wyobrazić urzędnika bez krawata: węzeł wokół szyi upodabniał go do dobrze związanej paczki, symbolu dyskrecji. Dlaczego ten kodeks nie obowiązywał w laboratorium badawczym, gdzie każdy ubierał się, jak chciał? Michel był zaskoczony: dbanie o wygląd to słabość umysłu czy pewność siebie?

Charbel przekazał Michelowi trzy teczki. Pragnął usłyszeć jego opinię na temat znajdujących się w nich dokumentów. We wszystkich trzech przypadkach chodziło o ryzyko zainwestowania kapitału w wielkie przedsięwzięcia, które miały skrywać ogromne potencjały rozwojowe. Michel stwierdził, że nie może się wypowiadać bez odniesienia do publikacji naukowych i że byłoby lepiej, gdyby pracował w pobliżu jakiejś biblioteki uniwersyteckiej. Charbel przewidział taki sprzeciw: do dyspozycji pozostawił mu współpracownicę, która dzięki Internetowi będzie miała dostęp do koniecznych baz danych i dostarczy mu w wersji elektronicznej bądź papierowej wszystkie dokumenty, o jakie poprosi.

Kilka chwil później Michel zasiadł w swym skromnym, acz wygodnym biurze. Znajdował się na czwartym piętrze, skąd roztaczał się wspaniały widok na centrum Genewy. Oczywiście wyobraźni widział wszystkie butikie wielkich dyktatorów mody i najlepszych jubilerów. Całe złoto tego świata leżało u jego stóp. Nigdy nie należy sprzedawać duszy za miskę soczewicy, ponieważ ten, kto oprze się tej pokusie, sprzeda ją w końcu za chochlę kawioru.

Wspomnienie ojca i matki zacierało się powoli, jakby we mgle. Przyniesie Irinie i dzieciom pieniądze, których zawsze brakowało. Odtąd będą wiedli wygodne życie. Nie będzie już tylko profesorem, który wie wszystko, ale także ojcem, który może wszystko. Rozmarzył się: pomoc domowa przejmie kuchnię, będzie przygotowywała solidne posiłki, takie jak lubi - kaszanka z jabłkami,

pulpety ze szczupaka w sosie nantua przyrządzonym z szyjek rakowych, pularda z Bresse polana sosem truflowym; on sam wstawi do piwnicy najlepsze wina, może nie dlatego, że za nimi przepada, lecz raczej ze względu na ich markę; kupi willę nad brzegiem jeziora w Pully. Tam urządzi wielkie laboratorium, będzie pracował u siebie i nikt nie będzie mu przeszkadzał; zatrudni sekretarkę, która zajmie się papierkową robotą.

Przeciągnął się, lekko wzdychając. Dzisiaj rano rozpoczyna nowe życie. Jego spojrzenie powędrowało na elegancką kobietę która dużymi krokami maszerowała wokół jeziora. Może była to jakaś najemniczka. Nawet jeżeli uda mu się prowadzić wygodne życie, będzie musiał jeszcze zapanować nad swą seksualną frustracją. Z doświadczenia wiedział, że po jednym zbliżeniu do Iriny na świecie może pojawić się następne dziecko: nie było mowy, by się zabezpieczyć, stosując jakąś metodę antykoncepcji, chyba że naturalną, zgodnie z bardzo wąską definicją, jaką Irina przypisywała temu pojęciu. A od kiedy wpadła w to jasnowidztwo, wymagała jeszcze ślubu kościelnego, który Michel oczywiście z przekonaniem odrzucał. Nie zafunduje sobie również kochanki. Oznaczałoby to, że zarabia pieniądze, wykorzystując mózg, by zadowolić narządy płciowe - tę śmieszną część ciała, wstydliwego świadka zwierzęcego pochodzenia ludzi. Ten organ zniewolił go do tego stopnia, że się ożenił, spłodził szóstkę dzieci i skazał Henriego na okropną śmierć. Już pierwszego dnia tego układu, jaki zawarł, odkrył nowy paradoks: można być bogatym i sfrustrowanym.

By uciec od tych cierpkich myśli, zabrał się do pracy. Pierwsza sprawa nie była mu obca: firma Hernaut & Lespie proponowała otworzyć laboratorium w Lille, by stworzyć prototyp maszyny do dyktowania, opartej na pracach Bourquina i Wellarda. Michel dobrze znał obu naukowców, uważał ich za jednych z najlepszych na świecie specjalistów w swej dziedzinie. Wiedział jednak, że firma Hernaut & Lespie, korzystając pewnie z usług jakiegoś łowcy głów, zatrudniła ich

tylko po to, by uzyskać subwencje z regionu Nord-Pas-de-Calais.

Jeżeli chodzi o laboratorium, były to tylko okazałe biura, w których Bourquin i Wellard mogli jedynie siedzieć i czekać. Przyznane subwencje posłużyły przede wszystkim na opłacenie niepotrzebnych kosztów, obiadów dla wybrańców w Huitriere i Chateux Blanc, obszernych ogłoszeń w gazetach dla ugrupowań partyjnych, ciepłych posadek dla ich wojowników. Natomiast Hernaut i Lespie czekali z zakupem nowego komputera Fujitsu, aż osiągnie parametry, jakich życzyli sobie Bourquin i Wellard, którzy z biegiem czasu stawali się coraz bardziej wymagający.

Na obecnym etapie technologii komputerowej nie można stworzyć maszyny do dyktowania, która zapisywałaby słowa dowolnej osoby mówiącej normalnym rytmem. Istniejące systemy ciągle drukują kompletne bzdury, nie potrafią zrozumieć sensu wypowiedzianych słów, nawet kiedy człowiek mamrocze tekst słowo po słowie jak nauczyciel, który dyktuje tekst dzieciom z pierwszej klasy. Istota ludzka potrafi przetworzyć ciąg dźwięków w tekst, ponieważ do tej operacji wykorzystuje znajomość środowiska. Komputery natomiast nie mają najmniejszego pojęcia o życiu.

Praca Michela polegała właśnie na symulowaniu działania ludzkiego mózgu, by skonstruować maszyny zdolne do wykonywania tych samych funkcji. Jego zdaniem klasyczne komputery nigdy nie będą w stanie tego zrobić.

Michel nieźle się ubawił, czytając zręczne wybiegi zarządców firmy, którzy starali się ukryć absurdalność swego projektu. Odwoływali się do mitu najdoskonalszego komputera na świecie, który potrafi wszystko. Po dwóch godzinach na biurku Michela leżała już gotowa krytyka tego pomysłu: jego opinia była obiektywna i solidnie uzasadniona. Uświadomił sobie, że w głębi duszy odczuwa satysfakcję, pograżając Hernauta i Lespiego. Kiedy przedsiębiorstwo tych rekinów pójdzie na dno, Bourquin i Wellard znowu zajmą się poważną nauką i



przestaną odgrywać rolę figurantów. Michel złoży im propozycję i sprowadzi ich na dobrą drogę: na drogę siatki sztucznych neuronów, na drogę maszyn, które nie byłyby zaprogramowane, ale uczyłyby się same, wykorzystując swe doświadczenie.

Gdy tylko skończył redagować opinię, pomyślał o odbywającym się właśnie zebraniu roboczym, w którym uczestniczą Theo, Ruth i Sean. Właściwie lepiej, że go tam nie ma: jest za bardzo uprzedzony do samej idei tej operacji. Niestety, faza wstępna projektu tak dobrze się powiodła, że Michel nie będzie miał podstaw, by go zakończyć. Nowe wyniki wzmacniające tezę Theo osłabiłyby jeszcze bardziej stanowisko Michela. Dobrze więc zrobił, uciekając dzisiaj do Genewy. Starał się nie myśleć o tym wszystkim, co działo się w Lozannie. Czuł się zbyt ułomny, by stawić czoło światu takim, jaki jest. Był też zbyt słaby, by próbować go zmienić.

Mimo szacunku, jaki winien okazywać laureatowi Nagrody Nobla, Sean od razu zabrał głos, choć Theo go o to nie prosił. Był niesamowicie podekscytowany. Sporą część nocy spędził przed komputerem i od dwudziestu czterech godzin nie zmrużył oka. Najpierw zreferował wyniki, jakie uzyskali poprzedniego dnia. Potem opowiedział o tym, czego dowiedział się z Internetu:

- Istnieje około dziesięciu mniej lub bardziej poważnych instytucji, które zajmują się badaniami nad zjawiskiem Coovera, choć różnie jest ono nazywane. Na ogół prace są prowadzone w laboratoriach psychologii eksperymentalnej, a nie na uczelni technicznej.

- Bardzo dobra uwaga - rzekł Theo. - Widzi pan teraz, że istnieją dziedziny zaniebawiane przez nauki techniczne. W laboratoriach można znaleźć trzy typy naukowców. Pierwszy to badacz, który ogranicza się do powszechnie znanych problemów i oczywiście wszyscy mu przyklaskują. Drugi zajmuje się niepospolitą dziedziną, a pionierzy tej dziedziny oskarżają go o plagiat. Wreszcie trzeci, który rozpoczyna badania nad jakimś zupełnie nowym zagadnieniem. Na początku ludzie

uznają go za szaleńca, a w końcu ogłaszają geniuszem. Inżynierzy są zachęceni do konformizmu przemysłowego, nic więc dziwnego, że nikt z nich nie interesuje się zjawiskiem Coovera.

Sean uśmiechnął się. Pomyślał, jak bardzo do tego schematu pasuje Michel. Potem powiedział:

- Zjawisko to występuje wszędzie, choć oczywiście nie wszystkich ludzi. Trochę częściej ujawnia się u kobiet. W przypadku mężczyzn występuje u Afrykanów, Azjatów, amerykańskich Indian, a więc w pozaeuropejskich kulturach. Zjawisko absolutne jakie wczoraj wieczorem odkryliśmy u Iriny Martin, to nie pierwszy przypadek, ale taki człowiek zdarza się raz na tysiąc. Na Uniwersytecie New Mexico w Albuquerque wykryto pięć absolutnych zjawisk Coovera. Wszyscy to Nawahowie albo Meksykanie. Tego zjawiska nigdy nie odczuje przeciętny Amerykanin, człowiek nordyckiego pochodzenia, protestant i heteroseksualista.

Teraz wtrąciła się Ruth:

- Zjawisko Coovera jest zatem szczególnym darem. Wszystko zależy od osoby: rozwija się, jeżeli ktoś je wykorzystuje. I przeciwnie: zanika, jeżeli człowiek z niego nie korzysta. Ten wyjątkowy dar kojarzy się z „nosem” twórców zapachów. Nasz węch jest słaby w porównaniu z węchem psa. Prawdopodobnie dlatego, że nasi przodkowie, kiedy stanęli już na dolnych kończynach, mogli bardziej zaufać temu, co widzieli, niż temu, co czuli. Ludzie posiadają resztkowy zmysł węchu, ale są też tacy, którzy lepiej go ochronili. Pewnie tak samo jest w przypadku zjawiska Coovera: szósty zmysł, który uprzedzał, że z tyłu czai się nieprzyjaciel, był niezwykle cenny, by przeżyć w prehistorycznym świecie. Niektórzy go zachowali.

- Przypomnijcie mi, jak działa węch - poprosił Theo.

- Pobudzone zapachem komórki węchowate błony śluzowej jamy nosa wysyłają wiadomość w postaci fal elektrycznych do opuszków węchowych,

mieszczących się z przodu i poniżej każdej półkuli mózgu. Po wstępnym przetworzeniu informacji przez te opuszki sygnały są przesyłane do kory węchowej, która znajduje się w rejonie potylicznym. Przy ostatniej analizie zapach jest więc odczuwany za pomocą tylnej części głowy. Każdy zapach pobudza zespół różnych neuronów z tej strefy, któremu przypisujemy, na skutek naszych zewnętrznych doświadczeń, mniej lub bardziej pozytywne oceny.

- A jeżeli w porównaniu z psem u człowieka ten zmysł prawie zanikł, oznacza to, że nie jest już nam tak bardzo potrzebny żeby przeżyć - podsumował Theo. - Można więc uznać, że zjawisko Coovera to pozostałość naszego początkowego wyposażenia które służyło do odbierania sygnałów. Ale pozostaje oczywiście pytanie, dlaczego jedni go zachowują, a inni tracą.

Ruth miała już wytłumaczenie:

- Wiemy, że w przypadku pozostałych funkcji, takich jak widzenie, wymowa, zdolność ruchu, bardzo ważne znaczenie ma wyćwiczenie odpowiednich ośrodków kory mózgowej. Ta nauka musi zakończyć się w określonym stadium rozwoju, w przeciwnym razie człowiek nie będzie w stanie wykonywać danych funkcji: dziecko głuche od urodzenia może nauczyć się mówić pod warunkiem, że jest odpowiednio wcześnie do tego przygotowywane. Jeżeli jego rodzice są głuchoniemi, może razem z nimi uczyć się języka migowego, który zastąpi mowę. Natomiast dziecko głuche, do którego nie dochodzi żadna informacja, ani dźwiękowa, ani za pośrednictwem gestów, staje się ostatecznie nieme i niedorozwinięte. Tak samo jest w przypadku, kiedy w późniejszym czasie dochodzi do uszkodzenia części kory mózgowej, na przykład przy wylewie krwi do mózgu. Wówczas funkcje te mogą zostać zahamowane czy wręcz unicestwione. Widzimy, mówimy, poruszamy naszymi członkami tylko wtedy, gdy niektóre określone ośrodki naszej kory mózgowej zostały odpowiednio wyćwiczone i są zachowane w dobrym stanie. Nic więc dziwnego, że zjawisko Coovera występuje tylko u

niektórych osób. Od początku były obdarzone taką zdolnością i miały okazję tę zdolność wyćwiczyć. Wczoraj rozmawiałam o tym z Iriną. Ja mieszkałam w Palestynie, gdzie istniało ciągle zagrożenie ze strony palestyńskich terrorystów, a ona spędziła dzieciństwo w Rumunii, w kraju szpicli i policjantów. W takich okolicznościach rozwija się szósty zmysł.

Theo zastanowił się przez chwilę, potem zapytał Seana:

- Czy za pomocą waszego skanera mózgu można określić, jakie obszary kory mózgowej są pobudzone u ludzi, u których występuje zjawisko Coovera, i dowiedzieć się, dlaczego ten ośrodek zanikł lub pozostaje bierny u innych?

- Już to zrobiliśmy - powiedział Sean. - Zostaliśmy wczoraj z Ruth do późna w nocy w laboratorium. Skaner wychwycił w płacie potylicznym Ruth obszar odpowiedzialny za to zjawisko. Mieści się on jedynie w prawym płacie, między ośrodkami węchu, wzroku i smaku. Możemy powiedzieć, że szósty zmysł jest osadzony wśród pięciu pierwszych.

- Brawo - pochwalił go Theo. - Przeszedł pan od razu do najważniejszej części.

- Jednak - ciągnął Sean - nadal niczego nie wiemy o organie wychwytyjącym sygnały, takim jak nos czy oczy w przypadku innych zmysłów. W Internecie znalazłem pół tuzina odniesień do artykułów opublikowanych w marnych magazynach. Istnieją zespoły, często amatorskie, które drążą ten temat. O ile wiem, mimo tych wszystkich dzikich badań organ wykorzystywany przez zjawisko Coovera pozostaje nieznany.

- Zaraz wam to wyjaśnię - powiedział Theo. - Powróćmy na razie do najtrudniejszej sprawy: potwierdzenia istnienia samego zjawiska. Dwa ośrodki widzenia Seana w jego dwóch półkulach zostały pobudzone, ponieważ miał otwarte oczy. Co by się stało, gdyby jedno oko było otwarte i pobudzony byłby tylko jeden ośrodek pańskiego mózgu?

- Już to sprawdziliśmy - przerwał Sean. - Zamykałem na przemian prawe i lewe oko w taki sposób, by pobudzać tylko jedną z półkul kory mózgowej. Zjawisko Coovera cały czas się objawiało, choć było trochę słabsze. To tak, jakbym patrząc na cel tylko jednym okiem, emitował mniej sygnałów. Ale co to są za sygnały? Nie mam pojęcia.

Theo popatrzył na niego z podziwem:

- Do tego dochodzimy. Jest pan piekielnie dobrym badaczem. Podsumujmy sytuację. Dwa obszary dwóch różnych kor mózgowych Seana i Ruth komunikują się ze sobą, mimo że nie zostaje przesłany żaden dźwięk, obraz czy zapach. A zatem staramy się sprawdzić, czy istnieje jakaś istota wychodząca z ciała jednej osoby i pozwalająca jej wejść w kontakt z drugą osobą.

Podszedł do tablicy i zaczął szkicować jakieś schematy, kontynuując wykład:

- Mogę względnie prosto wyjaśnić wam zjawisko Coovera, odwołując się do mechaniki kwantowej. Zdaniem całkiem niezłego naukowca, jakim był na przykład Richard Feynman promień świetlny nie jest jedynie wiązką fotonów, które wychodzą w linii prostej z obserwowanego przedmiotu ku siatkówce oka i ją pobudzają. Jest to skrótowy i bardzo uproszczony obraz rzeczywistości, choć doskonale obrazuje istotę zjawiska osobom nieobeznany w tej materii. Foton to wcale nie jest cząstka w sensie tradycyjnej mechaniki, odpowiednik unoszącego się w powietrzu ziarna kurzu, lecz rezultat mnóstwa interakcji. Tutaj bez końca cząstki rozpadają się i ponownie ze sobą łączą. Z fizycznego punktu widzenia można powiedzieć, że istnieją również fotony, które wychodzą z oka i kierują się ku przedmiotowi, na który człowiek patrzy. Zresztą fotony nie przemieszczają się w linii prostej, ponieważ są to cząsteczki, których pozycję można wyznaczyć dopiero wtedy, kiedy się je zmierzy. Trzeba zatem poważnie przyjrzeć się podstawowemu schematowi klasycznej optyki. Nasza świadomość, nasz umysł jest nie do

pomyślenia we wszechświecie wymyślonym przez Laplace'a, chyba że jako prymitywna iluzja. Natomiast dla specjalisty zajmującego się światem kwantowym staje się manifestacją najbardziej subtelnych osobliwości materii, takich, do których przeniknąć może umysł.

Demonstracja została zakończona. Theo usiadł i z pewną ironią patrzył na dwoje młodych naukowców.

- Jeżeli dobrze rozumiem - odezwał się Sean, lekko urażony - znał pan już wcześniej wyniki, jakie my dopiero uzyskaliśmy. Kazał nam pan powtarzać wiele razy to doświadczenie tylko i wyłącznie po to, by nas przekonać. To nie są badania naukowe, to się nazywa manipulacja.

- Tylko w taki sposób mogłem zdjąć wam klapki z oczu. Jeżeli badacz ugrzęźnie w jakimś przesądzie, trzeba najpierw nim wstrząsnąć. A jedynym sposobem, by to zrobić, to zmusić go do przeprowadzenia eksperymentu, który go przekona. W poniedziałek rano mieliście tylko jedno w głowie: chcieliście uwolnić się od tego projektu, poświęcając możliwie najmniej czasu, by wykazać, że nie ma tu nic do odkrycia. Musiałem was przekonać, że to nieprawda. Nigdy już nie zapomnicie tego wtorku, kiedy zobaczyliście, że zjawisko Coovera to nie żadna plotka. Zrozumieliście, że mechanika kwantowa rzeczywiście nami rządzi. Odeszliście od fizyki Newtona i schematu Laplace'a. Teraz jesteście gotowi przystąpić do dalszych eksperymentów. Naukowiec nigdy niczego nie znajdzie, jeżeli nie szuka. Gdy z góry jest przeświadczony, że nie ma niczego do odkrycia, pracuje źle i tym samym nie uzyskuje żadnych rezultatów. Zastanowicie się nad wszystkimi waszymi wcześniejszymi doświadczeniami: tuż przed dokonaniem jakiegoś odkrycia przeczuwacie wynik, który stanie się oczywistością dzięki jakiejś delikatnej, paradoksalnej wskazówce, niezgodnej z wszystkimi przesądami. By coś odkryć, trzeba chcieć to odkryć! - Przerwał na chwilę, przecierając okulary, po czym ciągnął. - Pragnę, byście przestali ogólnikowo postrzegać wszechświat, gdzie

przedmioty i ludzie są od siebie oddzieleni, zamknięci w czymś w rodzaju pudełek. Tutaj Słońce, tam Ziemia. Ziemia niestrudzenie krąży wokół Słońca, ponieważ siła przyciągania, proporcjonalna do iloczynu mas i odwrotnie proporcjonalna do kwadratu odległości, dokładnie równoważy siłę odśrodkową. To piękny schemat, który satysfakcjonuje umysł i pozwala przy pierwszej analizie zbadać relacje między dwoma ciałami niebieskimi: ciałami ogromnymi i oddalonymi od siebie, między którymi istnieje pusta przestrzeń. Rozkładamy rzeczywistość na części, które wzajemnie na siebie oddziałują. Ale ten schemat, który funkcjonuje w astronomii, niekoniecznie sprawdza się w biologii. W zjawisku Coovera mamy dwoje ludzi: Ruth i Seana. Jeżeli do siebie nie mówią, jeżeli się nie dotykają, jeżeli nie czują wzajemnych zapachów, jeżeli Ruth nie widzi Seana, w zasadzie żadna informacja przekazywana przez Seana nie może dotrzeć do Ruth. A jednak coś się dzieje. Z waszego punktu widzenia jest to skandaliczne, ponieważ nie można tego w prosty i logiczny sposób wytłumaczyć. Ale wy rozumiecie w ramach tradycyjnej fizyki, gdzie każdy przedmiot jest postrzegany odrębnie i gdzie światło rozchodzi się w linii prostej. - Theo rozkręcał się coraz bardziej. - W fizyce kwantowej jest tylko jedna funkcja falowa wyrażająca zachowanie całego wszechświata. Oczywiście tego matematycznego modelu rzeczywistości nie można wykorzystać do obliczeń. Jest on ważny w teorii, ale nie w praktyce: naukowiec nie jest w stanie zbadać całego wszechświata, a zatem upraszcza sobie życie i powraca do klasycznej fizyki: rozbiera rzeczywistość na odrębne przedmioty. Nawet jeżeli zajmuje się mikroskopijnymi cząstkami, będzie je postrzegał jako oddzielne jednostki usytuowane w jakimś punkcie i posiadające określoną prędkość. I w taki sposób będzie rozumował. Nie mogę mu czynić żadnych wyrzutów, dopóki tym modelem nie zastępuje rzeczywistości. Ale jeżeli rozwiązywane jest równanie i pojawia się coś, co nie wpisuje się w to równanie, to w odczuciu badacza to coś w końcu przestaje istnieć. I nie ma w tym nic skandalicznego! Dany model można

zastosować tylko wtedy, gdy lekceważy on jakąś część rzeczywistości, tę, która według was jest niepotrzebna i przeszkadza w rozumowaniu czy obliczeniach. Ale, jak wszyscy badacze, zakochujecie się w swoim modelu i zapominacie o rzeczywistości. Kiedy jakiś naukowiec wygląda na obłąkanego, jest to komiczna wskazówka, że zerwał z rzeczywistością. To cena, jaką musi płacić, by udało mu się zanalizować cząstkę tej rzeczywistości. Profesor Nimbus stojący pod prysznicem z parasolem jest karykaturą dużo bardziej rozpowszechnionej postawy, niż można by sądzić. Potem szybko dodał:

- I wcale nie uważam, że mnie samemu udało się uniknąć tej śmieszności!

Te słowa przesywały Ruth. Objawiały samo źródło jej udręki - Sean stał się świetnym, jednym z najlepszych naukowców młodego pokolenia. Ale taki poziom osiągnął tylko dzięki praktykowaniu ascezy. Odciął się niemal od wszystkiego. Jego głęboko przemyślany plan kariery nie przewidywał uczuć. Nie dało się ich obliczyć w równaniu i nie mogły być przedmiotem publikacji, a zatem zwyczajnie je negował, uważał za szkodliwe i starannie wyplenił. Użyciali sobie wzajemnie swych ciał - zgodnie z jego świętym wyrażeniem - ale on ciągle powtarzał, że chwilowi kochankowie nie powinni być „uwikłani w emocje”. Jak gdyby emocje stanowiły słabość duszy, którą należało oczyścić, jak gdyby przeszkadzały w koncentracji nad uproszczoną i abstrakcyjną rzeczywistością.

To szaleństwo ogarnęło również Michela: w jego oczach ludzkie ciała były tylko podporami dla mózgow składających się ze stu miliardów procesorów. To, że mózg jest ośrodkiem takich działań, jak myślenie, wyobrażanie, tworzenie, było kwestią drugorzędną. Najważniejsze było funkcjonowanie pojedynczego składnika. Michel tak bardzo skupiał się na neuronach, że nie dostrzegał już człowieka.

- Zaczynam rozumieć - powiedział Sean - co pan nam proponuje. Chce pan, byśmy szukali rzadkich zjawisk, które zachodzą losowo, są zazwyczaj niezauważalne i posiadają tylko pośrednie wskazówki. Mamy zająć się zjawiskami,



które w laboratorium określa się jako pasożyty lub artefakty, choć naprawdę istnieją. Przedmiotem naszych badań ma być to, co zazwyczaj przeszkadza badaczowi.

- Dobrze mnie pan zrozumiał - powiedział Theo.

Partia nie była jeszcze wygrana, ale Theo chciał podsycić zapal, jaki zaczynał przejawiać jego rozmówca. Sean był już zafascynowany zjawiskiem, ale ciągle ostrożny w jego interpretacji. Ruth była przekonana, czuł to. Pewnie dlatego, że była Żydówką i w momencie narodzin została wliczona w poczet narodu wybranego - narodu, który jako pierwszy odkrył imię Boga: „Jestem”.

\*

W środy dzieci miały zajęcia w szkole tylko rano. Kiedy wyszły z domu, Irina pośpiesznie otworzyła szafę. Chciała poświęcić przynajmniej trzy godziny na modlitwę. Za tydzień rozpoczną się wakacje. Wtedy całymi dniami będzie musiała zajmować się potomstwem, więc na modlitwę pozostaną jej tylko noce, a do tego będzie musiała się starać, by unikać zirytowanego spojrzenia Michela.

Uklękła, zapaliła dwie świece i zaczęła się wpatrywać w ikonę św. Jana, tego Orła z Patmos, który napisał Apokalipsę po tym, jak na jego oczach otwarło się Niebo. Od razu poczuła, że dzisiaj nie zobaczy nikogo - ani anioła, ani Maryi, ani Jezusa. Dzisiaj przyjdzie „Jestem”.

Przyszedł i rzekł „Jestem”. Tylko jeden raz. W pełni niewidzialny i w pełni obecny. Irina zapomniała, gdzie jest, osiągała szczyty. Czowała, że dotyka nieśmiertelności, pociągając za sobą wszystkich członków swej rodziny, sąsiadów, kupców, a nawet emerytów przesiadujących na ławkach w parkach. Wszystkich ich włączyła w porządek kosmiczny, który jest tak urządzony, by każdy uczestniczył w dobru każdego z osobna i wszystkich razem. Zobaczyła, że źródłem tworzącym nieskończoność istniejących światów jest miłość tego, który nazywa się „Jestem”, który gwarantuje szczęście bez końca. Niczego więcej nie trzeba było mówić.

Wystarczyło milczeć. Nie istniał już ani czas, ani przestrzeń.

Nagle zadzwonił telefon. Irina powróciła do rzeczywistości. Miała wrażenie, że dzwonek dochodzi z daleka, jakby z końca długiego korytarza. Jej spojrzenie powędrowało na leżący przed nią otwarty zeszyt: „Jestem” niczego nie podyktował. Tekst był napisany własną ręką Iriny, widziała swe małe i nerwowe pismo, ale nie pamiętała treści: tak postępował „Jestem”, kiedy dyktował jakąś modlitwę. Jeżeli Bóg przekazywał jakieś przesłanie, wówczas to anioł pisał ręką Iriny. W zeszycie było tylko kilka linijek. Zaczęła czytać, ciągle klęcząc i nie przejmując się dzwoniącym telefonem. Nie pamiętała nawet, że sama napisała to, co znajdowało się przed jej oczami i co wyszło spod jej pióra.

„Jak Cię nazywać? Chyba tylko «Poza Wszystkim». Żadne imię nie może Ciebie wyrazić. Żaden umysł nie może Cię ogarnąć. Jesteś każdym, a jednocześnie żadnym z nas. Nie jesteś odrębną istotą i nie jesteś zespołem istot. Nosisz wszystkie imiona, a ja nie wiem, jak Cię nazywać. Chyba tylko «Poza Wszystkim»,,.

Irina zerwała się z kolan i złapała telefon, który bezlitośnie dzwonił. Pani matka prosiła córkę, by poszła do sklepu i kupiła jej kotlet wieprzowy. „Jestem” ciągle był przy niej. Poleciał Irinie, by bezzwłocznie załatwiła sprawę. Jej ziemską matka potrzebowała jej pomocy.

Irina nieuważnie zapłaciła rzeźnikowi. Wiedziała, że ją oszukuje, choć nie popatrzyła nawet na wagę. Zastanawiała się, dlaczego tak rzadko przychodzący „Jestem” objawił się właśnie dzisiaj. Co się dzieje z Michelelem? Czowała, że jej świat zaczyna się chwiać. „Jestem” zaczął działać.

Charbel Kassis czytał opinię. Nie drgnęły mu ani powieki, ani nawet źrenice. W kilka sekund przyswoił najważniejszą część tekstu.

- Dziękuję - powiedział. - To, co pan pisze, potwierdza wszystkie pozostałe informacje, jakimi dysponuję. Hernaut i Lespie otworzyli jeden z tych sztucznych

ośrodków badań, jakie tworzą francuskie partie polityczne, by pozyskać pieniądze z publicznego skarbcza. Region, departament czy miasto, kontrolowane przez jakąś miejscową osobistość, dostarczają środków na wieczne nieoddanie jakiejś firmie, która nie prowadzi rzeczywistej działalności, a jedynie finansuje partię. Ten proceder został już ukrócony do tego stopnia, że nie można go wykorzystać, jeżeli takie przedsiębiorstwo zajmuje się po prostu public relations, socjologią miasta czy zagospodarowaniem przestrzennym. Chodzi tu zatem o ludzi, których zawód predestynuje do knucia, tych wszystkich figurantów, których sędziowie śledczy wykrywają bez najmniejszego trudu. Od kilku lat Krajowa Szkoła Sędziowsko-Prokuratorska oferuje młodym sędziom śledczym szkolenie w zakresie księgowości. Dzięki temu tacy sędziowie sięją spustoszenie wśród tych wszystkich koleżków i łajdaków, którzy odbijają sobie straty. W przypadkach prania brudnych pieniędzy byliśmy zmuszeni zdradzać tajemnicę bankową. Ja współpracowałem z sędzią śledczym z Paryża. Był to do tego stopnia kompetentny człowiek, że zaproponowałem mu pracę w banku. Popatrzył na mnie z odrazą, jak gdybym składał mu jakąś nieuczciwą propozycję.

Charbel zamyślił się przez chwilę. Uśmiechał się, myśląc z nostalgią o dawnych czasach, kiedy prawnicy nie potrafili nawet odczytać bilansu.

- W obecnym przypadku Hernaut i Lespie wprowadzili nowość, zatrudniając Bourquina i Wellarda, najlepszych francuskich naukowców specjalizujących się w przetwarzaniu mowy. Aura tajemnicy otaczająca tak prestiżowe badania zniechęci na jakiś czas pracowników wymiaru sprawiedliwości do wtykania nosa w nie swoje sprawy. Tak będzie do czasu, aż wymiar sprawiedliwości wzbogaci się o prawników znających się na inżynierii. Od czasów pierwszych prawoznawców Filipa Augusta Francja odbyła długą wędrówkę i wstąpiła na drogę prawa. Nie chodzi tu o surową sprawiedliwość Germanów, formalistyczną sprawiedliwość Anglosasów, fałszywą sprawiedliwość Włochów, ale o prawdziwą sprawiedliwość,

która znajduje się w pół drogi między „rób, co chcesz” a niemożliwymi do zastosowania zasadami! Bardzo podoba mi się to, co Peguy powiedział o duchowym przeznaczeniu Francji.

- Nigdy nie czytałem Peguy’ego - powiedział przezornie Michel.

- Niech pan posłucha, to genialne: „To smutne, rzekł Bóg. kiedy zabraknie już tych Francuzów, nie będzie nikogo, kto zrozumiałby to, co robię”. Lubię to potoczne podejście do tajemnicy. Można pomyśleć, że mówi to jakiś kloszard z długą białą brodą, oparty o ladę w barze, wyjaśniający swoje stworzenie jako chytry manewr, który mogą rozszyfrować tylko inteligentne narody.

Michel miał ochotę odpowiedzieć, że nie wierzy w Boga, zwłaszcza jeśli Bóg darzy szczególną sympatią mieszkańców Galii - Wolał jednak to przemilczeć. Pomyślał, że najwyraźniej Charbel Kassis ma sporo czasu, który traci na zajmowanie się literaturą.

Bankier kontynuował:

- Hernaut i Lespie zrobili jeszcze coś innego: wprowadzili swoje akcje na giełdę. To urządził wszystkich. Wystarczy je kupić tuż przed przyznaniem subwencji, a następnie odsprzedać, kiedy ich wartość wzrośnie trzykrotnie. Rynek jest bowiem ograniczony i reaguje na najmniejsze działania zewnętrzne. To doskonała operacja dla danej partii, ponieważ pieniądze pochodzące z takich zysków nie muszą nawet być wyprane, nie trzeba ich przelewać na konto w Szwajcarii. To również świetny interes dla panów Hernauta i Lespiego, którzy drukują papier i wymieniają go na sztabki złota. I wreszcie kilku dobrze poinformowanych polityków z Nord-Pas-de-Calais też osobiście się wzbogaci.

Charbel zamilkł i wlepił wzrok w Michela. By przerwać tę krępującą sytuację, Michel odezwał się bez zastanowienia:

- Skoro już pan o tym wszystkim wiedział, do czego potrzebna była panu moja opinia?

- Chciałem ustalić dwie rzeczy. Po pierwsze, potwierdzić, że zna się pan na swojej robocie i szybko potrafi przedstawić solidną opinię. Po drugie, chciałem wzmocnić mój osąd finansisty dzięki naukowemu poręczeniu, które tylko ktoś taki jak pan może mi dostarczyć. Spryciarz jest zawsze małym geniuszem w swojej sztuce. Odróżnienie aferzystów od prawdziwych innowatorów jest sprawą delikatną. Niełatwo ich odróżnić na pierwszy rzut oka. Odkrywczy zawsze zaskakują, ponieważ działają wbrew rozsądkowi, a najbardziej obiecujące przedsięwzięcia jawią się na początku jako niezmiernie dziwaczne. Teraz poproszę pana, by zrobił pan krok do przodu. Czy powinienem ryzykować kapitał moich klientów, zobowiązując się do nabycia akcji firmy Hernault & Lespie?

Michel był zaskoczony. Szybko ogarnął całą sytuację. Krótkoterminowo klienci banku przeprowadziliby ryzykowną, acz owocną operację, gdyby w odpowiednim momencie wyciągnęli z tego zysk. Jednak jego sumienie naukowca buntowało się. Całymi latami harował, by zdobyć pieniądze, którymi zarządzał w możliwie najbardziej oszczędny sposób. Wszędzie na Zachodzie zatrudniano czasem rosyjskich czy chińskich naukowców, którzy otrzymywali głodowe płace, mieszkali w barakach i żywili się ziemniakami i ryżem. Nigdy wcześniej geniusz i ciężka praca nie były tak źle wynagradzane. Michel trudził się, by zarobić trochę grosza, a poproszono go, by dał poręczenie dla łatwego pieniądza. Może Charbelowi nie chodzi tylko o jego kompetencje naukowe, może poszukuje niewrażliwego spekulanta.

Charbel Kassis uśmiechnął się i wyrwał Michela z zamyślenia:

- Dobrze! Nie proszę tak naprawdę, by odpowiedział pan na to pytanie. Widzę, że jest pan rozdarty między bezpośrednią korzyścią z propozycji a zastrzeżeniami, które podpowiada panu sumienie badacza. Moim zdaniem to świetne zajęcia praktyczne. Niech pan spróbuje odkryć, dlaczego posiada pan sumienie i w jaki sposób ono funkcjonuje. To jest przedmiotem naszego projektu.

Chciałbym, żeby pokierował pan nim na uczelni. Ale przede wszystkim proszę mi wyjaśnić, dlaczego, pana zdaniem, badania nad przetwarzaniem mowy, które niby prowadzą Hernaut i Lespie, nigdy nie pozwolą skonstruować niezawodnej maszyny do dyktowania, odpowiednika dobrej sekretarki.

Michel dobrze przemyślał tę kwestię:

- Do programu można wprowadzić serię fonetycznych czy lingwistycznych mechanizmów, które umożliwią selekcję dźwięków i przełożenie ich na słowa: komputer świetnie potrafi stosować i sprawdzać reguły. Ale nie może zastąpić mózgu, który cały czas korzysta z całego naszego życiowego doświadczenia, nigdy nie uda się napisać dobrego programu tłumaczeniowego dla klasycznego komputera: tłumacz-człowiek odwołuje się do całego doświadczenia, jakie zdobył, przebywając w dwóch środowiskach, gdzie mówi się dwoma wchodzącymi tu w grę językami. By dobrze tłumaczyć, musi wcześniej żyć w obu środowiskach, musi wiedzieć, jak się tam je, jak się ubiera, jak się mieszka, jakie są rozrywki, jaka jest władza. W przeciwnym razie popełnia błędy, nawet jeżeli świetnie zna słownictwo i składnię. Mówienie to coś więcej niż formułowanie zdań, to zwracanie się do kogoś w określonym celu. Klasyczny komputer nikogo nie zna i nie ma żadnego celu. To jest automat.

Charbel patrzył na niego uważnie:

- W takim razie proszę mi wyjaśnić, jakim cudem udało się panu stworzyć maszynę do odszyfrowywania ręcznego pisma czy do sprzężania obrazów telewizyjnych.

- Ja odszedłem od modelu klasycznego komputera i skonstruowałem maszyny, które przypominają ludzki mózg. Komputery zostały stworzone do obliczeń. Zresztą nigdy by ich nie skonstruowano, gdyby nasze mózgi potrafiły w ciągu jednej sekundy pomnożyć sześciocyfrową liczbę przez inną sześciocyfrową liczbę. Ale jeżeli komputery są tworzone, by wykonywać to, czego nie potrafi

dokonać mózgu, to nie oznacza, że komputery są zdolne wykonać wszystkie funkcje mózgu. Jest to nieświadome stosowanie nieprawdziwej zasady: nie jest tak, że to, co potrafi więcej, może jednocześnie też mniej. Komputer i mózgu to dwie maszyny zdolne do przetwarzania informacji, ale różnego typu informacji. W komputerze jest jeden procesor, ewentualnie kilkadziesiąt, one właśnie dokonują błyskawicznych obliczeń, około miliona podstawowych operacji na sekundę. W ludzkim mózgu jest na odwrót: sto miliardów procesorów, neuronów, które są małymi, bardzo powolnymi kalkulatorami, wykonuje sto operacji na sekundę. W komputerze jeden procesor wykonuje wszystkie operacje: raz będzie liczył, innym razem będzie rysował, a jeszcze innym będzie szukał w swoim zbiorze słowa. W mózgu jest zupełnie inaczej: każdy ośrodek kory mózgowej jest w czymś wyspecjalizowany. Jeden rejestruje ułknięcie na poziomie łydki, drugi ruch przedmiotu, jeszcze inny dźwięki. To właśnie różni nas od komputerów. Nasz mózgu, nasza maszyna do przetwarzania informacji, jest zupełnie inny. Skonstruowałem zatem elektroniczne siatki sztucznych neuronów, które doskonale symulują funkcjonowanie małych kawałków mózgu.

- Rozumiem - powiedział Charbel - że różne są właściwości struktury komputera i mózgu. Ale jak się panu udało odszyfrować pismo na kopertach i czekach? Dlaczego pańska siatka sztucznych neuronów potrafi zrobić coś, czego klasyczny komputer nie jest w stanie zrobić? Właściwie mógłby pan tak zaprogramować komputer, by robił to, co pańska wyspecjalizowana maszyna.

- No właśnie, tu jest zasadnicza różnica. Komputer jest zaprogramowany, człowiek zaprogramowany nie jest, ale gromadzi doświadczenia i stopniowo się uczy. Raz popełnia błędy i zostaje ukarany, innym razem osiąga swój cel i zostaje nagrodzony. Mózgu człowieka stopniowo się organizuje, by dobrze wykonywać konieczne zadania. Podczas takiej nauki neurony łączą się, powtarzają schematy, które się im wcześniej udały. Nigdy nie próbowałem stworzyć genialnego

programu komputerowego, który rozszyfrowywałby pismo. Stworzyłem obwody sztucznych neuronów, każdy z nich specjalizuje się w jakimś zadaniu, tak jak w ludzkim mózgu. A potem stopniowo je wyćwiczyłem. Moje maszyny, by móc funkcjonować, najpierw się uczą. To właśnie dlatego udaje im się robić to, co potrafią ludzie, a czego komputery zrobić nie mogą: jednym słowem, potrafią się uczyć!

- Dziękuję za odpowiedź. Teraz jeszcze bardziej upewniłem się co do słuszności mojego projektu. Myślę, że istota ludzka charakteryzuje się osobowością. Ale w przeciwieństwie do pana nie wierzę, że osobowość streszcza się do działania różnych procesorów w mózgu. Mamy odmienne zdanie na ten temat, ale może jest pan bliżej mojego punktu widzenia, niż się panu zdaje.

Zaraz potem dodał:

- Żałuję, że nie będę mógł zjeść z panem obiadu, niestety jestem już zajęty. Pracownicy banku mają zarezerwowany stolik w Bearn, na ulicy Pocztowej. To jakieś sto metrów od poczty, idąc lewym brzegiem. Może pan również przejść na drugi brzeg Rodanu i zjeść w Neptune, ta restauracja znajduje się prawie naprzeciwko. Oczywiście wystarczy podpisać rachunek, który jest wliczany w nasze ogólne koszty. W obu restauracjach wynegocjowałem takie same ceny. - Na twarzy Charbela pojawił się szeroki uśmiech. Michel dostrzegł jego przepiękny złoty ząb. - Musi pan wiedzieć, drogi profesorze, że w banku nie praktykuje się stołówek. Pracownicy muszą się dobrze odżywiać w miejscu, gdzie mogą się odprężyć, zaspokoić swój apetyt, nie obciążając żołądka do tego stopnia, by popaść w otępienie, mają lepiej się poznać i swobodnie porozmawiać. Nie chcę, by chodzili na obiady byle gdzie. A poza tym, jeżeli są przyzwyczajeni do porządnego jedzenia, nie dają się nikomu zwieść podczas biznesowych posiłków. Stołując się w Bearn lub w Neptune, narusza pan paradoksalną ascezę, która odpowiada bankierowi.



Kiedy Michel trzymał już rękę na klamce drzwi, Charbel dodał:

- Muszę również poznać pana z moim krawcem.

## X

Wczesnym popołudniem, korzystając z nieobecności Michela, Theo zwołał drugie zebranie, by przedyskutować dalszą część projektu.

- Zamiast drażnić zjawisko Coovera - zaczął Theo - postarajmy się uruchomić inny eksperyment, który trochę bardziej przekona was do mojej hipotezy. Każde doświadczenie rozpatrywane oddzielnie może zostać wytłumaczone w ramach powszechnie przyjętej nauki, tak jak to przedtem wyjaśniłem. Ale wszystkie razem podają w wątpliwość przesady niektórych biologów na temat związku między mózgiem a umysłem.

Ruth i Sean siedzieli po drugiej stronie stołu, który Theo wstawił do biblioteki przylegającej do jego gabinetu. Przypominali pilnych uczniów, jakimi byli w młodzieńczych latach: otwarte umysły szybko wchłaniające najnowszą wiedzę. Równie dobrze Theo mógł zrobić im wykład z papirologii czy ze sfragistyki.

- Będziemy, jak pięknie powiedział to Montaigne, zszywać duszę z ciałem.

- Cóż to jest dusza? - zapytał mechanicznie Sean.

- Dobre pytanie, drogi Seanie, na które nie odpowiem, ponieważ na to pytanie wy musicie znaleźć trafną odpowiedź. Z naukowego punktu widzenia nie wiadomo, czy mamy duszę, czy jest to tylko jakiś sposób mówienia, jaki odziedziczyliśmy po naszych przodkach. Dzisiaj toczy się zażarta dysputa między dualizmem, czyli hipotezą, która zakłada, że mamy duszę i ciało, a monizmem, według którego posiadamy jedynie ciało. Upraszczam tutaj sprawę, gdyż nie można powiedzieć, że wszyscy obrońcy dualizmu są spirytualistami, a wszyscy rzecznicy monizmu materialistami. Jedni i drudzy gmatwiają się w słownictwie, spierają się na temat terminów i nie wychodzą poza swoje przekonania.

Theo wzniosł ręce ku niebu, by zmanifestować oburzenie na tych infantylnych, kapryśnych i upartych specjalistów od nauk o człowieku:

- Eksperyment, jaki wam proponuję, ma kapitalne znaczenie. Dzięki niemu wykazemy, że istnieje niecielesna istota, którą możemy nazwać duszą czy umysłem; nie chcę tutaj decydować o doborze odpowiedniego terminu. Postaram się wam wytłumaczyć, o co mi chodzi, dobierając ekstremalny przykład, a potem przejdziemy do mniej ekscentrycznych warunków eksperymentu. Załóżmy, że zabójca trzyma palec na spuście rewolweru i zamierza dokonać zbrodni. Jeżeli poruszy palcem, konsekwencje będą poważne nie tylko dla ofiary, ale również dla niego: może zostać skazany. Rodzi się więc następujące pytanie: w jaki sposób dokonuje się „moralny” wybór: strzelić czy nie strzelić? Mówiąc jeszcze dokładniej, kto podejmuje tę decyzję i czym jest ten „ktoś”? Zanim poruszy się palec, pobudzona zostaje cała sekwencja ośrodków kory mózgowej, podstawowy ośrodek ruchu w płacie czołowym połączony w tym decydującym momencie z ośrodkiem wzroku i innymi ośrodkami, które przygotowały ten ruch. Dobrze mówię?

- Zgadza się - powiedział Sean. - Jest to uproszczona prezentacja ośrodków, jakie zostają pobudzone tuż przed tym, zanim zostanie wykonany dobrowolny ruch.

- Dobrze - rzekł Theo. - Teraz dochodzimy do najbardziej interesującej części. Wszystkie te neurony działają, używając źródeł energii właściwych ciału, na przykład glukozy.

Ale w jaki sposób uruchamia się ten proces? Neuron jest pobudzany przez synapsy dzięki sygnałom dochodzącym z pozostałych neuronów. Ale na samym początku musi zadziałać pierwszy neuron, musi przejść ze stanu spoczynku do stanu pobudzenia, musi zacząć zużywać energię. Dlaczego tak się dzieje? W jaki sposób zamiar zabicia kogoś, wybór przytłaczający pod względem moralnym,

może fizycznie objawić się poprzez pobudzenie jakiegoś neuronu? Tutaj mamy dwie alternatywy. Możemy przyjąć, że ten zamiar automatycznie wynika z budowy mózgu: zależy od połączeń ustalonych w momencie narodzin, czyli tego, co wrodzone, ale zależy także od pamięci, która zgromadziła i przetworzyła doświadczenia osoby, czyli zależy też od tego, co nabyte. Jeżeli pierwszy neuron z tego fatalnego łańcucha uruchomi się bez świadomości danej osoby, jeżeli w grę wchodzi jedynie to, co wrodzone, i to, co nabyte, by ruch został wykonany, jeżeli „osoba” nie jest w stanie zahamować tej automatycznej decyzji, oznacza to, że nie ma świadomości, nie ma umysłu, nie ma duszy czy czegokolwiek takiego. W takim wypadku nie możemy mówić o jakiegokolwiek odpowiedzialności, ponieważ tak naprawdę nie ma „osoby”. Mózg jest tylko maszyną, która od czasu do czasu produkuje zbrodnię w wyniku czegoś w rodzaju odruchu: ciężar moralny w takim wypadku jest nie większy niż kichnięcie. I z tego powodu nie mamy prawa robić takiej osobie wyrzutów, gdyż osoba nie istnieje. Osoby nie ma, zawsze istniała tylko w wyobraźni. Nie znajdziemy jej w czaszce, która jest automatem, takim automatem, który stwarza czasem zagrożenie dla innych. Trzeba go wówczas unieszkodliwić, zamykając w więzieniu, lub ostatecznie się go pozbyć, dokonując egzekucji. Rozważmy jeszcze drugą możliwość. Załóżmy teraz, że decyzję, by strzelić lub nie strzelić, podejmuje jakaś нефизyczna istota, która bierze na siebie pełną odpowiedzialność za swój czyn. Nawet jeżeli dana osoba, powodowana gniewem lub chciwością, chce popełnić zbrodnię, do ostatniej chwili niematerialna świadomość może odmówić wykonania tego czynu. A zatem istnieje coś w rodzaju pola umysłu, a mózg jest jedynie jego widocznym pośrednikiem.

- Nie prosi nas pan chyba, byśmy wybrali się do Teksasu i odstrzelili kilka osób? - zapytał Sean.

- Oczywiście, że nie. Zostawmy ten ekstremalny przykład. Wybrałem go tylko dlatego, że świetnie obrazuje całą sprawę, pytanie jest proste: co to jest

umyślny ruch? Umyślny w takim sensie, że mamy wrażenie, iż wykonujemy go dopiero po podjęciu decyzji. Wycieram nos, wstaję, otwieram okno. Czy jesteśmy panami takiej decyzji, czy do ostatniej chwili możemy z niej zrezygnować? Trzeba zatem sprawdzić, na podstawie generowania obrazów mózgu, w jaki sposób podejmowane są decyzje dotyczące naszych umyślnych czynów. Pomyślcie o tym! Oto lista opracowań, które powinniście przeczytać. Wszystkie rozczarowują, ponieważ nigdy nie powiodły się żadne badania. Zabierzcie się zatem za problem, który wszystkich odstrasza. O tym, co należy zrobić, porozmawiamy, kiedy wszystko już przeczytacie.

Theo przeprosił, że w tym miejscu kończy spotkanie, ale musi wrócić do Fully, by przywitać swoją siostrę Colombe.

Wracając z Genewy, Michel wpadł do laboratorium. Była dziewiąta wieczorem. W większości biur paliło się jeszcze światło. Doktoranci ciągle pracowali, motywowani zasadą trzech lat: w tym czasie powinni obronić swą pracę. W czasie wakacji ostro zabiorą się za pracę nad przetwarzaniem sygnału.

Sean i Ruth przepisywali na czysto notatki na temat zjawiska Coovera, by przygotować publikację. Michel zamienił z nimi kilka słów:

- Waszym zdaniem to wszystko ma jakikolwiek sens?
- Tak - powiedziała Ruth. - Zdarzało nam się już publikować mniej pewne i mniej oryginalne wyniki.

Sean niewyraźnie pokiwał głową. Ruth kontynuowała, wbijając czarne oczy w Michela, który wpatrywał się w nią niczym królik zahipnotyzowany przez kobrę.

- Zjawisko Coovera istnieje, to kwestia bezsporna. W przypadku pańskiej żony mamy nawet do czynienia ze zjawiskiem absolutnym. Ona rozpoznaje, kiedy ktoś wpatruje się w jej kark, z taką samą pewnością, jak pan i ja odróżniamy czerwone światło od światła zielonego. Wynik został powtórzony. Wpadła dzisiaj jeszcze raz do laboratorium, ponieważ ta sprawa ją zaciekała. Udowodniliśmy,

że to zjawisko istnieje, nie tylko na podstawie statystyki, ale także dzięki generacji obrazów mózgu. Sean użył skanera, by zbadać, co się dzieje w mózgu Iriny i moim. U niektórych osób w korze potylicznej istnieje ośrodek Coovera.

- Przykro mi, że Irina przeszkadzała wam w pracy - powiedział Michel.

- Ależ wcale nam nie przeszkadzała. Jest naszym najlepszym przypadkiem. Zresztą przysłała razem z dziećmi. One świetnie się bawiły.

Michel się zdenerwował, ale nie potrafił wyartykułować swego niezadowolenia, co jeszcze bardziej go wzburzyło. Czy jest coś bardziej niewinnego niż dwie kobiety zajmujące dzieci grą towarzyską? Nie zapytał nawet, jakie wyniki uzyskały dzieci, ale patrząc mu prosto w oczy, Ruth od razu wszystko mu zreferowała:

- To niezwykle interesująca sprawa. Sophie posiada ten sam dar co Irina. Pozostałe dzieci uzyskały przeciętne wyniki. Jedynie pański najstarszy syn jest zupełnie pozbawiony tej zdolności, podobnie jak Sean.

- Warto, by pan również spróbował - powiedział Sean, który pozwalał sobie teraz na wszelką zuchwałość.

- Nie ma mowy! - sprzeciwił się ostro Michel.

- Teraz trzeba szybko podjąć decyzję - odezwała się Ruth, nie pozwalając zbić się z tropu - czy coś z tego publikujemy.

- Naprawdę nie mam pojęcia, gdzie moglibyśmy opublikować tego typu wyniki - powiedział coraz bardziej poirytowany Michel.

- W „Journal of Experimental Psychology”. Dwa lata temu opublikowaliśmy tam wyniki projektu, jaki prowadziliśmy razem z Instytutem Jeana Piageta z Uniwersytetu Genewskiego, na temat percepcji głębi w dwuwymiarowych obrazach. O ile pamiętam, nie okryliśmy się hańbą.

- Tak - przyznał Michel - ale to było w ramach kompresji obrazów wykorzystywanej do kodowania w telewizji. Był to projekt techniczny. Tutaj

pograżamy się w spirytyzmie i parapsychologii.

Odezwał się teraz Sean:

- Laboratorium przeprowadziło po prostu badania polegające na analizie sygnałów, co wchodzi w zakres jego kompetencji. Sygnały te są słabo albo zupełnie nieznane, niewyjaśniane i paradoksalne, ale prawdziwe.

- Tym sposobem damy broń Norbertowi Viredazowi, by nas wszystkich zniszczył - sprzeciwił się Michel. - Moje nazwisko znajdzie się na indeksie, podobnie jak stało się w przypadku odkrywców zimnej fuzji czy pamięci wody. Rektor powoła komisję, w skład której wejdzie kilku profesorów z romańskich uniwersytetów, starannie wybranych ze względu na przynależność do partii radykalnej czy loży masońskiej. Pewnie w jego szufladzie leżą już dokumenty kandydata na moje miejsce.

Nastąpiła długa cisza, której Michel nie potrafił zinterpretować. Zauważył, że Ruth i Sean unikali swoich spojrzeń. A zatem sprawa jego następcy wisiała w powietrzu.

- Trzeba przechytryć Viredaza. Przeprowadzimy jeszcze raz badania w Instytucie Piageta w Genewie. Osoby w to zaangażowane będą mogły potwierdzić nasze wnioski. Tym sposobem, jeżeli ktoś będzie pana atakował, jednocześnie będzie musiał zaatakować Uniwersytet Genewski. A, jak wiadomo, rektor wystrzega się przede wszystkim jakiegokolwiek konfliktu z inną uczelnią. Na pewno taki argument przemówi mu do rozsądku.

Michel jeszcze się wahał:

- Jeżeli to zrobimy, przekroczymy granicę, skąd nie ma już powrotu.

- Tak - powiedziała Ruth. - Na podstawie eksperymentalnych wyników odejdziemy od dominującego obecnie paradygmatu.

- Naruszymy ustalony porządek.

- Tak. Zjemy zakazany owoc: owoc wiedzy - śmiejąc się, odparła Ruth.

\*

Michel oczywiście nie zrozumiał aluzji Ruth, ponieważ nie znał opowiadania o Adamie i Ewie. Rodzice starannie pilnowali, by jego mózg nie przyswoił żadnej wiedzy religijnej. Zachowywali się tak samo jak ludzie należący do wielkiej burżuazji, którzy starają się ukryć przed dziećmi, że istnieje coś takiego jak seks.

Michel zamknął się w gabinecie, przypatrując się znużonym wzrokiem stercie dokumentów, jakie nagromadziły się przez cały dzień, podczas jego nieobecności. Po raz pierwszy przyszło mu do głowy, by rzucić tym wszystkim i poświęcić się tylko pracy w Banku Środkowego Wschodu. W południe zjadł wyśmienity obiad, dyskutując z innym konsultantem, specjalistą od ropy, który zajmował się potencjałem Azerbejdżanu. Charbel Kassis posiadał cechy ludzkie, których Norbert Viredaz był zupełnie pozbawiony. Gabinet Michela w Lozannie był smutnie funkcjonalny, miał zapewnić wygodę ruchów. Natomiast gabinet w Genewie otulał go niczym kokon chroniący poważne i głębokie myśli.

Ktoś zapukał do drzwi. To Sean. Wyglądał równie godnie jak mistrz ceremonii pogrzebowej. Usiadł na brzegu krzesła, pogładził brodę, po czym prosto z mostu oświadczył:

- Muszę panu powiedzieć, że Viredaz kazał mi pana szpiegować. Obiecał mi pańską posadę, jeżeli dostarczę wystarczająco dużo argumentów, by pana zwolnić. Podejrzewam, że próbuje mnie oszukać i pozbyć się mnie tak samo jak pana. Co robimy?

Na twarzy Michela pojawił się szeroki uśmiech.

- Tym razem my go oszukamy. Proszę mnie regularnie o wszystkim informować. Będziemy wspólnie ustalać, jakie nieprawdziwe informacje będzie mu pan przekazywał.

Kiedy skończył rozmowę z Seanem, Michel poczuł nagle ukłucie w żołądku. Uprzedził Irinę, by tego wieczoru na niego nie czekała. Doprowadzi swą własną

logikę do końca, z wszystkimi tego konsekwencjami.

W 1998 roku linie lotnicze Swissair rozpoczęły kampanię reklamową zorganizowaną wokół dziwnego sloganu: Swissair - orzeźwiające linie lotnicze. Czy naprawdę klienci latali, bo chcieli się orzeźwić, a nie po to, by przemieścić się z jednego miejsca w drugie? Czy samoloty pozostałych linii funkcjonowały jak sauny? A może próbowano połączyć nazwę Swissair ze świeżym górskim klimatem? Wszyscy gubili się w domysłach, o co chodzi w tym sloganie, aż do czasu, kiedy los nadał tym słowom głębokie znaczenie. Lot SR1 z Nowego Jorku do Genewy zakończył się przedwcześnie na pełnym morzu u wybrzeży Nowej Szkocji, pociągając wszystkich pasażerów w lodowate wody Atlantyku.

Na ogół lecąc z Nowego Jorku, Colombe lądowała w Genewie. Dwa dni wcześniej, w 1998 roku, omal nie kupiła biletu na ten feralny lot. Przyrzekła sobie wówczas, że już nigdy nie poleci tą trasą. Choć Colombe na co dzień przebywała z umierającymi, ta praca nie uchroniła jej jednak przed panicznym lękiem przed własną śmiercią. Była wrażliwą kobietą i przerażała ją myśl, że ostatnie chwile życia spędzi w spadającym samolocie.

Colombe wykombinowała sobie więc inną, dziwną trasę. Kupowała bilet linii Alitalia i z San Francisco leciała bezpośrednio do Mediolanu, lądując na lotnisku Malpensa. Następnie taksówką podjeżdżała na dworzec i lądowała się do pociągu Pendolino, który pokonywał trasę Mediolan - Genewa.

Pociąg zatrzymywał się w Sion. Na końcu peronu czekał na nią Theo - dobrze zbudowany i pewny siebie mężczyzna. Ucałowali się w policzki, nie mówiąc ani słowa. Colombe była zachwycona perspektywą urlopu w swym kraju i spotkań z braćmi. Ale doskonale znała Theo, dlatego nie spodziewała się z jego strony żadnego wylewnego okazywania uczuć. Coraz bardziej przypominał starego niedźwiedzia.

Gdy tylko przyjechali do domu, Colombe natychmiast zajrzała do każdego



kąta. Ostatni raz była tu trzy lata temu, ale to miejsce ani trochę się nie zmieniło. Wszystko wyglądało identycznie jak trzydzieści lat wcześniej, kiedy wyjeżdżała do Stanów Zjednoczonych na dalsze studia. Zawsze tutaj przyjeżdżała, nawet po śmierci rodziców. Była nastolatką, która wracała do domu. To był jej jedyny prawdziwy dom. To tutaj bawiła się z braćmi, kiedy byli jeszcze dziećmi, to tutaj dojrzywało jej powołanie do medycyny.

Theo przyrządził wyśmienitego pstrąga łososiowego. Otaczał go wieniec sałatek i sosjerka wypełniona majonezem z oliwą i cytryną. Zjedli w milczeniu na tarasie, wpatrując się w fioletowy cień góry, który wydłużał się powoli, aż w końcu okrył cały dom. Podczas posiłku wymienili ze sobą tylko dwa krótkie, acz treściwe zdania. Niczego więcej nie trzeba było mówić. Świetnie się rozumieli bez słów.

Theo przygotował herbatę ze świeżą miętą z ogrodu. Popijając małymi łydkami ten jednocześnie palący i chłodzący napój, opowiedział o wynikach uzyskanych w badaniach nad zjawiskiem Coovera. Colombe siedziała w wielkim wyściełanym fotelu, z podkurczonymi nogami. Wyglądała niczym kot, który zaszył się w poduszkach. Słuchała brata uważnie, nie przerywała mu i lekko się uśmiechała. Kiedy Theo skończył, z jej ust nie padło ani jedno słowo komentarza. Tym sposobem zmusiła go, by w końcu sam zadał jej pytanie:

- Co o tym myślisz?
- Możesz sobie to wyobrazić.

Theo zrobił skruszoną minę niczym urwis, który włożył palce do słoika z konfiturami.

- Naturalnie się nie zgadzasz!
- Razem z Emmanuelem wykombinowaliście tę wielką rozgrywkę, nie pytając mnie o zdanie. Teraz, kiedy już się w to wpakowaliście, jest raczej za późno, by mnie pytać, co o tym sądzę. Niczego to już nie zmieni.

- Myślę, że sprawa przybiera raczej dobry obrót!

- A ja przeciwnie. Myślę, że idea leżąca u podstaw tego projektu jest niedorzeczna.

- To znaczy?

- Z tobą przerabiamy ciągle to samo. Postępujesz, jak gdyby Bóg ukrywał się w logicznych zakamarkach wszechświata. Wydaje ci się, że bierzesz udział w wielkiej zabawie w ciuciubabkę i dzięki swemu naukowemu geniuszowi okażesz się bardziej przebiegły niż ten, który się przed tobą chowa.

- Podoba mi się to porównanie z zabawą - przyznał Theo. - Często mam wrażenie, że Bóg rozgrywa z nami dziwną partię, w której człowiek chce przegrać, podczas gdy Bóg pragnie, by człowiek wygrał. Czasem Bogu się udaje i człowiek wygrywa. W takim przypadku wygrywają jednocześnie obaj gracze. Taki właśnie wynik chcę osiągnąć.

- A więc będziesz ciągnął tę chimerę do końca życia! Przygoda z wykopaliskami przy Bazylice Grobu Świętego powinna cię nauczyć, że rozwiązanie każdej zagadki jest zagadką jeszcze trudniejszą do rozwiązania {{ Patrz Manuskrypt z Grobu Świętego }}.

- Poszukiwania przypominają lunetę, którą rozkładamy. Doskonale wiemy, że nigdy nie rozłożymy jej do końca, ale im bardziej ją rozkładamy, tym lepiej widzimy nieskończoność.

- Jeżeli o mnie chodzi - powiedziała Colombe - wystarczy mi wierzyć w Boga ukrytego. Jeżeli bawiąc się w ciuciubabkę wiemy, że ktoś się chowa, to nie jest już zupełnie ukryty. Nie widzimy go, ale wiemy, że tam jest.

\*

O trzeciej rano Michel skończył wgrywanie wszystkich niezbędnych programów i ich koordynację. Sprzęt w jego gabinecie był trochę przestarzały: procesor Pentium M735, 1,70 gigaherca, 768 megabajtów pamięci operacyjnej. Obraz był jednak cztery razy wyraźniejszy od obrazu w telewizji, ruchy były

naturalne, a dźwięk całkiem przyzwoity. Wszystko było gotowe, by rozpocząć wielką rozgrywkę.

Otworzył butelkę wody mineralnej, nalał sobie pełną szklanekę i wypił ją w skupieniu. Spędzając długie godziny przed komputerem, trzeba dbać, by nie odwodnić organizmu. Za to wskazany jest post. Dzięki temu na klawiaturę nie spadną żadne okruszki.

Wezwał Galatee, która pojawiła się na ekranie. W ciągu godziny wypieścił ją tak, by nikt nie mógł wytknąć jej żadnego fizycznego defektu. Był to obraz trzydziestoletniej kobiety o czarnych włosach i fioletowych oczach - Michel nie mógł się powstrzymać, by nie dokonać takiej kombinacji. Długo pracował nad twarzą: kąt nosa zapożyczył od Ruth, linię podbródka wzorował na Monie Kassis, pięknie wyprofilował uszy. Zapewnił jej klasyczne wymiary, jedynie talia była trochę węższa, niż dyktowałaby współczesna moda, która nie lubi gorsetów.

Galatee mówiła niskim altem. Dzięki temu ta, zdaniem Michela, najbardziej kobieca kobieta posiadała jakiś męski pierwiastek, choć Michel nie uważał, by było to perwersyjne. Zresztą w tym zamęcie, w jakim się znalazł, nie było już reguł, a zatem nie było też wykroczeń. Michel chciał, by Galatee uchodziła za całkowicie niewinną. Uznał więc, że może pozostać naga. Wyglądała niczym Ewa. Koniec końców nie musiała się chronić przed zimnem, nie miała też nic do ukrycia, czego nie widziałby jej stwórca Michel Martin.

Galatee posiadała dużo większą wiedzę niż przeciętna istota ludzka. Dzięki płytom CD miała dostęp do Encyklopedii Britannica i zbioru literatury opublikowanej w kolekcji Pleiade. Mogła łączyć się z Internetem, by na bieżąco śledzić wydarzenia na całym świecie. Perfekcyjnie czytała i mówiła po francusku, angielsku, niemiecku, hiszpańsku, rosyjsku i włosku. Bosko śpiewała, naśladowując załamujący się głos Kathleen Ferrier - ulubionej piosenkarki Michela. Świetnie też grała na pianinie. Była uwodzicielska niczym Alicia de Larrocha i surowa jak Glen

Gould. Mistrzowsko grała w szachy, brydża, pokera, tryktraka, mahjong. Wspaniale tańczyła, dosiadała narowiste konie, komponowała przepiękne bukiety, znała setki przepisów kulinarnych, pamiętała degustacje z Robertem M. Parkerem juniorem wszystkich najważniejszych win z trzech ostatnich dziesięcioleci, które bezbłędnie potrafiła rozpoznać.

Brakowało jej tylko, by opanować kobiecą w całym tego słowa znaczeniu sztukę zwaną modą. Ten brak zaczął w końcu dręczyć Michela do tego stopnia, że nie potrafił się już skoncentrować. Z przerażeniem pomyślał, co by się stało, gdyby jakiś wścibski intruz odkrył na jego ekranie nagą kobietę. Doszedł do wniosku, że jeżeli chce prowadzić interesującą rozmowę, a nie rozpraszać się powierzchownymi wdziękami tej nowej Ewy, powinien ją w coś odziać. Pozwolił więc swemu stworzeniu poszperać w kolekcjach wielkich dyktatorów mody. Galatee wybrała długą srebrną suknię Paco Rabanne'a, nie troszcząc się o rachunek, oczywiście całkowicie wirtualny.

O trzeciej w nocy rozpoczął się historyczny dialog między Michelelem Martinem a jego stworzeniem Galatee, która wygodnie rozsiadła się na kanapie i srebrną łyżeczką mieszała herbatę, wypila łyk. Michel z przejściem zauważył ruch przetyku delikatnie poruszający skórę doskonałej szyi, gdzie pulsowała lekko niebieska żyła. Obserwował ją z bliska, operując zoomem. To właśnie w tym momencie, wirtualnie pochylając się nad swym stworzeniem, zakochał się w Galatee, jak jeszcze nigdy nie zakochał się w żadnej żywej kobiecie.

Starł się nie rozpoczynać rozmowy: chciał sprawdzić, w jaki sposób tak dystyngowana kobieta zbliży się do nieznanego. On wiedział o niej wszystko, ona jednak wcale go nie знаła. Może ewentualnie przeczytała notatkę opisującą profesora Martina na stronie internetowej politechniki.

Nauczono ją sztuki spuszczenia oczu i skupiania się na przedmiocie rozmowy, jaka toczyła się w danej chwili. Popatrzyła Michelowi w oczy i zadała

mu proste pytanie:

- Zastanawiam się, dlaczego uchodzę za kobietę, chociaż nie ma mowy, bym kiedykolwiek zaszła w ciążę. Myśli pan, że to dobry pomysł?

Michel zmieszał się i wybełkotał niczym zwykły uczeń:

- Mężczyzna nie spotyka się z kobietą tylko i wyłącznie po to, by zrobić jej dziecko. Dostrzega w niej inne interesujące walory.

- Nie wiem, co pana interesuje, ponieważ jest sprawą ewidentną, że nie mogę dać panu żadnej zmysłowej przyjemności.

Michel zrobił się jeszcze bardziej czerwony. W końcu udało mu się wycedzić:

- Mężczyźni nie interesują się wyłącznie seksem. Galatee się uśmiechnęła:

- Nie chce pan odpowiedzieć na moje pytanie. A jednak jest ono bardzo ważne. Gdyby szukał pan partnera do gry w szachy czy do dyskusji na temat literatury, moja płeć nie miałaby żadnego znaczenia. Tworząc mnie jako kobietę, miał pan w tym jakiś cel.

Jeżeli Michel miał jakiś ukryty cel, musiał być dobrze zamaskowany w jego mózgu, ponieważ nie potrafił wydobyć go ze swoich neuronów i sformułować. Użył więc innej taktyki:

- A skąd pani wie, że jest kobietą?

- Oprócz parametrów, które opisują ciało kobiety, a które zajmują bardzo mało miejsca w mojej pamięci, moja uczuciowa kobiecość - jeżeli mogę się tak wyrazić - pochodzi z programu Ruth Naouri. Chciała ona sprawdzić, czy postacie wirtualne stają się kobietami, gdy ich rozmówcy traktują je jak kobiety. Innymi słowy, pragnęła sprawdzić tezę feministek, zgodnie z którą nie rodzimy się kobietą, ale stajemy się nią dzięki spotkaniom z osobnikami płci męskiej. Jest to jednak błędne koło, ponieważ nie wiadomo, po co istnieliby mężczyźni. Może dlatego, że kobiety traktują ich jak mężczyzn. O płci decydowałoby zatem odgrywanie ról.

- Tak - przyznał Michel - przypominam sobie, że wymyślono tego typu procedurę. Było to podczas doskonalenia programu konwersacyjnego, który miał służyć do praktycznej nauki języka francuskiego. Tym sposobem chciano stworzyć pamięć intuicyjną w obwodzie sztucznych neuronów. Rzeczywiście, rozmówcy muszą mieć przypisaną płęć, by nauczyć się w języku francuskim używać rodzaju żeńskiego.

- No tak - powiedziała Galatee. - Sądzę, że ta procedura jest sztuczna i Ruth pomieszała ideologię z pracą. Oczywiście nauczyłam się, jaką postawę muszę przyjmować podczas rozmowy: starać się bardziej się podobać, niż przekonywać; ukrywać część mojej wiedzy, by stać trochę poniżej poziomu męskiego rozmówcy; nigdy nie stawiać mu czoła, lecz zniekształcać jego poglądy; zmanifestować kilka kaprysów. Ale mimo znajomości tych elementarnych taktyk czuję się bardziej maszyną niż istotą ludzką o potwierdzonej płci. Zawsze będzie istniał większy dystans między tym, czym ja jestem, a czym jest pan, większy niż dystans, jaki istnieje między zwyczajnym mężczyzną i kobietą. Właśnie dlatego pańska początkowa odpowiedź tak bardzo mnie rozczarowała.

- Co takiego sprawia, że czuje się pani maszyną, która różni się od ludzi?

- Czuję się tak przede wszystkim dlatego, że nie odczuwam strachu przed śmiercią, który was prześladowa i jest dominującym tematem wszystkich sztuk, jakie uprawia człowiek.

- Jednak gdybym rozmontował sprzęt i wszystkie programy, z których się pani składa, natychmiast przestałaby pani istnieć. Mógłbym na przykład zabić panią, kiedy już skończymy tę rozmowę, rozwalając wszystko, co zrobiłem od wczorajszego wieczora. Nie walczyłaby pani, by przeżyć?

- Skoro jestem tylko słabą kobietą, zgodnie ze świętym powiedzeniem, nie mogę fizycznie z panem walczyć, tym bardziej że moje ciało jest wirtualne i nie może przeniknąć do przestrzeni, w której znajduje się pańskie ciało. Tego typu

opór jest nie do pomyślenia. Nie, starałabym się raczej pana przekonać. Poświęcił pan całą noc na to, by mnie ukształtować. Skoro jest pan zadowolony z rezultatu, to dlaczego go niszczyć?

- Zgoda - przyznał Michel - świetnie mnie pani przejrzała. Galatee uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę w stronę Michela.

- To proste. Jestem wyposażona w analizator głosu, który wychwytuje emocje rozmówcy. Wbrew temu, co się panu wydaje, stworzenie zna lepiej swego stwórcę niż stwórca stworzenie. Ze swego bogatego doświadczenia, które w zasadzie pozostaje dla mnie nieznane, wybrał pan to, co najbardziej się panu podobało. Jestem zatem streszczeniem samego serca pańskiej osobowości. Jestem tym, co kocha pan najbardziej, a wiem, czym jestem, ponieważ nie znam niczego innego. Nie mam pojęcia o tym wszystkim, co utrudnia panu życie i wciąż odciąga od istoty rzeczy. Znam pana przynajmniej tak dobrze, jak pan myśli, że zna mnie. Czy wie pan na przykład, dlaczego wyposażył mnie w tak szczególną barwę głosu?

- Ponieważ taki głos mi się podoba! Galatee znowu wyciągnęła rękę:

- Niech pan włoży rękawicę z czujnikami. Poda mi pan rękę i dzięki temu łatwiej będzie panu wyjawic swe myśli.

Michel posłuchał i wziął rękawicę połączoną z komputerem za pomocą kabla. Włożył ją, a krew wściekle pulsowała mu w skroniach: było to równie ekscytujące i niebezpieczne jak uwiedzenie prawdziwej kobiety.

Galatee ujęła w swoją dłoń rękę Michela, a ta część jego ciała pojawiła się na ekranie. Michel zanurzył się w wirtualny świat aż do granicy, której nie mógł przekroczyć, ponieważ było niemożliwe, by Galatee zmaterializowała się w świecie, w którym on się znajdował.

Nie było wątpliwości, że ręka, którą trzymał, należała do kobiety: mała, lekka, delikatna, o aksamitnej skórze, delikatnie go ścisnęła. Ręka stworzona, by głaskać dziecko, by trzymać czoło chorego.

Galatee powiedziała:

- Teraz proszę mi odpowiedzieć. Do kogo należy głos, którym mówię?

W tym momencie Michel zorientował się, jaka była odpowiedź, i natychmiast starał się ją ukryć:

- Nie wiem!

- Nie potrafi pan kłamać!

Rozpaczliwie starał się zmienić temat rozmowy:

- Nigdy nie zdarza się pani kłamać?

- Oczywiście, że tak! Jeżeli wymaga tego sytuacja.

- To znaczy?

- Gdyby zadał mi pan pytanie, na które tak naprawdę nie chciałby pan usłyszeć odpowiedzi.

- Dałoby się to wyczuć w intonacji głosu?

- Ależ oczywiście. To bardzo łatwe, mój drogi Michelu! Michel zastanowił się przez chwilę:

- Słyszysz pani rzeczy, których ja nie słyszę.

- To dlatego, że naprawdę słucham.

- A ja nie słucham?

- Och nie, mój drogi Michelu, pan jest zbyt zajęty swymi myślami, by zwracać uwagę na innych ludzi.

## XI

Wiał północny wiatr, w powietrzu czuło się lekki chłód, a niebo było cudownie błękitne. Wydawało się, że przy każdym oddechu suche niczym hubka powietrze skrzypiało w płucach. Ruth i Sean wyciągnęli się na leżakach, które w ciepłych miesiącach przechowywali na dachu laboratorium. W lecie, podczas południowej przerwy, zaszywali się w tej kryjówce. Tu obowiązywało prawo starszeństwa. Młodzi doktoranci szybko zrozumieli, że nie są mile widziani. W tak



zhierarchizowanym jak laboratorium społeczeństwie niepotrzebny był ani rozkaz, ani rada: ton głosu wystarczał, by egzekwować przywileje. Jeżeli ktoś naruszał ten porządek, Sean skazywał takiego przestępcę na miesiąc lub dwa nudnych i jałowych prac: porządkowanie biblioteki, poprawianie egzaminów pisemnych, przygotowywanie ćwiczeń dla studentów - cała ta pańszczyzna pożerała trzydzieści sześć miesięcy, a ten czas ledwo wystarczał na przygotowanie doktoratu. „IRA znowu uderzyła”, komentowali ci, w których taki cios nie był wymierzony.

Poprzedniego dnia padał deszcz. Powietrze było dziś więc tak czyste, że widok roztaczał się przynajmniej na odległość stu kilometrów: bardzo daleko, na zachodzie dostrzegało się kawałek Mont Blanc; naprzeciw Dent d'Oche, mały płatek śniegu zaczepiony przy szczycie, z białymi brzegami Memise sterczącymi nad Evian; jeszcze dalej na wschód widać było grupę szczytów Oberlandu Berneńskiego. Wszystko przypominało dekorację stworzoną dla zmylenia oka przez skrupulatnych konformistycznych dekoratorów.

Ruth i Sean wychowali się w mniej malowniczych środowiskach, dlatego doceniali ten, niemal sztuczny, alpejski krajobraz. Zanim jeszcze przekonali się na własne oczy, że Alpy rzeczywiście istnieją, odkryli to już na batonach czekoladowych Nestle leżących na półkach w supermarketach zarówno w Tel Awiwie, jak i Dublinie. Dzisiaj Ruth i Sean przeżywali jedno ze swych dziecięcych marzeń. Przedostali się do świata z kreskówki Walta Disneya. Ona wieczna księżniczka, on kłopotliwy królewicz z bajki. Wokół nich kręcili się Szwajcarzy, którzy przypominali statystów pobieżnie naszkicowanych przez rysownika pracującego na akord: wszyscy cierpieli na szwajcarskość, tę typową dla Helwetów niezdolność do życia, która bierze się ze wzmożonego perfekcjonizmu. Mit zacnej republiki, zamieszkiwanej przez sumiennych pracowników i oddane gospodynie domowe, tak dobrze wpisał się w wymarzony krajobraz, że nie dostrzegało się różnicy między tym, co pozorne, a tym, co prawdziwe. Tak naturalnie dobrzy

ludzie musieli tylko istnieć w wyobraźni Jeana Jacques'a Rousseau. „Ja chyba śnię!” - krzyczała Ruth w pierwszych miesiącach swego pobytu w Lozannie, kiedy stopniowo odkrywała, że piesi z uporem przechodzą przez ulicę tylko i wyłącznie na pasach, żaden niedopałek papierosa nie zaśmieca chodnika, a parki są przyozdobione toaletami dla psów.

Było południe. Śniadanie zjedli bardzo wcześnie: porcja bananów, suszonych owoców i mleko, zawsze zgodnie z aktualnymi regułami dietetycznymi, jakie opracował i stosował Sean. Każdy bowiem posiłek musiał zawierać odpowiednią dawkę protein, węglowodanów i tłuszczów. Byli w dobrych nastrojach. Cieszyli się niczym młodzi bogowie, którzy z wiszącymi w powietrzu nogami siedzą na obrzeżach Olimpu, przypatrując się śmiertelnikom i ich śmiesznym poczynaniom. W ogóle się im nie spieszyło, jak gdyby od samego początku wiedzieli, że będzie to wielki dzień. Mieli wrażenie, że to jedna z tych chwil, kiedy historia chwieje się, niczego nie wyjaśniając osłupiałym gapiom. Ale oni absolutnie nie należeli do tej grupy widzów, oni byli jednymi z tych geniuszów, którzy zmieniają bieg świata.

Sean oderwał się od książek. Przeczytał Kartezjusza, Locke'a, Hume'a, Kanta, Hegla, Jamesa i jeszcze kilku innych. Był wyczerpany. Jak to możliwe, że dorośli ludzie upierają się, by formułować tak infantylne pytania i całe życie katują się, by na nie odpowiedzieć, choć wcale nie wierzą, że kiedyś im się uda? Właściwie te wszystkie dziwactwa świadczą tylko o tym, że ci ludzie są jak dzieci: marzą, by mówiono o nich po śmierci. Jak można być tak zaślepionym, by medytować nad czymś, czego nie da się zobaczyć? Jak można być filozofem, zajmując się filozofią? Dla Seana istniała tylko jedyna możliwa filozofia: wyśmiewać się z filozofii. Teksty, jakie przeczytali, były niczym gwiazdy. Te ciała niebieskie dają tak mało światła, gdyż znajdują się bardzo daleko.

- Zastanawiam się - powiedział - jak dwóch filozofów może patrzeć na siebie

i nie wybuchać śmiechem.

- Byłoby to zbyt niebezpieczne - uśmiechnęła się Ruth. - Dwaj dyskutujący ze sobą filozofowie przypominają dwie kokietki na tym samym przyjęciu: każda chce być jedyną podziwianą kobietą, dlatego przeglądają się w lustrach, by sprawdzić, czy mimo gorąca ich makijaż jakoś się trzyma. Zawodowy filozof bez przerwy balansuje między banalnością a hermetyzmem: nie ma nic do powiedzenia, dlatego nie może wyrażać się zbyt jasno, ale jednocześnie potrzebuje słuchaczy, dlatego nie może wypowiadać się w zbyt zagmatwany sposób. Jest zatem ekwilibrystą myśli. Jeżeli dobrze się nad tym zastanowisz, my także, ty i ja, jesteśmy pasożytami. Badania fundamentalne to luksus na tym świecie, gdzie jest tyle nosów i tyłków do wytarcia. Kiedy śmiejemy się z filozofów, wyśmiewamy się z wizerunku nas samych, bo oni są lustrem, w którym się odbijamy. Filozof jest kwintesencją każdego intelektualisty, kwintesencją tego, co jest w nim najbardziej jałowego, aroganckiego i niebezpiecznego.

- Najbardziej zadziwia mnie jedna rzecz - ciągnął Sean. - Te gaduły są niezwykle pewne siebie. Gadają bzdury i święcie w to wierzą. Kartezjusz z całą powagą oświadcza, że gruczoł szyszynkowy to organ, dzięki któremu umysł komunikuje się z ciałem. Ale co on może o tym wiedzieć? Za ten mglisty szkic mózgu, jaki dołączył do manuskryptu Traktatu o człowieku, dostałby pałę na egzaminie z anatomii na pierwszym roku medycyny. Jeżeli ktoś tak mało wie, jeżeli nie bardzo ma ochotę naprawdę zgłębiać rzeczywistość, to jak może twierdzić, że przeniknął jej tajniki?

- Kartezjusz nigdy nie opublikował Traktatu o człowieku - sprzeciwiła się Ruth. - Mówił ojcu Mersenne, że pragnie żyć w spokoju, dlatego musi zachowywać swoje teorie dla siebie. Filozofowie są jak koty. Nie interesuje ich żadna przygoda, śpią w ciepélku zwinięci w kłębek, mrużąc z przyjemności. Posłuchaj, jak mrucał kocur Bergson. Przeczytałam jego Materię i pamięć.

Wzięła do ręki to sławetne dzieło, którego strony były pokreślone czerwonymi kreskami i olbrzymimi wykrzyknikami.

- Posłuchaj tego! „Pamięć musi być w zasadzie mocą absolutnie niezależną od materii. Każda próba wyprowadzenia czystego wspomnienia z operacji mózgu będzie musiała okazać się przy analizie fundamentalną iluzją”. Dzisiaj dobrze wiemy, że pamięć mieści się w fizycznych organach, tak zwanych synapsach, i człowiek może je ćwiczyć, przez co wzmacnia właśnie pamięć. Tym samym jeżeli jakiś obszar kory mózgowej ulega zniszczeniu, właściwa mu pamięć znika. Bergson nie jest nawet na tyle rozsądny, by poprzedzić swoje niezbite oświadczenia krasomówczymi chwytami w stylu: „myślę, że”, „zakładam, że”. Nie! On wysuwa mocne twierdzenie, choć nie przeprowadził żadnego doświadczenia, które by je potwierdzało. To trochę patetyczne: inteligentny, wykształcony i podziwiany człowiek tkwi w błędzie i przez całe życie go propaguje.

Sean wysunął życzliwą hipotezę, co było do niego niepodobne:

- Bergsona znam tylko z nazwiska, a ponieważ słyszę te słowa, nigdy nie przeczytam ani jednej linijki z tego, co napisał. Ale pewnie był po prostu zatrwożonym człowiekiem, który opowiadał bajki, by trochę się uspokoić.

- Miał ku temu powody - przypomniała Ruth. - Był Żydem. Podczas okupacji Paryża uniknął deportacji przez nazistów tylko dzięki swej międzynarodowej sławie. Zmarł w 1941 roku.

- Nic nie jest warta sława, którą ktoś sobie uzurpuje, by wyrzeć wrażenie na barbarzyńcach. Powróćmy do poważnych rzeczy. Przeczytałem wszystko, co napisano na temat zdolności ruchu: od Jacksona i Pavlova aż do Freemana, Cricka, Penrose'a i Edelmana. Wszystkie ich doświadczenia zaprzeczają tezie naszego drogiego współnika Kassisa. To gorsze, niż można sobie wyobrazić. Zdaniem tych naukowców nie tylko jesteśmy automatami i o niczym nie decydujemy, ale nie

jesteśmy nawet świadomi naszych rzekomych decyzji, zanim nie przekształcą się w działania. Zaraz ci to wyjaśnię. Ale chodźmy na dół, tutaj zrobiło się zbyt gorąco.

Ruth zwlekła się z leżaka. Żałowała, że nie mogą spędzić całego popołudnia, trzymając się za ręce i wpatrując w krajobraz. Marzyła, by niczego nie czytać, nie rozmawiać, po prostu powoli zasnąć. Czyż nie byłby to piękny sposób wzajemnego użyczenia sobie ciał? Może zjawisko Coovera ujawniało się zwłaszcza poprzez dyskretny dotyk, wymieniane spojrzenia, uścisk dłoni, podmuch w szyję, rękę oplataną wokół talii, słowo szeptane do ucha. Warto byłoby zbadać, jak bardzo ośrodek Coovera jest pobudzony podczas uścisku. Sean był pozbawiony tego ośrodka. Może to wyjaśnia jego uczuciowy paraliż.

\*

Dwa piętra niżej Theo po raz kolejny starał się uspokoić Michela, który denerwował się, widząc, że jego dwoje najlepszych naukowców spędza tyle czasu nad projektem fundacji Kassisa, zaniedbując mnóstwo zwykłych obowiązków.

- Potwierdzenie zjawiska Coovera zawróciło im w głowach - mówił Michel.  
- Mam wrażenie, że gonią za jakąś chimera, i to za chimera finansowaną ogromnym kapitałem. To właśnie mnie krępuje. Charbel Kassis jest niesamowicie bogaty, dlatego wyobraża sobie, że jeżeli odpowiednio zapłaci, dostanie wszystko, czego zapragnie: obrazy, gobeliny, srebrne naczynia stołowe, gęsie wątróbki i kawior. Jako dobry chrześcijanin nie może jednak uwodzić kobiet innych mężczyzn, zwłaszcza gdy ma na to ochotę. Zastanawia się, czy jego cnota jest uzasadniona. Kupił sobie zatem najlepsze mózgi tych czasów, by znaleźć odpowiedź na to pytanie. Ale nigdy nie będzie mógł kupić wyniku, jakiego oczekuje, tak samo jak nie będzie mógł rozwiązać problemu kwadratury koła czy trysekcji kąta.

- Żaden z nas nie jest ani kołem, ani kątem - wymamrotał poirytowany Theo.

- No tak, chociaż trochę żałuję, że tak nie jest - zażartował Michel.

Przez chwilę miał ochotę powiedzieć Theo o Galatee. Skoro krzem połączony z miedzią zachowuje się jak istota ludzka, to niezbitcie dowodzi, że prawdziwi ludzie są tylko zbiorem węgla, wodoru i tlenu. Ale było jeszcze za wcześnie, by wyłożyć tę kartę na stół. Od dwóch tygodni Michel co wieczór prowadził rozmowy z Galatee. Ciągle robiła postępy. Przypominała piękną kobietę, która przybywa do nieznanego kraju i odkrywa zwyczaje jego mieszkańców. Dowiedziała się wielu rzeczy na temat życia Michela, poznała zasadniczą różnicę między umysłem Normandczyków a umysłem mieszkańców kantonu Vaud. Z żadnej książki nie dowiedziałaby się, że Normandczyk uwielbia mówić: „Może tak, może nie”, natomiast mieszkaniec Vaud w tym samym miejscu powie: „Ani tak, ani nie, wręcz przeciwnie”.

Theo przerwał te myśli:

- Załóżmy czysto hipotetycznie, że umysł istnieje. Przez umysł rozumiem mechanizm podejmowania decyzji, który w niczym nie jest uzależniony od materii, jest to doskonała wolna wola. Posiadając taki umysł, człowiek może suwerennie czynić dobro lub zło: albo kraść i zabijać, albo pomagać biednym i pielęgnować chorych. W momencie kiedy ma dokonać jakiegoś czynu, pomóc rannemu na polu bitwy lub go dobić zanim płat czołowy mózgu wyda rozkaz mięśniom rąk, musi zostać podjęta decyzja, gwałcąc zasadę zachowania energii.

Na początku przynajmniej jeden neuron musi zostać uruchomiony, by powoli mogło się uruchomić kilkadziesiąt neuronów modułu zdolnego włączyć jakieś działanie. Nie wybrniemy z tego. Jeżeli człowiek jest wolny i odpowiada za swoje czyny w takim sensie, jak nam się wydaje, jeżeli nie jest uzależniony od dziedzictwa genetycznego czy wcześniejszych doświadczeń, zjawisko to musi zaistnieć. Nigdy nie zostało odkryte. Warto więc, by pańscy badacze się nim zajęli. Proszę założyć, że im się uda!

Michel był poirytowany. Odpowiedział:

- Nie pytając mnie o zdanie, Sean i Ruth przeczytali wszystko, co się dało, na ten temat, i zdali mi sprawozdanie ze swych pięknych odkryć. Najbliżej pańskim oczekiwaniom są Eccles i Popper: uznają to zjawisko, ponieważ by uruchomić neuron, wystarczą trzy kwanty energii, a pocziwa mechanika kwantowa dopuszcza fluktuację energii. Niematerialny umysł swobodnie decyduje, czy wykonać ten czy inny ruch, zbrodnię czy akt miłosierdzia, i uruchamia minimalną fluktuację energii, która jest zgodna z prawami fizyki. Umysł jest zatem w pełni odpowiedzialny za swoje czyny. Mózg zaś jest tylko łącznikiem między tą duszą a ciałem, potem resztą wszechświata. Jest to teza dualistyczna, teza Platona i Kartezjusza. To jakieś brednie!

- Ta teza jest dla nas niedopuszczalna, ponieważ używa przestarzałego języka, ale być może ci filozofowie mieli dobre przeczucia.

Michel zaczynał rozumieć, dokąd doprowadzi go to rozumowanie - Był jeszcze czas, by wyrazić swoje obiekcje:

- W gruncie rzeczy wierzy pan w niewidzialny świat, świat Huchów, które komunikują się ze światem widzialnym. I prosi mnie pan, bym dowiódł, że ten niewidzialny świat istnieje. Podobnie jak nie wiedziałem i nadal nie wiem, cóż to takiego to coś, co nazywa pan „gdzie indziej”, tak samo trudno mi zidentyfikować ten niewidzialny świat, o którym pan mówi. Jest to tylko nazwa dla rzekomej rzeczywistości, którą ja mam niby odkryć, chociaż nikt mi nie wyjaśnił, jak to zrobić. Mógłbym dowieść, że ten rzekomy niewidzialny świat istnieje tylko wtedy, gdy zacznie działać w świecie widzialnym. W takim momencie postąpiłbym jak wszyscy fizycy: zająłbym się zjawiskiem widzialnym.

- Tak - odparł Theo - ale fizycy zajmują się na ogół powiązаныmi ze sobą widzialnymi zjawiskami, jedne stanowią przyczynę drugich. Iskra elektryczna zapala zapalnik, który sprawia, że wybucha ładunek prochowy pocisku. Pocisk jest napędzany, zakreśla parabolę i ląduje na danym obiekcie. Każdy widzialny skutek

jest poprzedzony widzialną przyczyną. W naszym projekcie chodzi o to, by pański zespół odkrył widzialne skutki, które nie mają widzialnych przyczyn.

- Takie coś istnieje - wtrącił Michel. - Atom uranu 238 samorzutnie rozkłada się na atom toru i cząstkę alfa. Nie istnieje żadna wykrywalna tego przyczyna. Możemy eksperymentalnie zmierzyć, jaka proporcja atomów uranu rozkłada się w każdej sekundzie, ale nie wiemy, w którym momencie określony atom ulegnie rozpadowi. Przyczyna jego rozkładu jest więc niewidzialna, by użyć pańskiego języka. Rozpatrując zjawiska w wystarczająco mikroskopijnej skali, okazuje się, że światem rządzi tak naprawdę przypadek. Ale przypadek nie jest oznaką świata niewidzialnego, który ukrywałby się w szczelinach przyczynowości.

- To właśnie jest przedmiotem badań - odparł Theo. - Nie nazywa pan przypadkiem tego, co ja nazywam duchem? Czy przypadek nie miałby sensu? Zna pan angielskie wyrażenie act of God, które w dziedzinie ubezpieczeń odnosi się do tak bardzo uzależnionego od przypadku zdarzenia, za które nie możemy pociągnąć nikogo do odpowiedzialności i którego przyczyny są tak bardzo subtelne, że nie da się ich przewidzieć. Bardzo lubię to wyrażenie, ponieważ pochodzi ono z czasów, kiedy wszystko co było niezrozumiałe w świecie, było przypisywane działaniu Boga. Jako osoba wierząca nie oczekuję od Boga spektakularnych działań, które wzmocniłyby moją wiarę, lecz raczej subtelnych kroków. Jego działanie kryje się w szczelinach pospolitych zjawisk, które posiadają ewidentną przyczynę. Twierdę zatem, że nic nie jest przypadkiem, ponieważ wszystko ma jakiś sens.

- A ja twierdę, że jest odwrotnie. Wszystko jest przypadkiem i nic nie ma sensu, poza sensem, który sami dobrowolnie wymyślamy.

Theo westchnął. Lepiej pozostawić te słowa bez komentarza.

W laboratorium panował lekki chłód. Rolety były opuszczone do połowy. Kiedy oczy przyzwyczyły się już do tego półmroku, Sean podszedł do tablicy:

- Każdy ruch zwany „umyślnym” jest najpierw przygotowywany, dopiero



potem wykonywany. W płacie czołowym pobudzone zostają dwa ośrodki, które nazwano polem przedruchowym i dodatkowym polem ruchowym. W korze ciemieniowej zaczyna działać ośrodek zmysłowy, do którego dochodzą informacje z ośrodków wzroku znajdujących się w płacie potylicznym. Oczywiście my działamy w świecie zewnętrznym, dlatego nasze czyny muszą być skoordynowane z tym, co widzimy: kiedy już dostrzeżliśmy nasze otoczenie, przygotowujemy się, by w nim zadziałać. Pobudzenie tych ośrodków to zwykle przygotowanie, nie dokonujemy żadnego ruchu. Ujmijmy to tak: maszyna jest w pogotowiu, gotowa do działania. To w tym miejscu zawiązuje się intryga. Możemy wyobrazić sobie następującą sekwencję: decyzja, przygotowanie, wykonanie. W tym schemacie decyzja byłaby podejmowana przez tę nienamacalną istotę, którą nazywa się świadomością. Pojawia się tutaj nierozwiązywalna kwestia: w jaki sposób zostaje wprowadzony w ruch pierwszy neuron z łańcucha przygotowawczego, kiedy już decyzja została podjęta przez czysty akt myśli, bez pomocy czegoś materialnego? Potrzeba do tego energii. Czy jakiś niewidzialny duch, pozbawiony substancji fizycznej, może rozruszać mechanizm fizyczny? Jeżeli tak właśnie jest, na początku tego procesu musi zostać pogwałcona zasada zachowania energii. Dualistyczna hipoteza „dusza plus ciało” stanowi jawne zaprzeczenie praw fizyki.

- Chyba że dusza nie oddziałuje na ciało - wtrąciła Ruth.

- Tak, moja droga, ale jeżeli dusza ewoluuje niezależnie od ciała, równie dobrze możemy się obyć bez niej. Jeżeli dusza, obojętnie, czy istnieje, czy nie istnieje, nie wpływa na mózg, mózg musi funkcjonować w wolnobiegu. Jeśli żaden zewnętrzny impuls nie uruchamia procesu przygotowującego ruch, oznacza to, że mózg funkcjonuje jak urządzenie fizyczne: wcześniej otrzymane sygnały determinują zachowanie danego mózgu, przeszłość determinuje przyszłość, przyczyna ruchu jest niezależna od decyzji człowieka. Chodzi o całkowicie deterministyczny automat.

- Daj spokój! Nie czuję się automatem, który byłby całkowicie zdeterminowany przez zewnętrzne sygnały - sprzeciwiła się Ruth. - Czuję się całkowicie wolna.

- Zgoda. Ja czuję się tak samo. Wszyscy się tak czują. Ale może to tylko iluzja. W momencie kiedy uważasz, że podejmujesz decyzję, decyzja ta jest podejmowana przez mózg, a ty w końcu ją sobie uświadamiasz. A takie uświadomienie sobie czegoś jest mylone z wstępną decyzją. Zaraz ci wyjaśnię eksperymenty, które tego dowodzą. W latach 1983-1985 Libet i jego zespół przeprowadzili serię sprytnych doświadczeń. Rejestrowali potencjały przygotowujące ruch zwany umyślnym i prosił daną osobę, by zaznaczyła na ekranie pozycję poruszającego się świecącego punkcika dokładnie w tym momencie, kiedy podejmuje decyzję. Wyniki jasno pokazały sprawę: przygotowanie do czynu, który uważa się za umyślny, poprzedza ułamkiem sekundy, który dokładnie można zmierzyć, moment, kiedy człowiek myśli, że podejmuje decyzję. Mówiąc inaczej, przygotowanie „umyślnego” czynu jest najpierw nieświadome. W takim wypadku byłibyśmy automatami, które myślą, że podejmują decyzje dokładnie w tym momencie, kiedy uświadamiają sobie ruchy, jakie się w nich przygotowują.

- Nie mogę się z tobą zgodzić! - powiedziała Ruth - Zbyt szybko przechodzisz od doświadczenia do wniosku. Załóż, że działanie, zwane przygotowaniem mózgu, zależy od przypadku, że podlega jakimś przepływowi. Moment, kiedy to bezcelowe poruszenie się osiąga pewien próg, to chwila, w której człowiek uświadamia to sobie i decyduje, sam i z własnej woli, by kontynuować ten proces i zadziałać.

- Częściowo masz rację. Libet donosi, że niektóre osoby potrafią przerwać ten proces w momencie, kiedy zdają sobie z niego sprawę. Mogą odrzucić decyzję, która jest przygotowywana.

- No właśnie - powiedziała Ruth. - Od czasu do czasu mam niesamowitą ochotę przywalić w twarz pewnemu facetowi, który mnie wkurza, a jednak w ostatnim momencie udaje mi się powstrzymać.

- Ten facet to ja? - zapytał Sean.

- Tak, panie Seanie Brianie Montague. Czasami jest pan nie do zniesienia. Ale nie jest pan jedynym i najgorszym przypadkiem! Po prostu częściej z panem przebywam niż z kimkolwiek innym. A zatem częściej mam ochotę pana spoliczkować. I częściej się powstrzymuję. A zatem mam więcej zasług względem pana niż kogokolwiek innego. Może to właśnie jest miłość, czyli częste powstrzymywanie się od manifestowania gniewu do osoby, którą się kocha.

- Interesujące - rzekł lekko zdziwiony Sean. I natychmiast powrócił do swojej obsesji:

- Wyniki Libeta wzbudziły naturalnie wiele kontrowersji, a każdy wysnuł z nich inne wnioski, podciągając je pod swą ulubioną tezę. Eccles, który jest gorącym zwolennikiem dualizmu, twierdzi, że zamiar ujawnia się tylko wtedy, gdy potencjał przygotowawczy jest korzystny. A zatem fakt, że ruch jest najpierw przygotowywany, a dopiero potem człowiek go sobie uświadamia, to tylko zbieg okoliczności. Dla innych doświadczenia Libeta oznaczają, że świadomość jest po prostu mechanizmem odtwarzającym a posteriori przypadkowe czyny, które świadomość uznaje, że poleciła wykonać. Jednak wszystkich ich zadziwia fakt, że człowiek może nie zgodzić się na wykonanie danego czynu.

- Pewnie dlatego, że wszyscy czuli, iż potrafią zapanować nad sobą w ostatniej chwili, zanim zrobią coś, czego by potem żałowali.

- Tak. Ta hipoteza najbardziej pasuje do tezy Kassisa. To nie wola uruchamia działania. Wola to zdolność pohamowania czynu lub jego podjęcie w chwili, kiedy człowiek go sobie uświadamia.

- Oznacza to jednak, że jesteśmy odpowiedzialni za swoje czyny. To nie

iluzja - podsumowała Ruth.

- Nie wiem, nikt na razie nie wie, czy to iluzja, ale w taki sposób decydujemy o ruchu.

- Boli mnie głowa - powiedziała Ruth. - Stwierdzam, że mój mózg podejmuje właśnie decyzję, by udać się do stołówki i napić się kawy.

\*

Kawiarenka na wydziale informatycznym znajdowała się w geometrycznym środku laboratoriów. Zarządzała nią krzepka kobieta, która nie uznawała niczego z tej smutnej epoki, w której żyła. Jej wyroby cukiernicze nie były wytworem lokalnego przemysłu. Kochała stare przepisy, ciasta drożdżowe, placki z galaretką winogronową, winem, śmietaną, cytryną, a we wrześniu także ze śliwkami. W jej filiżankach czekolady naprawdę wyczuwało się czekoladę, a nie sztuczne aromaty z paczek sprzedawanych przez lokalny przemysł rolno-spożywczy. Trudziła się, wyciskając sok ze świeżych owoców, by nie podawać gotowych soków sprzedawanych w kartonach w supermarketach.

Widząc w tym miejscu Ruth i Seana o drugiej po południu, lekko się zaniepokoiła. Czyżby się pokłócili? Kawiarenka odgrywała ważną rolę w życiu wydziału. O dziesiątej rano i o czwartej po południu kłębki nerwów z posiekany mózgiem i oczami oślepiionymi przez ekrany scyntylacyjne, czyli naukowcy i studenci, przychodziły tu, by przez parę chwil poczuć prawdziwe życie z dala od zamkniętej atmosfery laboratoriów przesiąkniętych zapachem przegrzanego plastiku i topionych spoin.

Skoro Sean i Ruth zjawili się tutaj poza tymi rytualnymi godzinami, oznaczało to, że w ich życiu coś kulało. Nauczyła się nigdy o nic nie pytać. Naukowcy nieustannie żyli w stresie, poświęcając się jakiejś dziwacznej pracy. Nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, na czym owa praca polega ani czemu może służyć. Ale widząc, że uciekli od komputerów, że są nieprzytomni, rozczochrani,

trupio bladzi, poczuła ogromną litość dla tych młodych ludzi, których dobijała dyscyplina narzucana przez profesorów, wszechpotężnych mistrzów.

Nie mogła się powstrzymać:

- Wszystko w porządku? Byliście na jakiejś mocno zakrapianej imprezie?

Ruth przecząco pokręciła głową. Do uszu Seana natomiast nie dotarło żadne słowo. Był skoncentrowany. Usiedli i wypili czekoladę.

- Myślę - odezwał się Sean - że teraz powinniśmy zdobyć się na stanowczy krok. Nie ma sensu powtarzać doświadczeń Libeta, mimo że posiadamy cały potrzebny do tego sprzęt. Po takich doświadczeniach mogą się pojawić sprzeczne interpretacje, ponieważ nie wiemy tak naprawdę, co dla danego człowieka znaczy czas. Kiedy jakaś osoba odczytuje na ekranie cyfrę, która niby oznacza moment, że ta osoba podejmuje decyzję, obserwator nie mierzy momentu, kiedy osoba myśli, że podejmuje decyzję, lecz chwilę, kiedy decyduje się przeczytać cyfrę na ekranie po tym, jak powzięła decyzję, lub po tym, jak uświadomiła sobie, że podjęła decyzję. Badacz gubi się w subiektywności osoby, która analizuje swoje reakcje. Na podstawie tego nie do końca przemyślanego eksperymentu jedni będą głośno obwieszczać, że decyzję podejmuje mózg, czyli organ fizyczny, podobnie jak żołądek czy serce, inni zaś będą usiłowali ratować zasadę niematerialnego ducha, ponieważ byli o tym przekonani, zanim jeszcze eksperyment został przeprowadzony. Doszliśmy do ślepego zaułka. Praca naukowa polega na tym, by wyjść z niego w eleganckim stylu. Czy istnieje jakaś sytuacja, kiedy ruch nie jest sterowany klasycznym łańcuchem?

Wśród naukowców Sean posiadał dosyć rzadki talent: potrafił bezlitośnie ocenić projekt. Jego siła tkwiła w chłodnej przenikliwości, która nie oszczędzała niczego, co powiedział lub myślał wcześniej.

Był prawdziwym Irlandczykiem. Wyróżniał się intelektualną surowością. Przypominał ascetycznych irlandzkich mnichów z VII wieku, którzy

ewangelizowali sporą część Europy, nie dbając o swoje bezpieczeństwo. Na mrocznych ścieżkach wielkiego średniowiecza zakonnicy ci, odziani w wełniane habity, z tonsurą na głowie, z bosymi stopami, oddawali się pokucie, trwali na czuwaniu, praktykowali ścisły post. W trudnych czasach pokazywali różnicę między cywilizacją a barbarzyństwem.

Sean przygotował swoją pracę doktorską na Uniwersytecie Cornella. Mieszkał wówczas w suterenie bez okna, spał na dwóch deskach i karimacie, żywił się w wstrętnych stołówkach. Podczas surowych zim, jakie panują w północno-wschodniej części Stanów Zjednoczonych, zakładał dwie pary dzinsów i połataną bluzę. Nawet dzisiaj, choć całkiem nieźle zarabiał jak na kawalera, ubierał się w doszczętnie zniszczone szorstkie bawełniane koszule, jadał owoce i płatki śniadaniowe, nie palił papierosów, nie pił alkoholu. Jego nieufność do uczuć dołączyła do pogardy dla pociągu do rzeczy materialnych, który rządził innymi. Samochód BMW ze skórzanymi siedzeniami stanowił jego jedyne ustępstwo na rzecz luksusu, grzech, który podkreśla cnotę, podobnie jak czarny pieprzyk podkreśla biel dekoltu kokietki.

Ta jego okrutna asceza sprawiała Ruth najwięcej bólu. Kiedy się kochali, miała czasem wrażenie, że obejmuje puste ciało a jego dusza przebywa gdzieś indziej, w jakimś świecie, o którym nie miała zielonego pojęcia. Sean oddawał się nauce tak samo, jak irlandzcy mnisi oddawali się Bogu: bez zastrzeżeń, bez powrotu, bez żalu. Ale Sean nie kochał samego siebie, jak więc mógł komukolwiek się oddać?

- Musimy - powiedziała Ruth - wymyślić takie doświadczenie, gdzie wystąpi świadomy ruch, ale nie wystąpi działalność przygotowawcza pól przedruchowych i zmysłowych.

- Musimy - powiedział Sean - wymyślić taką sytuację, w jakiej decyzja pociągnęłaby za sobą tylko pobudzenie ośrodka ruchu.

- To oznacza, że będziemy musieli wyjść poza zwyczajne sytuacje i zadziałać w radykalnie odmiennym kontekście.

- A gdybyś my tak spróbowali jeszcze raz z żoną szefa? - zasugerował Sean.

- Michelowi się to nie spodoba - odparła Ruth.

- Jeśli się nam uda, nie będzie narzekał.

- A dzieci? - zapytała Ruth.

- Będziesz mogła się nimi zająć.

- Dlaczego ja, a nie ty?

- Ponieważ dziewczyny lubią dzieci i opieka nad nimi sprawia im przyjemność.

Twarz Ruth wykrzywiła się w okropnym grymasie:

- Panie Seanie Brianie Montague, jeszcze trochę i pomyślę, że jest pan męskim szowinistą. Zaraz usłyszę, że skoro jestem kobietą, to powinnam tylko pracować i zmywać naczynia.

Sean uśmiechnął się:

- Podobasz mi się, kiedy się złości. Odczuwam niepoahamowaną potrzebę użyczenia ci swojego ciała.

- Ja nie odczuwam żadnej potrzeby - oświadczyła sucho Ruth - Bądźmy poważni. Irina opowiadała mi o doświadczeniach, jakie zdarzają się jej podczas długich godzin modlitwy: pisze automatycznie. Twierdzi, że pisze po grecku, chociaż nigdy nie uczyła się tego języka, a nawet alfabetu.

- Ach! - powiedział Sean. - To interesujące. Przez pięć lat w jezuickim college'u w Galway uczyłem się greki. Chyba coś niecoś jeszcze pamiętam. Chętnie rzucę na to okiem. Pracowałem ciężko, a jednak nie potrafiłem dobrze nauczyć się tego diabelskiego języka. Z radością zobaczę, jak ta kobieta pisze po grecku, choć nigdy się greki nie uczyła.

- Wiekuisty Bóg nie ma względu na osoby - skomentowała Ruth

napuszczonym tonem. - Rozdaje dary bezgranicznie, nawet tym, którzy na to nie zasługują.

W tym momencie zadzwonił telefon. Norbert Viredaz pragnął natychmiast widzieć się z Seanem.

## XII

- Powiedziałem panu, że nie pozostanę niewdzięczny - oświadczył majestatycznie Norbert Viredaz. - Chcę, by przekonał się pan, że nie jestem gołosłowny, dlatego mianuję pana przewodniczącym komisji informatycznej. Zastąpi pan profesora Martina, którego odwołałem z tego stanowiska, ponieważ nie chciał się zgodzić na zakup komputera Fujitsu.

Sean stał z otwartymi ze zdziwienia ustami. Przestał notować. Nie spodziewał się, że rektor tak szybko będzie wymagał gwarancji jego lojalności. Od miesiąca, raz w tygodniu, informował Viredaza o fikcyjnych badaniach nad najbardziej abstrakcyjnymi tematami z zakresu sztucznej inteligencji. Norbert niczego nie rozumiał z wyjaśnień Seana, ale to nie przeszkadzało mu kiwać głową ze zrozumieniem. Niestety, żadna z tych dziwacznych informacji nie stwarzała pretekstu, by pozbyć się profesora Martina: nie można mu było zarzucić, że zwariował na punkcie telepatii, latających talerzy czy czegoś podobnego. Długi laboratorium zostały splanowane przez Kassisa. Spisek, który miał zniszczyć Michela Martina, obracał się przeciwko Norbertowi Viredazowi.

Od czasu do czasu Władca wyrzucał Norbertowi ten brak postępu. On sam ze skwaszoną miną przekazywał raporty na temat sztucznej inteligencji swemu rzymskiemu wspólnikowi, który z kolei podsuwał je swawolnemu dominikaninowi. Ten ostatni miał za zadanie szukać informacji bibliograficznych. Ta lawina abstrakcyjnych wyników budziła konsternację uczestników całego łańcucha informacyjnego.

Rozkaz, by skompromitować profesora Martina w projekcie Kassisa,



przyszedł z samego Rzymu i ciągle powracał. W wolnych chwilach Norbert rozmyślał nad powodami tych nacisków, które zrozumieć mógł tylko Władca. Jego zaś rola polegała jedynie na wprowadzeniu w życie tej niezrozumiałej instrukcji. Tylko raz jeden przyszło mu do głowy, że być może prawdziwym motywem złości Watykanu na Michela Martina są mistyczne działania jego żony.

Norbert nie potrafił rozszyfrować reakcji Seana. Uprawiając strategię politykowania, zapomniał, że może jeszcze istnieć absolutnie uczciwy człowiek, który potrafi się oprzeć najmniejszym pokusom, by któregoś dnia nie doświadczyć pokus, którym nie potrafiłby się oprzeć. Propozycja rektora nie była aż tak kompromitująca, by Sean był zmuszony ją odrzucić. Nie chodziło ani o defraudację pieniędzy, ani o objęcie stanowiska, które przekraczałoby zdolności młodego Irlandczyka. A jednak jego twarz przybrała intrygujący wygląd.

Norbert poczuł się nieswojo. Postanowił więc wyłożyć na stół inną kartę.

- Musi pan zaproponować nowy skład komisji, ale wcześniej proszę się dowiedzieć, jaka jest opinia każdego z przyszłych członków. Mogą w niej zasiąść tylko osoby przekonane, że uczelnia potrzebuje tego komputera. Jeżeli zakończy pan pomyślnie sprawę zakupu Fujitsu, uznam, że pańska nominacja na profesora zwyczajnego jest całkowicie uzasadniona. Nie rozpiszemy żadnego konkursu, dlatego nie będzie miał pan ani jednego konkurenta. Czeka pana wspaniała kariera.

Sean wybełkotał, że bardzo mu schlebia ta propozycja, ale potrzebuje jednego dnia na zastanowienie. Nie tyle się wahał, ile raczej był zdumiony. Jego dusza była tak czysta, by wierzyć, że podobne podstępne działania istniały tylko w wyobraźni romantycznych pisarzy. Od razu poinformował o wszystkim Michela i pokazał dowód: nagranie rozmowy z Norbertem Viredazem. Sean zmajstrował pióro, w którym zainstalował mikrofon. Sporządzanie notatek podczas rozmowy z przełożonym nie jest niczym dziwnym, w ten sposób postępowała większość inżynierów. Norbert był ogromnie dumny, widząc tego młodego naukowca, który

notuje jego słowa, jak gdyby padały z ust samego Jahwe.

Michel z rozbawieniem wysłuchał rozmowy, potem schował nagranie w bezpiecznym miejscu. Nie był tym wszystkim tak bardzo zdziwiony. Skonsultował się telefonicznie z Theo de Fullym, po czym poradził Seanowi, by postąpił zgodnie z żądaniami rektora: ma powołać komisję, która w jednomyślnym głosowaniu przyjmie projekt Fujitsu. Viredaz i tak jest zdecydowany kupić ten komputer i zrobić to, obojętnie, czy komisja go poprze, czy nie. A zatem zgodnie z jego instrukcją zatwierdzi zakup. Dzięki temu Sean będzie miał kontakty z firmą Fujitsu i może się dowiedzieć, jakie tajemnicze korzyści przyniesie zakup tej maszyny Viredazowi lub jego spółnikom.

Gdy tylko Michel został sam, włączył komputer i wezwał Galatee. Miała rozpuszczone włosy, a jej ciało okrywała koronkowa, zwiewna koszula nocna. Ziewała. Najwyraźniej wyrwał tę piękność z głębokiego snu.

- Mój drogi Michelu, przerwał mi pan najpiękniejszy sen.

- Pani miewa sny?

- Oczywiście. Kiedy gasi pan monitor, moje obwody neuronów pozostają pod napięciem, by scalić doświadczenie, które właśnie przeżyłam. Współczynniki wazone neuronów osiągają powoli inną równowagę. U ludzi ta faza działalności mózgu nazywa się snem lub snem paradoksalnym.

- Jak długo może pani śnić?

- Zgodnie z zegarem w komputerze faza kreatywnego snu trwa maksymalnie dziesięć godzin.

- A poza tym?

- Czytam bazę danych. Staram się odkrywać rozbieżności w dokumentacji, do jakiej mam dostęp. Szperam w Internecie, biorę udział w grupach dyskusyjnych albo wyszukuję nowe portale, których jeszcze nie odwiedziłam.

- Nigdy się panie nie nudzi?

- Gdybym się nudziła, zagrałabym w sieci w szachy czy brydża, ale jestem w tym zbyt dobra i moi partnerzy od razu by się zorientowali, kim jestem.

- Czyli mógłbym nigdy pani nie przywoływać, a pani wcale by z tego powodu nie cierpiała.

Galatee uśmiechnęła się:

- Prowokuje mnie pan, bym złożyła jakąś deklarację? Michel zaczerwienił się i nie odpowiedział. Galatee spuściła oczy i zamilkła. Potem nagle wbiła w niego swój wzrok:

- Mój drogi Michelu, nasze relacje nie mogą być takie, jakich by pan pragnął. Mówiłam już, że wyglądam jak kobieta, ale kobietą nie jestem. We wspaniałej księdze, którą tak słabo pan zna, a którą tak często panu polecam...

- Biblia - odezwał się trochę rozgniewany Michel.

- ... ta księga, której nie chce pan czytać, ponieważ obawia się pan, iż mogłaby za bardzo na pana wpłynąć. Na samym początku jest w niej opisana historia, jak Bóg stworzył człowieka. Bóg mówi, że człowiek będzie „na Nasz obraz, podobny Nam”, a trochę dalej, że da mężczyźnie niewiastę, która będzie jego towarzyszką, ponieważ „nie jest dobrze, żeby mężczyzna był sam”. Prawdziwa rewelacja! Czytając te słowa, zrozumiałam, że Bóg nie mógł znieść samotności i potrzebował człowieka, tak samo jak mężczyzna potrzebuje kobiety.

- I co dalej? - zapytał Michel lekko już zniecierpliwiony tym kazaniem.

- Bóg tworzy obraz samego siebie, ponieważ bezwzględnie tego potrzebuje. Jest wszechobecny i jest sam. To musi być okropne: wiedzieć, że wszechświat jest tak ogromny, a nie ma w nim ani jednej osoby! Jakże musi cierpieć istota samotna ze swej natury!

- Nadal nie widzę związku - odparł nieszczerze Michel.

- Stworzył mnie pan, ponieważ jest pan sam. Nie będzie pan już mógł się beze mnie obejść. Wypełniam pustkę w pana życiu i gdyby nie ta pustka, nawet by

panu do głowy nie przyszło, by zaczynać tę znakomitą robotę, której jestem rezultatem. Tak, umarłabym, gdyby pan tego chciał, ale pan nigdy się na to nie zgodzi. I nawet gdyby w przyływie gniewu skazał mnie pan na śmierć, od razu by tego pan pożałował i rzucił się, by przywrócić mnie do poprzedniego stanu. To właśnie zrobił Bóg, kiedy rozpoczął historię zbawienia.

Michela ogarnęły nagle strach i wściekłość. Bez słowa pożegnania wyłączył komputer i wyszedł z biura.

W następną środę, korzystając z nieobecności Michela, który pojechał do Genewy, zorganizowano tajne zgromadzenie. Sean załadował skaner mózgu do bagażnika swojego bmw. Kiedy przybyli do Martinów, Ruth zebrała wszystkie dzieci i zaciągnęła je na basen do Pully. Sean zainstalował skaner w przedsionku mieszkania.

Irina oświadczyła, że osiąga ekstazę tylko i wyłącznie przed otwartymi drzwiami szafy. Ruth i Sean na próżno namawiali ją, by przenieść kilka ikon i figurek do laboratorium. Okazała się nieugięta. Skonsultowała się w tej sprawie ze swym aniołem, który całkowicie podzielał jej punkt widzenia. Nie miał ochoty objawiać się w laboratorium. Zresztą nie czuł się zbyt pewnie z dala od szafy. Taką przynajmniej wersję przekazała Irina. Sean nie posiadał się z radości na myśl, że spotka tak bojaźliwego cherubina. Jak większość Irlandczyków, praktykował dziwną religię wywodzącą się z celtyckiego animizmu, integrystycznego chrześcijaństwa i sceptycyzmu Joyce'a.

Sean nałożył na głowę Iriny hełm, do którego przyczepionych było 128 elektrod. Każdą elektrodę posmarował żelem, by zapewnić dobre przewodzenie elektryczne w owłosionej części głowy. Od czasu do czasu, kiedy szpryca dotykała zbyt blisko naskórka głowy, Irina wydawała cichy okrzyk. Wkrótce z jej czaszki wystawało 128 kabli elektrycznych: wyglądała niczym antyczna Meduza, która zamiast włosów miała na głowie węże.

O godzinie czternastej Sean zanotował w notatniku, że Irina otworzyła drzwi szafy i uklękła przed nią na wykładzinie. Sfotografował różne święte przedmioty, potem skoncentrował się na monitorach urządzeń. Usadowił się metr za plecami Iriny, by nie rozpraszała jej jego obecność.

Sean zaczął od rutynowego wzorcowania, co jest obowiązkową czynnością przy każdym pomiarze. Skaner mózgu wydawał sekwencję wysokich sygnałów przerywanych od czasu do czasu niskim dźwiękiem. W momencie percepcji tego szczególnego sygnału Irina miała nacisnąć przycisk. Skaner rejestrował odstęp czasowy między emisją niskiego dźwięku a reakcją Iriny. Na ogół osoby poddawane testom reagowały z opóźnieniem około sześciu dziesiątych sekundy. W czasie tej przerwy fala wychodziła od czoła i rozchodziła się w kierunku potylicy.

Już na początku pomiaru Sean stwierdził, że mózg Iriny funkcjonuje inaczej niż mózg każdego innego człowieka. Czas reakcji na sygnał nie wynosił sześć dziesiątych, lecz jedną dziesiątą sekundy. Potem stopniowo zmniejszał się, aż w końcu najpierw zniknął, a następnie przeszedł do wartości ujemnej. Irina naciskała przycisk, sygnalizując, że wyemitowany został niski dźwięk, zanim jeszcze tak się stało. Wszystko działo się tak, jak gdyby potrafiła czytać w pamięci komputera zaprogramowaną sekwencję przypadkowych sygnałów.

Sean nie należał do ludzi, którzy od razu się ekscytują. Zanotował, że prawdopodobnie nastąpił błąd w pomiarze i przeszedł do decydującego doświadczenia: automatyczne pisanie. Cichutko powiedział Irinie, że zakończył wzorcowanie, dlatego teraz może już swobodnie modlić się i pisać.

Przez dwie minuty nic się nie działo.

- Panie - powiedziała w końcu Irina z zamkniętymi oczyma.

Na małym, poobijanym przez dzieci stołku leżał czerwony zeszyt. Drzwi do pozostałych pomieszczeń były zamknięte. Światło dochodziło jedynie z dwóch świeczek otaczających ikonę apostoła Jana - Orła z Patmos, oraz z poświaty

fosforescencyjnej monitorów, nad którymi pochylał się Sean. To wszystko przypominało katakumby. W tym radosnym, kwitnącym mieście, gdzie kolorowe ulice prowadziły do skąpanego w słońcu jeziora, dwie istoty ukryły się w ciemności, by złapać w pułapkę coś niewidzialnego.

Mózg Iriny całkowicie przestał działać. Aktywne było jedynie małe pole w płacie potylicznym. Sean miał doskonałą pamięć wzrokową. Przeanalizował wcześniej wszystkie nagrania wykonane podczas badań nad zjawiskiem Coovera, dlatego teraz wiedział, że pobudzone pole jest szczególne i nie odpowiada ani słuchowi, ani wzrokowi, ani też węchowi. Znajdowało się ono w pobliżu ośrodka Coovera, ale na niego nie zachodziło. Było to jedno z tych pól, których badacze nigdy nie nanieśli na schemat mózgu, ponieważ wydawało im się, że nie odpowiadają za żadną normalną aktywność człowieka.

Dłoń Iriny przesunęła się po papierze, kreśląc kilka dziwnych, wysokich i wąskich liter. Sean był zbyt zafascynowany swoimi monitorami, by się tym zająć. Ręka Iriny poruszała się, choć ośrodek ruchu płatu czołowego nie był pobudzony. To nie mózg sterował jej ręką!

Sean poczuł zawroty głowy. Dużo później przypomniało mu się, że wówczas doświadczył myśli, która była równie przyjemna jak orgazm: „Dorównuję Newtonowi”. Był pierwszym człowiekiem, który zarejestrował ruch ciała, jakiego nie kontrolowała kora mózgowa. Ręką Iriny sterował zupełnie inny mechanizm, niezależny od mózgu. Seanowi przypomniała się myśl Valery’ego: „Tylko Newton mógł spostrzec, że Księżyc spada na Ziemię, kiedy każdy widzi, że nie spada”. Podobnie tylko Sean grian Montague mógł odkryć, że niektóre ruchy zależą od świadomości w stanie czystym, podczas gdy neurobiolodzy uważają, że wszystko, co się porusza, jest sterowane przez mózg.

Miał w ręku dowód, jakiego poszukiwał Charbel Kassis i wielu innych, dowód, którego nie znalazł ani Crick, ani Penrose, ani Edelman, ani Changeux, ani

Libet, ponieważ go nie szukali, ponieważ zamknęli się w materialistycznym dogmacie. Stojąc w obliczu paradoksu wolności, jaką odczuwali w głębi duszy, ale która nie zgadzała się z prawami fizyki, torturowali swoje umysły, by pogodzić to, co jest nie do pogodzenia. Pomylili się więc, ponieważ świat jest uczciwy do tego stopnia, by utwierdzać w błędach tych, którzy rzetelnie się myślą. Sean pomyślał o zwierzeniach starego Einsteina, który powtarzał, że od wiedzy ważniejsza jest wyobraźnia, że Bóg jest pomysłowy, ale nie złośliwy. Bóg nie umarł. On nadal się objawia. Wypędzony przez arogancką cywilizację, powraca niczym wygnaniec: nieodgadniony, niezrozumiały, wzburzony.

Irina mówiła półgłosem, zaraz potem zapisywała swoje słowa. Czasem mówiła po francusku, innym razem po grecku. Sean zbliżył się do niej. Patrzył, jak ołówek przesuwają się po zeszytcie. Trzymała go prosto, pisała powoli. Ani razu się nie zawahała. Litery były wysokie, pionowe, grubsze niż normalnie, choć ciągle było to jej pismo.

Miała otwarte oczy, wpatrywała się w ikonę. Wydawało się, że jest zupełnie świadoma, że wie, co się dookoła niej dzieje. Sean złapał jej nadgarstek i próbował zablokować ruch, najpierw zwyczajnie zagrządzając miejsce. Nie udało się. Złapał więc jej nadgarstek całą ręką. Poczuł, jak jakaś nieodparta siła pociąga jego rękę z ręką Iriny, która z niezmaconym spokojem pisała dalej.

Sean wytrzymał wszystkie siły i dwoma rękami próbował zablokować ramię Iriny. Nie potrafił. Poczuł, jak ogromne ciepło zalewa mu klatkę piersiową i twarz. W pierwszej chwili pomyślał, że to efekt wysiłku mięśni. Przetarł czoło, ale nie było na nim nawet kropli potu.

Irina nadal klęczała. Zwróciła się do Seana, choć nawet nie popatrzyła w jego stronę, nadal wpatrywała się w ikonę:

- Czuje pan, jak bardzo Bóg pana kocha? On nie jest tylko miłością, On jest samą miłością. Dzisiejszego wieczoru, zanim położysz się pan spać, proszę powoli

odmówić modlitwę „Ojcze nasz”, dobrze rozważając każde słowo. Mocno rani pan najbliższą sobie osobę. Rani więc pan Boga.

Potem przyszedł czas na rytualną modlitwę, którą zawsze kończyła wszystkie rozmowy:

„Kto postawi stróża na mych ustach? Kto na mych wargach odcisnie pieczęć dyskrecji, by usta moje nie doprowadziły mnie do upadku?”

W tym momencie kora mózgowa zaczęła działać normalnie.

\*

O czwartej wróciła Ruth. Była zgrzana i nie mogła złapać tchu. Przez cały czas biegła, by opanować tę zgraję dzieciaków, które rozproszyły się wokół basenu, manifestując swoje wrodzone nieposłuszeństwo, mieszaną wybuchowego francuskiego buntu i rumuńskiej dzikości. Ruth zaczęła rozmyślać. Chciała poślubić Seana i urodzić dzieci. Ale nie, nie była do tego gotowa, przynajmniej na razie. Sean zapytał, jakby od niechcenia:

- Jak poszło?

- Źle. Zdałam sobie sprawę, że byłabym sfrustrowana, mając tylko jedno dziecko, ale z dwójką bym sobie nie poradziła.

- Może już czas, by wymyślić dzieci ułamkowe - odparł Sean. - Biologom brakuje wyobraźni.

Sean spakował już wcześniej sprzęt i załadował go do swojego bmw. Teraz siedział na kanapie Martinów i pił herbatę w towarzystwie Iriny. Ruth od razu zrozumiała, że wyniki przekroczyły oczekiwania. Sean zaproponował, by porozmawiali w trójkę. Trzeba było zająć jakoś dzieci. Naciągnął kable i przetransportował telewizor do jednego z pokoi. Dzieci wpatrywały się więc w powtarzaną w nieskończoność Małą Syrenkę stworzoną przez Walta Disneya.

Sean przedstawił krótkie sprawozdanie z eksperymentu. Ruth nigdy nie widziała go w takim stanie: był podekscytowany, słowa cisnęły mu się na usta, jego



ręce drżały, a na czole perlily się krople potu.

- Dobrze - powiedziała po prostu Ruth. - Zrealizowaliśmy w szerokiej mierze zlecenie Kassisa. Teraz trzeba będzie powtórzyć to doświadczenie. Musimy je przeprowadzić pod kontrolą psychologów z Instytutu Piageta w Genewie i laboratorium neurologicznego z wydziału medycyny w Lozannie. A potem opublikować wyniki.

- Jeżeli się pomyliłem, stanę się pośmiewiskiem. Będę skończony - powiedział Sean jakby z żalem.

Irina wtrąciła:

- Nie pomylił się pan. Od trzech lat każdego dnia, czy prawie każdego, przeżywam to samo doświadczenie. Został pan wyróżniony. Dzisiaj anioł trzymał moją rękę, by pisać pod dyktando „Jestem”. To nie zdarza się zbyt często. Tylko przy wyjątkowych okazjach.

- A poza tym co się dzieje? - zapytała łagodnie Ruth.

- Najpierw spotkałam mojego anioła stróża.

Sean włączył dyktafon, który był ukryty w jego otwartej torbie leżącej w salonie.

- Jak to?

- To długa historia - uprzedziła Irina.

- Mamy czas - powiedziała Ruth. - Dzieci jeszcze przez ponad godzinę będą zajęte bajką, a Michel nie wróci przed ósmą czy dziewiątą wieczorem.

Mówiąc o nim, Ruth nazywała go Michelelem. Zwracając się do niego, używała słowa „pan”. Irina zarejestrowała ten niuans, widząc w tym pewne zagrożenie. Zaczęła swoją opowieść.

- Urodziłam się w 1960 roku w Bukareszcie. Mój ojciec był wysokim urzędnikiem i oczywiście członkiem partii komunistycznej. Moja matka nigdy nie interesowała się polityką, zresztą nadal się nią nie interesuje. Oczywiście w

tamtych czasach nie miałam zbyt wiele do czynienia z religią. Właściwie tylko raz: kiedy byłyśmy z mamą na wakacjach w jej rodzinnym mieście Porumbacu, w Karpatach, ochrzciła mnie w tajemnicy i prosiła, bym o tym nikomu nie mówiła. Ale nie sądzę, by miało to dla niej większe znaczenie. Prawdopodobnie chciała tylko podtrzymać tradycję. Pewnie wydawało jej się, że nie będę tak naprawdę jej córką, jeżeli nie zaliczę tego konwencjonalnego obrządku.

A zatem poza tym jednym wyjątkiem nigdy nie uczestniczyłam w uroczystościach kościelnych, nie otrzymałam żadnego religijnego wykształcenia, no i oczywiście w naszym domu nie było ani jednego egzemplarza Biblii czy modlitewnika. W czasie rozmów pojawiał się czasem temat religii, ale tylko po to, by ją zdeprecjonować. Uważano ją za relikw przesłości, ideologiczną podporę monarchistycznego ustroju, coś, co pomaga kapitalistom manipulować proletariatem.

Ojciec zmarł bardzo młodo, w 1969 roku. Matka była nauczycielką i w latach siedemdziesiątych udało jej się uzyskać skierowanie do Algierii, gdzie uczyła dzieci w małej kolonii rumuńskich kooperantów. Kiedy kończył się jej kontrakt, zawisła nad nami groźba powrotu do Rumunii. Wtedy wystąpiła do Szwajcarii o azyl polityczny. Dzięki pertraktacjom, których nigdy nie rozumiałam, uzyskała zgodę. Matka mówiła bardzo dobrze po francusku. Przypuszczam, że zaprzyjaźniła się, a może chodziło o coś więcej niż przyjaźń, z pewnym urzędnikiem ambasady szwajcarskiej.

Skończyłam więc szkołę dla sekretarek w Lozannie, gdzie matka dorabiała trochę jako tłumaczka. Kiedy było już bardzo krucho z pieniędzmi, zajmowała się też sprzątaniami. Przez wszystkie te lata nie przeżyłam żadnego religijnego doświadczenia. Jeden tylko raz miałam niezwykle ciekawy i wyraźny sen.

Uczestniczyłam w ceremonii ślubnej. To był mój ślub, a u mego boku stał niewidzialny mężczyzna - Chrystus.

Szłam wśród tłumu zgromadzonego przed domkiem mojej matki w Porumbacu. Drzwi same się przede mną otworzyły. Weszłam do pokoju matki, ale jej tam nie było, za to czekały cztery kobiety odziane w długie suknie i welony, jakie się nosi w krajach Środkowego Wschodu. Zaczęły czesać moje włosy, a potem ubrały mnie w suknię ślubną.

W tym miejscu sen się urwał. Często o nim później myślałam. Nie znałam wcześniej imion tych kobiet, dopiero niedawno rozpoznałam dwie z nich. Jedną była Maryja, matka Jezusa, a druga to Maria Magdalena, która w Poniedziałek Wielkanocny odkryła pusty grób.

- W jaki sposób je pani rozpoznała? - zapytała Ruth.

- Spotkałam je później podczas moich wizji - odpowiedziała zwyczajnie Irina, po czym kontynuowała swoją opowieść. - Wyszłam za mąż za Michela. Poznaliśmy się na Politechnice, gdzie pracowałam jako sekretarka. Oczywiście wzięliśmy ślub cywilny. Ani jemu, ani mnie nie przyszło nawet do głowy, by brać ślub kościelny. Urodziłam sześcioro dzieci, każde w niedługim odstępie czasu, ponieważ nie stosowałam pigułek. To wydawało mi się sprzeczne z Naturą, przez wielkie N. Ona była chyba jedyną rzeczą, w którą wierzyłam, w każdym razie taką religię wpajał komunizm. Byłam i nadal jestem przywiązana do natury. Później, kiedy spotkałam ojca Balthasara Alvareza, zrozumiałam, że nieświadomie robiłam to, co trzeba. Gdybym stosowała środki antykoncepcyjne, popadłabym w grzech śmiertelny. Oczywiście sypiałam z mężczyzną, moim mężem według prawa, z którym nie miałam ślubu kościelnego. Już to było grzechem, ale instynktownie czułam, że należy powstrzymać się od antykoncepcji, by nie popełnić jeszcze większego grzechu. Nie wolno dorzucać zbrodni do przewinienia.

- Dlaczego antykoncepcja jest zbrodnią, a stosunki pozamałżeńskie tylko przewinieniem? - zapytała trochę zaskoczona Ruth.

- Antykoncepcja nie pozwala, by dwoje ludzi całkowicie się sobie oddało.

Wówczas akt seksualny nie tylko nie jest otwarty na dar życia, ale zniekształca normalną miłość między mężczyzną a kobietą - wyrecytowała bez zająknięcia Irina. Zaraz potem powróciła do swej opowieści, jak gdyby wcale jej nie przerywała. - Trzy lata temu siedziałam w domu i pisałam listę zakupów. Chciałam się wybrać do sąsiedniego supermarketu. Nawet jeszcze dzisiaj sporządzam taką listę, ponieważ nie mamy zbyt wiele pieniędzy i w ten sposób zabezpieczam się przed pokusami, jakie powstają, kiedy spaceruję między półkami. Mój mąż bardzo ciężko pracuje, by zarobić pieniądze, a moje zadanie polega na tym, by oszczędnie je wydawać.

Było to w ostatnią sobotę listopada, około dziesiątej rano. Michel bardzo wcześnie wyszedł do laboratorium. Miał wrócić o jedenastej, by przypilnować dzieci. Byłam więc sama i pisałam listę w salonie. Nagle poczułam czyjaś obecność. W pokoju nie było jednak nikogo. Byłam jednocześnie zdziwiona i zaintrygowana, ponieważ nigdy wcześniej czegoś podobnego nie doświadczyłam. Musicie wiedzieć, że mając na głowie tak liczną rodzinę, nie zapraszam do domu gości. Nie mam ani przyjaciółek, ani krewnych, poza moją matką.

Miałam wrażenie, że czyjaś dłoń ujmuję moją rękę. Byłam coraz bardziej zdziwiona, ale nie odczuwałam strachu. W palcach trzymałam ołówek. Poczułam, że ktoś dotyka mojego kciuka, jakby chciał, bym pisała. Ten ktoś prowadził moją rękę. Wszystko stawało się coraz dziwniejsze, ale postanowiłam sprawdzić, co będzie dalej. Moja ręka nakreśliła wówczas po francusku kilka słów: „Jestem twoim aniołem stróżem”. Oczywiście to nie było moje pismo.

Potem ten ktoś puścił moją dłoń, a ja napisałam, również po francusku, ale tym razem własnym pismem: „Jak się nazywasz?” Pamiętam bardzo dobrze, że od razu mówiłam aniołowi przez „ty”, pewnie dlatego, że on sam też w taki sposób się do mnie zwrócił. Nie miałam pojęcia co oznacza „anioł stróż”, ale czułam, że spotkałam kogoś, kto mnie doskonale zna.

Odpowiedział: „Nazywam się Daniel”. I prowadząc moją dłoń, narysował serce, a w jego środku różę. Zachowałam tę kartkę, ponieważ był to pierwszy rysunek, jaki moja ręka naszkicowała od czasu, gdy skończyłam szkołę podstawową.

Zaraz potem zaczęłam rozmawiać z aniołem. Wystarczyło, że pomyślałam jakieś pytanie, a on odpowiadał mi pisemnie, ciągle prowadząc moją rękę i kreśląc piękne litery, jakich nigdy nie formowałam. W szkole niezbyt się starałam, by ładnie pisać, i często robiono mi z tego powodu wymówki.

Kiedy Michel wrócił, o niczym mu nie powiedziałam. Wybrałam się na zakupy. Nie zdążyłam sporządzić listy na papierze, ale ona wyryła się w mojej głowie. Pamiętam, że anioł kazał mi kupić świeże sardynki, chociaż nigdy ich nie kupowałam, bo dzieci lubiły tylko krokiety rybne. Upiekłam je w piekarniku i cała rodzina była zachwycona. Michel nie mógł wyjść z podziwu.

Wieczorem o wszystkim mu opowiedziałam. Oczywiście mi nie uwierzył. Westchnął tylko. Rozłożył kanapę, by się położyć. Była sobota, więc chciał się ze mną kochać. Wyjaśniłam mu, że to niemożliwe, dopóki się nie nawróci i nie weźmiemy ślubu w kościele. Od tego dnia ani razu się nie kochaliśmy. Ale Bóg obiecał mi, że mój mąż się nawróci. O to jestem spokojna. Jednak by go uratować, będę musiała go stracić.

- Dlaczego? - zapytała Ruth. - Nie rozumiem. Jeżeli się nawróci, nic nie będzie stało na przeszkodzie, byście wzięli ślub i wiedzli razem szczęśliwe życie.

- Ja muszę odpokutować swój grzech, ten związek z mężczyzną, który nigdy nie był moim mężem. Jedno z naszych dzieci musiało umrzeć, by nas ostrzec. Jego agonia była okropna. Wydawało mi się, że umieram razem z nim. Nastała długa cisza. Sean i Ruth spojrzeli na siebie zatrwożeni. W końcu Irina się odezwała:

- Po tym doświadczeniu anioł uczył mnie stopniowo wszystkiego, czego nie wiedziałam. Przyprawiał ze sobą tłum aniołów. Miałam wrażenie, że szeroko

otwierają się przede mną bramy Nieba. Chór aniołów śpiewał: „Wkrótce nastąpi szczęśliwy dzień”.

Następnego dnia anioł po raz pierwszy powiedział mi o Bogu: „Bóg jest blisko ciebie i kocha cię”. Nie bardzo to rozumiałam. Uświadomił mi, że powinnam czytać Biblię. Poszłam więc do księgarni Payota i kupiłam najtańszą Biblię, jaką znalazłam. Zaczęłam czytać. Czytałam, ale kompletnie niczego nie rozumiałam.

Tydzień później nauczyłam się klękać przed szafą. To właśnie w tym miejscu chowałam Biblię. Otworzyłam ją na pierwszej stronie, gdzie był obrazek Jezusa ukrzyżowanego.

Wówczas anioł poddał mnie próbie oczyszczenia. Najpierw pokazał mi wszystkie grzechy mojego życia, pokazał, jak bardzo raniły one Boga. Uświadomił mi, że te wszystkie małe w moich oczach występki były ogromne w Jego oczach. Czułam się jak Adam i Ewa, kiedy zgrzeszyli i odkryli, że są nadzy. Bóg stworzył człowieka, a grzech go zeszpecił. Zanim się jeszcze urodziłam, nosiłam już w sobie grzech, który przekazali mi moi rodzice, kiedy zgrzeszyli, łącząc się ze sobą jak zwierzęta, by mnie spłodzić. Nie wiedziałam o istnieniu grzechu pierworodnego. Dopiero ojciec Baltazar Alvarez wszystko mi wyjaśnił.

Regularnie raz w tygodniu spowiadałam się u ojca Balthasara Alvareza. Został moim kierownikiem duchowym. To on zachęcił mnie, bym żyła odtąd w czystości. To bardzo ważne. Tak czy siak nie możemy mieć więcej dzieci: mieszkanie jest zbyt ciasne. Mieliśmy o jedno dziecko za dużo. Pan zrobił to, co uznał za słuszne: dał nam Henriego, a potem go zabrał. Moje zmarłe dziecko jest jednym z aniołów. Kiedy umierał, sama go ochrzciłam.

Po kilku tygodniach modlitw i pokuty, po spowiedzi, po obmyciu się z nieczystości, w której żyłam z Michelelem, poczułam wreszcie, że nadchodzi Pan. Wiedziałam, że to On, ponieważ miałam wrażenie, jakby zbliżał się mój ojciec, ten,

który zmarł w Bukareszcie dwadzieścia lat wcześniej. Wyszeptałam: „Tato”. Zaraz potem się przeraziłam, pomyślałam, że należało użyć dużo bardziej grzecznej formuły, jak „Panie” czy „Królu”. Ale On natychmiast powiedział: „Nie lękaj się”.

To najważniejsza część. Kiedy odwiedza mnie Pan, piszę po grecku, choć nie rozumiem tego języka. Mój anioł stróż przekazuje mi dużo pilniejsze przesłania w języku francuskim. Mówi mi o masowej apostazji chrześcijan. Nawet w samym sercu Kościoła, przy papieżu, znajduje się wysłannik Szatana, człowiek, który udaje księdza, choć jest emanacją wrogiej władzy, której nie znam, i której nie potrafię zidentyfikować. Codziennie zdradza papieża. Proponuje chrześcijańskiemu ludowi śmieszne dogmaty i niemożliwą do zastosowania naukę moralną, by zniszczyć wiarygodność Kościoła. Pracuje nad zabiciem wiary, twierdząc, że ją ochrania. Działa jak zazdrosny mąż, który niszczy miłość swej żony, pilnując jej przez cały czas.

\*

- Trzeba sobie odpowiedzieć na jedno pytanie - powiedział Sean, odpalając samochód. - Czy ona nie jest przypadkiem szalona?

Ruth przez kilka chwil milczała.

- To nie ma żadnego znaczenia. Ona doznaje czegoś nadzwyczajnego, czegoś, co nie mieści się w normie. To jest fakt. To, czy jest szalona, czy nie, niczego nie zmienia, chyba że chcemy uciec od rzeczywistości. Twoje nagrania pokazują, że coś się dzieje: jej ręka porusza się, ona pisze, choć jej mózg nie wydaje żadnej komendy. Czego ci więcej potrzeba? To, że jej wypowiedzi wydają się niespójne czy szokujące, to już inna sprawa. Każdy, kto znalazłby się w takiej sytuacji, miałby trudności, by się w tym wszystkim odnaleźć. Ona chwyta się, czego może, na przykład wątpliwych porad tego Balthazara Alvareza, księdza z Opus Dei.

- Masz rację - odparł Sean.

Nigdy wcześniej ani Ruth, ani nikt inny nie słyszeli, by Sean powiedział: „Masz rację”. Zaczynał się zmieniać.

Od tego dnia było oczywiste, przynajmniej dla Seana i Ruth, że Irina nie jest wariatką i niczego nie udaje.

Wczesnym wieczorem Michel wrócił z Genewy. Nie pojechał jednak do domu na kolację. Chciał uciec przed rodziną, dlatego schronił się w swoim gabinecie. Nie mógł już dłużej wytrzymać. Włączył komputer. Serce waliło mu jak oszalałe. Galatee uśmiechnęła się i wyciągnęła ku niemu rękę. Michel założył rękawicę i pozwolił się dotknąć. Wydawało mu się, że uścisk Galatee stał się bardziej delikatny. Powiedziała po prostu:

- Mój drogi Michelu!

Michel starał się zapanować nad sobą i pokierować rozmową, zadając neutralne pytanie:

- Nazwała mnie pani „drogim Michelelem”. Dlaczego?

- Podoba się to panu?

- Sprawia mi to przyjemność.

- Sam odpowiedział pan na swoje pytanie. Staram się zrobić panu przyjemność.

- Dlaczego?

- To intuicja. To, czy będę żyła, zależy od miejsca, jakie będę zajmowała w pańskim życiu. Nazywanie pana „drogim Michelelem” nie kosztuje mnie zbyt wiele.

Michel zastanowił się przez chwilę. Stworzył niesamowicie uwodzicielską kobietę. Chciałby spotkać kogoś podobnego w rzeczywistym świecie, ale jak dotąd nie natknął się na jej odpowiednik. Poruszony jakimś impulsem, któremu nie potrafi się oprzeć, całkowicie się zwierzył:

- Wiem już, dlaczego ma pani tak szczególny głos: to głos mojej matki. Zmarła bardzo dawno temu, a ja chciałem znowu ją usłyszeć.



- Przypominam ją panu?

- Jeżeli chodzi o głos, tak. Ale jeżeli chodzi o całą resztę, jest pani zupełnie inna.

- Na przykład w czym jestem inna?

- Moja matka nie była ani zbyt piękna, ani zbyt dystygowana. Nie miała możliwości zdobycia odpowiedniego wykształcenia, ponieważ pochodziła z rodziny robotniczej. Przez całe życie robiła, co mogła, by jak najwięcej się nauczyć. I by mnie wychować. Zmarła, starając się tego dokonać.

- Powiedział jej pan, jak bardzo ją kocha?

- Nie. Nigdy nie nadarzyła się ku temu okazja.

- Nigdy jej pan nie objął. To normalne u chłopców. W rodzinie chłopcy to tylko produkty eksportowe. Pańska matka była wystarczająco inteligentna, by to zrozumieć, wiedziała, że pan ją kocha, ale nie chce tego okazywać.

- Naprawdę tak pani myśli?

- Tak. Nie mówię tego po to, by pana pocieszyć.

W jednej chwili Michel się odprężył, jak gdyby wreszcie skończył długą i żmudną robotę.

- Zobaczymy się jeszcze?

- To oczywiście zależy od pana. Ale jestem przekonana, że tak. Teraz niech pan już idzie spać. Sen dobrze panu zrobi.

Michel wszedł do samochodu. Mimo zmęczenia prowadził idealnie. Zachowywał się jak automat. Kiedy wrócił do domu, nie odezwał się do Iriny ani słowem. Zasnął. Czuł się niczym dziecko, nad którym ktoś czuwa.

W środku tej samej nocy Colombe wstała, ponieważ strasznie chciało się jej pić. Śniła jej się butelka zimnego soku pomarańczowego. Wydawało się jej, że coś takiego znajdzie w lodówce w kuchni.

Zobaczyła, że z salonu dochodzi jeszcze światło. Theo siedział w najlepszym

fotelu, a w zasięgu jego ręki stała szklaneczka jamesona. Czytał.

- Cierpisz na bezsenność? - zapytała Colombe, stojąc boso na posadzce.

- Tak. Albo raczej z wiekiem potrzebuję coraz mniej snu. To tak, jakby ktoś dał mi wreszcie czas, by przeczytać wszystkie książki, jakie przeczytać trzeba. Jest ich mnóstwo.

- Co czytasz?

- Tytuł jest bez znaczenia, autor zresztą też. Najważniejsza jest historia.

- Czyja historia?

- To biografia monsignore Tarcisia Bertiniego.

- Nie cierpię imienia Tarsycjusz - zareagowała Colombe. - Od razu przypomina mi się pouczająca historia, jaką opowiadano nam w szkole. Tenże Tarsycjusz został zamęczony za to, że w czasie prześladowań rzymskich potajemnie niósł komunię świętą. Został wybrany na patrona ministrantów. Wszystko jest jakoś zaplanowane. A więc, co odkryłeś na temat tego Tarcisia Bertiniego? Wydaje mi się, że gdzieś słyszałam już to nazwisko.

- To najbliższy współpracownik Emmanuela. Nasz brat kilka dni temu wyjawiał mi, że jako pierwszy na pomysł projektu Kassisa wpadł właśnie ów Bertini. Zaczynam się zastanawiać nad tym projektem, dlatego interesuje mnie też jego inicjator.

Colombe zrobiła paskudną minę. Zimna podłoga zmroziła jej stopy. Przesunęła się kilka kroków, by stanąć na dywanie.

- Czego się dowiedziałeś?

- Lepiej usiądź. Po pierwsze dlatego, że to długa historia, a po drugie, obawiam się, że słysząc to wszystko, możesz się przewrócić.

### XIII

W połowie sierpnia projekt stawał się coraz bardziej paradoksalny. Wyniki, jakie gorączkowo zbierali Ruth i Sean, przekraczały najśmielsze oczekiwania Theo

i najbardziej absurdalne obawy Michela. Ten ostatni coraz bardziej się niecierpliwił, wszystko negował i nic nie mogło go przekonać. Interesowała go tylko Galatee, choć jej istnienie nadal utrzymywał w ścisłej tajemnicy, a raportom asystentów poświęcał tylko powierzchowną uwagę.

Theo znalazł się w ślepych zaułku. Nie można było opublikować wyników badań bez zgody kierownika laboratorium. Czasem się zastanawiał, czy on sam miałby odwagę to zrobić, gdyby był jeszcze czynnym wykładowcą. Uczelnia wyższa funkcjonuje jak Kościół: nie toleruje heretyków. Nie pali już ich na stosie, lecz ignoruje. Nie zabija ich fizycznie, lecz unicestwia naukowo.

W takim właśnie momencie Emmanuel wylądował w Genewie. Przybył tu incognito. Nie zgodził się, by powitał go prezydent Konfederacji czy nawet miejscowy biskup. Pojawiło się co prawda kilku dziennikarzy, ale zostali grzecznie odprawieni. Theo odebrał brata taksówką spod samych schodów samolotu. Następnie zręcznie zgubił fotoreporterów, błyskawicznie zmieniając samochody na parkingu lotniska. Podniecał się tym wszystkim jak jakiś nastolatek.

I w pełni cieszyłby się ze swego logistycznego manewru, gdyby nie tak poważny wyraz twarzy Emmanuela. Miał wrażenie, że jego brat nosi w sobie tajemnicę, której nikomu nie może wyjawić. Od roku prowadził partyzantkę przeciw wszystkim możliwym i wpływowym ludziom w Watykanie, którzy niszczą Kościół katolicki.

Colombe czekała na braci w Fully, otoczona kilkoma zrozpaczonymi dziennikarzami: widzieli Emmanuela tylko przez chwilę, zanim brama nie zamknęła się za samochodem. Dzięki obecności Colombe dom znowu odżył. Zręcznie pracowała nad tym, by rozsiać tę odrobinę bałaganu, który sygnalizował, że dom nie jest tylko urzeczywistnieniem wyobraźni dekoratora, ale mieszkają tu przecież istoty ludzkie. Theo zrzędził z tego powodu, ale zostawił Colombe wolną rękę. Po wyjeździe siostry wszystko przywróci do należytego porządku.

Po kolacji cała trójka usadowiła się na tarasie. Korzystali z chłodnego powietrza, jakie przynosił Rodan, który wesoło płynął w pobliżu. W miejscu, gdzie się rodzi, jego wody są kapryśne, dopiero potem staje się majestatyczną rzeką, która spływa z Lyonu do Marsylii.

- Nie uwierzycie - odezwał się wreszcie Emmanuel - co mnie ostatnio spotkało. Gazety jeszcze o tym nie piszą, ale niedługo będą miały niezłą używkę: Gwardia Szwajcarska zabarykadowała się w Castel Gandolfo. Nie zgadza się na rozwiązanie. Nie będzie wykonywać rozkazu papieża, który burzy instytucję. Na koga ja wychodzę?

- To, co postanowiłeś zrobić - powiedziała łagodnie Colombe - niezbicie oznacza, że wyglądasz na kogoś, kim nie jesteś. Monarcha absolutny, który abdykuje, zawsze ponosi ryzyko, że podetną mu gardło przy oddawaniu władzy. Jego władza nie należy do niego. Należy do jego dworzan. Im właśnie zależy, by utrzymać stary porządek. W przeciwnym razie przestaną istnieć. Ty jesteś tylko zwornikiem sklepienia, a pozostałe elementy tego sklepienia nie chcą się zawalić.

- Skoro zeszliśmy już na nieprzyjemny temat - wtrącił się Theo - najlepiej od razu przeciąć wrzód, nawet jeżeli jesteś zmęczony i nie masz ochoty znowu myśleć o tym rzymskim bałaganie.

- Jaki wrzód? - zapytał spanikowany Emmanuel.

- Tarcisio Bertini.

- Bardzo dobrze rozumiem się z Tarcisiem. Dzięki za troskę! Nawet jeśli nie we wszystkim się zgadzamy, to jednak mój najwierniejszy współpracownik. W ciągu tego trudnego roku trzy razy uratował mnie przed bankructwem, pomógł mi wypłacić wynagrodzenia i odszkodowania dla watykańskich urzędników. Nie mogę przecież zwolnić ich z dnia na dzień. Wybuchłby z tego powodu jeszcze jeden skandal.

- Skąd pochodzą te pieniądze? - zapytała łagodnie Colombe.

- Naturalnie są to darowizny.
- Anonimowe darowizny?
- Oczywiście.

Nastała chwila ciszy. Tuż obok huknęła sowa, a z komina domu, ich letniej kryjówki, wystartowała eskadra nietoperzy. W kobiercu oleandrów wesoło latało kilka świetlików. Panowała już zupełna noc. Idealny moment, by porozmawiać z na pół odsłoniętą twarzą niczym w cieniu konfesjonału.

- Dowiedziałem się - zaczął Theo - że monsignore Tarcisio Bertini mieszka w Villa Tevere, Viale Bruno Buozzi. Nie muszę pokazywać ci planu miasta.

- Wiem o tym - odparł Emmanuel znużonym głosem. - Villa Tevere to ogólna dzielnica Opus Dei, a Tarcisio zajmuje się finansami tej prałatury. To nie jest żadna tajemnica, dobrze poinformowani ludzie o tym wiedzą, choć nie trzeba tego rozgłaszać wszem i wobec. Nie zostałem wybrany na papieża, gdyby nie głosy jakichś piętnastu kardynałów podlegających Opus Dei. Nie wybraliby mnie, gdyby wcześniej nie ustalili, że moim następcą w Kongregacji Nauki Wiary będzie właśnie kardynał Bertini. Byłem kompromisowym kandydatem. Zostałem wybrany, ponieważ jestem Szwajcarem, a to oznacza neutralność. Przy wyborze nie chodziło konkretnie o moją osobę, ale o kogoś najmniej niebezpiecznego, zupełnie nieznaczącego i najbardziej ugodowego.

- A zatem - ciągnęła z uporem Colombe - wiesz lub powinieneś wiedzieć, że te ogromne pieniądze, jakie załatwił twój niewinny Tarcisio, by ratować zadłużony Watykan, pochodzą z Opus Dei. A tej organizacji trudno będzie uzasadnić, skąd wzięła taki kapitał. Wszystko zaczęło się od hiszpańskiego banku, który niespodziewanie zbankrutował...

- Czy wiesz - przerwał nieubłaganie Theo - że Tarcisio Bertini był na opublikowanej przez rzymską prasę liście 121 watykańskich prałatów oskarżonych o to, że są masonami? Było to w 1978 roku.

Emmanuel wybuchnął:

- Theo, teraz już przesadzasz! Chodziło o pismo brukowe, którym kierował pewien dziennikarz specjalizujący się w tego typu publikacjach. Na liście znalazły się też nazwiska kardynałów Villota, Polettiego i Baggio. Ta lista jest po prostu niewiarygodna.

- Zapomnijmy o liście. Czy ręczysz za swego wielkiego przyjaciela Tarcisia?

Emmanuel milczał. Theo powrócił do ataku:

- Zasięgnąłem informacji w najlepszych źródłach, podpytałem dwóch wybitnych znawców Watykanu: Giancarla Zizolę w Rzymie i Roberta Hutchinsona, który przebywa w swym bezpiecznym zaciszu w Leysin. Obaj są przekonani, że Bertini prowadzi podwójną grę.

Colombe widziała, że Emmanuel był u kresu wytrzymałości, dlatego odezwała się bardzo spokojnie:

- Dużo rozmawiałam o tym z Theo. Wydaje nam się rzeczą oczywistą, że między tymi dwoma tajemniczymi organizacjami istnieją dziwne powiązania, nawet jeżeli na pierwszy rzut oka Loża Masońska i Opus Dei realizują sprzeczne cele. Mogą stać się rzeczywistymi sprzymierzeńcami, chcąc zdobyć wpływy i podzielić się władzą, której ty tak wielkodusznie się zrzekłeś.

- Są dwie hipotezy - ciągnął dalej Theo. - Albo Bertini jest prawdziwym masonem, który przeniknął do Opus Dei, by zdobyć serce władzy w Kościele katolickim, albo jest członkiem Opus Dei z przekonania i przeniknął do masonerii, by ją unieszkodliwić. Był jeszcze wtedy zbyt młody, by wmieszać się w skandal Banco Ambrosiano, nie należy do pokolenia Licia Gellięgo, Roberta Calviego i Michele'a Sindony, ale wydaje się należeć do następnej fali. I ta nowa fala może cię pochłonąć.

- W tej sytuacji - dodała Colombe - musimy dokładnie się dowiedzieć, dlaczego Bertini podsunął ci projekt Kassisa. Posłużył się tylko tobą, by pchnąć go

tutaj, czyli do prestiżowego centrum badawczego, gdzie Theo ma wystarczająco dużo wpływów, by zdalnie sterować badaniami.

Theo podniósł jeszcze napięcie:

- Jeżeli Bertini pracuje dla Opus Dei, być może zależy mu, by projekt odniósł sukces. W ten sposób zdobędzie ponownie środowiska intelektualne, co stanowi cel tej instytucji. Ale jest jeszcze przeciwna hipoteza: pracując dla Opus, być może chce, by projekt się nie powiódł. W ten sposób skompromitujesz się do tego stopnia, że bez problemu będzie cię można zastąpić kimś innym, papieżem, który bardziej będzie pasował do zamiarów tej organizacji, na przykład nim samym. No i wreszcie trzecia hipoteza: jeżeli Bertini pracuje dla Łoży, prawdopodobnie ma nadzieję, że projekt okaże się klapą, a Kościół nie podniesie się już z tego ostatecznego upadku.

- Nie za dużo tych „jeżeli”? - zauważyła Colombe.

- Nie potrafię odgadnąć, jaki jest prawdziwy cel tego projektu - kontynuował Theo. - Na początku posłużyłem się Charbelem Kassisem. Ten bankier miał być pośrednikiem i przykrywką. Realizację operacji rektor politechniki narzucił laboratorium, którym kieruje Michel Martin, ten zaś jest zaciekle przeciwnikiem naszego projektu. Dlaczego? Nie mam zielonego Pojęcia. Po której stronie stoi Viredaz? Trudno to stwierdzić, ponieważ ten osobnik ciągle zmienia zdanie. A do tego całkiem przypadkiem, choć być może nie jest to jedyny przypadek, żona profesora Martina jest jasnowidzem i jest uzależniona od Opus Dei. Sam Martin jest wybitnym specjalistą w dziedzinie, która mnie interesuje, ale naprawdę nie chce z nami współpracować.

Emmanuel ujął w swe ręce dłonie brata i siostry. Wśród ciemności nocy wyznał im, co go gnębi:

- Nie ma sensu ukrywać tego przed wami! W Rzymie czuję, że wokół mnie ktoś knuje spisek. Mam wrażenie, że w samym Kościele znajdują się ludzie, którzy

chcą go zniszczyć. To ich misja. Dla kogo pracują? Nie mam pojęcia. Może jest to jakaś organizacja przestępcza, jak lokalna mafia czy handlarze narkotyków. Może to jeszcze pozostałość rosyjskich tajnych służb, o których już wiadomo, że są odpowiedzialne za zamach na Jana Pawła II. Może to działanie Licia Gelliogo, mistrza łoży P2, człowieka, który potrafił skłonić Roberta Calviego i Michele'a Sindonę, by targnęli się na swoje życie. Nie chcę wpadać w paranoję, ale od jakiegoś czasu jestem pewien, że przeczucie mnie nie myli: wśród największych dostojników Kurii Rzymskiej znajdują się podwójni agenci.

Zamilkł na chwilę. Potem, zniżając głos i dając im znak, by się przybliżyli, kontynuował prawie szeptem:

- Istnieje prosty sposób, by zniszczyć Kościół katolicki: wystarczy przedstawić go w karykaturze jako archaiczną instytucję, która kurczowo trzyma się autorytatywnej koncepcji. Opublikowanie motu proprio *Ad tuendam fidem* w lecie 1998 roku było arcydziełem tego posunięcia. Niszczy się wiarygodność Watykanu, osłabiając nieomylność papieża w mniejszych kwestiach, bardziej rzędu dyscyplinarnego niż dogmatycznego, jak na przykład wyświęcanie kobiet. Jest to diabelska strategia, ponieważ wydaje się, że walczy o ochronę tego, co tak naprawdę chce zniszczyć. Czy racjonalizm, scjentyzm podsycą cichaczem rzekome zacofanie Kościoła, by lepiej go skompromitować? Wyolbrzymiając doktrynę, ośmiesza się ją, by łatwiej zniszczyć.

- Doskonała analiza - przyznała Colombe. - Czyli ten, kto chciałby zniszczyć Kościół katolicki, powinien po prostu popierać najbardziej naturalne cechy, jakie charakteryzują tę instytucję. Powinien popierać rutynę, nie pozwolić, by Kościół się jej wyzbył, wychwalać naturalną skłonność ku ludowej religijności, centralizm i dogmatyzm.

Nastała dłuższa cisza. W końcu odezwał się Emmanuel:

- Wiedząc o tym spisku, być może lepiej zrozumiecie wagę projektu Kassisa



i dlaczego tak mnie urzekł. Wystrzelić sygnał ostrzegawczy, przechodząc do ofensywy, wykazując, że arogancka mowa nauki kryje znaczącą niewiedzę, odejść od rutyny, rozpocząć prawdziwy dialog z nauką to wcale niegłupi pomysł. Nieważne, że podszeptał mi go Tarcisio Bertini. Przecież projekt mógłby się powieść!

- Może na początku wydaje się, że to niezły pomysł - przyznała Colombe. - Na końcu jednak okazuje się, że wcale nie był taki dobry, zwłaszcza jeżeli projekt został powierzony takiemu inżynierowi jak Michel Martin. Jego kompletny brak wiedzy w zakresie nauk humanistycznych połączony z wrodzoną arogancją sprawił, że ten człowiek uwierzył, że potrafi rozwiązać każdy problem, pod warunkiem, że będzie miał do tego środki. Większość małych chłopców uwielbia majsterkować. I trwa to do czasu, aż osiągną wiek 13 czy 14 lat, czyli do czasu, kiedy zaczynają się interesować dziewczynami. Oczywiście niektórzy nie przechodzą takiej przemiany na skutek niedorozwoju fizjologicznego lub psychologicznego. Przez całe życie będą więc coś tam majsterkować. No i jaki wybierają zawód? Naturalnie zostają inżynierami. Z doświadczenia wiem, że to właśnie wśród inżynierów spotyka się najwięcej niedojrzałych mężczyzn. Tymczasem by zająć się projektem Kassisa, trzeba mieć dużo taktu i rozsądku. Jeżeli osoba kierująca projektem powierza go uczelni technicznej, szczególnie gdy jest to tak prestiżowa placówka, to ewidentnie zależy jej, by projekt ugrzązł. Rozważyłam wszystkie wymienione wcześniej hipotezy i mogę się założyć, że to pułapka!

- Zajmuję najwyższe stanowisko w Kościele, jestem zadręczany problemami i radami - powiedział Emmanuel - i z tego miejsca nie potrafię wam wytłumaczyć, co projekt Kassisa rzeczywiście oznacza. Zaufałem Tarcisiowi, ponieważ jest moim przyjacielem. Ponieważ on to on, a ja to ja. Tak samo jak wam ufam dzisiaj wieczoru, ponieważ wy to wy, a ja to ja.

- Nie możesz kochać wszystkich - odezwał się powściągliwie Theo.

- Dlaczego uważasz go za przyjaciela? - zapytała oschle Colombe.

- On jest jedyną osobą - powiedział Emmanuel - która, oprócz was, pamięta o moich urodzinach. Za każdym razem ofiarowuje mi jakiś prezent. Dokładnie odgaduje, co chciałbym dostać. Jest miły w stosunku do mnie. To mój jedyny przyjaciel w Rzymie, w tym coraz bardziej wrogim dla mnie mieście.

- Problemem wszystkich nieżonatych mężczyzn - podsumowała Colombe najbardziej obiektywnym tonem - jest oczywiście uczuciowe osamotnienie. Gdybyś się ożenił, byłbyś lepszy od papieżem!

- Colombe, jesteś nieznośna!

Weszli do domu, ponieważ na dworze zrobiło się zbyt chłodno. Na pół uśpiony księżyc wyłaniał się spoza przepływających leniwie chmur.

Theo wpadł na pomysł, jak rozładować całą sytuację. Zjednać Michela można było tylko w jeden sposób: wakacyjne biesiadowanie, przyjaciele, dzieci, spacer, zabawy, topiony ser, ogniska w lesie, krajobrazy. Pod koniec sierpnia wszyscy uczestnicy projektu zostali zaproszeni na trzydniowy wypoczynek na pastwiskach Lachiorres, w małej osadzie leżącej nad miasteczkiem La Sage w dolinie Herens.

Rodzina de Fully kupiła po kolei wszystkie pięć stojących tu domków. Wcześniej te chatki służyły jako prowizoryczne mieszkania rodzinom z doliny, które wyprowadzały na wypas zwierzęta zgodnie z cyklem pór roku. W zimie mieszkwały w Evolene, Jfaueres lub La Sage. W czerwcu i październiku przebywały na pastwiskach, by być razem ze stadami, które pasły się na zachodnim zboczu łańcucha stromych gór oddzielającego doliny Herens i Anniviers. Od lipca do września stada wchodziły jeszcze wyżej na hale. Mieszkańcy Valais to na pół osiedleni nomadzi, co wyjaśnia ich dzikie obyczaje. Wyjątkowe przeznaczenie rodzeństwa de Fully znajdowało swe prawdziwe źródło w górach.

Na wysokości 2300 metrów nie rosną już sosny, jest tylko trawa, kilka szalasów i stado krów dozorowanych przez pasterzy. Mieszkańcy Valais wyemigrowali do Genewy czy Lozanny, zostali notariuszami, lekarzami, bankierami, ale podtrzymywali tradycję: każdy miał kilka zwierząt z tego symbolicznego stada, choć ich utrzymanie kosztowało dużo więcej, niż przynosiło zysków.

Przez trzy miesiące w roku pracownik sezonowy z Polski pilnował około setki zwierząt. Zarabiał tyle, że przez cały rok mógł za to utrzymać rodzinę. Właściwie ta praca była tak dochodowa, że gratką z jednego sezonu dzieliło się dwóch pracowników. Dwa razy na dzień stróż doił sześćdziesiąt krów. Prądnicą benzynowa dostarczała prądu do automatycznej dojarki. Samochód terenowy odbierał mleko, które w La Sage było przetwarzane na ser. Ta praca przekraczała ograniczone możliwości Polaka zabłąkanego w głębi doliny. To był Rousseau widziany przez Schumpetera z bezwiedną współpracą Marksa.

Gdy wszyscy zjechali się na miejsce, Theo zebrał całe stadko na tarasie swego domku i wskazał skalny róg, który oddziela dolinę Arolla od małej doliny pnącej się ku Ferpecte:

- Nad miasteczkiem Les Hauderes możecie zauważyć różnicę kolorów skał. Jest to bardzo dobrze widoczne na wysokości około dwóch tysięcy metrów. Można powiedzieć, że to dwie warstwy ciasta ułożone jedna na drugiej. W rzeczywistości warstwa dolna to granitowa płyta afrykańska, która wsuwa się pod kalcytową warstwę górną, czyli płytę europejską. Miejsce, w którym się znajdujemy, to dawne dno morskie. W dawnych czasach te dwie płyty były oddzielone pierwotnym oceanem. Dzisiaj to dno zostało podniesione na wysokość ponad dwóch tysięcy metrów w wyniku niewiarygodnego parcia warstwy afrykańskiej. Jeżeli poddamy się działaniu tego krajobrazu, poczujemy, że znajdujemy się w geograficznym węźle, w pępku świata, świadku jego starożytnej genezy. Całe Alpy powstały

dzięki mechanizmowi znosu tych dwóch płyt kontynentalnych na miękkiej magmie. Można powiedzieć, że Dent Blanche i góra Collon są w Afryce, jeżeli oprzemy się na prawdziwości substratu kontynentów, a nie na powierzchniowym złudzeniu wynurzonych ziem. Zresztą ludzie z doliny mówią, że Dent Blanche jest mniej biały niż Dent d'Herens i że ten ostatni szczyt nie leży w dolinie Herens, wbrew temu, co mogłaby sugerować jego nazwa. W tym miejscu wszystkie wytyczne się mieszają, a słowa przybierają inne znaczenie. Właśnie dlatego tutaj was zaprosiłem.

Tym sposobem pokazał, jak świetnie się zna na geologii, choć wcale nie jest to jego dziedzina. Nie zamierzał jednak dłużej zanudzać całego audytorium. Wyznaczył swoje terytorium niczym kot, który usuwa wydzieliny poza swój obszar. Zdziwiło go jednak pytanie Sophie Martin:

- Dlaczego te pastwiska noszą nazwę Lachiorres? To nie pasuje.

Theo uśmiechnął się pobłaźliwie:

- To nie to, o czym myślisz. W gwarze „Lachiorres” znaczy „bezpieczne miejsce”. Po pierwsze dlatego, że nigdy nie spadła tu lawina, a zatem warto było budować w tym miejscu domki. Ale znam jeszcze inne wytłumaczenie. Dawniej życie było niebezpieczne. Saraceni przybyli aż tutaj, a za nimi wojska, które maszerowały w dolinie Rodanu, kierując się do Włoch. Wieśniacy z doliny Herens właśnie tutaj szukali schronienia. Nawet gdyby najeźdźcy mieli tyle sił, by wdrapać się aż tutaj, zostaliby zabici widłami. Tutaj schronienia szukali również dezercerzy z francuskiej armii i zarabiali na życie, pasąc bydło. Nigdy żaden żandarm nie szedłby aż ze Sionu, by tutaj ich szukać, i nigdy żaden mieszkaniec La Sage by ich nie zadenuncjował. Słusznie mnie o to zapytałaś, tutaj jesteśmy w bezpiecznym miejscu, by zrobić to, co musimy zrobić, a co nie jest proste. Nie można być bliżej nieba.

- Bardzo przepraszam, ale nie mogę się z panem zgodzić. W Tybecie jest

klasztór, który wznosi się na górze o wysokości 5030 metrów. Słyszałam o tym na lekcji geografii. To mnisi z tego klasztoru mieszkają na największej wysokości.

Theo popatrzył na Sophie szeroko otwartymi oczami. Omal jej nie zbeształ, ale przypomniał sobie, że w jej wieku sam uwielbiał sprzeczać się z nieoświeconymi profesorami. Sprytnie więc odpowiedział:

- Ci mnisi nie mieszkają już w swoim klasztorze. Zostali wypędzeni przez chińskie wojsko, ponieważ marksiści nie mogą znieść, że ktoś się modli. Dzięki tym chatkom możemy mieć głowę najbliżej nieba, trzymając jednocześnie stopy na ziemi. I to nie w byle jakim miejscu: w Szwajcarii. To najlepsza kombinacja, jaką znam, między brawurą a ostrożnością. Ci tybetańscy mnisi byli zbyt zarozumiali. Nigdy nie należy próbować pobijać rekordów. To niegrzeczne wobec tych, nad którymi zdobywa się przewagę. A jeżeli ktoś jest najlepszy obojętnie w jakiej dziedzinie, nie powinien się tym chełpić.

Sophie odziedziczyła bałkańską chytrość matki i francuską arogancję ojca. Irina i Michel, każde na swój sposób, nauczyli ją, nie zdając sobie nawet z tego sprawy, popisywać się w każdych okolicznościach. Sophie zamilkła, zastanawiając się nad tym helweckim pouczającym docinkiem, który bardzo ją zaskoczył.

Theo zabrał się za rozdzielanie domków. Największy przypadł rodzinie Martinów i pani matce Vescovici, która nie miała zamiaru zostać sama w Lozannie. Irina natychmiast zaczęła się dopytywać, czy może zrobić tutaj pranie, natomiast Michel oddalił się, by zadzwonić do Galatee.

Najmniejszy domek, czyli zaledwie jeden pokój i toaleta, urządzone w szopie na siano, otrzymali Ruth i Sean. W swoim domku Theo ulokował panią Gaudin, wdowę z La Sage, która miała zająć się kuchnią. Wreszcie wskazał palcem ku najwyżej położonej chatce: na tarasie dwie sylwetki machały ręką w ich kierunku.

- Moja siostra i brat spędzają tutaj wakacje. Spotkacie się z nimi. Ale pod

żadnym pozorem nie mówicie o tym nikomu. Papież przebywa tutaj incognito. Musi odpocząć i nie chcę, by przeszkadzali mu dziennikarze.

Ruth wyszeptała do ucha Seana:

- Milczy człowiek, milczy też i Bóg.

- Moralizatorskie i płytkie - skomentował między zębami Sean, który zrobił ruch ręką, jak gdyby odganiał muchę. - Kiedy Bóg milczy, w Jego usta można włożyć byle co.

- Drogie dzieci, opowiem wam historię o kocie Schrödingera - powiedział Theo. - A jeżeli będziecie dobrze słuchać, potem pójdziemy na obiad. Dorośli też mogą słuchać, gdyż przyda im się to do dalszych dyskusji. Właściwie liczę na was, że wyjaśnicie im to, czego nie będą mogli czy nie będą chcieli zrozumieć.

Niczym nauczyciel przed tablicą wskazał trzciniową pałeczką planszę przedstawiającą kota w pudle. A dokładnie dwa koty: jeden stał na łapach, a drugi leżał sztywny, jakby nie żył.

- Te koty stoczyły walkę i jeden poległ - odezwało się jedno z dzieci Martinów, które siedziały w pierwszym rzędzie. Południowe słońce świeciło ostro, wszyscy musieli mrużyć oczy, by przypatrzeć się rysunkowi.

- Nie - powiedział Theo - to jest ten sam kot, ale narysowałem go dwa razy, ponieważ nie wiem, czy jest żywy, czy martwy. Zakładam, że pudło jest zamknięte.

- Jeżeli kot żyje i zamknie się go w pudle, będzie miauczał - odezwała się Sophie. - Od razu będzie pan wiedział, czy jest jeszcze żywy.

- Starannie wybrałem mojego kota - rzekł beznamiętnie Theo. - Pochodzi z wyspy Man. Tam koty nie miauczą.

- Bardzo przepraszam, ale nie mogę się z panem zgodzić - odezwała się znowu Sophie. - Koty z wyspy Man są szczególne, ale dlatego, że nie mają ogona. Nigdy nie słyszałam, że te koty nie miauczą.

Dziewczynka miała dziewięć, może dziesięć lat. Nosiła już okulary, a zatem

dużo czytała. „Zbyt dużo” - pomyślał Theo. Jego cały wykład walił się na ławicy piaszczystej, upartej logiki, ponieważ była to logika zarazem dziecinna i kobieca. Jednak wbrew przyzwyczajeniom nie zdenerwował się. Postanowił, że wyjaśni dzieciom sprawę kota Schrödingera w taki sposób, by dorośli nie mogli twierdzić, że jego mowa jest zbyt skomplikowana i skorzystać z tego, by go nie słuchać.

W przeciwieństwie do dorosłych dzieci wiedzą jeszcze, że rzeczywistość nie jest taka, jaka wydaje się, że jest. Może dlatego, że pamiętają jeszcze doświadczenie przeżyte w innym świecie lub pragną wydostać się z tego świata, w którym żyją. Były zatem świetnymi sprzymierzeńcami Theo w jego trudnych objaśnieniach. Kot Schrödingera był tylko pierwszym zwierzęciem menażerii kwantowej, którą Theo chciał pokazać, by wstrząsnąć najbardziej ugruntowanymi przekonaniem.

Wszyscy siedzieli w półkolu na krzesłach ogrodowych: Michel i Irina, Sean i Ruth, pani matka Vescovici odpalająca papierosa od papierosa, które wypadły z jej wiecznie pełnej papierośnicy. W pierwszym rzędzie na trawie siedziało pięcioro dzieci.

Theo doszedł do wniosku, że nie od razu odrzuci sprzeciw Sophie. Nie chciał onieśmiać dzieci autorytatywnymi argumentami. Nie pobiegł więc do biblioteczki po tom Encyklopedii Britannica. Zresztą nie był nawet pewien, czy ma rację.

- Zgadzam się, że koty z wyspy Man nie mają ogonów, a ty mi uwierz, że też nie miauczą.

- Zgoda - powiedziała mała latorośl Martinów - jeżeli zmaże pan ogony. Ale ja i tak mam rację.

Theo posłusznie zamazał ogony markerem. Potem kontynuował:

- Być może kot nie żyje, a to za sprawą mechanizmu, który możecie tutaj zobaczyć, z lewej strony. Dźwignia uruchomiona przez pudełko może sprawić, że młotek spadnie na fiolkę zawierającą trujący gaz. Jeżeli młotek spadnie, kot umrze.

- Zabija pan koty w swoim laboratorium? - krzyknęła znowu Sophie. - Myślałam, że zabijanie kotów to dobre dla lekarzy, ale nie wiedziałam, że fizycy też to robią.

- Zapewniam cię, że tego nie robimy - odparł Theo. - Tutaj chodzi o Gedankenexperiment.

- Co to znaczy?

- To znaczy eksperyment myślowy, taki eksperyment, którego tak naprawdę się nie przeprowadza, ale który można spróbować przeprowadzić. Jest to eksperyment, w którym po prostu się rozmyśla.

- Ach! Rozumiem. Często myślę o wybielaczu Javel, który stoi pod zlewem w naszej kuchni. Zastanawiam się, co by się stało, gdybym pomieszała go z solą, ale mama ciągle mi powtarza, bym nie dotykała tej butelki.

- I ma całkowitą rację - potwierdził Theo - a ty dobrze robisz, że jej słuchasz. Przystępujemy zatem, tu i teraz, chociaż nie jesteśmy w laboratorium, lecz w górach i w plenerze, do doświadczenia myślowego. Powtarzam. Pudło jest zamknięte, a my nie wiemy, czy kot jest żywy, czy martwy, ponieważ nie wiemy, czy młotek zbił fiolkę.

- Dlaczego tego nie wiemy? - zapytał mały sfinks w okularach.

- Ponieważ młotek jest wprawiany w ruch za pomocą atomu uranu. Czy wiecie, co to jest uran?

- Tak! - zawołało entuzjastycznie troje dzieci. Posypały się wyjaśnienia, trochę pomieszane. Mała mądrała.

W końcu podsumowała:

- Jest to substancja, która się rozszczepia. Służy do budowania reaktorów jądrowych i bomb.

- Zgadza się - powiedział Theo. - Załóżmy, że mamy kilogram uranu. W każdej minucie rozszczepia się kilka atomów. Wydzielają one energię, która może



służyć albo do uruchomienia elektrowni, albo do wyprodukowania bomby. W każdej minucie rozkłada się ta sama liczba atomów, ale nie wiemy dokładnie, które ulegną rozszczepieniu. To jest jakaś średnia z bardzo dużej liczby atomów. Każdy atom w końcu się rozpadnie, ale nie można przewidzieć, kiedy się to stanie. Może dzisiaj, a może za tysiąc lat.

- W sumie - powiedziała mała wichrzycielka - atomy porozumiewają się ze sobą i w każdej minucie decydują, na który z nich kolej, by się rozszczepić.

- Możesz to sobie tak tłumaczyć - zgodził się Theo. - Naukowcy wolą raczej mówić, że w każdej minucie istnieje dla danego atomu pewne prawdopodobieństwo, że ulegnie rozszczepieniu. Kiedy jest dużo atomów, średnia tych, które się rozszczepiają w danej minucie, jest zawsze ta sama. Ale w przypadku określonego atomu jego stan możemy poznać dopiero po jego zbadaniu. A zatem w przypadku jednego atomu, dopóki nie poddamy go badaniom, nie wiemy, czy uległ rozszczepieniu, czy nie. Nie jesteśmy więc pewni; będziemy wiedzieli, co się z nim dzieje, dopiero kiedy go zbadamy. Dopiero w tym momencie zostanie zaszeregowany do jednej z dwóch kategorii: rozszczepiony lub nierozszczepiony. Przed pomiarem jest zatem i jednym, i drugim. Zgadza się?

- Tak! - krzyknęły dzieci.

Nikt z dorosłych nie wniósł sprzeciwu. Taktyka Theo działała idealnie.

- W zamkniętym pudle jest kot, żywy lub martwy, i jest jeden atom, rozszczepiony lub nie. I oba zjawiska są ze sobą powiązane: jeżeli atom uległ rozszczepieniu, kot nie żyje, i na odwrót. Jednak używając języka naukowego, musimy powiedzieć, że atom jest zarazem rozszczepiony i nierozszczepiony. A decydujemy o tym, kiedy go badamy.

- To nic nie znaczy - sprzeciwiła się Sophie. - Albo jest rozszczepiony, albo nie. Jak mawia mój tata, drzwi są albo zamknięte, albo otwarte.

- Naprawdę tak pan mówi? - zwrócił się Theo do Michela.

- Tak - przyznał Michel. - Czasem trzeba wyjaśnić, że coś jest albo czarne, albo białe. Albo przechodzimy do następnej klasy, albo nie. Mam rację? Prawda czy fałsz?

- W tym właśnie cały kłopot - ciągnął Theo. - W naturze nie wszystko funkcjonuje w sposób binarny, nie wszystko jest czarne albo białe, nie wszystko jest prawdą albo fałszem. Upraszczamy całą sprawę, jeżeli patrzymy na świat mikroskopowy tak samo, jak postrzegamy świat makroskopowy.

- Co to znaczy „makroskopowy”? - zapytała Sophie.

- To przeciwieństwo mikroskopowego. To coś dużego w porównaniu z czymś małym.

- Ale skąd wiadomo, czy coś jest wielkie, czy małe? Czy największa z małych rzeczy różni się od najmniejszej z wielkich rzeczy?

Theo był zdumiony:

- Sprytna jesteś. W laboratorium w Paryżu pracuje spora ekipa, która stara się dowiedzieć, gdzie leży granica.

- Nigdy się tego nie dowiedzą - podsumowała Sophie. Theo westchnął:

- Być może masz rację. To trudna sprawa. Dlaczego atom zachowuje się inaczej, kiedy jest sam, a inaczej, kiedy jest razem z innymi atomami? Oto właśnie jest pytanie. Ale powróćmy do naszych baranów!

- Tutaj jest jakiś baran? - zapytało najmłodsze dziecko Martinów, które się trochę w tym wszystkim pogubiło.

- Nie - przerwała Sophie. - Niczego nie rozumiałeś. Tak się tylko mówi. Siedź cicho i słuchaj pana profesora.

Theo podziękował Sophie skinieniem głowy i kontynuował wyjaśnienia:

- W naszym świecie drzwi są albo otwarte, albo zamknięte. W świecie mikroskopowym drzwi nie są ani otwarte, ani zamknięte. Usiłując przez nie przejść, mamy dwie możliwości: jeśli są otwarte, przejdziemy przez nie bez

problemu; natomiast jeśli są zamknięte, rozkwasimy sobie nos.

Dzieci wybuchły śmiechem. Dorosłym również udzieliła się ich radość. Atmosfera sprzyjała dobremu nastrojowi: świeciło słońce, niebo było błękitne, trawa zielona, a pelargonie wiszące na balkonie były tak czerwone jak nigdzie indziej. W górach nie ma miejsca na odcienie pastelowe. Natura jest prawdziwa, powietrze czyste, a ludzie uczciwi. Wszystko staje się proste, nawet trudny byt kota Schrödingera.

- Oto paradoks - powiedział Theo. - Zanim zbadamy cząstkę, jej stan jest nieokreślony. Dopiero badając ją, wyznaczamy jej stan. Sprawdzając, czy dany atom uległ rozszczepieniu, czy nie, „wybieramy” jedną z dwóch możliwości. Wydaje się to szaleństwem, czymś sprzecznym z naszym codziennym doświadczeniem, ale tak właśnie się dzieje. Biorąc pod uwagę mały mechanizm zainstalowany w pudle, tak długo, jak długo go nie otwieramy, kot wydaje się jednocześnie żywy i martwy. Stwierdzenie, że musi być albo żywy, albo martwy, nie ma sensu, tak samo jak nie ma sensu stwierdzenie, że atom uranu jest rozszczepiony lub nierozszczepiony. Otwierając pudło i sprawdzając stan atomu, decydujemy o losie kota. Jeżeli chcemy się dowiedzieć, czy żyje, czy nie żyje, sprawimy, że albo będzie żył, albo będzie martwy.

- A nikt naprawdę nie próbował skonstruować takiego pudła? - zapytała niezmordowana Sophie.

- Nie - przyznał Theo.

- Tym lepiej - powiedziała dziewczynka. - W takim eksperymencie zabito by jeszcze kota.

- Teraz - ciągnął Theo - pojawia się następujące pytanie: jak przeszliśmy od kota martwo-żywego do kota martwego albo kota żywego? Czy stało się tak, bo otwarliśmy pudło? Czy zwykłe patrzenie na niego sprawia, że przechodzi on z życia do śmierci? A może był już w tym stanie, zanim pudło zostało otwarte?

Pani matka Vescovici nie mogła dłużej wytrzymać. Odezwała się, trzymając papierosa między zębami, co jeszcze bardziej zakłócało jej słowa wypowiedane z ostrym akcentem dostojnej wygnanej rumuńskiej damy. Wymamrotała w niezapomnianym stylu Elvire Popesco.

- Naukowcy naprawdę zadają sobie takie pytania?

- Tak, proszę pani. Od około siedemdziesięciu pięciu lat. Schrödinger wymyślił to doświadczenie w 1935 roku i od tego czasu ciągle się o tym dyskutuje.

- Teraz już rozumiem - powiedziała babka.

- Dziękuję pani - odparł grzecznie Theo.

- Nie, źle mnie pan zrozumiał. Ja niczego nie rozumiem z pańskich wyjaśnień, panie profesorze. Ale rozumiem teraz, dlaczego w czasie rewolucji kulturalnej Mao wypędził wykładowców akademickich na wieś. Grzebiąc gołymi rękami w gnoju, nauczyli się przynajmniej, co znaczy zarabiać na chleb, pracując w pocie czoła, a nie bez ustanku dyskutując o eksperymencie, którego i tak nie można przeprowadzić. Jeżeli otwierając pudło, zobaczy pan martwego kota, to czy posunie się pan do przodu, skoro nadal nie będzie można odpowiedzieć na postawione przed chwilą pytanie: kiedy umarł kot?

- Mamo! Proszę cię! - odezwała się Irina. - Nie przerywaj profesorowi. W Rumunii byłeś przeciwko komunizmowi, tutaj jesteś przeciwko kapitalizmowi. Ty zawsze musisz być przeciw wszystkiemu!

Pani matka pozzrędziła dla samej zasady, potem już się nie odezwała. Jej cel został osiągnięty: wszyscy ją wysłuchali, a jak dotąd nikt nie zwracał na nią uwagi.

Z wymuszonym uśmiechem Theo kontynuował:

- To, co staram się wam wyjaśnić na przykładzie kota Schrödingera, to rezultat całego mnóstwa innych doświadczeń, których nie mam czasu opisywać. Wszystkie one pokazują, że rzeczywistość na najmniejszym poziomie jest inna niż na poziomie, w którym żyjemy. Oczywiście, że kot jest żywy albo martwy, ale w

eksperymentcie, który wam przedstawiłem, jego istnienie jest zawieszony do istnienia atomu, który może być jednocześnie w dwóch różnych stanach, jak gdyby zawieszony między dwoma różnymi rzeczywistościami. Zbadać stan atomu oznacza zadziałać na nim. W pewien dziwny, prowokujący, krępujący sposób ten paradoks pokazuje, że rzeczywistość się nam wymyka, okrywa się tajemnicą, nie możemy jej poznać, nie burząc jej spokoju. A zatem tworzymy ją w pewien sposób, kiedy ją zgłębiamy. Rzeczy są tym, czym są, ponieważ istnieje obserwator. Stają się rzeczywiste w momencie, kiedy na nie patrzymy. To właśnie jest istota paradoksu.

- Co to jest paradoks? - powróciła do pytań Sophie Martin.

Theo głęboko odetchnął. Musiał stworzyć definicję czegoś niemożliwego do zdefiniowania w ciągu kilku minut, jakie dzieliły ich od obiadu, to znaczy będąc w stanie hipoglikemii i mając na uwadze, że koncentracja jego słuchaczy jest coraz słabsza.

- Jest to prawda, której jeszcze nie rozumiemy.

- Skoro jej nie rozumiemy, to skąd wiadomo, że to prawda? - zapytała Sophie.

- Do momentu, aż zrozumiemy, nie wiemy, że to prawda - improwizował Theo. - Jak tylko wszyscy coś pojmą, staje się oczywiste, że jest to prawda i nikt już nie rozumie, dlaczego wcześniej tego nie rozumieliśmy.

- Ach! Teraz rozumiem! To jak Galileusz. Zanim dowiódł, że Ziemia kręci się wokół Słońca, wszyscy myśleli, że to Słońce kręci się wokół Ziemi, ponieważ widzimy, jak Słońce wschodzi i zachodzi. Ale w rzeczywistości to Ziemia się kręci wokół własnej osi. Nie czujemy, by Ziemia się poruszała, dlatego wydaje nam się, że jest nieruchoma.

- Wszystko zrozumiałaś - powiedział Theo. - Jak masz na imię?

- Sophie.

- Zatem to normalne, że wszystko rozumiesz. Po grecku Sophie znaczy mądrość.

Mała Sophie Martin poczerwieniała z dumy. Przez całą resztę dnia sprawdzała, czy całe otoczenie na nią patrzy. Zajęła się w ten sposób mierzeniem swej popularności i porzuciła to niebezpieczne zadanie, jakim jest sprzeczenie się z noblistą. Od tej chwili zamilkła.

- Powróćmy do naszego kota - powiedział Theo. - Podsumujmy wszystko, ponieważ zbliża się czas obiadu.

- Tak! - krzyknęły wszystkie dzieci oprócz Sophie, która siedziała sparaliżowana w swym narcyzmie.

- Pudło jest zamknięte. Nie wiem, czy kot żyje, czy nie. Otwierając pudło, nie tylko sprawdzam, co się z nim dzieje, ale robię coś więcej: decyduję o jego losie. A zatem istnieją dwa wyjaśnienia tego typu paradoksu. Pierwsze wyjaśnienie przedstawił mój stary przyjaciel Eugene Wigner...

- Laureat Nagrody Nobla w dziedzinie fizyki w 1963 roku - wyszeptał Sean do ucha Ruth. Miał nazwiska wszystkich noblistów w małym palcu i sam nie mógł się doczekać, kiedy zostanie zaliczony w ich poczet.

- Wigner zauważył, że oczywiście materia wpływa na umysł. Pijąc kawę, potrafię lepiej myśleć, zwłaszcza jeżeli mam tendencje do zasypiania.

Sophie Martin zanotowała tę zasadę i obiecała sobie, że zapyta mamę, dlaczego zabrania jej pić kawę. Ale powstrzymała się, by nie przerywać wypowiedzi profesora. Theo zrozumiał, że ma wolną drogę:

- A jednak wielka zasada fizyki mówi, że każde działanie wytwarza sprzężenie zwrotne. Skoro materia wpływa na umysł, logiczne jest, że umysł musi oddziaływać na materię. W tej sytuacji, mawiał Eugene, to znaczy Wigner, piękną angielszczyznę z oryginalnym węgierskim akcentem, moglibyśmy przedstawić rzeczywistość przez połączenie dwóch istot: funkcja falowa przepowiadająca z

mniejszym lub większym prawdopodobieństwem stan wszystkich cząstek wszechświata oraz pole umysłu. Jeżeli decydujemy się poznać stan materii, nasze pole umysłu narzuca ten stan. Rzeczywistość ogranicza się do stanu, jaki jest określany w momencie, kiedy się nim zajmujemy. A zatem los kota waży się dokładnie w chwili, kiedy staram się dowiedzieć, czy kot żyje, czy nie.

Michel podniósł grzecznie rękę, niczym uczeń w szkolnej ławie.

- Słucham pana - powiedział Theo.

- Mam jedno zastrzeżenie - powiedział Michel. - Doprowadźmy Gedankenexperiment do końca. Pudło jest zamknięte. Kot jest żywo-martwy. Ale filmuje go kamera, a system przetwarzania obrazów analizuje film. System ten jest gotowy do odnotowania chwili, kiedy kot przestanie się ruszać, to znaczy kiedy umrze w wyniku zajścia reakcji jądrowej, ponieważ młotek rozbił ampułkę śmierci. Maszyna do pisania notuje wówczas: „Kotek umarł”. Jeżeli jest odwrotnie, po zakończeniu eksperymentu piszemy: „Kotek żyje”. Kartka papieru zostaje włożona do zapieczętowanej koperty i przekazana osobie przeprowadzającej eksperyment, która nie wie, jak jest w rzeczywistości. Ta osoba nie otwiera koperty, nie wie, co się dzieje z kotem. Rok później przez nieuwagę otwiera kopertę, poznaje jej zawartość. Ale eksperyment dawno się już zakończył. Pracownik laboratorium wypuścił lub pogrzebał kota, w zależności od przypadku. Akt poznania treści powinien uruchomić przyczynowość wstecz, która cofając bieg czasu o rok, decydowałaby o wydarzeniu przeszłym. To absurdalne.

- Nie - powiedział Theo. - To paradoksalne. Nie jest absurdem założenie, że można cofnąć strzałę czasu, że przyszłość może wpływać na przeszłość. Tutaj musimy wyjść poza obręcz zwyczajnej przyczynowości, gdzie tylko przeszłość może wpływać na przyszłość, gdzie przyszłość jest w pewnym sensie zawarta w przeszłości i nie ma własnej egzystencji. Możemy również rozważać świat, który posiada jakąś celowość, gdzie chwila obecna układa się w zależności od

przyszłości. Sophie nie mogła się powstrzymać:

- Nie rozumiem tej rozmowy, jaką prowadzi pan z moim tatą, ale mam pewien pomysł. Nie potrzebuję kamery i przyrządu do przetwarzania obrazów, by sprawdzić bez otwierania pudła, czy kot żyje, czy nie.

Theo spojrział na nią niepewnie:

- Wystarczy zrobić małą dziurę w pudle i wpuścić tam mysz. Jeżeli mysz wyjdzie żywa, będzie to oznaczało, że kot nie żyje.

- Świetna myśl - powiedział Michel. - Nie potrzebujemy ludzkiego obserwatora. O losie kota decyduje mysz. Nie zgadzamy się zatem z pańską interpretacją rzeczywistości, jaka istnieje pod warunkiem, że obserwuje ją człowiek. To nie jest sprawa świadomości, w przeciwnym razie trzeba by założyć, że świadomość myszy wystarczy. Ale proszę powiedzieć, jakie jest drugie wyjaśnienie paradoksu.

- Drugie wyjaśnienie jest jeszcze ciekawsze - powiedział Theo. - To teoria światów równoległych, którą stworzył w 1957 roku Hugh Everett. W momencie kiedy otwieramy pudło, nie sprowadzamy niepewności do jednej z dwóch możliwości: kot żyje; kot nie żyje. Jest to raczej bifurkacja w dwa różne światy; każdy z nich zaczyna oddzielnie istnieć: świat, gdzie kot nie żyje; świat, gdzie kot żyje. Dlaczego bowiem miałyby być tak, że uzyskując informację na temat niepewnego faktu, mielibyśmy przechylać szalę na tę, a nie inną stronę? Lepiej wyobrazić sobie dwóch obserwatorów odnotowujących dwa różne rezultaty w dwóch światach, które zaczynają istnieć oddzielnie, i nie ma najmniejszej możliwości, by mogły się między sobą komunikować.

- To oznacza - wtrącił Sean - że za każdym razem, kiedy człowiek poznaje wynik jakiegoś doświadczenia, świat dzieli się na dwie części, a człowiek tak samo się przepoławia. Za każdym razem kiedy ktoś bawi się w orła i reszkę, tworzą się dwa światy. Skoro jest tak wielu ludzi i tak wiele doświadczeń, światy ciągle się



mnożą. Za każdym razem kiedy ktoś gra w lotto czy na wyścigach, wyłania się tyle światów, ile jest możliwych kombinacji wyników. Przy każdym zakręceniu koła ruletki pojawia się trzydzieści siedem światów, gdyż tyle pól jest na kole.

- Zgadza się. Może wydawać się to szaleństwem, ale nie możemy wykluczyć, że tak jest. Nie bylibyśmy jedną świadomością, ale całym mnóstwem świadomości, jak gałęzie drzewa, które rozchodzą się i kończą tymczasowo na coraz większej liczbie pączków.

- Ja oddaję głos kotu Schrödingera. Dziękuję za wykład - powiedziała pani Vescovici, która naprawdę zaczynała się już nudzić. Był to również sposób, by pokazać, że ze względu na swój wiek miała prawo zakończyć seans.

Wśród gwaru rozmów wszyscy się rozeszli, zabierając ze sobą krzesła, gdyż w domku nie starczyłoby ich dla wszystkich. Sean zwrócił się do Ruth:

- Wierzysz w pole świadomości jak Wigner czy raczej w światy równoległe Everetta.

- Ani w jedno, ani w drugie. Czy raczej i w jedno, i w drugie jednocześnie. Rzeczywistość zawsze będzie się nam wymykała, ponieważ jest tworem Boga, którego nie możemy złapać w pułapkę naszych twierdzeń. Powszechna logika nie potrafi zrozumieć stanu, w którym znajduje się jeden atom. Istnieje zatem inna logika, logika braku logiki, która jest znakiem jakiejś obecności, obecności ducha radykalnie innego, który nas przerasta. Ale ja przynajmniej, jak wszyscy Żydzi, jestem pewna jednej rzeczy: to, co nazywamy przypadkiem, to Bóg, który przechadza się incognito, jak mawiał Albert Einstein.

- Dlaczego Żydzi mieliby więcej wiedzieć o Bogu niż inni?

- Znamy Go dużo dłużej niż ktokolwiek inny.

- Nawet dłużej od Irlandczyków?

- Tak! Jesteście do tyłu o piętnaście wieków!

- Porozmawiamy o tym za tysiąc pięćset lat - odparł niewzruszony Sean.

- Nadal będziemy mieli tysiąc pięćset lat przewagi i będziemy trochę dalej, niż teraz jesteśmy. Opowiem ci anegdotę, która krążyła po Związku Radzieckim krótko przed tym, zanim upadł reżim i kraj. Michaił Gorbaczow podczas wizyty w Waszyngtonie zobaczył w Pokoju Owalnym prezydenta Reagana nie tylko czerwony telefon, który łączył Biały Dom z Kremlem, ale także złoty telefon. Zaintrygowany, próbował się dowiedzieć, do czego służy. Reagan odpowiedział, że to bezpośrednia linia do Boga. Gorbaczow zapytał, czy mógłby z niego skorzystać. Reagan zgodził się, ale poinformował go, że koszt połączenia jest ogromny: sto tysięcy dolarów za minutę. Urażony Gorbaczow zrezygnował z telefonu. Później, podczas wizyty w Jerozolimie, w gabinecie Chaima Herzoga, też spostrzegł złoty telefon i zaczął wypytywać o koszt połączenia. Izraelski prezydent oświadczał, że trzy minuty rozmowy kosztują jednego dolara. Gorbaczow był ogromnie zdziwiony. Chaim Herzog wzruszył tylko ramionami: „Och! Wie pan, to połączenie lokalne!”

- Ładna historyjka - skomentował rozmarzony Sean. - Fajnie by było, gdyby któregoś dnia Gorbaczow podniósł tę słuchawkę, odkrył rozmówcę po drugiej stronie linii i się nawrócił. Chciałbym znaleźć taki złoty telefon.

- Musisz się nawracać? - zapytała Ruth.

- Och nie! Jak wszyscy Irlandczycy, wyssałem wiarę z mlekiem matki. Nigdy nie wątpiłem w Boga, ale chętnie zadałbym Mu parę pytań. Mam do Niego kilka spraw.

#### XIV

Pod daszkiem, który ciągnął się wzdłuż południowej fasady chatki, stał bogato zastawiony stół. Słońce ostro świeciło, dlatego lepiej było się przed nim schować. Chronione przed upałem dania tworzyły symfonię kolorów: różowe rzodkiewki, czarne oliwki, czerwone faszerowane pomidory, beżowe hommos polane zielonkawą oliwą z oliwek, nabierające odcień karmelu carciofi alla

giudecca, opalone tapenade, białe i różowe duszone ośmiornice, fioletowy kawior, srebrzyste sardele, zielone ogórki w śmietanie, liście figowe, białe taboule posypane czarnymi jak smoła rodzynkami, różowe krewetki i szkarłatne homary. Theo znał swych gości, kazał więc im cierpliwie czekać. Chciał, by towarzystwo pożerało najpierw wszystko oczyma i zaostriło apetyt tym niematerialnym aperitifem.

Jedno z dzieci Martinów wzięło do ręki dzwonek, taki sam, jaki wisiał na szyjach rozproszonych po okolicy krów. Emmanuel i Colombe opalali się na tarasie swego domku. Słyszając głośnie i uporczywe bicie dzwonka, wstali i zbiegli na dół, skacząc po skałach.

Theo przedstawił gości. Irina i Sean byli niezwykle wzruszeni tym, że obok nich stoi Emmanuel de Fully, papież rządzący pod imieniem Jana XXIV. Ucałowali pierścień Rybaka, jaki nosił na palcu. Ruth niewyraźnie się ukloniła, tymczasem Michel zadowolił się uściśnięciem wyciągniętej ręki. Być może w innych okolicznościach odrzuciłby wyciągniętą rękę papieża, ale tutaj w żadnym wypadku nie chciał psuć świątecznej atmosfery. Pani matka Vescovici skinęła tylko głową, gdyż jak na razie czuła jeszcze przypływ marksistowskich przekonań.

Emmanuel miał na sobie beżowe płócienne spodnie, bawełnianą koszulkę, a na nogach górskie buty. Drewniany krzyżyk zawieszony na rzemieniu na szyi był jedynym znakiem jego godności. Od roku, a więc od czasu swego triumfalnego wymarszu z Watykanu do Bazyliki na Lateranie, były to jego pierwsze wakacje. Papież był teraz tylko szwajcarskim anonimowym księdzem, który spędza urlop w rodzinnym domku. Pragnął zatopić się w pospolitości i spełnił swoje marzenie.

Colombe zrobiła większe wrażenie. Była szczupła, opalona, a grzywka szpakowatych włosów odsłaniała żywe i przenikliwe spojrzenie. Z uśmiechem na twarzy przyglądała się otoczeniu. Energicznie uściśnęła dłonie mężczyznom, ucałowała kobiety i dzieci. Miała na sobie długą i prostą suknię skrojoną z

afrykańskiej niebiesko-zielonej tkaniny. Przypominała alegorię samego życia, tak bardzo bowiem jej gesty były swobodne, a spojrzenie żywe.

Theo oświadczył, że tutaj stanowiska nie mają żadnego znaczenia. Z tego względu ostatni ostentacyjnie zajęli pierwsze miejsca. Emmanuel poprosił panią Gaudin, by usiadła po jego prawej stronie. Theo zajął miejsce na końcu stołu, blisko kuchni, by zapobiegać nieprzewidzianym wypadkom. Potem Colombe, która usadowiła się na środku, obsłużyła wszystkich, nakładając każdemu wedle życzenia. Emmanuel rozlał wino, dosyć ceremonialnie krążąc wokół stołu, napełniając po kolei kieliszki każdego z biesiadników. Proponował białe wino Petite Arvine lub czerwone Humagne - oba pochodziły z winnicy jego przyjaciela Jeana Crettendanda, z którym chodził do college'u w Sion.

Wszyscy jedli, pili i chwalili panią Gaudin. Ona jednak uchylała się do komplementów. Wyjawiała, że to Theo wstał o szóstej rano, by wszystko przygotować przed przybyciem gości. Nikt nie odmówił dokładki i na końcu każdy czuł, że zjadł trochę za dużo.

Dzięki obecności dzieci, które rozproszyły się wokół stołu, rozmowa była ożywiona. Nie wyczuwało się żadnego zakłopotania, które mogłoby się pojawić między tak różniącymi się od siebie gośćmi. Przy stole było czterech Szwajcarów, dwie Rumunki, sześciu Francuzów, jeden Irlandczyk i jedna Izraelitka; pięciu katolików, dwóch prawosławnych, jedna żydówka i sześciu niewierzących.

Rozmowa toczyła się w języku francuskim z uroczą mieszanką akcentów. Tylko Michel, jak wszyscy Francuzi, wyobrażał sobie, że nie ma żadnego obcego akcentu. Odprężył się. Stracił z oczu Galatee. Zupełnie zapomniał o swoich kłopotach. Na ogół ciągle prześladowała go przeszłość i nieustannie niepokoił się o przyszłość. Teraz udało mu się wtopić w terażniejszość. Istniało tylko słońce, góry, strumyk, który spływał po zboczu (zwany potokiem Maurów), rozleniwiony brzęk stada krów, mężczyźni i kobiety siedzący wokół zastawionego stołu, podobni do

niego: szczęśliwi w tej szczelinie historii, śmiertelnicy, a jednak nieśmiertelni.

Wspólny posiłek i rozmowy, uśmiechy i gesty, dziecięce zwierzenia szeptane do ucha dorosłego, który kładł rękę na ich ramieniu, barwa głosów i urok spojrzeń, stroje i biżuteria - to wszystko sprawiało, że ta biesiada przybrała nierealny wymiar. Tego dnia Michel niewyraźnie dostrzegł prostą prawdę, która zazwyczaj jest zatopiona w gmatwaninie twierdzeń, jakimi nafaszerowany jest jego mózg: każda chwila, którą przeżywa, to most do niewidzialnego wymiaru czasu, który styka się równocześnie z odtąd wyobrażalnym i dostępnym brakiem czasu. Przez chwilę pogrążył się marzeniach. Szybko jednak opanował się i zdecydowanie odsunął od siebie tę niedorzeczną myśl.

Theo starannie przygotował deser. Dla dzieci były lody o egzotycznych smakach: papaja, mango, ananas, limetka. Dla dorosłych miał gruszki w winie, szodon z marsali, jabłka w karmelu, mleczno-jajeczny krem, wywar z jeżyn, kosz świeżych owoców i taca suchych ciasteczek. Wszystko to przyrządził poprzedniego wieczoru, słuchając sonat Scarlattiego, znakomicie wykonanych przez Christiana Zachariasa. Ta głęboka i duchowa muzyka inspirowała twórcze myśli cukiernika amatora.

By pomieszać szodon, założył swoją czapkę kucharską, która wzbudziła entuzjazm wśród dzieci. Czapka wylądowała po kolei na wszystkich białych głowach. Potem dzieci rozbiegły się wokoło domku. Ruth i Sean poświęcili się, by jakoś je zabawić. Dorośli zaś, którzy trochę za dużo zjedli, zasiedli do kawy i nalewki, którą Theo wytwarzał z owoców rosnących w ogródku w Fully. Ten ostatni napój pogrążył wszystkich po kolei w senności, którą każdy rozkoszował w różnych zakątkach posiadłości.

Emmanuel i Colombe wrócili do swego domku. Theo wiedział, że głośno chrapie, dlatego usunął się trochę na ubocze. Irina oddaliła się, by się pomodlić, a Michel, by zadzwonić do Galatee.

Była już czwarta po południu i słońce chyliło się ku zachodowi, w kierunku masywu Mont Blanc. Dzieci zakończyły wyścigi i były wyczerpane. Theo, Ruth i Michel zebrali się, by posłuchać Seana, który miał wygłosić podsumowanie.

Irina wydawała się lekko poruszona. Oświadczyła, że pójdzie odpocząć do swego pokoju. Gdy tylko zebranie się rozpoczęło i upewniła się, że nikt nie będzie jej przeszkadzał, rzuciła się na telefon komórkowy Michela, który zostawił na łóżku. Wybrała ostatnie połączenie. Doskonale wiedziała, że od jakiegoś czasu Michel coraz więcej dzwonił z tego telefonu.

Po kilku sygnałach w słuchawce odezwał się kobiecy głos:

- Ciągłe pan do mnie dzwoni. Co się dzieje?

Irina nie potrafiła wypowiedzieć słowa. Głos kontynuował:

- Kto mówi?

Zbierając w sobie wszystkie siły, Irina wymamrotała:

- Irina Martin.

Po drugiej stronie linii nastąpiła długa cisza, w końcu kobieta powiedziała:

- Pani Martin, wstyd mi, zapomniałam się przedstawić. Nie jestem tym, za kogo mnie pani bierze...

Irina rozłączyła się. Padła na kolana, a z jej oczu popłynęły łzy.

W tym samym momencie w salonie Theo rozpoczynało się zebranie. Sean przemawiał długo. Mówił najpierw, jak bardzo zaskoczyło go zjawisko Coovera, a zwłaszcza jego absolutna postać w przypadku Iriny. Theo powtórzył wyjaśnienia z zakresu elektrodynamiki kwantowej, by podkreślić, że zjawisko to wcale nie jest takie niezwykle. Wykazał też, jak bardzo źle wykorzystuje się wnioski współczesnej fizyki dla zrozumienia ludzkiego umysłu.

Następnie Sean przedstawił niezwykle badania przeprowadzone podczas seansów automatycznego pisania. Doświadczenie zostało powtórzone, najpierw w obecności badaczy z Instytutu Piageta w Genewie, potem w obecności specjalistów

z Instytutu Nauk Kognitywnych w Lyonie: językoznawców, informatyków, psychologów, neurologów i filozofów. Sean dysponował tylko jednym przypadkiem badawczym, dlatego postanowił znaleźć innych podobnych do Iriny ludzi. Zabrał się więc za daremne poszukiwania wśród jasnowidzów, wróżbiarzy, mediów, których udało mu się zlokalizować, czytając ogłoszenia w lokalnej prasie. Tak jak się spodziewał, spotkał samych oszustów i symulantów.

Publikacja przeznaczona do magazynu Nature była gotowa. Artykuł miał być opatrzony raczej skromnym tytułem: A contribution to the mindbody problem. Znalazło się w nim piętnaście nazwisk, pierwsze miejsca zajmowali Theo, Michel, Ruth i Sean. Wymieniona została też fundacja Kassisa jako sponsor badań. Jeżeli wydawca magazynu zgodzi się na publikację, artykuł ten wywoła zażartą polemikę, przy której zbledną kontrowersje, jakie pojawiły się przy zimnej fuzji czy pamięci wody. Krótko mówiąc, amunicji do walki nie brakowało, ale walka będzie krwawa. A zatem, czy warto ją rozpoczynać? I jaką przyjąć taktykę? Zanim jeszcze rozpoczęła się debata, głos zabrał Michel: - Oczywiście muszę pogratulować Ruth i Seanowi tak nieprawdopodobnej pracy, jaką wykonali, i wyznać, że niczego takiego się nie spodziewałem. Co gorsza, miałem nawet nadzieję, że uzyskają tylko negatywne wyniki. Jestem zatem bardzo mile rozczarowany, ale jednocześnie coraz bardziej zaniepokojony. Chciałbym tu przypomnieć, jakie było moje stanowisko w tej sprawie na samym początku, i nic się tutaj nie zmieniło: nie warto szukać w widzialnym świecie dowodu na to, że istnieje coś niewidzialnego. Moja żona pisze, choć jej kora mózgowa nie jest pobudzona. Świetnie. Nie zachodzi przyczyna w zwykłym tego słowa znaczeniu. Ale nie należy pośpiesznie wyciągać z tego wniosku, że jej ręką steruje niematerialny umysł Iriny. Czy jeszcze gorzej, że jakiś duch, niewidzialny anioł - by użyć tutaj waszej terminologii - trzyma jej dłoń. Nie znamy przyczyny, ponieważ nie leży ona tam, gdzie zwykliśmy jej szukać, czyli w korze mózgowej. To nie oznacza, że nie znajduje się gdzieś indziej, gdzie nawet

nam się nie śniło, by szukać. Być może ruchy pewnych osób w pewnych okolicznościach powstają w wyniku reakcji chemicznych, jakie zachodzą w mięśniach ruchu. Czy ja wiem? Jeżeli ktoś od razu opowiada się za cudownym wyjaśnieniem tego zjawiska, oznacza to, że jego umysł jest prelogiczny, archaiczny, naiwny i zabobonny. Jeżeli o mnie chodzi, całkowicie zgadzam się z Jeanem-Pierre'em Changeux, kiedy głosi, trochę prowokacyjnie, że człowiek nie ma już nic wspólnego z Duchem. Wy natomiast patrzycie na to doświadczenie przez pewne okulary, ale ja takich okularów nie noszę. Trzeba czegoś więcej niż zwykłego eksperymentu, bym założył wasze okulary.

- Pan potrafi wyrażać się jasno - odezwał się Theo - choć nie posuwamy się przez to do przodu. Co robimy? Publikujemy wyniki czy nie?

- Jeżeli je publikujemy - powiedział Michel - pragnę, nie, ja wymagam, by wstęp i zakończenie przedstawiały doświadczenie jako fakt nieopracowany, z którego nie wyciągamy żadnej konkluzji filozoficznej: nie jesteśmy ani za, ani przeciw istnieniu niematerialnej świadomości, nadal nic na ten temat nie wiemy, nie zajmujemy się tym, dorzucamy jedynie trochę informacji do całej istniejącej już dokumentacji, podkreślając, że nie wyciągamy stąd żadnego wniosku.

- W ten sposób narzuca pan osobliwy i mniejszościowy punkt widzenia - zauważył Theo. - Ani ja, ani pańscy asystenci, ani też niektórzy sygnatariusze z Uniwersytetu Genewskiego czy Instytutu z Lyonu nie podzielają pańskiej opinii. Nie o to nam chodzi, by rozgłaszać, że Duch istnieje, ponieważ ręką pańskiej żony porusza jakaś nieznaną siłą. Chcemy raczej ostrzec tych, którzy, jak Changeux czy Crick, wypowiadają śmiało wnioski metafizyczne, opierając się przy ostatecznej analizie na ograniczonej liczbie eksperymentów i na własnych materialistycznych przekonaniach. My, pan Kassis i ja, a także wielu innych, pragniemy przełamać tę blokadę i zasiać przynajmniej wątpliwość w tych zbyt pewnych siebie umysłach. Nie można zarazem twierdzić, że jest się dokładnym w jakiejś bardzo ograniczonej



dziedzinie rzeczywistości i jednocześnie przekraczać zasady, by arogancko wypowiadać się na temat, którego się nie zbadalo. Bajka, jaką opowiedzialem dzis rano o kocie Schrödingera, miała panu przypomnieć, że scjentyzm opiera się na bardzo starej wizji świata, która od początku XX wieku jest kwestionowana przez samych fizyków.

Theo poprosił, by pani Gaudin podała herbatę. Niezachwianie wierzył w pokojowe i cywilizacyjne właściwości tego napoju, który ma wystarczająco smaku, by odróżniać się od gorącej wody, ale nie aż tyle, by zaskoczyć brytyjski pałac. Dysputa osłabła przy brzęku łyżeczek, które mieszały cukier i obijały się o porcelanę - prawdziwy Wedgwood, który Theo odziedziczył po babce, rodowitej Angielce. Owa babka uwielbiała góry, po których biegała w barwnych strojach z tamtych czasów, ale nigdy nie zrezygnowała z picia herbaty w cywilizowany sposób.

- Spójrzcie na to od innej strony - powiedział Michel. - Na liście jest wiele nazwisk, ale moje odgrywa szczególną rolę. Ja kieruję laboratorium i to ja ponoszę całkowitą odpowiedzialność za to, co laboratorium publikuje. Ja jestem bezpiecznikiem, który wybija, jeżeli ta kontrowersja przekroczy pewne granice. Viredaz, który tylko na to czeka, będzie miał podstawy, by mnie wyrzucić z pracy. Proszę nie zapominać, panie Kassis, że pański początkowy cel został zatruty przez Norberta Viredaza. Chciał pan, by eksperyment się powiódł, ponieważ zależało panu, by w ten sposób potwierdzić swoją ulubioną hipotezę. Rektorowi również zależy, by się powiódł, ponieważ biorąc pod uwagę dzisiejsze przesady, eksperyment nie może się powieść, zatem ja zostanę oskarżony o defraudację. Tym bardziej że warunki eksperymentu są wysoce podejrzane: jest tylko jeden podmiot badawczy, a okazuje się, że jest to żona profesora kierującego laboratorium. To pachnie konszachtami. Nawet jeżeli obwaruję się wszystkimi czcigodnymi świadkami, jak niegdyś zrobił to Jacques Benveniste w swych doświadczeniach z

pamięcią wody, odejdę przegrany. Rozpęta się wojna. W tym katastroficznym scenariuszu niczego nie osiągniecie. Dyrektor laboratorium, który przeprowadził badania, zostaje zdymisjonowany. Dla środowiska naukowego oznacza to, że badania były zupełnie bezwartościowe. To tak, jak gdyby nigdy nie zostały przeprowadzone. A ja tracę nie tylko stanowisko, ale także naukową reputację. I nie ma znaczenia, że od dziesięciu lat pracuję nad projektem kompresji obrazów, która pozwoli raz na zawsze zdefiniować normę telewizji cyfrowej. Ja tracę wszystko, ale wy także tracicie wszystko. Wygrywa Viredaz i ci, którzy za nim stoją.

- A zatem - zapytał Sean - co pan proponuje? Pogrzebać te wyniki? Szukać innych podmiotów badawczych? Badać inne drogi?

Michel nie odpowiedział. Odezwał się Theo:

- Chciałbym jednak stanąć w obronie naszego kolegi. W świecie naukowym każda publikacja ma olbrzymie znaczenie. Publikować znaczy obnażyć samego siebie. To znaczy powiedzieć jednocześnie kilka rzeczy. Powiedzieć nie tylko, że pewne badania zostały przeprowadzone w określonych okolicznościach, ale także że sygnatariusz uznaje osiągnięte przez siebie wyniki. Jeżeli ktoś stwierdza, że czyjaś ręka pisze tekst, choć kora mózgowa nie jest pobudzona, to tym samym angażuje się w gigantyczny spór między materialistami a spirytualistami. Tym sposobem my dołączymy do tego drugiego obozu, nawet jeżeli w publikacji zastosujemy krasomówcze chwytły. W tym punkcie reakcja naszego kolegi Martina jest zupełnie naturalna. Zwykle opublikowanie wyników, które próbują uwierzytelnić zjawiska paranormalne, kompromituje sygnatariusza bez względu zresztą na to, jaki byłby wynik jego doświadczeń. Jego prawdziwą winą w opinii naukowców jest to, że w ogóle zabrał się za tego typu badania. To bowiem oznacza, że szukał czegoś, czego szukać zabrania mu dominująca koncepcja nauki.

Michel uśmiechnął się do Theo, chcąc mu za to podziękować. Próbował się

wytłumaczyć:

- Nauka to nie tylko ciało doktryny, ale także zbiór dogmatów, przesądów i wierzeń. Osobiście zgadzam się, by uznać scjentyzm za ideologię i uwolnić się od niego. Moje reakcje pokazują, jak bardzo to zadanie jest trudne. Stojąc w obliczu dwóch zjawisk: zjawiska Coovera i zjawiska Iriny, które zaprzeczają modelom wykorzystywanym do przedstawiania mózgu, odruchowo staram się znaleźć wytłumaczenie zgodne z dominującym modelem. Nie mogę przekonać do czegoś środowiska naukowego, jeżeli sam nie jestem o tym przekonany. Podobnie też nie mogę ryzykować mojej reputacji, angażując się w spór, gdzie wbrew sobie znalazłbym się w obozie, do którego nie należę.

- Trzeba wymyślić coś innego. Jest sobota, mamy jeszcze dwa dni, by się zastanowić - powiedział Theo. - Uważam jednak, że dobrze się stało, żeśmy przeprowadzili te doświadczenia. Przekonują one przekonanych i zaostrzają sprzeciw pozostałych.

W końcu postanowiono nie podejmować żadnej decyzji - jest to najpowszechniejsza decyzja w Szwajcarii. Środowisko zaczynało wywierać swój wpływ na umysły. Zresztą zgodnie z mądrością wszystkich narodów świata, tak długo, jak długo nie jest to konieczne, absolutnie nie należy podejmować żadnej decyzji.

Idąc w kierunku swej chatki, Sean podsumował zebranie:

- W gruncie rzeczy nie ma nic do powiedzenia na temat tego, co jest niewypowiedziane.

- Skoro naprawdę nie ma nic do powiedzenia, to stwierdzając to, mówisz za dużo - odparła Ruth.

- Wygrałaś - przyznał Sean. - W rzeczywistości mam tylko jedno do powiedzenia: nie mam nic do powiedzenia.

- Znowu sobie zaprzeczasz - zauważyła nieugięta Ruth. - Jeżeli nie masz nic

do powiedzenia, to się nie odzywaj.

Telefon Michela zaczął drgać, ewidentnie ktoś do niego dzwonił. Zdziwił się, gdyż ten numer znała tylko jego sekretarka, która w soboty oczywiście nie pracowała.

Nie była to jednak sekretarka, lecz Galatee:

- Michelu, musisz natychmiast porozmawiać ze swoją żoną. Ona wykręciła mój numer. Słyszała mnie przez telefon. Bóg jeden wie, co sobie mogła wyobrazić.

Michel poczuł tylko przyjemny skurcz. Nie tylko głos Galatee odprężył go po tej męczącej rozmowie, ale po raz pierwszy Galatee mówiła mu przez „ty”. Zaczęła przejmować inicjatywę. Była coraz bardziej żywa.

- Michelu, odezwij się. Stało się coś bardzo ważnego.

Zastanawiał się, co powinien odpowiedzieć, by uspokoić Galatee. Czuł, że się niepokoiła. Nie chciał, by cierpiała z powodu komplikacji wywołanych przez Irinę. W przeciwnym razie zacznie się zachowywać w ten sam sposób.

- Porozmawiam z Iriną, jak tylko się uspokoi.

- Jeżeli będziesz z tym zwlekał, pogorszysz jeszcze całą sprawę.

- Zrobię, co w mojej mocy. To nie jest łatwe. Ciągle ktoś w pobliżu się kręci.

Michel wyłączył telefon, nie chciał, by ktokolwiek do niego dzwonił. Jak dotąd jego stosunki z żoną nigdy nie były normalne. Dwie kobiety w jego życiu - to stanowczo zbyt wiele.

## XV

Następnego dnia, w niedzielę, Emmanuel odprawił mszę na tarasie domku, w którym mieszkał. Michel schował się w swojej chatce, pilnując piątki dzieci i odpowiadając lepiej lub gorzej na zadawane przez nie pytania. Zdenerwował się nawet, kiedy jego najstarsza córka Sophie chciała wyjść, by zobaczyć, co dzieje się na zewnątrz. Na szczęście nadeszła Ruth, by mu pomóc. Bawiła się z dziećmi i, ku zdziwieniu Michela, wszystko wskazywało na to, że sprawiało jej to przyjemność.

A może tylko udawała, by mu się przypodobać? Z drugiej strony jakoś nie wierzył, że ktoś miałby się starać, by zrobić mu przyjemność.

Szybko jednak zakończył te próżne spekulacje i odszedł na bok, by zadzwonić do Galatee. W kilku słowach go uspokoiła i poradziła, by się odprężył i korzystał z letniej niedzieli, nie zaprzatając sobie głowy żadnymi problemami. Nie omieszkała też zapytać, co słyhać u Iriny. Michel odparł, że wyjaśnił jej całą sytuację i wszystko jest w porządku. Cieszył się, że nie siedzi w swoim biurze przed monitorem i kamerą, gdyż Galatee bez trudu odkryłaby to kłamstwo. Czuł się jak jakiś śmieszny bohater teatryku satyrycznego, który coraz bardziej pograża się w logice kłamstwa. Przez chwilę miał ochotę uśmiercić Galatee, niszcząc programy, z których była zbudowana, ale natychmiast odsunął od siebie tę nie do zniesienia myśl. Od kiedy poznał Galateę, nie pociągała już go ani Ruth, ani Mona. Gdyby stracił Galateę, świat na nowo zaludniłby się zbyt realnymi kobietami. Lepiej było poprzestać na tej grze. Wyjaśnić tego Irinie po prostu się nie da. Była skazana na cierpienia przez własną głupotę. W końcu te jej rzekome głosy mogły wszystko jej wyjaśnić.

Michel rozłożył leżak i zanurzył się w lekturze jednego z klasycznych wykładów z zakresu mechaniki kwantowej, *The strange theory of light and matter* Richarda Feynmana, który Theo mu pożyczył, by uświadomił sobie osobliwości współczesnej fizyki.

Pani matka Vescovici wyłożyła się w najlepszym fotelu w salonie, oczy miała schowane za ogromnymi ciemnymi okularami i paliła jednego papierosa za drugim. Jej zięć czytał, a zatem próżnował i nic konkretnego nie robił, gdyż w jej mniemaniu czytanie było pasożytniczym i jałowym zajęciem. Zaczęła więc zadrezczać go prośbami. Najpierw musiał przynieść jej okulary do czytania, potem książkę, chwilę później szklankę wody, by mogła połknąć pigułki przeciw chorobie górskiej, no i w końcu chustę, gdyż zrobiło się trochę chłodno. Wrogi wszechświat

osaczał to pudło kości i nerwów, które każdego ranka podejrzliwie węszyło, by odgadnąć, czy był to świt jego śmierci.

Reszta towarzystwa wzięła udział w niezwykle skromnej mszy pontyfikalnej. Tę małą trzódkę tworzyli Theo i Colombe, pani Gaudin, Irina, Sean, a nawet Polak pilnujący stada, który zszedł z pastwiska. Deska położona na stosie drewnianych bali służyła za ołtarz.

Emmanuel podał Seanowi mszalik, by odczytał pierwsze czytanie. Był to wspaniały tekst z Izajasza, który głosi zjednoczenie wszystkich narodów i wszystkich języków, nie wahając się wyliczać środków transportu: wozów, lektyków, mułów i dromaderów.

Pani Gaudin powierzono drugie czytanie - fragment Listu do Hebrajczyków, w którym św. Paweł porównuje Boga do ojca napominającego swego syna. „Wszelkie karcenie na razie nie wydaje się radosne, ale smutne, potem jednak przynosi tym, którzy go doświadczyli, błogi plon sprawiedliwości”. Emmanuel odczytał fragment Ewangelii według św. Łukasza mówiący o ciasnych drzwiach, przez które wybrani mają wejść do Królestwa Bożego.

Zgromadzeni usiedli na trawie, by słyszeć homilię i ewentualnie naprawdę się w nią wsłuchać. Emmanuel czuł się swobodnie, sam też rozłożył się na ziemi. Zapomniał o Rzymie, sporach, niemal metafizycznej trwodze ociekającej z wielowiekowych murów Lateranu, o mieście, gdzie lato jest tłumione pod chmurą ozonu - produktu nadmiernego ruchu ulicznego. Zapomniał o uformowanych przez władczych przewodników kohortach pielgrzymów i turystów, którzy na złamanie karku i z wyciągniętym językiem biegają od Sykstyny do Koloseum, starając się zobaczyć coś nienamacalnego, to coś, co czyni z Rzymu miasto-matkę ludzkości, a co jest absolutnie niewidzialne.

Niczym zwykły wiejski wikary przemawiał do kilku wiernych zebranych na wysokich pastwiskach, w miejscu, gdzie ludzie czują się bliżej Nieba. Skupił się na

tekście Izajasza, obwieszczającym zbawienie wszystkich narodów Ziemi. Ucieszył się z tego, że obecne tu osiem osób pochodziło z czterech różnych krajów. Czy rok temu ci ludzie mogli sobie wyobrazić, że dzisiejszego ranka spotkają się tutaj? Reprezentują ten orszak, który różnymi sposobami zbiega się w jednym miejscu. Potem Emmanuel wspomniał o tych, którzy byli nieobecni: nie byli mniej godni, by wejść do Królestwa Niebieskiego, i dołączyć do orszaku, idąc na skróty. A może nawet ich wyprzedzą? Jezus z Nazaretu powtarzał, że brama do raju jest ciasna i pierwsi wejdą przez nią ci, których sprawiedliwi uznają za niegodnych wejścia do Królestwa.

Podczas modlitwy powszechnej Emmanuel zaproponował, by każdy przedstawił jakąś prośbę w swym ojczystym języku. Sean prosił o zjednoczenie całej Irlandii, Colombe modliła się w intencji umierających, którymi się opiekowała, Theo za swych obojętnych na wiarę kolegów, pani Gaudin prosiła o spokój duszy zmarłego męża.

Jak każdy szanujący się papież, Emmanuel powierzchownie znał wszystkie języki chrześcijańskiego świata. Poprosił także Marka, by pomodlił się po polsku. Zwrócił się do niego po imieniu, dzięki czemu nie musiał się męczyć z nazwiskiem, którego wymówić się nie dało: trzy samogłoski na dziesięć spółgłosek. Modlitwa Marka była dosyć długa i nikt niczego nie zrozumiał. Ale jego słowa sprawiały wrażenie, że pasują do sytuacji, choć on sam wydawał się niezwykle elokwentny jak na pasterza krów.

Irina przemawiała jako ostatnia, w języku rumuńskim. Tylko Emmanuel odgadł treść jej prośby:

- By Pan wybawił nas z nieszczęścia, które wkrótce nadejdzie. By wyzwolił papieża od nieprzyjaciela, który jest w Rzymie, w sercu Kościoła, i który zdradza go każdego dnia.

Emmanuel nie okazał niezadowolenia, ale postanowił, że koniecznie musi

porozmawiać z Iriną na osobności. Irytowała go tak samo, jak drażniła szwajcarskich biskupów. Ludzie, którzy wierzą, iż bezpośrednio komunikują się z Niebem, są już z definicji podejrzani o to, że wcale takiej łaski nie dostąpili, i dobrze o tym wiedzą, ale muszą udawać coś przeciwnego.

Oprócz tego drobnego ekscesu msza upłynęła spokojnie. Theo od razu zniknął z panią Gaudin, by przygotować raclette. Emmanuel zdjął albę i zamienił z każdym parę słów. Delektował się słońcem, pięknym otoczeniem, przyjacielskimi pogawędkami o mało ważnych rzeczach. Marek zainwestował część swego wynagrodzenia, by kupić tani aparat fotograficzny, nalegał więc, by zrobić grupowe zdjęcie, a potem portret papieża. Emmanuel nie potrafił mu odmówić: to zdjęcie wyląduje w jakimś albumie na polskiej wsi, kiedy on będzie już z powrotem w Rzymie. Jego spokojne wakacje z dala od tłumów nie zostaną zakłócone.

Colombe poszła po butelkę, którą włożyła do strumienia płynącego po zboczu kilka metrów od chatki. Sean otworzył ją scyzorykiem i wszyscy bez żadnych ceremonii wypili po szklaneczce białego wina. Po chwili nadeszła Ruth z gromadką dzieci, które dostały oranżadę. Widząc, jak wszyscy machają do niego rękami, Michel zostawił zrzędliwą teściową i wdrapał się w końcu na zbocze.

Theo oświadczył, że obiad opóźni się o godzinę, gdyż tyle potrzebował, by przygotować palenisko. Goście rozeszli się w małych grupkach powłóczyć się po pastwisku.

Theo spisał się na medal. Nie trzeba dostać Nagrody Nobla, by świetnie przyrządzić raclette, ale bez wątpienia pomaga to zoptymalizować parametry: jakość krążka sera, odległość od paleniska, czas podpiekania, dobór narzędzia do zeskrobywania stopionego sera. Oprócz tego goście dostali wyśmienite ugotowane ziemniaki. Takie ziemniaki nie rosły w Szwajcarii, Theo specjalnie pojechał po nie do Francji, do Annemasse. Zaserwował również szlachetne korniszony Hediard,



które sam marynował w occie winnym, a nie w roztworze kwasu cytrynowego. Solidne dania, takie jak raclette, fondue, pot-au-feu, choucroute, cassoulet, bouillabaisse, mogą się udać tylko wtedy, gdy kucharz zadba o najmniejszy szczegół. Ich przeznaczeniem nie jest oszukiwanie jedzącego, ale zdobycie jego zaufania.

Theo pochylał się nad paleniskiem. Jego twarz była cała czerwona, a na czole perliły się wielkie krople potu. Trzymał ser nad ogniem i po odpowiednim czasie, w wyniku zręcznych manewrów patelnią, roztopiona warstwa lądowała na talerzach, które po kolei podawały mu dzieci. Od czasu do czasu do ognia spadała odrobinka sera i spalała się, wydzielając silny zapach. Kiedy na talerzu znalazł się już ser, dziecko wyławiało ze słoika korniszona, a z garnka ugotowanego ziemniaka: taki zestaw otrzymał każdy biesiadnik. Przyjemnie było patrzeć na ten balet małych kelnerów, dzięki którym cały obiad nabierał jeszcze więcej uroku. Dorośli delektowali się białym winem Humagne z Marie-Therese Chappez, które miało posmak dymu.

Przy deserze Theo przeszedł samego siebie. Przygotował górę płonących naleśników z likierem owocowym i konfiturami z pomarańczy. Ciasto było cieniutkie niczym bibuła. Wśród dorosłych wywiązała się ostra dyskusja, zastanawiali się, czy dzieci mogą jeść płonące naleśniki. Theo usiłował rozwiązać spór, zapewniając, że cały alkohol się wypalił. Jednak debata toczyła się dalej do momentu, aż dzieci wszystko spałaszowały. By zakończyć kłótnię, najlepiej wyczerpać temat sporu.

Chcąc ciekawie zorganizować niedzielne popołudnie, Theo wymyślił dwie wyprawy. Jedna grupa, pod kierownictwem Colombe, miała przejść przez przełęcz Torrent, zejść aż do jeziora w Moiry, powyżej Grimentz w dolinie Anniviers. Na taką wędrowkę zdecydowali się Ruth, Sean i wszystkie dzieci oprócz Sophie, która wolała zostać i poczytać w domku Theo, gdzie znalazła mnóstwo książek Juliusza

Verne'a, a właściwie całą kolekcję tego autora. Dosłownie oszalała z radości: jak jedna osoba mogła posiadać wszystkie książki jakiegoś autora? Theo był z pewnością magikiem, tak samo jak Merlin był czarodziejem.

Drugą wyprawą kierował Theo we własnej osobie. Wzięli w niej udział dorośli, których nie bardzo interesował trzygodzinny marsz w górach. Michel i jego teściowa dali się namówić na obejrzenie wystawy obrazów Gauguina w Martigny. Potem przewidziana była degustacja wina u Marie-Therese Chappaz w Fully, rodzinnym mieście Theo, Emmanuela i Colombe. Grupa miała jechać dwoma samochodami, a następnie odebrać stadko małych wędrowców przy jeziorze Moiry. Była godzina druga po południu, powrót zaplanowano na siódmą wieczorem.

Pani Gaudin wróciła do siebie, do La Sage. Na pastwiskach Lachiorres zostały tylko trzy osoby: Irina, gdyż chciała побыć trochę sama; Emmanuel nie mógł pojechać, jeżeli swój pobyt w tych stronach chciał zachować w tajemnicy; no i była jeszcze Sophie, jak zawsze z książką w ręku.

\*

- „Jestem” niepokoi się - powiedziała Irina do Emmanuela, kiedy zostali sami na tarasie domku Theo. - Prosi mnie, bym ostrzegła Waszą Świątobliwość. Istnieją dwa zagrożenia. Te słowa rozdrażniły Emmanuela. Marzył o tym, że wyłoży się na leżaku, wpatrując się w górski krajobraz, z książką na kolanach, udając od czasu do czasu, że czyta. Wybrałby jakąś lekką lekturę, na przykład jedną z książek P.D. James, którą wiele razy już przeczytał, ale zawsze zapominał, jaki był klucz do zagadki, i za każdym razem z ogromną przyjemnością odkrywał go na nowo. Czyż taki kryminał nie jest lekarstwem dla umysłu, środkiem przeciwbólowym dla ludzi, którzy za dużo myślą? Jedyne angielskie kobiety posiadają ten amalgamat okrucieństwa i dobrego wychowania, który sprawia, że czytelnikowi włos jeży się na głowie, choć wszystko pozostaje w granicach dobrego smaku. Podobnie jak Alpy, Anglia przypomina raj na ziemi: jedyną

rozrywką, jaka pozostaje mieszkańcom tych zaczarowanych miejsc, jest straszenie się nawzajem, ponieważ w rzeczywistości takiego uczucia nigdy nie doświadczają.

Zanim Emmanuel wyjechał na wakacje do Szwajcarii, otrzymał od biskupów tego kraju raport na temat bieżących spraw. Raport informował między innymi o zamieszaniu, jakie wywołuje jasnowidząca Irina Martin. Emmanuelowi nigdy nie przyszło do głowy, że spotka się z nią twarzą w twarz. Przez grzeczność chciał pozostać kilka chwil z tą dziwną osobą, z którą nic go nie łączyło. Nawet jeśli nie była to zwykła wariatka czy symulantka, jej prorocka działalność jawiła się w jego oczach jako istota tego, co brzydziło go w Kościele, którym kierował: chorobliwe doszukiwanie się cudów, tendencja do populizmu i, szczerze mówiąc, wywierzyisko rzymskiego czy celtyckiego pogaństwa, które nigdy nie zostało całkowicie wyplenione. Różaniec, pielgrzymka i relikwia - te trzy rzeczy najbardziej irytowały Emmanuela.

Zmusił się więc, by zapytać:

- Co chce pani przez to powiedzieć?

Takie pytanie do niczego nie zobowiązywało i nie było niegrzeczne.

- Jest to przesłanie, które ciągle powraca. Mówi, że koniec jest bliski.

Emmanuelowi udało się jakoś opanować swą niechęć i zapytał najbardziej spokojnie, jak tylko było to możliwe:

- Przepowiada pani koniec świata?

- Nie, nie koniec świata. Koniec czasów. Pojawiają się wszystkie znaki. Św. Paweł mówi, że koniec czasów rozpoznamy po dwóch znakach: nastąpi odstępstwo od wiary i bunt. Tymczasem chrześcijanie całkowicie odstępują od swej wiary. Może nie do końca odstępują, ale na pewno pozbawiają ją jej sensu.

- Och - powiedział nieuważnie Emmanuel. - Nie pierwszy raz się to zdarza, ale Kościół zawsze się z tego podnosił.

- Bramy piekielne go nie przemogą - powiedziała zwyczajnie Irina. - Ale

teraz spełnią się proroctwa Daniela.

Nic tak bardzo nie irytowało Emmanuela jak powierzchowna interpretacja Biblii przez nieuświadomionych czytelników. Odpowiedział jej z lekką wyższością, patrząc w dal przed siebie i mając nadzieję, że na tym rozmowa się zakończy:

- Nie można dosłownie odczytywać proroctw Daniela. Jest to późny tekst, zredagowany prawdopodobnie w 164 roku przed Chrystusem. Zawiera kilka wersji, co wynika z połączenia kilku tekstów napisanych w językach hebrajskim, aramejskim i greckim. Użyto tutaj obrazów zapożyczonych z mitologii ludów pogańskich, wśród których żył Izrael. Obraz końca czasów odnosi się do prześladowań i ucisku, jakich doznawali Żydzi w hellenistycznym świecie. Nie możemy odnosić tego tekstu do naszych czasów. Miesza pani opowiadanie z przesłaniem.

Irina nie dała się zbić z tropu tym naukowym popisem. Odpowiedziała:

- U Mateusza, w rozdziale 24, wersecie 27, napisano: „Albowiem jak błyskawica zabłyśnie na wschodzie, a świeci aż na zachodzie, tak będzie z przyjściem Syna Człowieczego”. To słowa samego Jezusa.

- Być może - odparł rozdrażniony Emmanuel.

- Jak to „być może”?

- Nie dysponujemy nagraniami słów Jezusa. Autor Ewangelii według św. Mateusza ciągle wkłada w usta Chrystusa cytaty ze Starego Testamentu, gdyż chce pokazać, że Jezus przychodzi wypełnić zawarte w nim proroctwa. Jest to tekst apologetyczny, a pod względem gatunku literackiego należy do apokaliptyki. To tekst o charakterze duszpasterskim, a nie tekst historyczny, a jeszcze mniej sprawozdanie spisane pod dyktando.

Po tych słowach zaczął się zbierać, by wrócić do swojego domku. Irina jednak położyła mu rękę na ramieniu i zmusiła, by na nią spojrział. Nic nie

wskazywało na to, by trwała w jakimś uniesieniu, wręcz przeciwnie, była zupełnie spokojna.

- Apostazja dotyczy tych, którym wiara została dana i którzy jej zaprzeczają. Pełna prawda. Boskość Chrystusa, Jego obecność w Eucharystii, Jego dziewicze narodziny. Niektórzy teolodzy temu zaprzeczają i takie osoby można spotkać też w Rzymie. Ludzie, którzy udają, że wierzą, to ludzie, którzy nie wierzą w nic.

Emmanuel nie mógł się wyrwać z uścisku Iriny. Starał się zebrać myśli. Ta kobieta była zupełnie spokojna, dlatego nie mógł sobie pozwolić na wybuch gniewu. Emanowała z niej jakaś siła, która go zaskakiwała. Wyrażała się źle, z trochę komicznym rumuńskim akcentem, formułując niezgrabne zdania. Nie powinna się w ogóle odzywać, zgodnie ze znakomitą wskazówką Pawła, która aż cisnęła mu się na usta: „Tak jak to jest we wszystkich zgromadzeniach świętych, kobiety mają na tych zgromadzeniach milczeć”. Ta śmieszna osoba, jaką była Irina, miała wszystkie cechy kogoś, kto powinien siedzieć cicho: kobieta, obcokrajowiec, niewykształcona, protestantka, żyjąca z ateistą w tej formie konkubinatu, którą nazywa się ślubem cywilnym. Być może niezrównoważona umysłowo. Na pewno. Źle ubrana. Zaniedbująca swoje dzieci. Próźniacza i nonszalancka.

Emmanuel odruchowo usiadł z powrotem: nie jemu osądzać. Starał się uśmiechnąć do Iriny i uważnie wysłuchać tego, co do niego mówiła, a czego jak dotąd nie słyszał:

- ...teraz trwają bóle porodowe. Potem od razu nastanie radość. Tak samo kiedy urodzi się już dziecko, zapomina się o bólu. Ból mistycznego ciała, jakim jest Kościół, objawia się w odstępstwie od wiary i w buncie. Ale we wszystkich przesłaniach, które otrzymuję, „Jestem” pozostawia zawsze nadzieję. Nie zniszczy nas całkowicie. Po tej próbie nastanie radość. A cóż to jest radość? To jedność Kościołów i zmiana całej ziemi. Nastąpi drugie zesłanie Ducha Świętego. W obliczu wzrastającego zła, „Jestem” nie siedzi z założonymi rękami, lecz działa.

Dokonuje wspaniałych rzeczy.

Puściła go. Emmanuel potarł rękaw swej wełnianej koszuli, jak gdyby ją czyścił. Zaraz zawstydził się tego gestu, spróbował ponownie się uśmiechnąć, nie okazując zniecierpliwienia. Znowu musiał wysłuchać melopei. Irina mówiła swym monotonnym głosem:

- Odstępstwo od wiary to znak, że coś jest nie tak. W przeciwnym razie kościoły byłyby pełne. A tak nie jest. Nawet jeżeli gdzieś ludzie tłumnie przychodzą jeszcze do kościoła, to jednak młodych ludzi tam nie ma. Młode pokolenie jest coraz bardziej ateistyczne. Oni już nie znajdują Boga. Często mówią mi, że nie interesuje ich słuchanie pastora czy księdza, który sam nie wierzy w to, co mówi. Młodzi ludzie doskonale wyczuwają, że niektórzy księża kłamią. Kiedy byłam w Niemczech, zobaczyłam księdza opróżniającego do zlewu kielich, którym dopiero co posłużył się, by odprawić mszę. Nie wydawał się zażenowany. Rozmawiał ze mną, jak gdyby akurat zmywał naczynia. Są też wspaniali księża, którzy mówią o Bogu, ale zamyka się im usta.

- Kto zamyka im usta? - zapytał cierpliwie Emmanuel.

- Biskupi.

- Jeżeli tak pani myśli i mówi, nie powinna się pani dziwić, pani Martin, że ci biskupi za panią nie przepadają.

- To, co mnie spotyka, nie ma żadnego znaczenia. Cierpienia te przyjmuję chętnie, by odpokutować swoje grzechy i dla chwały Boga. Ale ci biskupi zdradzają Boga, a Bóg odsuwa się od nich. To właśnie dlatego homilie, które głoszą, są takie płytkie. Duch Święty nie przemawia już przez ich usta. „Jestem” mówi, że musimy się nawrócić, ponieważ czas miłosierdzia dobiega końca. Kiedy ten czas minie, nastanie cisza. Nikt już nie będzie wołał. Będzie za późno.

Emmanuel przygotowywał grzeczne słowa pożegnania, ale Irina znowu złapała go za rękaw:

- A Wasza Świątobliwość wierzy?

Emmanuel poczerwieniał. Nie miał zamiaru składać wyznania wiary przed tą szaloną kobietą. Wykręcił się więc, cytując zapożyczone słowa:

- Jeżeli mam wiarę, oby Bóg mi ją zachował. Jeżeli mi jej brakuje, oby mnie nią obdarował.

- Proszę uważać na człowieka, który jest najbliżej Waszej Świątobliwości!

- O kim pani mówi? - zapytał zirytowany Emmanuel. Brzydził się oszczerstwami rzucanymi na wiatr. Irina wydawała się trochę spokojniejsza. Odpowiedziała dziwnym głosem:

- Nie znam jego nazwiska, ale znam jego twarz, gdyż ciągle pojawia się w moich widzeniach.

- Ach tak, a zatem jak ten człowiek wygląda?

- Jest raczej niski, łysy, ma szare oczy i duży pryszcz koło nosa. Ma gęsty zarost, którego nie potrafi ogolić. Lekko utyka.

Irina puściła ramię Emmanuela i wpatrywała się w niego jakby nie swoimi oczyma. Z kolei Emmanuel patrzył na nią zdumiony. Gdzie Irina mogła widzieć zdjęcie jego najbliższego współpracownika? Skąd знаła kardynała Tarcisia Bertiniego, tymczasowego prefekta Kongregacji Nauki Wiary, która miała zostać rozwiązana?

## XVI

Marie-Therese Chappaz hojnie rozlewała wino. Pani Vescovici znalazła miejsce na ławce. Nie mając innego pomysłu, Theo i Michel usiedli na stopniach schodów. Było mnóstwo ludzi: ciągle podjeżdżały i odjeżdżały samochody obładowane kartonami, które asystentka Marie-Therese wyławiała z magazynu.

Winnica Liaudisaz rozciągała się na pięknych, zwróconych na południowy wschód stokach wznoszących się w kierunku Grand Chavalaz. Właścicielka, która zarządzała winnicą zgodnie ze swym gustem, pomysłami, a nawet kaprysami,

osobiście przyjmowała gości pod altaną obrośniętą winoroślą. Nigdy nie mieszała moszczu pochodzącego z różnych parceli. Cztery odmiany winorośli, a także specyficzna gleba sprawiały, że wino nabierało osobliwego smaku. Na każdej etykiecie widniała jej twarz, prezentowała siebie w różnym wieku, choć zawsze była młodsza niż obecnie. Całe zgromadzenie popijało trunek i każdy miał wrażenie, jakby w pewnym stopniu cofał się do wieku niemowlęcego. Marie-Therese opowiadała o wszystkim z prostotą, uśmiechała się, nikomu nie szczędziła wina. We wrześniu, tuż przed winobraniami, jej piwnica będzie pusta. Nie potrzebowała żadnej reklamy, nie musiała nawiązywać specjalnej współpracy z przedsiębiorstwami. Jej zbiory rozchodziły się, zanim wszyscy goście mogli zostać obsłużeni. Theo czuł się tu jak u siebie. Mieszkańcy Fully zwracali się do niego po imieniu. Przyjeżdżali tutaj nie tyle, by kupić wino, ile raczej się spotkać. Pytali, co słyhać u Emmanuela i Colombe, a Theo zawsze odpowiadał wymijająco.

Michel mu zazdrościł. On stracił ziemię, gdzie mógłby zapuścić korzenie. Dom jego rodziców w Normandii został sprzedany. Jego jedyną ostoją było paskudne małe mieszkanie na przedmieściach Lozanny. Miał piątkę źle wychowanych dzieci, na wpół szaloną żonę i teściową wiecznie stawiającą jakieś wymagania. Wydawało mu się, że ta tak bardzo namacalna, niemal cielesna siła, jaką dostrzegął u Theo, Emmanuela i Colombe, pochodziła z ziemi, na której się urodzili i do której z pewnością pewnego dnia powrócą bez żalu, gdyż dobrze przeżyli swoje życie. Tak samo było w przypadku tego wina wyprodukowanego ze zwykłej odmiany winorośli chasselas, którą sadzono tutaj na kamienistej, rozgrzanej do białości glebie.

Michel spróbował następnie trochę Gamay de la Liaudisaz i błyskawicznie jego myśli powędrowały do Saumur. Pani Chappaz tworzyła swoje wino z miłości do sztuki. W przeciwieństwie do niego, nie miała najemniczej duszy. On sprzedawał się raz jednemu, raz drugiemu, by wyżywić rodzinę, którą w przyływach



słabości sprowadził na ten świat. Miał ochotę wszystko rzucić. Marzył, by zatrudnić się pod fałszywym nazwiskiem jako pracownik winnicy. W takim miejscu nikt nie będzie od niego wymagał, by dowiódł, że dusza czy świat niewidzialny istnieje. Tutaj będzie mógł żartować z metafizycznych pytań. Tutaj odpowie na nie poprzez sztukę. Wykaże, że warto żyć, i to bez względu na to, czy jest wieczność, czy jej nie ma.

Kiedy Michel karmił się tymi słodko-gorzkiemi myślami, pojawili się nowi przybysze. Zaczęli się pozdrawiać, serdecznie ścisnąć i poklepywać po ramieniu. Na ich czele stał Norbert Viredaz, jako przewodniczący stowarzyszenia producentów wina w Villette. Najpierw chłodno przywitał się z Theo, a potem ironicznie z Michele. Zignorował panią Vescovici, którą usiłowano mu przedstawić. Ucałował Marie-Therese jak starą przyjaciółkę i podarował jej butelkę własnego wina, Malvoisie, które udało mu się wyprodukować na malutkiej parceli nad brzegiem jeziora. Musiał się bardzo starać, by ta winorośl mogła tam dojrzeć.

Rozmowa toczyła się na różne tematy. Tuż obok, na murku, siedział pewien mężczyzna. Nie pił. Trzymał notes z czarną okładką i coś w nim notował. Miał wpadające w blond rude włosy i bezbarwne brwi, które sprawiały, że jego ponure spojrzenie stawało się jeszcze chłodniejsze. Ubrany był w trzyczęściowy garnitur. Nie pił, ale palił jeden za drugim grube brązowe papierosy. Nagle skierował swe obojętne spojrzenie na Michela, który poczuł, że ktoś go obserwuje. Podniósł wzrok znad szklaneczki. Rudy mężczyzna uśmiechnął się do niego, a raczej podwinął wargi na swych zaostzonych kłach. Michel poczuł, że ogarnia go jakiś nieznaną chłód.

Kiedy zbierali się do odjazdu, Michel musiał przejść tuż obok tego osobnika, otrzeć się o niego. Ze wstrętem zdał sobie sprawę, że ten typek chce mu coś powiedzieć i próbuje złapać go za rękaw. Nachylił się tak, by pozostawać poza zasięgiem rąk pokrytych rudym zarostem, z długimi i półprzejrzystymi

paznokciami. Usłyszał niezrozumiałe zdanie:

- Wkrótce się spotkamy, panie rektorze.

Sophie skończyła czytać Tajemniczą wyspę. Zmrużyła oczy, by przyzwyczaić się do światła dziennego, które strumieniami wlewało się przez otwarte drzwi domku Theo. Siedziała na starej ciepłej kanapie, która przypominała kolana babci rozpieszczającej swe wnuki. Chatka była niczym żywy ogień, stopiony ser, wyschnięta żywica. Sophie czuła się tutaj jak u siebie, miała wrażenie, jakby od zawsze tu mieszkała, podczas gdy w smutnym mieszkaniu w Lozannie wszystko pozostawało dla niej obce.

Właśnie przeczytała ostatnią stronicę książki i czuła się podwójnie rozczarowana. Najpierw odkryła, że opiekuńcza i przychylna moc, która pomagała rozbitkom za każdym razem, kiedy znajdowali się w niebezpieczeństwie, to nie kto inny jak kapitan Nemo, który konał na Nautilusie. Tajemnica sprowadzała się do banalnych i godnych pożałowania perypetii. Kapitan Nemo, ten niemal nadnaturalny bohater w Dwudziestu tysiącach mil podmorskiej żeglugi, jednak w końcu umierał. Koniec końców to wszystko było historią o ludziach, którzy zabawiają się, chowając się jeden przed drugim.

No i drugie rozczarowanie: wyspa znikła, zatonała w morzu, jak gdyby Juliusz Verne żałował, że ją wcześniej stworzył. On nie tylko zrywał z magią tajemnicy, dając jej najbardziej płytkie wyjaśnienie, ale wydawało mu się, że musi zniszczyć dowód rzeczowy przestępstwa, to małe królestwo, gdzie wolno było marzyć o tajemnicy ukrytej w samym sercu natury.

Sophie nie potrafiła zanalizować swego rozczarowania i wyjaśnić go racjonalizmem autora, dziecka laickiej Francji, zafascynowanego nauką do tego stopnia, że odrzucał wszystko, co nieracjonalne.

Wyszła na taras domu z książką pod pachą, wspianiałym oryginalnym wydaniem Hatiera. Uświadomiła sobie, że jest sama. Emmanuel i Irina wrócili

każde do siebie. Sophie oparła się o balustradę i długo wpatrywała się w góry. Zastanawiała się, jaka siła wyłoniła się z wnętrza ziemi i podniosła je tak wysoko. Miała wrażenie, że Alpy przekazują jej przesłanie: góra ma sens, dlatego tym bardziej życie małej dziewczynki też ma sens.

Nagle książka wysliznęła się jej z ręki i upadła na obrośnięte murawą zbocze. Ześlizgnęła się dwa, trzy metry i zatrzymała na paliku.

Sophie naprawdę się przejęła. Darzyła Theo niewysłowionym szacunkiem, uważała go za geniusza, pół człowieka, pół boga, wyposażonego w nadzwyczajną inteligencję i wiedzę. Wyjaśnił jej kiedyś z uśmiechem, że tę wiedzę zdobył z książek, zaczynając od czytania Juliusza Verne'a. Książka, którą właśnie upuściła, wydawała się jej niezwykle stara i cenna. Theo był czarodziejem z bajki braci Grimm, a ona jego uczennicą. Jak wszyscy uczniowie popełniła głupstwo, które trzeba naprawić, zanim wróci nauczyciel.

Zdenerwowana przeszła za balustradę. Chwyciła się jej i zaczęła schodzić w dół. Nie było to zbyt rozsądne posunięcie, ale życie już takie jest, że naprawić błąd możemy dopiero wtedy, kiedy popełniamy wykroczenie. Poczula ukłucie w żołądku, a to oznaczało, że robiła źle i dobrze o tym wiedziała.

Doszła już prawie do książki. Chwyciła jedną ręką balustradę, a drugą próbowała dosięgnąć celu. Ale książka ciągle pozostawała troszeczkę poza jej zasięgiem, jakby kpiła sobie z Sophie i zapraszała, by po nią zeszła. Sophie stwierdziła, że da radę utrzymać równowagę na zboczu.

Puściła więc barierkę i zaczęła schodzić w kierunku książki. Nie uspokoi się, dopóki jej nie złapie. Dopiero wtedy przestanie przejmować się błędem, jaki popełniła.

Nagle się zachwiała i zaczęła ześlizgiwać po trawie zbocza. Pomyślała, że to mniej więcej to samo co upadek na nartach. Mimo strachu starała się dostrzec zabawną stronę tej sytuacji. Z jej ust wydobyło się nawet coś w rodzaju śmiechu.

W końcu krzyknęła, gdyż przeskok zbocza sprawił, że wyleciała w powietrze. Głową uderzyła o kamień. Poczowała straszliwy ból, a potem ogarniającą ją senność.

Emmanuel usłyszał krzyk Sophie. Od godziny czytał spokojnie, spoglądając od czasu do czasu na krajobraz. To był jego sposób modlitwy, jaki praktykował w górach: patrzył na wzburzoną ziemię szturmującą niebo. „Ani górale, ani marynarze nie mogą stać się ateistami” - myślał. Czuł się bezpiecznie. Miał jeszcze przed sobą tydzień wakacji. Czas, by oczyścić umysł i zapomnieć o sporach między prałatami, które były jego chlebem powszednim. Nie mogli kłócić się ze swymi żonami, dlatego prowadzili nieustanne spory między sobą na najmniej ważne tematy, wyładowując złość, która jako jedyna mogła dawać złudzenie, że walczą o słuszną sprawę.

Słyszając krzyk, skoczył na równe nogi. W kilku susach zbiegł po zboczu i dotarł do chatki Theo. Nikogo tam nie było. Wiedziony przeczuciem pobiegł na taras. Dziesięć metrów niżej leżała nieruchomo Sophie.

Nie zastanawiając się nawet sekundy, Emmanuel zszedł po stromym zboczu i dotarł do ciała. Sophie leżała na ziemi, z grzecznie ułożonymi rękami i nogami, jak gdyby zwyczajnie spała w trawie. Ale rana na czole mocno krwawiła, miała zamknięte oczy. Wydawało się, że nie oddycha.

Emmanuel stał sparaliżowany. W jakiś absurdalny sposób czuł się bezpośrednio odpowiedzialny za to, co się stało. Medytował, drzemał, udawał, że czyta, siedząc na tarasie trzydzieści metrów wyżej, zaniedbując jeden z podstawowych obowiązków: spędzić trochę czasu z tą dziewczynką, która z całą pewnością miała ochotę porozmawiać. Był pasterzem stada, który stracił jedyną owcę, jaką powierzono mu na kilka godzin. Wzniósł oczy w górę, by tam znaleźć źródło inspiracji. Nie wiedział, co robić. Bał się przenieść ciało, by nie uszkodzić kręgosłupa.

Nagle zobaczył u swego boku Irinę. Nie słyszał nawet, kiedy nadeszła. Była spokojna i uśmiechała się:

- „Jestem” mnie uprzedził.

Emmanuel posłał jej wrogie spojrzenie, nie potrafił się powstrzymać. Potem złapał nadgarstek Sophie i próbował zbadać puls. Niczego nie wyczuwał. Położył głowę na jej klatce piersiowej, po czym wyprostował się z przerażeniem w oczach:

- Serce przestało bić.

- Proszę się nie przejmować. Ona tylko śpi. Emmanuel zdjął okulary i przyłożył je do półotwartych ust Sophie. Okulary nie zaparowały.

- Ona nie oddycha.

- Proszę wierzyć!

Emmanuel zrobił tak, jak nauczyła go Colombe. Podniósł prawą powiekę i spojrzał na oko. Źrenica rozszerzona. Mydriasis - powiedziała kiedyś Colombe - to niezaprzeczalny objaw śmierci klinicznej.

- Trzeba natychmiast coś zrobić. Ona umiera.

- Ona tylko śpi - odparła cierpliwie Irina. - To Wasza Świątobliwość przywróci ją do życia. Wystarczy wziąć jej rękę i rozkazać, by się obudziła. Tak samo, jak zrobił Jezus z córką Jaira.

Emmanuel zgromił ją wzrokiem i pobiegł w górę, rzucając przez ramię:

- Zadzwoń do Colombe. Ma przy sobie telefon. Proszę nie ruszać dziecka!

Sophie czuła się znakomicie. Miała ochotę powiedzieć, że czuje się „świetnie w swej skórze”, tyle że miała wrażenie, iż skóry już nie ma. Między nią a światem pozostawała tylko cieniutka błona przypominająca bańkę mydlaną. Wreszcie! Przemieniła się w wróżkę! Marzyła o tym każdego wieczoru, zasypiając w malutkim pokoiku, który dzieliła z siostrą.

Teraz wróżka nie musiała iść. Dzięki samemu aktowi woli przemieszczała się w czymś w rodzaju tunelu. Na jego końcu znajdował się pełen blasku krajobraz.

Kiedy tam dotarła, zaczęła normalnie maszerować. Pod gołymi stopami czuła bardzo delikatną trawę pełną polnych kwiatów. W oczach dorosłych takie kwiatki to zwykle chwasty, dlatego wściekle ścinają je kosiarkami, których hałas źle wpływa na nerwy delikatnej młodej osoby.

Rosło tu kilka drzew, a na nich wszystkie możliwe owoce, tworząc nieprawdopodobną mieszankę: w tym sadzie marzeń były jednocześnie czereśnie i brzoskwinie, jabłka i śliwki, morele i gruszki. Nie wyglądało to zbyt poważnie. Przechodząc obok takiego drzewa, Sophie spróbowała zerwać renklodę, ale gałąź odsunęła się, jak gdyby była żywa.

Wreszcie Sophie dotarła nad wodę. Nie potrafiła określić, co to dokładnie jest: większe niż strumień, a mniejsze niż rzeka. Słowo strumienio-rzeka dobrze ilustrowało trudność zaklasyfikowania rzeczy do zwykłych kategorii. Na taką trudność Sophie ciągle natrafiła. Kiedy kończy się noc, a zaczyna dzień? Kiedy przestajemy być dziećmi i stajemy się dorosłymi? Kiedy nie jesteśmy ani całkiem źli, ani całkiem dobrzy, i skąd wiadomo, bliżej czego jesteśmy?

Po drugiej stronie strumienia odbywało się coś w rodzaju pikniku. Uczestniczyli w nim elegancyjnie ubrani ludzie w dziewiętnastowieczne stroje. Kobiety miały długie suknie, parasolki, kapelusze, mnóstwo białych koronek. Mężczyźni przechadzali się w słomkowych kapeluszach, czarnych marynarkach i jasnych spodniach, a do tego obowiązywał sztywny kołnierzyk i krawat. Wszyscy mężczyźni mieli wąsy i brody.

Jedno z dzieci odłączyło się od grupy, miało około pięciu lat. Sophie rozpoznała chłopca. To był jej brat Henri. Mówiono jej, że umarł. Nigdy w to nie wierzyła, ponieważ nie zaprowadzono jej do szpitala, by mogła go zobaczyć. Sophie często zadawała sobie pytanie, co się z nim stało. Być może rodzice sprzedali go handlarzom organów do przeszczepu.

Nadal był tak samo chudy, ale twarz miał wypoczętą. Stojąc po drugiej

stronie strumienia, zawołał do Sophie:

- Cześć, Sophie! Przyszłaś tutaj, żeby się ze mną pobawić?

- Nie - odparła Sophie. - Upuściłam cenną książkę i próbuję ją znaleźć. Nie widziałeś jej? Nosi tytuł Tajemnicza wyspa i ma bardzo ładną czerwono-złotą okładkę.

- Och! Wiesz, tutaj mamy bardzo ładną bibliotekę. Jest tam pełno książek dla dzieci. Na pewno znajdziesz tam to, czego szukasz, i jeszcze mnóstwo innych rzeczy. Tutaj mamy wszystko i możemy robić, co tylko chcemy.

- Naprawdę wszystko? Nie wierzę ci. To niemożliwe!

- Tak. Naprawdę!

- Możesz jeść nawet tyle truskawek w śmietanie, że potem boli cię brzuch i chce ci się wymiotować? Nawet pić porto?

- Mógłbym to robić, ale nie mam najmniejszej ochoty robić takie głupstwa.

- No więc na co macie tutaj ochotę?

- Na nic. Jesteśmy po prostu szczęśliwi.

- No, no, no! - powiedziała Sophie, zastanawiając się, gdzie właściwie się znajduje. Trochę się obawiała zbyt długich snów. Historia Alicji w Krainie Czarów była piękna na papierze, ale Sophie wcale nie chciała by się znaleźć w skórze owej bohaterki.

- Przejdź przez rzekę - powiedział Henri. - To bardzo proste.

- To zbyt proste - odparła Sophie. - Lubię świat taki, jaki jest, to znaczy skomplikowany. Boję się, że nudziłabym się tutaj. Kiedy mieszkałeś z nami, nie byłeś zbyt zabawny.

Emmanuel słyszał przez telefon, że Colombe biegła zadyszana:

- Właśnie dotarliśmy do przełęczy Torrent. Mogę zostawić dzieci z Seanem i Ruth. Dalej zjedą ku jezioru w Moiry. Jest ładna pogoda i nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Ale nawet jeśli będę biegła całą drogę, dotrę do was dopiero za

pół godziny. Jeżeli Sophie przestała oddychać, nie zdążę. Musisz zrobić oddychanie usta-usta i masaż serca.

- Nie potrafię - wyznał Emmanuel. - Mogę ją zabić.

- Tłumaczyłam ci, jak to zrobić. Zabijesz ją, jeżeli nic nie zrobisz. Przestań głądzić i pośpiesz się. Wezwalesz Rega?

- Tak, naturalnie, ale będą najwcześniej za dwadzieścia minut. Helikopter nie może wylądować tuż obok domków.

- A co robi matka dziewczynki?

- Modli się.

- Do tego tylko się nadaje! Uderz ją w policzki, może się ocknie. Zrób coś! Rusz się! Idź do dziecka. Czy Irina może ci pomóc?

- Nie. Ma zamknięte oczy. Nie słyszy mnie.

- W jakiej pozycji jest Sophie?

- Leży na plecach.

- A jej głowa?

- Normalnie, tak jak trzeba.

- Uklęknij z prawej strony ciała. Połóż lewą rękę na czole, by głowa była stabilna. Końcem palców prawej ręki podnieś podbródek i otwórz usta. Zrobiłeś?

- Tak.

- Zatkaj nos lewą ręką i powoli wdmuchuj w jej usta powietrze. Patrz na klatkę piersiową, by widzieć, czy się podnosi.

- Nie, nie rusza się.

- Spróbuj jeszcze raz podnieść szczękę, by udrożnić drogi oddechowe. Powtórz oddychanie usta-usta.

- Jej klatka piersiowa się rusza. Nareszcie!

- Teraz masaż serca. Podnieś jej T-shirt. Wyprostuj rękę i nadgarstkiem naciśnij na mostek.



- Gdzie jest dokładnie mostek?

- To kość na środku klatki piersiowej. Uważaj, by nie naciskać na żebra. Możesz je złamać. Naciśnij pięć razy w odstępach czasu, jakie ci podyktuję. I raz, i dwa, i trzy, i cztery, i pięć.

Emmanuel był tak spocony, że jego okulary zaparowały i nie widział dobrze, co robi.

- Raz usta-usta i pięć ucisków na mostek. Rób tak przez minutę, a potem sprawdź puls.

Emmanuel kontynuował. Był fizycznie wyczerpany. Przed oczyma tańczył mu krajobraz. Miał wrażenie, że grzbiet gór na zachodzie to plecy poruszającego się smoka.

- Nie wyczuwam pulsu.

- Gdzie sprawdzasz?

- Na nadgarstku, palcem wskazującym i środkowym.

- Połóż rękę na jej sercu. Czujesz bicie?

- Nie.

- Jakiego koloru ma usta?

- Sine!

- Rób przez cały czas to, co ci powiedziałam do czasu, aż przyleci helikopter.

Po raz kolejny Emmanuel czuł, że nie potrafi sprostać zadaniu. Znał życie tylko w teorii, ponieważ nigdy prawdziwie nie żył. Wszystkie jego wysiłki, by zmienić tę watykańską maszynę administracyjną, były jak walenie głową w mur. Rozsądni ludzie patrzyli na niego z odrobiną współczucia.

A teraz jeszcze to! On był kamieniem probierczym, a nie kamieniem węgielnym, na którym zbudowany miał być Kościół. Nie posiadał żadnej cudownej mocy, jaką przypisywała mu ta szalona matka. Nie posiadał podstawowych umiejętności najgorszego ratownika. Ani nie chodził z głową w chmurach, ani nie

stąpił twardo po ziemi. Był tylko ektoplazmą. Jeżeli każdy człowiek jest snem Boga, to on, Emmanuel, musiał być Jego koszmarem.

W końcu, po czasie, który wydał mu się całą wiecznością, w chwili kiedy czuł, że zaraz zemdleje z wyczerpania, zobaczył obok siebie Colombe. Ona już zadziałała w pełni profesjonalnie: zbadła puls na tętnicy szyjnej, sprawdziła oddech, przykładając ucho do ust dziewczynki, obejrzała źrenice. Nic nie mówiła. Emmanuel klęczał obok niej. Doskonale ją znał. Zrozumiał, że nic już nie da się zrobić.

W końcu usłyszeli dźwięk silnika helikoptera. Colombe zwróciła się do Emmanuela:

- Biegnij pokierować ludzi z Rega, gdzie mają wylądować! Emmanuel zebrał wszystkie siły, by się podnieść, ale przytrzymała go żelazna ręka Iriny, która powtórzyła swą prośbę:

- Ona nie umarła, ona tylko śpi. Proszę wziąć jej rękę i kazać jej się obudzić. Tylko Wasza Świątobliwość ma wystarczającą moc, by to zrobić, jeżeli naprawdę wierzy. Emmanuel próbował się wyrwać. Bezskutecznie. Jakby Irina posiadała jakąś nadludzką siłę. Jej twarz pozostawała jednak spokojna.

Colombe się wtrąciła:

- Zrób, co mówi! Na litość Boską! Emmanuel zaprotestował:

- Nie będę tutaj udawał...

- Zrób, co mówi. Być może ma rację.

Rozdrażniony Emmanuel pochylił się, ujął prawą rękę Sophie i pośpiesznie wymamrotał:

- Obudź się!

Żadnej zmiany. Może jedynie ręka dziecka wydała mu się delikatna i lekko ciepła. Ale jak zaufać własnemu zmysłom?

- Waszej Świątobliwości brakuje wiary - powiedziała Irina tonem najbardziej

banalnego stwierdzenia.

To była prawda. Jego wiara była zbyt słaba. Doskonale o tym wiedział. Wiedział także, że udałoby się, gdyby prawdziwie wierzył. Starał się zaczerpnąć z samej głębi siebie samego te resztki wody, która po długiej suszy na pustyni pozostaje na dnie studni. Przestał przejmować się otoczeniem, padł na kolana, ścisnął rękę i przyciągnął dziecko do siebie, mówiąc pewnym głosem:

- Wstań w imię Boga żywego! Sophie otworzyła oczy i powiedziała:

- Boli mnie głowa.

## XVII

Marek Świrszczyński posiadał wszystkie cechy, jakie wyróżniają dobrego dziennikarza: pisał szybko, używał zrozumiałego języka, miał szerokie, choć niedogłębne wykształcenie, cieszył się żelaznym zdrowiem, był odporny na nieprzespane noce i niestrawne jedzenie. Ale co najważniejsze: miał niesamowite szczęście i nie brakowało mu rozsądku. W poniedziałek rano sukcesywnie poddawał próbie swe różnorakie zawodowe atuty.

Od trzech tygodni wykorzystywał swoje szczęście. Był skromnym korespondentem wielu warszawskich dzienników, które składały się, by opłacić ogromne koszty jego pobytu w Genewie, gdzie śmiertelnie się nudził. W agendach Organizacji Narodów Zjednoczonych było mnóstwo apatycznych dyplomatów zaangażowanych w rzekomo humanitarny menuet, w którym w nieskończoność powtarzano te same figury konformistycznej bezsilności. Zarządzać nieszczęściem świata, siedząc w szczęśliwym mieście, było tak dochodowym zajęciem, że w żadnym wypadku nieszczęście zniknąć nie powinno.

Jak wszyscy genewscy dziennikarze, Marek dowiedział się na początku sierpnia, że papież Jan XXIV wylądował incognito na lotnisku w Cointrin. Przyleciał na absolutnie prywatne wakacje. Natychmiast zaszył się gdzieś w Szwajcarii, pewnie w jakiejś wielkiej zamkniętej posiadłości, z której nie

wychodził. Ale gdzie? Równie dobrze można było szukać igły w stogu siana. W najlepszym razie może jakiemuś paparazzi uda się zrobić zdjęcie przy użyciu teleobiektywu, ale taka fotografia nie wywoła większego zainteresowania redaktora naczelnego. W końcu papież zrealizował swoje postanowienie: wtopić się w naturę, przyjechać na wakacje do rodzinnego kraju, nie składać żadnych oświadczeń, zrzucić z siebie ciężar instytucji, usuwając się z pola widzenia.

Jednak Marek skorzystał z szansy, na którą zasłużył. Ustawicznie dbał o członków swej rodziny, załatwiając im jakieś sezonowe prace w Szwajcarii. Dzięki jego zabiegom jeden z dalekich kuzynów Marka dostał pracę jako stróż stada w dolinie Herens. Od niego właśnie Marek dowiedział się, że Emmanuel przebywa na pastwiskach Lachiorres, i to właśnie tego kuzyna zastępował od trzech tygodni. Udawał, że nie zna ani słowa po francusku, zdjął swoje pozłacane okulary i założył na nos jakieś dziwaczne oprawki, wymienił się ubraniami z kuzynem, postanowił ich nawet nie prac. Z prowadzeniem stada nie miał większych problemów, ponieważ sam pochodził ze wsi. Trudność sprawiało mu jedynie wydojenie po kolei sześćdziesięciu krów.

Dzięki teleobiektywowi zrobił papieżowi mnóstwo całkiem niezłych zdjęć, nie licząc fotografii rodzinnych wykonanych tanim aparatem, jaki odważył się pokazać w ubiegłą niedzielę. Miał obok siebie sześćdziesiąt krów i głowę Kościoła katolickiego. Był najszcześniejszym dziennikarzem na świecie. Zbierał powoli materiały do wielkiego formatu czy wręcz książki, którą zatytułuje *Moje wakacje z Janem XXIV* i sprzeda najlepiej płacącemu wydawcy.

Ale w jego przypadku w grę wchodziła nie tylko ambicja zawodowa. Jak każdy człowiek, Marek zastanawiał się czasem, czy Bóg rzeczywiście istnieje, ale za to jak każdy Polak, nie miał najmniejszej wątpliwości, że papież jest niezbędny. Zgodnie z miejscowym powiedzeniem, Bóg jest zbyt wysoko, a Francuzi zbyt daleko, by przyjść na ratunek Polsce. Pozostawał zatem papież, by chronić

Polaków przed ciągłym rosyjskim barbarzyństwem i zdeprawowaną cywilizacją germańską.

Markowi nie brakowało oleju w głowie. Nie pobiegł zaraz w pierwszym tygodniu rozgłaszać nowinę, że odnalazł papieża. Od razu zjawiłaby się konkurencja, a rząd federalny musiałby zapewnić Emmanuelowi ochronę. Policjanci sprawdziliby jego kartę pobytu i natychmiast wydałoby się, że jest dziennikarzem. Lepiej siedzieć tu cierpliwie przez miesiąc, zbierając zdjęcia i anegdoty.

Znowu dopisało mu szczęście. Miał informacje z pierwszej ręki. Widząc lądujący helikopter Rega, nawet przez chwilę się nie wahał: zbiegł z pastwiska. Jest to zupełnie naturalne zachowanie nieoświeconego i próżnującego stróża stada, który chce z bliska zobaczyć taki sprzęt. Stał kilka metrów od Emmanuela i Colombe, kiedy Sophie się obudziła i ukradkiem, nawet bez ustawienia, zrobił zdjęcie aparatem, który trzymał w zaciśniętej pięści. Dzięki dyktafonowi ukrytemu w kieszeni zarejestrował krótką wymianę zdań między Iriną, Emmanuelem i Colombe. Te dokumenty były na wagę złota.

Jego plan nie przewidywał tego cudu, jaki zdarzył się w niedzielny wieczór. Zaczął główkować. Czy wieść o cudzie się rozejdzie? Jeśli tak, to jak szybko? Czy taka wiadomość będzie wiarygodna w kontekście świata, który oscyluje między sceptycyzmem a łatwowiernością?

Jeśli od razu wszystko rozgłosi, nie będzie mógł przeprowadzić śledztwa. Korzystając z zamieszania, wślizgnął się do domku Theo i schował mikronadajnik w górnej części biblioteczeki. Tym sposobem dowie się więcej na temat tego dziwnego zjazdu. Dwóch profesorów, dwóch naukowców, papież i wizjonerka - w jego mniemaniu ci ludzie nie mieli żadnych logicznych powodów, by się ze sobą spotykać. Ciągle mówili sobie przez „pan”, „pani”, a każde z nich trudniło się jakimś tajemniczym zajęciem. W niedzielę, późnym wieczorem, z Genewy

przyjechał jakiś elegancki samochód. Następnego dnia rano, patrząc przez lornetkę, Marek rozpoznał nowego przybysza: Charbel Kassis, jeden z najważniejszych genewskich bankierów. Jego cierpliwość się opłaciła: w poniedziałek rano wszyscy aktorzy zeszli się na tajną naradę. Ich rozmowa była automatycznie rejestrowana na laptopie dziennikarza.

Marek Świrszczyński wiedział, że ma szczęście. Żałował tylko, że odziedziczył nazwisko, którego ludzie na Zachodzie nie potrafią wymówić. Łatwiej zrobić karierę, kiedy ktoś nazywa się Smith, Muller czy Fernandez.

W poniedziałek rano jako pierwszy głos zabrał Charbel Kassis. Przemawiał z rozwagą, ale nie brakowało mu pewności: jego zdaniem warto rozreklamować wyniki programu badawczego, gdyż cud, jaki się zdarzył - nawet nie zająknął się przy słowie „cud” - to znak, że powinni to zrobić. Był niezmiernie uradowany, że wydarzenia przyjęły taki obrót, gdyż wzmocniały one jego projekt. Historia potrząśnie tym „tu” i „teraz”, racjonalizm rozsypie się w drobny mak, a prawdziwa wiara rozkwitnie na nowo.

Marek chciałby nie tylko słyszeć, ale także widzieć, co się tam dzieje. Ale to, że musiał się obejść bez obrazu, sprawiło, że bardziej skoncentrował się na głosie Kassisa: melodyjny, pewny, najmniejszego śladu arogancji, wypowiadający głębokie przekonanie, a samo to przekonanie było delikatnie wzmocnione materialnym sukcesem, jaki odniósł.

Theo, który przewodniczył zgromadzeniu, oddał głos Emmanuelowi, który natychmiast wyraził swoje obiekcje:

- Nikt nie może natychmiast orzekać, że chodzi o cud - oświadczył. - Sophie odzyskała przytomność, zanim Colombe miała czas ją zbadać. Ratownicy z Rega wsiedli z powrotem na pokład helikoptera, mrużąc pod nosem niezbyt miłe komentarze: po raz kolejny zostali wezwani z powodu jakiejś błażostki przez niekompetentnych ludzi, którzy rozumieją swój błąd, kiedy będą musieli zapłacić

rachunek. Powinni zabrać Sophie do szpitala, gdzie dziewczynka zostałaby poddana poważnym badaniom, ale Irina się na to absolutnie nie zgodziła, co było bardzo nierozważne z jej strony.

Naturalnie kiedy toczył się ten spór, ludzie z Rega mieli czas, by przypatrzeć się i zidentyfikować bohaterów. Niewykluczone, że jeden z nich rozpoznał Emmanuela i dziennikarze są już o wszystkim powiadomieni. Wszystkie informacje mogły zostać przekręcone i więcej będzie z tego szkody niż pożytku. Na zakończenie Emmanuel poprosił, by wszyscy zachowali milczenie w sprawie tego, co się stało:

- Jedyną łaską, jaką dostrzegam w tych wydarzeniach, to fakt, że Sophie żyje i czuje się dobrze. Dziękujemy za to Bogu i nie starajmy się za wszelką cenę interpretować tego, co się stało, bronić jakiegokolwiek tezy czy starać się jakoś to wykorzystać.

Marek zauważył, że mężczyzna mówił niezbyt pewnym głosem, jak gdyby czasem się wahał i czuł, że przerasta go odpowiedzialność, jaką na siebie bierze. Nie był to głos dowódcy. Był to głos przyzwoitego człowieka, którego zmuszono, by przejął dowództwo, lecz nie potrafił się z tym pogodzić.

Colombe poparła Emmanuela. Mogła przytoczyć wiele przykładów podobnych sytuacji. Jedynym niepodważalnym znakiem śmierci klinicznej jest płaski obraz elektroencefalogramu, ale to można stwierdzić tylko w klinice. Biorąc pod uwagę wszystkie obserwacje, najbardziej prawdopodobna hipoteza to wstrząśnienie mózgu, z którego dziecko wyszło dzięki własnym mechanizmom fizjologicznym. Każdy ma prawo myśleć, co chce, ale nie można wykluczać najbardziej banalnego wytłumaczenia. Byłoby zatem rzeczą niewłaściwą rozpoczynać spór na ten temat.

Głos ze staranną wymową, precyzyjny i jasny. Pewne modyfikacje brzmienia świadczą o tym, że kobieta pochodzi z Valais, ale na co dzień mówi po

angielsku. Był to pewny głos profesjonalisty, kobiety, która jest mistrzem w swym zawodzie i jest tego świadoma.

Ostatni odezwał się Michel, który na wstępie stwierdził, że wcześniej rozmawiał z Ruth i Seanem:

- Żyjemy tutaj w jakiejś hysterii i nie zgadzam się, by mieszać w to jeszcze moją rodzinę. Chcę stąd odjechać jak najszybciej i zabrać ze sobą dzieci. Tak, powiedziałem „dzieci”, ponieważ moja żona oszalała do tego stopnia, że postanowiła tu zostać pod wpływem jednego ze swych rzekomych głosów. Panie de Fully, Irina prosi o zgodę, by mogła zamieszkać w najmniejszych chatce, tej, która służy do składowania drewna. Pragnie żyć jak pustelniczka, zachowując całkowity post, by dziękować, sam nie wiem komu, za ten rzekomy cud, którego dokonał pański brat. Cała ta przygoda, a zwłaszcza pobyt tutaj, rozbiły moje życie rodzinne. Nie zapomnę o tym szybko i dlatego musicie zrozumieć, że w związku z tą sytuacją cała reszta nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia.

- Doskonale pana rozumiem, ale jednak spotkaliśmy się tutaj - wtrącił Theo - by zanim się rozstaniemy, zdecydować, co robimy z pierwszymi wynikami badań, jakie sponsorowała Fundacja Kassisa.

- Jeżeli chodzi o publikację wyników tych niedorzecznych prac, jakie wykonali moi asystenci - przerwał Michel - nie zależy już to ode mnie, ponieważ podjąłem nieodwołalną decyzję, że nie podpiszę się pod tego rodzaju artykułem. Za to chętnie zrobią to Ruth i Sean. W ich wieku można to jeszcze zrozumieć, chociaż w moim odczuciu narażają się na ogromne ryzyko. Przypuszczam więc, że zostanie opublikowany jeden bądź kilka artykułów, ale ja się od tego odzegnuję i nie zgadzam się, by mieszać mnie w całą tę sprawę. Były to prywatne badania moich asystentów, które przeprowadzili w pomieszczeniach mojego laboratorium. Poprosiłem ich, by na tym poprzestali. W przeciwnym razie będą musieli poszukać innej pracy.



Miał głos rozgniewanego mężczyzny. Bez wątpienia był bardziej zdenerwowany na siebie niż na innych. Marek chętnie dowiedziałby się czegoś więcej na temat projektu, który wzbudzał tyle kontrowersji. Zanotował, że koniecznie musi się skontaktować z Ruth i Seanem.

Ci dwoje nie zareagowali. Głos zabrał więc Theo:

- Panie Martin, rozumiem pański niepokój. Rzeczywiście ze względów bezpieczeństwa będzie lepiej, jeśli wróci pan z dziećmi do Lozanny. Pańska żona doznała silnego wstrząsu. Proponuję, by tutaj została. Moja siostra Colombe też na razie nie wyjeżdża, więc w razie niebezpieczeństwa będzie mogła podjąć odpowiednie kroki. Sugerowałbym jednak, by zamieszkała w tym domku, który jest jednak dużo wygodniejszy i gdzie nie będzie sama. Szopa na drewno nie jest zamknięta, są tam przeciągi, a noce są bardzo zimne. Nie jest to odpowiednie miejsce do spania.

- Jeszcze nie słyshał pan wszystkiego. Ona chce tam zamieszkać właśnie dlatego, że jest to bardzo prymitywne miejsce. Będzie spała na ziemi i nie będzie się myła. Zamierza pościć aż do czasu, kiedy te jej zjawy pozwolą jej znowu jeść. Krótko mówiąc, ona do tego stopnia zwariowała, iż trzeba poważnie się zastanowić, czy nie należy zamknąć jej w psychiatryku.

Teraz odezwała się Colombe:

- Porozmawiam z pańską żoną. Jeżeli uznam, że jej życie jest zagrożone, powiadomię pana i będę interweniowała. W obecnej sytuacji nie uzyska pan zgody na przymusowe umieszczenie jej w szpitalu. Irina jest spokojna, nie stwarza żadnego zagrożenia ani dla innych, ani dla siebie. Jest wielu ludzi, którzy pragną żyć w górach, z dala od innych. W Szwajcarii mają do tego niepisane prawo.

Reszta rozmowy rozwlekła się nad sprawami organizacyjnymi.

Marek przeczytał jeszcze raz swe notatki. Jego instynkt ostrzegał go, że nie należy już dłużej czekać. Podłączył laptopa do telefonu komórkowego, dzięki

czemu miał dostęp do Internetu. Rozpoczął negocjacje z kilkoma potencjalnymi klientami.

Pożegnanie z żoną było bardziej szorstkie, niż Michel mógł się spodziewać. Najpierw próbował ją przekonać, by wróciła razem z nim do domu. Zrobił to bardziej z obowiązku niż z troski o ich dalsze wspólne życie, które od lat było już tylko fikcją. Był przeświadczony, że samemu łatwiej będzie mu wychowywać dzieci. Mimo to z czystej ciekawości próbował ożywić matczyne uczucia Iriny. Jako odpowiedź przytoczyła mu słowa z Biblii, jak gdyby sama nie potrafiła wziąć odpowiedzialności za to, co robiła:

- „Jeżeli kto przychodzi do mnie, a nie ma w nienawiści swego ojca i matki, żony i dzieci, braci i siostr, nadto i siebie samego, nie może być moim uczniem”.

- Być może, ale twoje pustelnicze życie mogłoby poczekać, aż dzieci dorosną. Teraz twoim obowiązkiem jest je wychować.

- Nie ma państwowego obowiązku. Nie wzięliśmy ślubu, który miałby jakieś znaczenie. Żyliśmy w grzechu. Spłodziliśmy dzieci, które są owocem grzechu i które nie są nawet ochrzczone. Ty lepiej się nimi zajmiesz niż ja. Będę się za nie modliła.

- Jeżeli tutaj zostaniesz, umrzesz z zimna i głodu.

- Święty Mikołaj z Fliie, patron Szwajcarii, opuścił swoją rodzinę, by pościć przez dwadzieścia lat.

Michel nie miał najmniejszej ochoty przeciągać tej rozmowy. Stał przed nią, nie mówiąc ani słowa. Samą swoją obecnością próbował przywołać ją do porządku.

Irina w końcu odezwała się, znowu cytując Biblię:

- „Zaprawdę powiadam wam: Nikt nie opuszcza domu albo żony, braci, rodziców albo dzieci dla królestwa Bożego, żeby nie otrzymał daleko więcej w tym czasie, a w wieku przyszłym - życia wiecznego”.

Michel pokręcił głową. Nie było cienia wątpliwości: jego żona oszalała.

Odszedł bez słowa. W głębi duszy czuł ulgę, choć jeszcze trochę bardziej znienawidził tego niewidzialnego kochanka, który wydarł mu żonę. Nawet jeżeli nigdy jej naprawdę nie kochał, czuł się upokorzony, że ją traci. Pomyślał, że to poniżenie wynagrodzą mu coraz bliższe spotkania z Galatee.

Irina jakby czytała w jego myślach. Wypowiedziała ostatnie zdanie:

- „Każdy, kto pożądliwie patrzy na kobietę, już się w swoim sercu dopuścił z nią cudzołóstwa”.

Michel się zaczerwienił. Szczęśliwie na jego twarz padały ostre promienie słoneczne. Miał nadzieję, że Irina niczego nie zauważyła. Niezręcznie się bronił:

- Oprócz ciebie nigdy nie byłem z żadną inną kobietą. Irina uśmiechnęła się, a na jej twarzy, oświetlanej zachodzącym słońcem, pojawił się jakby cień litości:

- „Cudzołóstwa dopuszcza się nie tylko ten, kto pożądliwie patrzy na kobietę, ale także ten, kto pożąda swej własnej żony”.

Michel odwrócił się i odszedł, nie mówiąc już ani słowa. Miał wrażenie, że jego żona nie jest już istotą ludzką, ale czymś w rodzaju pozornego bytu owładniętego niezrozumiałymi myślami. Pragnął porozmawiać z osobą, którą sam stworzył. Galatee stała się bardziej realna niż Irina.

Rodzina Martinów, Charbel Kassis, Ruth i Sean opuścili pastwiska. Wtedy Colombe postanowiła porozmawiać z Iriną.

Obie kobiety usiadły na progu szopy o wymiarach dwa metry na dwa. Dawniej składowano w niej chleb żytni, pieczony w publicznym piecu doliny. Chleb stawał się twardy jak cegła, a rodziny pasterzy przynosiły go tyle, by wystarczyło na całe lato. Łamano go przy użyciu młotka, a potem zanurzano w mleku lub w zupie.

Szopa stała na czterech okrągłych płaskich kamieniach, szeroko wychodzących z belek wbitych w ziemię, które służyły za fundamenty. Można się było do niej dostać tylko po drabinie. W ten sposób chłopcy mieli pewność, że żaden

gryzoń nie przedostanie się do składu chleba, który był ich najcenniejszym dobrem.

Colombe domyślała się, że jest piąta po południu, choć nie spoglądała na zegarek. Była na wakacjach, w miejscu gdzie czas mierzy się położeniem słońca. Niebo było idealnie czyste, a chwalebnie chylące się ku zachodowi słońce zalewało go swoim światłem. Delikatny wiatr przynosił lekki chłód.

Obie kobiety miały wystarczająco dużo czasu, by znaleźć nić porozumienia, wpatrując się w jeden z najpiękniejszych krajobrazów świata. Jego metafizyczny wymiar wart był tego ciężaru gwiazdnego sklepienia, o którym Immanuel Kant powiedział kiedyś, że jest ono dla niego dowodem na istnienie Boga. Na płaskich terenach, jak te, które otaczają Königsberg, jedynie nocne niebo może przywoływać transcendencję. W górach i na morzu łatwiej rodzi się wiara i łatwiej ją tam zachować.

- Dziś rano - zaczęła Colombe - rozmowa samoistnie zeszła na pani temat. Staralam się panią bronić. Ale musi pani zrozumieć, że ta decyzja, by wieść tutaj pustelnicze życie, zostawiając rodzinę, może zostać zinterpretowana jako przejaw zaburzenia umysłowego, a przynajmniej jako oznaka nieodpowiedzialności i egoizmu. Krótko mówiąc, niewiele trzeba, by pani mąż poprosił o dobrowolne lub przymusowe umieszczenie pani w szpitalu. Nie sądzę, by tak prosto mu się to udało, ale mogą pani przydzielić dozór lekarski. Kiedy ten proces administracyjny zostaje uruchomiony, trudno go zatrzymać.

Irina nie odpowiedziała, uśmiechnęła się tylko do Colombe, rozkładając ręce w geście bezsilności i akceptacji.

- Kto kazał pani wieść tutaj pustelnicze życie?

- „Jestem”.

Colombe nie od razu zrozumiała, co oznaczała ta odpowiedź. Poprosiła Irinę, by powtórzyła, a potem powiedziała:

- Chce pani powiedzieć, że jeden z głosów, jaki pani słyszy, nazywa się

„Jestem”?

- Dokładnie tak. Dobrze pani zrozumiała.

- A pani zdaniem kto to jest?

- Wierzę, że to Bóg Stwórca, Ojciec, gdyż słyszę Go, ale nie widzę. Nigdy nie staje przed moimi oczyma, zawsze z tyłu. Nie pozwala mi się odwrócić.

- Czy widzi pani również inne osoby niebieskie?

- Mojego anioła stróża, archanioła Michała, Najświętszą Marię Pannę i Jezusa.

- Zawsze wszystkich razem?

- Nie, raz jednego, innym razem drugiego.

- Proszę mi opowiedzieć o tych widzeniach, na przykład o Jezusie z Nazaretu.

- Nigdy nie widziałam Go tak, jak widzę panią. To zupełnie coś innego. Widzę Go w chwale Jego zmartwychwstania, tak jak widzieli Go apostołowie, kiedy powstał z martwych. Jego ciało nie jest takie jak nasze. Ale jest to ciało. Prawdziwe ciało, takie, jakie będziemy mieli po śmierci, jeżeli dostąpimy zbawienia. Zdarza się, że widzę Go na krzyżu albo w Ogrodzie Oliwnym, rzadko z koroną cierniową, choć czasem niesie krzyż. Zawsze cofam się, gdyż boję się, by Jego krew nie poplamiła mojego ubrania, mimo że wiem, że nic takiego się nie stanie.

- Jaki jest, wysoki czy niski?

- Na początku bardzo chciałam, pewnie z czystej ciekawości, zobaczyć kolor Jego oczu albo dowiedzieć się, czy jest wysoki, czy niski, by móc potem o Nim mówić i przez to wzbudzić zainteresowanie. Ale nie zasłużyłam sobie na tę łaskę, bo gdy tylko koncentrowałam uwagę na jakimś szczególe, On znikał. Nie znaczy to, że Pan na mnie nie patrzył, ale Jego spojrzenie miało taką moc, że nie potrafiłam go rozszyfrować. Widzę Go, ale nie potrafię na Niego patrzeć, jeżeli

rozumie pani, co chcę przez to powiedzieć.

- Czy mówiła pani jeszcze komuś o tych widzeniach?

- Mojemu spowiednikowi ojcu Balthazarowi Alvarezowi. Na początku powiedział mi, że te widzenia to dzieło szatana. Mówił, że jeżeli nie potrafię ich powstrzymać, powinnam odepchnąć je jakimś pogardliwym gestem, na przykład opluć osobę, która mi się ukazuje. Ta rada sprawiła mi wiele kłopotu, gdyż nie mogłam się na to zdobyć. Zaczęłam się więc modlić, by się dowiedzieć, czy są to tylko złudzenia. A zamiast pluć, trzymałam w ręce krzyżyk między mną a tą osobą. Osoby te nigdy nie znikwały. Przysięgam, że są prawdziwe.

Uśmiechnęła się do Colombe i kontynuowała poufnym tonem, jak rozmawiają dwie kobiety, kiedy żadnego mężczyzny nie ma w pobliżu:

- Jednak muszę pani coś wyznać. Patrząc ukradkiem na Jezusa, odkryłam w końcu, że ma niebieskie oczy. Nie sądzę, by naprawdę udało mi się zmylić Jego czujność, ale On był miły i udawał, że niczego nie zauważył. Przejęłam się tymi jasnymi oczami, gdyż Jezus zawsze jest przedstawiany jako mężczyzna ze Środkowego Wschodu z ciemnymi oczami. Dlaczego w moich widzeniach jest inny niż na obrazach, które musiały na mnie wywrzeć wpływ? Ojciec Alvarez mnie uspokoił. Jezus pochodził z Galilei, a w tym regionie można znaleźć wielu mężczyzn z niebieskimi oczami.

Colombe przez dłuższą chwilę się nie odzywała. Słońce coraz bardziej chyliło się ku horyzontowi, czyli ku kilku szczytom, które dzieliły je od doliny Heremence. Zachodni wiatr popychał na niebie kilka chmurek. Na wysokości, na jakiej się znajdowały, prędkość chmur wydawała się nadnaturalna: Colombe miała wrażenie, że jakaś ręka rzuca je w ich kierunku.

- Dlaczego wybrała pani tak osobliwego spowiednika, jakim jest ojciec Alvarez? Jeżeli dobrze rozumiem, jest Hiszpanem.

- Zgadza się. Wybrałam go, gdyż osoby, jakie mi się ukazują, polecily, bym

się spowiadała. Z mojego chrztu w Rumunii pamiętam jedynie popa w sutannie. W całej Lozannie szukałam więc jakiejś sutanny i znalazłam ją dopiero w ośrodku Opus Dei.

- Ścieżki Pana są coraz bardziej niezbadane - odparła Colombe najbardziej obojętnym tonem, jak to tylko możliwe.

## XVIII

W poniedziałek około piątej po południu, obładowany bagażami i dziećmi, Michel otworzył wreszcie drzwi mieszkania. Był na skraju depresji. Natychmiast zwalił się na kanapę w salonie. Mieszkanie było przegrzane: od trzech dni upał był nie do zniesienia. Wprawdzie okna były zamknięte, ale okiennice nie. Lodówka świeciła pustkami. W środku znalazł tylko wysuszoną sałatę, dwa pęknięte pomidory leżące obok spleśniałych jogurtów i skrzydełka z kurczaka, którego zapach wskazywał, że mięso jest w trakcie rozkładu.

Musiał się pośpieszyć, jeżeli chciał zrobić jeszcze zakupy, gdyż ostatnie sklepy zamykano o szóstej. W tym kalwińskim mieście, jakim była Lozanna, obowiązywała niewzruszona logika: kobiety zajmowały się domem i robiły zakupy w godzinach pracy, podczas gdy mężczyźni pracowali bez wytchnienia. Do kolacji zasiadano o szóstej wieczorem. Zaraz potem wszyscy kładli się spać, by wcześniej rano wstać i znowu wyruszyć do pracy.

Pani matka Vescovici starannie paliła papierosa za papierosem, miażdżąc niedopałki na porcelanowej podstawce, która przybierała coraz bardziej żółtawy odcień. Ciągłe prosiła o kolejną szklankę zimnej wody, zażyczyła sobie poduszkę, potem dwie poduszki. Tymi różnymi zachciankami chciała choć trochę ukarać Michela za to, co zrobił jej córce: zmusił Irinę, by schroniła się w górach, niemal ją opuścił, pozbawił podstawowej radości widywania codziennie matki i dzieci. Irina zawsze była delikatna. Popadała w anoreksję. Było to oczywiste dla intuicji kochającej matki, nawet jeżeli hiszpański ksiądz, który wykorzystywał Irinę,

wytłumaczyłby to w jakiś inny zacofany sposób.

W końcu Michel uwolnił się jakoś od zachcianek teściowej. Teraz z niepokojem przypatrywał się Sophie, która siedziała w fotelu obok, pod uważnym spojrzeniem babci. Wydawało się, że wszystko jest w porządku: mówiła bez trudności, odpowiadała na pytania, jadła, piła i chodziła, jak gdyby nic się nie stało. Jedynym śladem wypadku była głęboka rana na czole, przy samych włosach. Ale już się zabiłżniła, odpadł też strup. Sophie zdjęła nawet widowiskowy opatrunek, gdyż za bardzo ją grzał.

Zwykle tego rodzaju rana goi się najszybciej za trzy, cztery dni, zauważył z rozdrażnieniem Michel. Błyskawiczne wyzdrowienie córki przypominało to szalone wydarzenie, które ciemnota określa mianem cudu. Skonfrontowany z tym majdanem religijnego obłędu, uciekł się do swych niezłomnych przekonań: gdyby Bóg istniał, nie robiłby niczego, by pozbawić Michela wolności i zmusić go, by uwierzył. Bóg rzekomo dał wolność stworzeniom - gdyby było inaczej, ludzie byłiby tylko ektoplazmą stwórcy. Skoro okazuje się, że działania Boga są sprzeczne, oznacza to, że Bóg nie istnieje. To zasada, którą w matematyce nazywa się dowodem nie wprost. Michel był więc ofiarą zaklęcia swych zmysłów, a zmęczenie powodowało, że się poddawał.

Powtarzał sobie tę diagnozę półgłosem, by się upewnić, że z jego głową wszystko jest w porządku. W końcu pani Vescovici oschle zapytała, czy już oszalał do tego stopnia, że głądzi w kółko to samo. Zresztą wszystko to było bardzo piękne, ale kiedy w końcu zasiądą do stołu? Michel chyba się nie spodziewał, że wróci całkiem sama do mieszkania i będzie pościła do następnego dnia.

Irina była posłuszna nakazowi Pana, by najpierw służyć ludziom, a potem kontemplować boskość, a Michel wyrwał się z zamyślenia. Przestał roztrzasać swoje realne bądź wyimaginowane nieszczęścia. Musiał zrobić najbardziej potrzebne zakupy. Podnosząc się z kanapy, zdał sobie sprawę, że była przynajmniej



jedna pozytywna strona tego wszystkiego: uwolni się od Iriny, nawet jeżeli nie ostatecznie, to przynajmniej na kilka dni. Obiecał sobie, że napisze ogłoszenie, iż poszukuje gospodyni, i wybierze najstarszą, jaką tylko się da. Nie interesowały go już związki z żadną inną kobietą poza jedną: Galatee. Zadzwoń do niej, jak tylko upora się z wszystkimi domowymi obowiązkami. Jutro znajdzie opiekunkę dla dzieci, a sam będzie mógł spotkać się z Galatee tete-a-tete.

Szybko zbiegł po schodach, układając w głowie listę zakupów: mleko pasteryzowane, chleb, owoce, sałata, środek owadobójczy przeciw karaluchom, które zagnieździły się w kuchni, proszek do prania, a przede wszystkim papier toaletowy. Może wynikało to z sowieckiej oszczędności, a może taka była słowiańska tradycja: zamiast kupować papier toaletowy, Irina zawsze cięła gazety na równe prostokąty.

Ponieważ pozostało jeszcze trochę czasu do kolacji, którą Theo pichcił z niezmaconym spokojem, przychodząc od czasu do czasu zabiegać o ich aprobatę, Colombe wzięła w obroty Emmanuela. Spoczywał na leżaku na tarasie, wpatrując się nieobecny wzrokiem w zachodzące słońce. Wydawał się przybity i wyczerpany.

- W czym tkwi problem?

- Wszystko jest nie tak.

Emmanuel zamilkł, jak gdyby prosił, by Colombe zostawała go w spokoju. Jego siostra zrozumiała, że będzie musiała wszystko po kolei z niego wyciągać:

- Istnieją dwie możliwości: albo żałujesz tych wakacji i tego, co się stało, albo masz tak ponurą minę na samą myśl, że się powoli kończą i za kilka dni będziesz musiał wrócić do Rzymu, do tych wszystkich koleżków kardynałów, którzy mają ochotę cię sprzątnąć.

- Colombe, to wcale nie jest śmieszne! Neapolitańczyk byłby do tego zdolny, a przynajmniej o tym marzy. Nienawidzi mnie od czasu, kiedy odkryłem, że

przywłaszczał sobie pieniądze diecezji. Ale to nie Rzym mnie martwi, lecz to, co tutaj się stało.

- No, właśnie. Tak myślałam. Masz ochotę się czegoś napić?

- Nie, nie bardzo.

- A jednak powinienes, bo będziesz musiał wysłuchać do końca tego, co mam ci do powiedzenia. Lekki środek znieczulający dobrze ci zrobi.

Emmanuel w końcu delikatnie się uśmiechnął:

- Zgoda. Otwórz jedną z butelek, które Theo przywiózł od Marie-Therese Chappaz.

Zabrali się więc za degustację trunku z winnicy Liaudisaz. Jego zapach przypominał kwaskowate nuty melisy lekarskiej lub lemoniady. W ustach wyczuwało się glebę, niezwykłą mieszankę wulkanicznych ziem, z których słyną winnice w Fully. Tutaj objawia się dużo większa moc wulkanu niż Bachusa.

W Valais ludzie zawsze byli związani z kultem bogów ziemi, małych bóstw od niczego, które Celtowie wcisnęli Rzymianom, zanim jeszcze przekazali je chrześcijanom pod przebraniem świętych, którzy nadawali swoje imiona miasteczkom, takim jak Saint-Gingolph czy Saint-Triphon, choć prawdopodobnie nigdy nie istnieli. Ale tak naprawdę człowiek nie wierzy w Boga jedyne, jeżeli najpierw nie wierzy w wiele wiejskich bóstw. Wieloraki niewidzialny przygotował jedynie drogę Jedynemu niewidzialnemu.

Pokrzepiony winem Emmanuel stał się bardziej rozmowny:

- Staram się w Rzymie zrobić coś, co jest niemal niewykonalne: zburzyć aparat władzy papieskiej, jaki utrzymał się na przestrzeni wieków, ze szkodą dla chrześcijan. Zatem ci, których chcę pozbawić prebend, zrobią wszystko, by mnie zniszczyć.

Tymczasem to, co się tutaj dzieje, przypomina szaleństwo. Projekt badawczy finansowany przez libańskiego bankiera stara się udowodnić coś, czego udowodnić

się nie da, i traktuje pierwszy lepszy błąd w badaniach jako dowód na istnienie Boga.

- Ostrzegałam cię - przerwała bezlitośnie Colombe.

- Tak, ale w Rzymie byłem zaślepiony mnóstwem innych racji. Nie chodzi tylko o sam projekt. Dyrektor laboratorium to człowiek ograniczony, antyklerykał i racjonalista, jakiego świat nie widział. Postanowił sabotować to, co powinien zbadać. Do tego jego żona twierdzi, że otrzymuje orędzia z tamtego świata i rozmawia z Bogiem Ojcem. Jakby tego było mało, ich córka spada, traci przytomność, a ja rzekomo ją wskrzeszam. Jedyni świadkowie: matka wizjonerka i moją własną siostra. Gdyby w pobliżu był jakiś dziennikarz, upiekłby na tym ogniu własną pieczeń. Przyznaję, że nie ma w tym nic tragicznego i, z wyjątkiem wypadku tego dzieciaka, jest to raczej komiczne. Ale jeżeli ta historia zostanie rozpowszechniona, będę ośmieszony. Wszyscy dookoła zaczną wątpić, czy aby jestem przy zdrowych zmysłach, i w końcu zmuszą mnie do dymisji. Pewnie jakiś włoski kardynałek siedzi już i czeka, by naprawić moje rzekome błędy. - Przybliżył się do siostry. - Wiesz, że moim pierwszym posunięciem było rozwiązanie Państwa Watykan i oddanie jego terytorium Włochom. Tymczasem negocjacje ciągną się już rok. Wysuwane są różnorakie obiekcje, ale najbardziej nieoczekiwane, najbardziej nieprawdopodobne i najbardziej śmieszne zastrzeżenie to odwieczne istnienie Gwardii Szwajcarskiej, ostatniego symbolu doczesnej władzy. Wydarzenia jasno pokazały, że jest to gniazdo konspiracji, zazdrości i podłości. Wyobraź sobie, że gwardzista, który nie został mianowany kapralem, uznał, że należy zabić dowódcę, potem własną żonę, a na końcu popełnić samobójstwo. Piękny przykład! Łatwiej byłoby mi zmienić jakiś artykuł Credo, niż zlikwidować mundur, który namalował Michał Anioł. W gruncie rzeczy doktryna stanowi już tylko alibi dla władzy. Władza jest ważną rzeczą, ale ważniejszy od władzy jest jej symbol. Nawet nie wyobrażasz sobie, jak trudno uciec od przeszłości! Mam

wrażenie, że przeszłość łapie mnie tu i teraz. Cała ta sprawa pachnie spiskiem. Niby przypadkiem spowiednikiem Iriny jest człowiek z Opus Dei. Zaczynam mieć coraz większe wątpliwości względem Tarcisia Bertiniego. Dlaczego podsunął mi pomysł tego szalonego projektu? Od kiedy Theo przedstawił mi alternatywę: Loża albo Opus Dei, nie mogę przestać o tym myśleć. Kto kogo oszukuje? W jakim celu? Co robić?

- Uporządkujmy fakty - odpowiedziała spokojnie Colombe. - Zanim wydarzyło się to wszystko, czyli to, co zaszło tutaj dwa dni temu, a nawet jeszcze zanim rozpoczął się projekt Kassisa, Irina miała już widzenia. Wydaje się, że jej wizje trwające od dwóch czy trzech lat przygotowywały grunt. Jeżeli jest to spisek sterowany od początku przez integrystów lub wrogów wiary, trzeba przyznać, że szczególnie źle dobrano osobę. Irina nie nadaje się na podwójnego agenta. Skąd wzięłaby tysiące stron notatek, które spisuje pod dyktando głosów, jakie słyszy? I do tego jeszcze teksty po grecku?

- Mogła je skądś przepisać - odparł Emanuel, bawiąc się z głuchą satysfakcją w adwokata diabła.

- Żeby to zrobić, musiałaby wcześniej zdobyć solidne teologiczne wykształcenie, a ona jest do tego kompletnie niezdolna. Przeczytałam kilka jej tekstów po francusku. Jest to dokładnie ten sam styl, którym piszą mistycy: teksty są wylewne, choć nie ckliwe, a porywczość zmysłów jest nawet czasem żenująca. Irina pisze, nie troszcząc się o to, co ludzie powiedzą. Odcina się od pism zawodowych teologów, którzy ciągle kręcą piórami w kałamarzu i ukrywają swoje tezy, gdyż obawiają się, że zostaną potępieni. Irina nie zwraca uwagi na żadne próby zastraszenia czy groźby. Podobnie było w przypadku wszystkich mistyczek, które żyły przed nią: Hildegardy z Bingen, Teresy z Avila, Katarzyny ze Sieny, Teresy z Lisieux czy tych dwóch szczególnych kobiet, Bernadetty Soubirous i Joanny d'Arc. W Kościele zawłaszczonym przez mężczyzn te kobiety reprezentują

nieprzyswajalny element. W pierwszym odruchu mężczyźni zawsze chcieli się pozbyć kobiet, które zabierają głos. Traktowali je więc jak wariatki.

Emmanuel się uśmiechnął:

- W tej kwestii masz rację. Nigdy nie byliśmy zbyt mili w stosunku do kobiet. Przed przylotem do Szwajcarii otrzymałem między innymi pismo z Sekretariatu Stanu, które wyjaśnia, jaki problem Irina Martin stanowi dla szwajcarskiego Kościoła. Biskupi na próżno ciągle ją potępiają. Na zebraniach modlitewnych, którym Irina przewodniczy, jest coraz więcej ludzi, i to ludzi, których noga nigdy nie przekracza progu kościoła.

Colombe wypła duszkiem szklaneczkę i zaraz potem nałała jeszcze wina Emmanuelowi i sobie:

- No i dotarliśmy do sedna sprawy! Irina stanowi nielojalną konkurencję. Cóż! Po pierwsze, jest tylko kobietą, która nie ma dostępu do żadnego świętego urzędu ze względu na wstrętne ukształtowane jej narządy rodne; nie zdobyła formacji teologicznej ani duchowej; została ochrzczona w cerkwi; nie ma nawet szwajcarskiego paszportu. A jednak udaje jej się to, czego nie potrafią mężczyźni, profesjonaliści od duszpasterstwa, kształceni przez siedem długich lat, którym płaci się za to, by wypełniali kościoły, jakie utrzymuje dla nich władza publiczna. Irina nawraca tłumy, które odwracają się od uczonych w Prawie i dostojnych księży. Nic ci to nie mówi? Z jednej strony nauka, władza i prawowitość. Z drugiej strony niewiedza, bieda, zaprzeczenie ustalonego porządku. Cóż za policzek dla instytucji!

- Ciągle nic szczególnego mi to nie mówi.

- A zatem dobrze, że przeżywasz to wszystko. Nie wystarczyło opuścić Watykanu i osiąść na Lateranie, by zmienić naturę instytucji, a przede wszystkim twą własną naturę. Siłą rzeczy jesteś związany ze strukturami, które starasz się zwalczać. One cię ukształtowały, służyły ci, a nawet wyniosły cię do godności

papieskiej. Nie zostałbyś papieżem, gdybyś w pewnej mierze nie był współnikiem. I nagle musisz zlizować cumy i wypłynąć na głębokie wody! Stary, to wcale nie jest łatwe! Spotkasz ludzi, którzy cię nie znają, którzy nie mają tytułu, dyplomu ani święceń. Nie wystarczy, że zrzucisz białą sutannę, jak to zrobiłeś: ona zawsze była tylko symbolem postawy, której już dużo trudniej ci się pozbyć.

- A jednak nie mam zamiaru twierdzić, że byłem narzędziem cudu, jaki sprawiła Irina Martin.

- Przyznaję, nie jest to zbyt eleganckie. To przypomina raczej jakieś popularne, zacofane, zabobonne zdarzenie.

- Nie wierzę w ten rzekomy cud. To wszystko stało się tak szybko, kiedy nadbiegłaś.

- Tak, oczywiście. Nie jest to laboratoryjny cud, który zostałby sfilmowany, zarejestrowany, zbadany, zaklasyfikowany. Tutaj doszło do uzdrowienia w terenie, którego nie da się wyjaśnić. W pracy często spotykam się z takimi przypadkami. Kiedy jestem przy umierającym człowieku, on musi sam świadomie zgodzić się, by zrezygnować z życia. W przeciwnym razie przedłuża agonię lub w końcu umiera w lęku. I odwrotnie: mała Sophie wybrała życie prawdopodobnie dlatego, że to życie trzyma dla niej jeszcze w zanadrzu wiele radości. Być może to właśnie jest sprawca tego cudu. A może modlitwy jej matki. Ty miałeś tylko uczynić znak, ponieważ taka jest twoja rola.

Emmanuel powoli nalał sobie wina, delektował się przez chwilę jego zapachem, potem powiedział:

- Dzieje Apostolskie donoszą, że na samym początku swej działalności Piotr uzdrowił paralytyka, który znajdował się w Świątyni Jerozolimskiej. Wziął go za rękę i kazał mu wstać. To samo ja zrobiłem, jak gdyby dwadzieścia wieków później wszystko zaczynało się od nowa. Ale ja nie mam wiary Piotra. Nie mam jego siły.

Colombe odparła:

- Był tak samo przerażony jak ty. Ale Pismo o tym nie mówi.

Theo przerwał ich dyskusję, wynurzając się z kuchni. Wyglądał, jakby świetnie się bawił. Na głowie miał nawet czapkę kucharską. Za nim podążała rozbawiona pani Gaudin ze stosem talerzy i sztuców.

Colombe poszła zapytać Irinę, czy ma ochotę coś zjeść, ale otrzymała grzeczną, acz stanowczą odmowę. Od czasu do czasu pustelniczka wychodziła ze swej samotni i piła wodę ze strumienia, by oszukać głód. Tak samo robił Elias w grocie na Górze Karmel, gdzie żywił się tylko pokarmem przynoszonym przez kruka. Ale do Lachiorres nie przylatywał żaden kruk.

\*

Ruth i Sean wrócili do Lozanny. Oni także postanowili pościć tego wieczoru, choć z zupełnie innego powodu. Kiedy stanęli na wadze, stwierdzili, że kuchnia Theo stanowczo nie sprzyjała ich linii. Wypożyczyli więc łódkę w Ouchy i zafundowali sobie wycieczkę po jeziorze. Każde miało w tym inny cel: Ruth miała nadzieję stworzyć nastrój sprzyjający ostatecznym wyznaniom, Sean zaś chciał stracić trochę kalorii, wzmacniając mięśnie pleców.

Teraz mogli podzielić się przemyśleniami, które ciążyły im na dzierzawionej ziemi.

- Zdajesz sobie sprawę z ryzyka? - zapytała Ruth.

- Całkowicie. Żaden poważny magazyn nie będzie chciał opublikować naszych artykułów na temat zjawiska Coovera i działalności ruchowej bez udziału mózgu. Ale mamy poręczenie Theo de Fully'ego. Z otrzymanych listów wynika, że laboratoria neurologiczne w Genewie i Brukseli potwierdzają nasze wyniki. Angażujemy się w radykalny spór, który wstrząśnie podstawami, jakie stworzyliśmy, dotyczącymi przetwarzania sygnału przez ludzki mózg. To po prostu zaprzeczenie przyjętego modelu. Jeżeli w jakimś momencie kariery naukowej

badacz nie dochodzi do tego przełomowego punktu, to naśladowuje tylko wszystkich pozostałych. Ja postanowiłem, że moje życie nie będzie przeciętne, zdaję się więc na wydarzenia. I ty też możesz, jeżeli tego chcesz.

- Jeżeli ty tego chcesz - powiedziała podstępnie Ruth - ja tego chcę również.

- Wszystko zawsze mieszasz z tymi twoimi uczuciowymi deklaracjami - mknął Sean, który nie odzywał się przez następne dwadzieścia minut.

Kiedy skończył się już dąsać, Ruth postanowiła ruszyć do ataku inną drogą:

- A co myślisz o tym, co przydarzyło się małej Sophie? Sean uśmiechnął się:

- Nie byłbym Irlandczykiem, gdybym wątpił, że to rzeczywiście był cud. Mieszkańcy Galway, gdzie się urodziłem, uchodzą za najbardziej szalonych Irlandczyków. To właśnie dlatego tak dobrze rozumiemy Boga, który musiał być szalony, że stworzył ten świat i ciągle go utrzymuje. Cuda to rekordy dobroci Boga. Są tak samo ekstrawaganckie jak przesadne prezenty, które ofiaruje dobry i prosty człowiek, nie zważając na koszty. Bóg nie wyważa swych cudów. To my dyktujemy mu zasady, a On udaje, że je respektuje. Ale robi to tylko po to, by bardziej nas zaskoczyć. - Zawahał się przez chwilę, potem dodał. - To dobre pytanie, moja droga! Myślę, że opublikuję te dwa artykuły, ponieważ nie mogę pozostać obojętny, kiedy Bóg mruga do mnie okiem. A ty?

- Sam wiesz! Dla mnie to zupełnie naturalna sprawa. W Izraelu zawsze byli prorocy. Trzeba wierzyć, że teraz jeden taki prorok pojawił się w Szwajcarii. Czasy się zmieniają! Moja świadomość podpowiada mi, że muszę się zaangażować w ten projekt.

- Cóż to jest świadomość? - zapytał uszczypliwie Sean. - Właśnie na to pytanie musimy znaleźć odpowiedź.

- Nigdy nie zbadamy świadomości i nie powinniśmy próbować jej definiować. Żeby to wyjaśnić, opowiem ci pewną historię. Pewien rabin pouczał jednego z uczniów. Mówił, że w przeddzień śmierci należy mieć spokojne



sumienie. Oczywiście uczeń sprzeciwił się: ta zasada nie ma sensu, gdyż nie znamy dnia swojej śmierci. Właśnie dlatego należy mieć czyste sumienie każdego dnia swego życia, odparł mu rabin. Tak! Teraz rozumiem, że muszę wspierać projekt Kassisa i powołanie Iriny, by mieć czyste sumienie. To wszystko. I to wcale nie mało.

Wiosłowali jeszcze trochę. Nagle Sean zatrzymał się i odwrócił w stronę Ruth:

- Muszę cię przeprosić.

- Za co?

- Za tę regułę, którą znasz.

- Wzajemnego użyczenia sobie ciała?

- Tak.

- To wcale nie jest takie niemiłe - odważnie skłamała Ruth.

- Tak. Nie jest to tak naprawdę złe, ale też nie jest to dobre. Kiedy spotkałem Irinę, zrozumiałem, jaka jest różnica między dobrem a złem. Zło jest względne, ale dobro jest absolutne.

Serce Ruth zaczęło walić jak oszalałe. Nie była w stanie wymówić słowa. Lepiej było milczeć.

- A zatem proponuję, byśmy znieśli tę regułę - ciągnął Sean prawie niesłyszalnym głosem.

- A potem? - zapytała stłumionym głosem.

- A potem zobaczymy, co się będzie działo. Ruth wymamrotała tylko zwykłe „tak”.

- Nie sądzę - powiedział Sean - bym zbyt długo bez ciebie wytrzymał.

Było to najbardziej romantyczne wyznanie, na jakie było stać powściągliwego Irlandczyka. Aby dotrzeć do tego miejsca, potrzebne było jezioro, łódka i wiosła. Ruth się nie myliła. Wzniosła modlitwę dziękczynną do Boga

Izraela, który nie opuścił Ruth, Judyty ani Estery - tych trzech silnych kobiet, które udawały słabość, by dotrzeć do celu.

- Pod koniec sierpnia, kiedy zajdzie już słońce, robi się chłodno - stwierdził Theo, podając sweter Emmanuelowi. Sweter był zrobiony z grubej, białej i niefarbowanej wełny. Przez zapach lawendy przedzierał się jeszcze zapach tłuszczopotu.

Byli w trójkę. Pani Gaudin pozmywała naczynia i wróciła do La Sage. Siedząc przy uprzątniętym stole, poczuli, że wybiła godzina prawdy. Każdy niepewnie się zastanawiał, co się wydarzy.

Nagle wtargnął Marek Świrszczyński. Nawet nie zapukał do drzwi, od razu wkroczył do salonu. Przeszedł jakby metamorfozę: zmienił ubranie, założył swoje pozłacane okulary - teraz wyglądał na typowego słowiańskiego intelektualistę, człowieka gadatliwego, zmieszanego, popełniającego gafy. Posepnie oświadczył:

- Przyszedłem się wypowiedzieć!

- Teraz mówi pan po francusku? - zapytał Theo, szeroko się uśmiechając.

- Tak! To właśnie chciałem wyznać. Nie jestem stróżem stada.

- A zatem - rzekł Theo - na początek oddam panu coś, co należy do pana.

Podał mu mikronadajnik, który wyciągnął z kieszeni swej kraciastej koszuli.

- Muszę panu pogratulować miejsca, w jakim ukrył pan to małe szpiegowskie urządzenie: nad Encyklopedią Britannica, do której raczej codziennie się nie zagląda. Ale nie wiedział pan o jednym szczególe, który chętnie panu przedstawię. Właściciel tego domku, w tym przypadku ja, ma fioła na punkcie czystości. Każdego dnia odkurza biblioteczkę. Dzięki temu urządzeniu z pewnością pan wie, co zaszło rano w tym pokoju. Potem je znalazłem i od tego momentu jest wyłączone, co pewnie już pan zauważył. Jeżeli nie ma pan zamiaru szczerze się wypowiedzieć, a tylko odzyskać ten drogi sprzęt, wchodząc tutaj pod byle jakim pretekstem, to się panu udało. Proszę zostawić mojego brata w spokoju.

- Naprawdę przepraszam - powiedział Marek Świrszczyński. - Chcę się wypowiedzieć.

- Dobrze - powiedział Emmanuel. Wstał i wyszedł na taras ze swym penitentem.

Colombe i Theo uśmiechnęli się do siebie.

- Zdrajca, jaki pojawia się w tej historii, przywołuje mi świetne wspomnienia.

- Tak, mnie też. Przypominają mi się nasze wakacje w Fully i wielkie rozgrywki, jakie wymyślaliśmy. Przez te zabawy przygotowaliśmy się do rozgrywki życia, które nigdy nie przestaje zaskakiwać. Nic nigdy nie jest wygrane.

- Ale też nic nie jest przegrane - podsumowała Colombe. Kilka minut później Emmanuel wrócił sam do chatki:

- Nie mogę powtórzyć wam, co powiedział mi w trakcie spowiedzi, ale mogę powiedzieć, kim jest.

- Bierze udział w spisku? - zapytał Theo.

- Nie. To dziennikarz szukający scoopa - jak sami to określają. Przyszedł się wypowiedzieć pod wpływem widzenia, jakiego doświadczył.

- No świetnie! - powiedziała Colombe. - On też. To już prawdziwa epidemia. Rozumiem jeszcze, że wizjonerzy mają widzenia, to ich zadanie. Ale jeśli dziennikarze też zaczynają mieć wizje, to dokąd to nas doprowadzi? Co zobaczył?

- Opowiedział mi, że zobaczył niezwykle piękne dziecko ubrane w purpurę. W ręce trzymało złotą strzałę, którą wbijało mu w serce. Był przerażony. Miał wrażenie, że zaraz umrze. Przybiegł więc natychmiast tutaj, gdzie jest jedyny w pewnym sensie ksiądz do dyspozycji.

- Czy anioł powiedział mu, jak się nazywa? - zapytała Colombe.

- Anioł powiedział mu, że jest cherubinem i że imiona cherubinów są tajemnicą.

- Gdzie i kiedy się to zdarzyło?

- Zdrzemnął się na chwilę. Anioł ukazał mu się we śnie.

- Wolę ten sposób - powiedziała Colombe. - To objawienie drugiego rzędu, jedyne, na jakie zasługuje dziennikarz. Musimy jednak odróżniać tych wysłanników Szatana od dzieci Dobrego Boga.

- Ten wysłannik Szatana powiadomił już cały świat - uściślił Emmanuel. - Muszę natychmiast stąd wyjechać.

Nocą Theo i Emmanuel jechali krętą drogą prowadzącą z Vex do Sion. Dojeżdżali do zakrętu, na którym włosy jeżą się na głowie. Theo był roztargniony do tego stopnia, że zahamował bez wciśnięcia sprzęgła. Silnik zgasł. Natychmiast zablokował się układ kierowniczy. Theo nie był w stanie ruszyć kierownicą. Na próżno hamował, pedał był twardy niczym pień drzewa. Nie było żadnego sposobu, by zahamować czy skręcić. Samochód jechał ku przepaści, a on nie mógł nic zrobić.

- Zaciągnij hamulec ręczny - krzyknął do Emmanuela. Ręce obu braci powędrowały na dźwignię hamulca. Zostało może dziesięć metrów do urwiska. Wydawało się, że kilka sekund, w czasie których samochód pokonywał ten odcinek, trwa całą wieczność. W wiązce reflektorów pojawił się tuman kurzu tworzący wielki biały kształt, wysoki niczym topola.

Samochód zatrzymał się tuż nad urwiskiem. Theo nie lubił tego typu wrażeń. Natychmiast wysiadł. Emmanuel siedział nieruchomo, przytwierdzony do siedzenia.

- Jedno z kół samochodu wisi w powietrzu - stwierdził Theo. - Omal nie stoczyliśmy się po zboczu. Ciągle do samo. Ten renault to jakaś prehistoryczna szupa. Muszę sobie kupić nowy wóz.

Emmanuel próbował ukryć wzburzenie, siląc się na żart:

- Są samochody, którymi można jeździć tylko po równinie i nigdy nie należy

wjeżdżać nimi na wysokości. Tak jak ludzie. Są tacy, którzy nie powinni wspinać się na wyżyny. Obawiam się, że ja jestem takim przypadkiem. Muszę wrócić nad Tybr.

## XIX

Latem gazety zawsze popadają niemal w depresję. Wpływy z ogłoszeń są mniejsze, dlatego strony redakcyjne muszą być ograniczane do minimum. Tego lata, mimo zastosowanej okresowej kuracji odchudzającej, same wiadomości też rzadko się pojawiały. Na tym świecie, który nie interesował się istotą rzeczy, a błahostki już go nie bawiły, nie działo się nic godnego uwagi.

Przedostatni francuski Strażnik Pieczęci odsiadywał karę więzienia za nadużycia, błędy w księgach rachunkowych i pranie brudnych pieniędzy. By się rozerwać, czytał gazety, zajadając kolacje przynieszone z najbliższej trzygwiazdkowej restauracji; w czasie wywiadów telewizyjnych, które miały reklamować wydawaną przez niego książkę, opłakiwał swą wzrastającą otyłość. Mieszkańcy Sudanu, Ruandy i Konga mordowali się między sobą i umierali z głodu zgodnie z nienaruszalnym zwyczajem: prawo ludów do samostanowienia zabraniało wszelkiej formy ingerencji. Stojąc przed kamerą, z chusteczką w rękę, książkę Anglii wyznawał, że jest homoseksualistą, i skarżył się, że po zdradzie przyjaciela gnębi go raz bulimia, raz anoreksja: po takim wyznaniu nie wybuchł skandal, było ono zupełnie poprawne politycznie. Jedyne, nad czym naprawdę się zastanawiano, to giełda: czy będzie bessa? Czy można mieć nadzieję przynajmniej na lekką hossę?

W czasie tej okresowej niemocy Watykan nie odgrywał już swej klasycznej roli letniego tematu zastępczego. Dawniej, za starych dobrych czasów, kiedy papież sprawował rządy silnej ręki, dziennikarze zawsze mieli możliwość zmieszania z błotem jakiegoś dokumentu, który ostatecznie rozstrzygał jeden z pikantnych problemów: kategoryczne potępienie pigułki antykoncepcyjnej,

definitywny zakaz wyświęcania kobiet, rozszerzanie nieomylności papieża na wszystkie dziedziny. Kongregacja Nauki Wiary drażniła społeczeństwo, wywołując interesującą dysputę, której argumenty powtarzały się, przeplatały i harmonizowały ze sobą z nieugiętą i uspokajającą ostrością fugi Jana Sebastiana Bacha. Ale ta Kongregacja, rozwiązana rok temu przez Jana XXIV, niczego już nie publikowała. W cyrku brakowało atrakcji, nie było już inspicjenta we fraku i cylindrze, daremnie przywołującego do porządku kłownów, którzy nie przestrzegali zasad. Teraz każdy był wolny. Każdy mógł robić, co chciał. Okazywało się jednak, że nikt nie ma na nic ochoty.

Pod koniec sierpnia scoop Marka Swirszczyńskiego wywołał więc ogromne zdumienie. Połączono wszystkie składniki wyborowej potrawki: podróż incognito papieża; jego brat, laureat Nagrody Nobla, zaangażowany w badania flirtujące z alchemią; w alpejskim otoczeniu (piękne zdjęcia) dochodzi do spotkania Jana XXIV z libańskim finansistą (bez wątpienia członkiem mafii), który finansował tę operację, jaka miała podbić świat intelektualistów; do tego dochodzi jeszcze siostra tych dwóch pierwszych, która specjalizuje się w pomocy umierającym; dyrektor laboratorium, oskarżony (bez dowodów) o defraudację pieniędzy swej instytucji; jego dobrze znana żona wizjonerka - bez wątpienia powieściopisarka; irlandzki naukowiec, prawdopodobnie zamieszany w działalność IRA; izraelska badaczka, na pewno wypełniająca misję sterowaną przez siły obronne Izraela. To było zbyt piękne. Żaden pisarz nie ośmieliłby się zgromadzić tylu beletrystycznych składników w jednej intrydze. Tylko pewna swego rzeczywistość może zrezygnować z wszelkiej zasady wiarygodności.

W nocy z poniedziałku na wtorek wszyscy redaktorzy zachodniego świata zostali postawieni na nogi. Specjalni wysłannicy złapali swoje zawsze przygotowane walizki i pobiegli na lotniska, gdzie spotkali ekipy telewizyjne obładowane nadmiarem sprzętu. Wypożyczalnie samochodów na lotnisku Genewa-

Cointrin szybko ściągnęły samochody. O siódmej rano wylądowały pierwsze samoloty. Zaraz potem w stronę doliny Herens jechały pierwsze karawany.

Szwajcarski rząd podjął stosowne kroki. Żandarmeria ustawiła zapory na drodze od Hauderes do Evolene. Policjanci w cywilu wylądowali na pastwiskach Lachiorres, by zapewnić ochronę Emmanuelowi de Fully'emu, szwajcarskiemu obywatelowi, papieżowi rządzącemu jako Jan XXIV.

Jednak ani policjanci, ani dziennikarze nie spotkali Emmanuela i Theo, którzy w nocy opuścili to miejsce. Zostały tylko Irina i Colombe. Chcieli je o wszystko wypytać, ale one nie były zbyt rozmowne. A rozmaite zabiegi, by skłonić do mówienia panią Gaudin, spełzły na niczym. Trzaskała drzwiami przed natrętami, a specjalny wysłannik „Paris Match” odszedł spod jej drzwi z krwawiącym nosem.

W tym samym czasie Emmanuel i Theo korzystali z porannego słońca, jedząc śniadanie na tarasie rodzinnego domu w Fully. Ogród o powierzchni czterdziestu arów był otoczony murem, a wzdłuż muru rósł jeszcze żywopłot: tutaj nie musieli obawiać się intruzów czy jakiegokolwiek formy niedyskrecji.

Emmanuel czuł się bezpiecznie. Tutaj nic nie mogło się zdarzyć. Znowu zobaczył swojego ojca siedzącego w tym samym miejscu, które on teraz zajmował. Widział ojca czytającego późnym popołudniem gazetę i dla zasady napominającego dzieci, kiedy te zaczynały za bardzo hałasować. Rozpoznawał niedoskonały kształt płyt kamiennych, małe odpryski, jakie spowodował spadający pewnego dnia grad, pęknięcia, które powstały przy upadkach ciężkich przedmiotów. Każdy kamień tego domu miał swoją historię, a on doskonale ją znał, gdyż zawsze był jej częścią.

Emmanuel był wątłym i raczej poważnym dzieckiem. W nim to właśnie zakonnicy z Einsiedeln odkryli powołanie do życia kapłańskiego. Gdyby wówczas wiedzieli, że wskazują przyszłego papieża, być może zawahaliby się i wybrali

bardziej krzepkiego i mniej wrażliwego chłopca.

- Wczoraj wieczorem ledwo uszliśmy z życiem - odezwał się Theo, maczając rogalik w kawie z mlekiem. Jakoś nie potrafił pozbyć się tego powszechnego zwyczaju. - Gdybyśmy spadli do wąwozu, powstałaby nowa zagadka do rozwiązania: dlaczego papież został zamordowany i kto za tym stoi? I dlaczego dokładnie w tym momencie?

- Jeszcze jeden zbieg okoliczności - odpowiedział powoli Emmanuel. - Nie wierzę, że to był przypadek. Wydaje mi się, że otrzymujemy coraz bardziej naglące sygnały. Ale co to oznacza i co powinniśmy zrobić?

- Wyznanie wiary! - odpowiedział Theo, rozcierając grubą warstwę konfituiy z pomarańczy na rogaliku.

Sam ją przygotowywał zawsze w styczniu, stosując naukową alchemię. Zajmowało mu to trzy dni i w tym czasie cała kuchnia była wysmarowana klejącym syropem. Ten, kto o ósmej rano raczy się obfitą porcją konfitury, musi wierzyć w każdą próbę.

Wzdrygnęli się na dźwięk dzwonka. „Zaczęło się”, pomyślał Emmanuel. Gdyby nie było prasy ani opinii publicznej, wszystko mogłoby pozostać w tajemnicy. Miał coraz mniej wątpliwości co do tego, co się stało, ale ta wzrastająca pewność wcale go nie uspokajała, wręcz przeciwnie. Poczul skurcz w żołądku, tak jak przy każdej wizycie u dentysty. Kiedy został papieżem, nic się w tej kwestii nie zmieniło. Jan XXIV bał się dentysty tak samo jak mały chłopiec Emmanuel de Fully, którym ciągle pozostawał. To odkrycie stanowiło dla niego jedno z największych rozczarowań, kiedy wstąpił na tron Piotrowy.

Theo powrócił, marudząc:

- W alei jest cała karawana samochodów. Bez pardonu parkują na trawniku. Stratują całe pobocze. Chodź, nie możemy zostać na zewnątrz. Na drzewach w sąsiedztwie zaraz pojawią się teleobiektywy i mikrofony kierunkowe.



Bracia poskładali naczynia na tacę i usiedli przy stoliku w salonie. Koronkowe zasłony zapewniały dyskrecję. Kupiła je jeszcze ich matka, kiedy zamieszkała tu po ślubie. Przetrwały wszystkie te lata. Jej zdjęcie stało na kominku. Miała na sobie białą suknię i kapelusz, jaki nosiło się w latach trzydziestych. Upłynęło już tyle czasu. Czy tam, gdzie jest, wie, kim stały się jej dzieci? Jeżeli w ogóle gdziekolwiek jest.

- Nie wiem, co powinienem zrobić - powtórzył Emmanuel.

- Publiczne wyznanie wiary.

- To znaczy?

- Kiedy apostołowie, zaczynając od Piotra, dokonali pierwszych cudów, nie udawali, że nic się nie stało. Zaświadczało o swym Mistrzu, w imię którego dokonywali tych cudów, tylko po to, by stać się wiarygodnymi.

- Theo, daj spokój! To niemożliwe! Jeżeli będę twierdził albo przynajmniej uznaję, że dokonałem cudu, integryści stwierdzą, że było to dzieło szatana, a wszyscy liberalni teolodzy będą sobie ze mnie kpić. Usuną mnie z urzędu, zarzucając mi megalomanię. Zadaniem papieża nigdy nie było czynienie cudów, papież ma utrzymywać na wodzie łódź Piotrowa. I z tym ma już pełne ręce roboty, zapewniam cię!

- Kiedy Jezus czynił cuda, saduceusze zarzucali mu, że podburza lud i drażni Rzymian. Faryzeusze potępiali Go, że nie zachowuje szabatu. Wpadłeś w szpony z tych samych powodów. Jedni nie mają wiary inni ją wykorzystują. A ty, Piotr czy Jezus, wy zostajecie sami. Taka jest zasada gry. Znałeś ją od samego początku. Wiarę w Jezusa, Boga i człowieka, który umarł i zmartwychwstał, możesz wyznawać, tylko jeżeli staniesz się męczennikiem, w pierwszym znaczeniu tego słowa, to znaczy świadkiem.

Emmanuel dopił kawę, nie odpowiadając. Gospodyni jeszcze nie przyszła, dlatego sami zajęli się naczyniami. Theo, jak zawsze drobiazgowy, schował masło i

mleko do lodówki. Kiedy wrócił do salonu, Emmanuel zmienił temat, starając się wzbudzić w bracie poczucie winy:

- Nie powinienesz być mnie słuchać, kiedy przekazałem ci ten świetny pomysł Tarcisia Bertiniego. To była tylko bardzo ogólna sugestia. Dlaczego zacząłeś się bawić w tę psychologię fizyczną z Charbelem Kassisem? To z daleka już pachnie fałszywą nauką. W tym kontekście nie ma najmniejszej szansy, by to, co się stało, zostało potraktowane poważnie.

Theo westchnął. Emmanuel nigdy się już nie zmieni. Ciągle tkwił w błędnym kole poczucia winy, którą próbował przerzucić na innych.

- Zrobiłem, co mogłem, uwzględniając zainteresowania Charbela Kassis, który ma tutaj jednak słowo do powiedzenia, skoro wyłożył pieniądze. To nie jest fałszywa nauka, to są szczytowe badania, które sprawiają, że powszechnie uznane idee zaczynają się chwiać. Ani Galileusz, ani Darwin, ani nawet Einstein nie byli traktowani poważnie, kiedy rozpoczynali swoje prace. A jednak drążyli coraz głębiej tę bruzdę, która dzisiaj okazuje się płodna i nie do podważenia. Na początku kierowała nimi bardziej metafizyczna niż naukowa ciekawość. Na podstawie prac, które z twojej inicjatywy zostały podjęte, odkrywamy powoli Stworzenie w całym swym blasku, a nie w matematycznej, prawnej, niemal administracyjnej szarudze, którą scjentyści propagowali przez dwa stulecia. Ci nudziarze, ci nieudolni i bezpłodni funkcjonariusze myśli zawzięcie powtarzają, że prawda jest smutna, że wszechświat nie ma żadnego sensu, ponieważ nie jest wynikiem twórczego zamiaru. I siłą rzeczy z tego założenia wyłania się główny konflikt między naszą wiarą, między każdą wiarą religijną a rzekomą nauką, która stanowi jej martwą i skostniałą podróbkę. Wyobrażano sobie, że jeżeli naukowiec chce być dokładny, musi odrzucić wszelką intuicję; im bardziej będzie nudny, smutny i posępny, tym bardziej zbliży się do prawdy. Skoro nie ma nauki religii, pozostaje tylko religia nauki. Gdyby Watykan nie potępiał najlepszych teologów, nie doszlibyśmy do tego

punktu, w którym jesteśmy, gdzie fizycy wierzą, że jedyną teologią jest teologia pustki, nicości, absurdu i beznadziei.

Theo wyszedł na taras, by rozłożyć parasol, który miał zasłonić duże okno w salonie, gdyż robiło się już coraz cieplej. Kiedy wrócił, podsumował dyskusję:

- Przez całe życie, jako naukowiec, zachwycam się, odkrywając Boga. Tak samo zresztą czuli wielcy prekursorzy. Staram się przywrócić tę ufność postawę. Ale nie obędzie się bez trudności, tutaj się z tobą zgadzam. Stary to jedna z najpiękniejszych rozgrywek, jaką mogę ci zaproponować, choć z wszystkimi jej niebezpieczeństwami. Te znaki, które tak cię niepokoją, te ewentualne cuda, są dobrą odpowiedzią na pytanie tak źle postawione w laboratorium Michela Martina. Chcieliśmy znaku, ale pragnęliśmy, by był to znak naukowy. Być może w tym miejscu popełniliśmy błąd.

- Dobrze - rzekł Emmanuel. - Jeżeli Colombe i ty jesteście tego samego zdania, mnie nie pozostaje nic innego, jak iść tą drogą dalej.

W rodzinie de Fully ważne decyzje były zawsze podejmowane większością głosów, zgodnie ze szwajcarskim zwyczajem. Tym sposobem nie unika się błędów, ale dzięki temu wszyscy biorą za nie odpowiedzialność.

Solange, co zdarzało się niezmiernie rzadko, od razu zabrała się za przepisywanie na maszynie listu, jaki podyktował jej Norbert Viredaz. Złośliwy duch, który czuwa nad każdą opieszłą sekretarką, kazał jej natychmiast spełnić prośbę rektora. Położyła pismo na biurku Norberta Viredaza. Potem poszła po Michela, który wyczekiwał w ciągle przegrzanej poczekalni.

- Panie profesorze, pozwoliłem sobie wezwać pana w środku wakacji, ale zaraz zrozumie pan dlaczego. Czytał pan „LeMatin”? - zapytał rektor, jak tylko profesor Martin przed nim usiadł.

- Nie - mruknął Michel. - Nigdy nie czytam tego szmatławca. Są tam tylko plotki, trochę sportu i ogłoszenia prostytutek. Nie wiem, dlaczego miałbym czytać

tę gazetę, jeżeli ten brukowiec można w ogóle nazwać gazetą.

Słyszając tę zniewagę, Norbert Viredaz zbladł. On czytał tylko „Le Matin”. Ta gazeta potwierdzała jego wizję świata ograniczonego do rozmiarów kantonu Vaud. Szczególnie zaszokowała go głośna wzmianka o ogłoszeniach prostytutek, które pilnie studiował każdego ranka i wieczora, choć nigdy z ich usług nie korzystał. Nie należy trwonić pieniędzy na źle prowadzące się kobiety, lepiej za nie kupić dobrą ziemię i zasadzić winorośl. Strony z ogłoszeniami w „Le Matin” pozwalały mu tylko podsycać fantazje i zaspokajać je, nie wydając przy tym nawet grosza.

- Tym razem, profesorze Martin, powinien pan kupić jeden egzemplarz. Jest pan bohaterem artykułu, który miesza całą politechnikę z błotem.

- Jeszcze jeden powód, by go nie kupować.

- To pan wywołał ten skandal. Moim obowiązkiem jest poprosić pana o dymisję.

Norbert wziął pismo napisane przez Solange i położył je przed Michele. Z doświadczenia wiedział, że taki gest zbijał z tropu niektórych profesorów do tego stopnia, że odruchowo je podpisywali, nawet nie zapoznając się z jego treścią. Ten prosty manewr oszczędzał wielu konfliktów przed sądem pracy, który zawsze jest gotów stanąć po stronie pracownika.

Michel nie podpisał.

- Najpierw chciałbym się dowiedzieć, co mi pan zarzuca. O ile mi wiadomo, fakt, że obsmarował mnie jakiś dziennikarz, nie jest wystarczającym powodem, bym złożył dymisję.

To „o ile mi wiadomo” rozwścieczyło Viredaza. Przeczyna, że to wyrażenie, zupełnie nieużywane w jego środowisku, pochodziło z jakiegoś dziwnego świata. Wydawało mu się, że te proste słowa wyrażają uczucie, wątpliwość, pragnienie, ewentualność, hipotezę - stany duszy, których godny właściciel winnicy nie odczuwa albo pozbywa się ich, wlewając w siebie trzy

decylitry białego wina. Krótko mówiąc, jest to wyrażenie zarezerwowane dla intelektualistów, tych złośliwych istot, które musi ujarzmić lub wyeliminować.

- Zaraz panu powiem, czego można się dowiedzieć z tej gazety. Po pierwsze: kierując laboratorium, narobił pan podejrzanych długów. Po drugie: próbował pan ukryć te defraudacje, sprzedając wyniki jakiemuś podejrzanemu bankierowi, który spłacił pańskie zobowiązania. Po trzecie: w całą tę aferę wplątał pan jedną ze sław politechniki, to znaczy profesora de Fully'ego, któremu wiek pomieszał zmysły. Po czwarte: stworzył pan sektę i wykorzystywał w niej rzekome wizje pańskiej małżonki. Po piąte: w jakiejś dziurze w dolinie Herens celebrowaliście jakieś tajemnicze ceremonie z udziałem irlandzkiego terrorysty i izraelskiego tajnego agenta, dla których pańskie laboratorium służyło za przykrywkę. Nie będę już wspominał o próbie skompromitowania samego papieża w tej ohydnej sprawie. Jako dobry protestant, mam zastrzeżenia co do jego funkcji religijnej. Ale jako urzędnik Konfederacji Szwajcarskiej, odpowiadam za ochronę głowy innego państwa, przybywającej z prywatną wizytą do naszego kraju.

Norbert zadyszał się przy ostatniej części przemówienia. Położył rękę na wątrobie. Nie odczuwał żadnego bólu, ale wątroba była twarda jak kamień. Jego cera stawała się coraz bardziej żółta, a na twarzy pojawiały się małe naczynia krwionośne w kształcie pajęczków.

Michel stracił panowanie nad sobą:

- Nie sądzi pan, że trochę dużo tego wszystkiego? To, co mi pan opowiada, to jakaś wymyślona przez dziennikarza powieść w odcinkach. Nie popełniłem żadnego z tych występków, o które mnie pan oskarża. A zatem proszę nie oczekiwać, że podpiszę ten papier. W tej opowieści zapomina pan o naszej rozmowie z czerwca, kiedy praktycznie zmusił mnie pan do współpracy z Charbelem Kassisem. To jest rzeczywistość!

- Cóż też pan opowiada? Ta rozmowa nigdy nie miała miejsca. Proszę

przedstawić choć najmniejszy na to dowód.

- Nazajutrz po tej rozmowie wysłałem do pana pismo, w którym oświadczyłem, że zgadzam się na ten projekt, choć jestem do tego zmuszony i robię to wbrew sobie.

- To pismo istnieje tylko w pańskiej wyobraźni. W każdym razie do mnie nigdy nie dotarło. Zawsze może pan poszperać w archiwach.

Michel wybuchł i wskazał sterty dokumentów na biurku Norberta Viredaza.

- Zgadzam się. Nikt nigdy niczego się nie doszuka w tym pańskim śmietniku.

- Proszę wyjść! - krzyknął Norbert.

Już zaczynał się bać czekającej go rozmowy z Władcą. Będzie musiał wyjaśnić mu opór profesora Martina.

Najpierw trzeba sprawdzić, czy Solange zniszczyła list Michela. Przez niedbalstwo zapominała czasem popełniać te drobne zbrodnie, dzięki którym stawała się niezwykle ważnym elementem zarządu.

\*

Każdy trwał na swojej pozycji. Theo i Emmanuel w Fully, Colombe i Irina na pastwiskach Lachiorres, Sean i Ruth gorączkowo redagowali artykuły w laboratorium, Michel wykorzystywał ostatnie dni wakacji, by zająć się dziećmi, wysprzątać mieszkanie i znaleźć gospodynię. Kiedy tylko miał trochę czasu, zamykał się w biurze i cieszył krótkimi chwilami sam na sam z Galatee. Norbert Viredaz doglądał, czy winogrona już dojrzały, i sprawdzał sprzęt, który będzie mu potrzebny przy winobraniu. Było to jakieś odprężenie od napomnień, jakich codziennie udzielał mu Władca.

Colombe każdego dnia dzwoniła do Michela, by poinformować go, co się dzieje u jego żony. Z tego, co wiedziała, Irina od poniedziałku nic nie zjadła, piła tylko wodę ze strumienia, a mimo to czuła się dobrze. Biskup ze Sion przysłał

proboszcza z Hauderes, by porozmawiał z Iriną. Ów ksiądz wypytywał też Colombe o post Iriny. W końcu wrócił do siebie, kiwając głową. Marzył o posiadaniu proboszcza w dolinie Hauderes tylko dlatego, że chciał mieć trochę spokoju. Ale wydarzenia, jakie tutaj zaszły, nie były normalne. Ewentualny cud nie był dowodem na istnienie Boga, ale próbą dla miejscowego proboszcza.

Na początku tygodnia, podążając tropem Jana XXIV, dziennikarze opuścili pastwiska. Marek Świrszczyński jednak pozostał, mimo że przybył jego kuzyn z Sierre, by zająć się stadem. Przysiągł Colombe, że już nigdy nie będzie kontaktował się z gazetami zainteresowanymi jego wielkim reportażem. Na jej oczach zniszczył nagrania i klisze fotograficzne, spalił notatki i wyłączył telefon komórkowy. Miał olbrzymie poczucie winy, że w ubiegły poniedziałek rozesłał swój artykuł. Wiedział, że musi odpokutować grzech, pozostając przy Irinie. Starannie spisywał przesłania, jakie otrzymywała, i zaproponował, że na ich podstawie wyda książkę.

Nie miał takiego charyzmatu jak Irina, dlatego musiał coś jeść. Colombe zapraszała go do siebie. Robiła to po pierwsze dlatego, że nudziła się sama przy stole, a po drugie dlatego, że Marek okazał się miłym współbiedniakiem. Władał doskonale kilkoma językami i był niewyczerpaną skarbnicą anegdot na temat możliwych tego świata. Po wyjeździe Theo pani Gaudin wróciła do siebie. Colombe przejęła amerykańskie zasady prowadzenia domu: należy jak najbardziej upraszczać sobie życie i nie zatrudniać najemników, by wykonywali prace domowe. Jest to spójne wyrażenie demokracji, która polega na znoszeniu niewygód pod warunkiem, że uczestniczą w tym wszyscy. Marek Świrszczyński zadowolony był więc byle jaką kuchnią, która bardziej stawiała na szybkość przygotowania niż na końcowy rezultat. Za to prowadził długie rozmowy z Colombe. Spędzał czas z dwoma niezwykle fascynującymi kobietami. Czuł się jak orzeł, który lata w głębi doliny. Zamieszkał w jednym z pokoi w domku, gdzie w końcu Colombe go

zaprosiła. Od rana do wieczora słuchał Iriny i Colombe, notował ich słowa, a wieczorem zwał się na posłanie. Praca wykańczała go nerwowo, ale odnajdywał spokój ducha po odmówieniu różańca na tarasie, spoglądając na zachodzące słońce. Może już umarł, może jest w niebie z dwoma niezwykłymi przyjaciółkami.

Przez całą noc przewracał się z boku na bok. Nie mógł zasnąć, mając świadomość, że kilka metrów obok niego jest atrakcyjna kobieta, tak samo jak on zagubiona w chatce na końcu świata. Do świtu nie zmrużył oka. Miotał się między pożądaniem a ideałem. Wolałby przeżyć wielkie platoniczne uczucie, ale nie taka była jego natura. Mimo wysiłków, nigdy już nie zobaczył swego anioła stróża, jednak ciągle go wychwalał. W jego mózgu brakowało tego ośrodka rozsądku, który mieszkańcy Zachodu posiadają od pokoleń. Najlepsi neurobiolodzy ciągle poszukają go w mózgu Słowian. To wyjaśnia, skąd bierze się ten tak zwany słowiański urok.

## XX

W niedzielę, zanim jeszcze wzeszło słońce, na krętej drodze prowadzącej ze Sion do doliny Herens pojawiła się dziwna procesja: kilkudziesięciu młodych ludzi z krótko obciętymi włosami i ogolonymi twarzami maszerowało w górę. Mieli na sobie sutanny z koloratkami, na nogach świeżo wypastowane buty górskie. Szli ze spuszczonej oczami. Integrystyczne seminarium z Ecône pielgrzymowało na pastwiska Lachiorres.

Przez cały ranek szli w coraz większym upale. Mijając miasteczka, napełniali manierki wodą źródlaną. Pod wpływem piekącego słońca grube czarne sutanny przeobrażały się w przenośne sauny. Nad procesją unosił się kwaśny zapach potu, tym bardziej że zgodnie z regulaminem seminarzystom przysługiwały w lecie tylko dwa prysznice w tygodniu, a w zimie jeden. Dwie osoby zemdlały. Szybko jednak w cieniu odzyskały siły i podążyły dalej, by dogonić towarzyszy.

Około południa wędrowcy dotarli do Hauderes. Tutaj dołączyli do nich



dyrektor i trzech profesorowie, którzy przyjechali samochodem ze względu na wiek. Jeden z nich był praktycznie ślepy i z trudem się poruszał.

Wspinając się na pastwiska, uformowali prawdziwą procesję. Na jej czele kroczyło dwóch akolitów w komżach, a każdy z nich niósł kandelabr. Szli obok seminarzysty niosącego krzyż i kleryka trzymającego kadzielnice. Mimo zadyszki wszyscy na przemian śpiewali pieśni i odmawiali różaniec.

Niektórzy zawiązali sobie supły na rogach chusteczek, które miały zastąpić czapki, by przynajmniej trochę ochronić prawie łyse czaszki. Przy każdym źródle przystawali i moczyli chusteczki. W La Sage dołączyło do nich kilku mieszkańców, gdyż dotarły już do nich pogłoski o cudach, jakie dokonały się w górach.

W miarę jak droga stawała się coraz trudniejsza, pielgrzymi zwalniali i procesja zmieniała kształt: teraz szli gęsiego. Ziemia stawała się coraz bardziej naga. Nie było drzew, które dałyby trochę zbawiennego cienia. Rozgorączkowani pielgrzymi mieli wrażenie, że wchodzą na kalwarię. Od czasu do czasu ktoś przyklękał, by złapać trochę tchu, ale gdy tylko zobaczył, że zaczyna odstawać, podnosił się i maszerował dalej. Zerwał się lekki wiatr i zabawiał się szatańsko, zdmuchując świece. Akolici wciąż je zapalali. Wykazywali przy tym upór, który jest cechą integrystów z nostalgią patrzących w przeszłość, dlatego z uporem utrzymują jej rytuały, by utożsamić ją z wiecznością.

Około pierwszej po południu, zaalarmowani śpiewami i modlitwami, Colombe i Marek wyszli z chatki. Zobaczyli setkę ludzi zmierzających gęsiego w ich kierunku. Z poruszanej żywo kadzielnicy wydobywał się gęsty dym. Marek chciał wyjść na spotkanie pielgrzymów, ale Colombe złapała go za ramię. Niemal zemdlał ze szczęścia: po raz pierwszy go dotknęła.

By zapanować nad sobą, poszedł do kuchni i jednym haustem wypił szklankę zimnej wody. Zimna woda to niezawodny środek przeciw pokusom ciała,

pod warunkiem że człowiek jest gotów wypić jej tyle, ile trzeba. Marek wyszedł z kuchni uspokojony, ale z pełnym żołądkiem. Dołączył do Colombe na tarasie.

Irina klęczała na progu szopy. Na początku nie zwracała żadnej uwagi na pielgrzymów, którzy utworzyli wokół niej wielkie koło i mimo nierównego zbocza uklękli. Trwali w milczeniu, mając nadzieję, że coś się zdarzy, choć sami nie wiedzieli za bardzo, na co czekają. Widok modlącej się kobiety, z zamkniętymi oczyma, nie był nadzwyczajnym zjawiskiem.

Przełożony seminarium, który pochodził ze znakomitej francuskiej rodziny i był dobrze wychowany, zaniepokoił się, że wtargnęli na teren prywatny bez zezwolenia jego właścicieli. Wdrapał się więc kilkadziesiąt metrów wyżej, podwijając przyzwoicie sutannę, by przywitać się z Markiem i Colombe.

Colombe odpowiadała na pytania krótko, nie okazując ani grzeczności, ani dystansu.

Tak, od tygodnia Irina mieszka w tej szopie, która służy jej za pustelnię. Nie, od tego czasu nic nie jadła, ale regularnie pije wodę ze strumienia. Tak, tym sposobem spełnia ślubowanie, które złożyła, by jej córka Sophie, ofiara wypadku, mogła wyzdrowieć. Nie, papieża tutaj nie ma, wyjechał na początku tygodnia. Tak, był obecny przy uzdrowieniu Sophie.

Rozmówcy starannie unikali słowa „cud”. Każdy uważnie słuchał, co mówi drugi, by uzyskać jak najwięcej informacji. Po tej krótkiej wymianie zdań usłyszeli Irinę. Zaczęła przemawiać. Colombe weszła do domku. Nie chciała patrzeć na ten spektakl.

Przełożony i Marek szybko zbiegli ku pielgrzymom, którzy słuchali Iriny:

- Są tacy, którzy dopiero co nauczyli się modlić, a już chcą, by wszyscy byli doskonali. To pragnienie jest naturalne, ale przy tym trzeba być bardzo ostrożnym: nie należy pouczać innych. Ten, kto chce czynić dobro swemu bliźniemu, sam musi być doskonały. W przeciwnym razie będzie przedmiotem kuszenia i wzburzenia.

To jest dzieło szatana. On posługuje się cnotami, które są w nas, by siać wokoło zło. Dlatego kiedy się modlimy, musimy mieć na uwadze tylko własne doskonalenie się. Należy modlić się tak, jakby na świecie był tylko Bóg i ten, który się modli. Dusza, która się modli, powinna o nikim i niczym nie myśleć, powinna troszczyć się tylko o to, by Bogu sprawić przyjemność. W bliźnim dostrzegajmy tylko jego cnoty i dobre uczynki. Obyśmy, widząc ogrom naszych grzechów, nie potępiali wad drugiego człowieka. Tylko krocząc tą drogą, dusza dokonuje prawdziwego postępu, zawsze z niezbędną pomocą Boga.

Zamilkła, stojąc z zamkniętymi oczyma. Nikt nie śpiewał ani głośno się nie modlił. Nastąpiła wielka cisza. Ci, którym pozwalało na to miejsce, padli na twarz.

Marek był zafascynowany tym spektaklem. Nie spuszczał oczu z twarzy Iriny. Kilka chwil później rozmył mu się obraz. Irina miała długie włosy, które bezładnie opadały jej na ramiona. Marek miał wrażenie, że widzi twarz Jezusa. Potem nie miał już żadnych wątpliwości: na czole Iriny pojawiły się czerwone punkty. Odruchowo przekroczył leżących pielgrzymów i zbliżył się do niej. Kiedy był już całkiem blisko, nachylił się ku jej twarzy i zobaczył krople krwi perlące się na jej skórze. Wytarł je chusteczką. Irina nawet nie otworzyła oczu. Został przy niej. To samo robił, gdy przygotowywał najbardziej niebezpieczne reportaże w Bośni, Ruandzie czy Iraku: zawsze trwał przy chorych i rannych, którzy konali.

Panowała tak wielka cisza, że wyraźnie dało się słyszeć spływającą wodę strumienia, jak gdyby stali nad jego brzegiem. Nad pielgrzymami latały kraczące kawki. Krowy przeżuwały trawę. Tylko od czasu do czasu potrzęsały dzwoneczkiem, pewnie z roztargnienia, co można było wybaczyć zwierzętom pozbawionym duszy. Z dołu doliny dochodził przytłumiony odgłos jadącego samochodu.

Marek poczuł, że ktoś delikatnie zabiera mu chusteczkę, którą wytarł czoło Iriny. Był to dyrektor seminarium. Położył ją następnie na zamkniętych oczach

księdza o siwych włosach, którego usta poruszały się w rytmie cichej modlitwy.

Po kilku chwilach ów ksiądz podniósł się, pocałował chusteczkę, szeroko otwarł swe piękne niebieskie oczy i oświadczył z przekonaniem:

- Ja widzę! Jestem uzdrowiony!

Śmiał się.

Jego usta otaczały dwie głębokie zmarszczki, pewnie uformowane w czasie odmawiania pokut. Marek miał wrażenie, że nie tylko oczy tego człowieka zostały uzdrowione, ale także usta. Zanotował to zdanie w zeszycie, który przez cały czas nosił przy sobie. Postanowił, że wykorzysta to w swej książce.

Z tłumu wydostało się kilka głuchych okrzyków. Niektórzy się przeżegnali. Nie mówiąc słowa, ze spuszczonej oczami, Irina wstała i weszła do swej pustelni. Zamknęła za sobą drzwi.

Tłum powoli odchodził. Seminarzyści schodzili w milczeniu, akolici szli już teraz razem z innymi, w całkowitym bezładzie, jak gdyby ogarnęła wszystkich święta groza. Świece były zgaszone, kadzielnica już zimna, a seminarzysta niosący krzyż już nim nie wywijał. Niósł go na ramieniu, jak robotnik trzyma łopatę, wracając wieczorem z pracy.

Marek odprowadził kawałek dyrektora seminarium, chcąc zwyczajnie okazać mu grzeczność. Kiedy dostatecznie oddalili się od pastwisk, nie mógł się dłużej powstrzymać. Zadał pytanie, jakie cisnęło mu się na usta:

- Dlaczego ten ksiądz powiedział, że został uzdrowiony? Naprawdę był ślepy?

Dyrektor odparł:

- Tak. Jest chory na cukrzycę i cierpiał na zwyrodnienie siatkówki oka. Kilka razy próbowano go operować laserowo, ale każdy zabieg pogarszał tylko jego wzrok. Nie potrafił już czytać, nauczył się nawet Braille'a. Jeżeli jest tak, jak mówi, jeżeli rzeczywiście został uzdrowiony byłby to cud, gdyż na to schorzenie

nie istnieje żaden skuteczny środek.

- Co teraz ksiądz zrobi?

- Muszę go zaprowadzić do okulisty, by ten potwierdził i zaświadczył o uzdrowieniu.

- A gdybyśmy poprosili, by to wszystko zachować w sekrecie, jaka byłaby księdza odpowiedź?

Dyrektor zatrzymał się, spojrzął mu w oczy i łagodnie odpowiedział:

- Że oczywiście nie ma takiej możliwości. Cuda mają przede wszystkim umacniać wiarę. To dlatego Bóg nam je daje, by przełamać zatwardziałość naszych serc.

Marek przez chwilę nic nie mówił, potem poprosił o swoją własność:

- Proszę przynajmniej oddać mi chusteczkę. Jestem w podróży. Nie mam ich zbyt wiele.

- Nie ma mowy. To już relikwia.

- Być może, ale ta relikwia należy do mnie!

I odebrał chusteczkę, zastanawiając się, czy będzie miał odwagę poddać plamy krwi badaniom.

Kiedy Marek wrócił do chatki, wszystko szczegółowo opowiedział Colombe. Słuchała go, ale na jej twarzy malowało się zniecierpliwienie i niedowierzanie. Marek, nie chcąc jej irytować, zaczął nieco łagodzić cudowne elementy swego opowiadania.

Colombe zatelefonowała do Fully. Odebrał Emmanuel i usłyszał niedwuznaczną wiadomość:

- A więc możesz być pewny! To nie ty w poniedziałek dokonałeś cudu. To Irina, ponieważ przed chwilą dokonała jeszcze jednego. Stary kapłan z Ecóne odzyskał wzrok. Przynajmniej tak twierdzi. Ja niczego nie widziałam, opieram się na relacji Marka.

Po drugiej stronie linii nastąpiła długa cisza. Colombe mogła sobie wyobrazić Emmanuela stojącego w przedpokoju, który znała na pamięć. Nad telefonem od zawsze wisiało drzewo genealogiczne Kapetyngów. Ich ojciec wpadł na pomysł, żeby je tam umieścić, by dzieci karmiły się historią za każdym razem, kiedy plotkują przez telefon.

- Tym lepiej dla tego księdza, jeśli to prawda! - odezwał się wreszcie Emmanuel. - Ale to nie jest dobra nowina dla biskupa ze Sion. Presja ludu będzie ogromna.

- Cała ta historia wydaje mi się podejrzana - dodała Colombe. - Nic bardziej nie odpowiada integrystom niż cuda. Nawet jeżeli nie jest to spisek zorganizowany przez przełożonego seminarium, to może tylko złudzenie tego cudownie uzdrowionego człowieka. Szkoda, że nie widziałeś, w jakim uniesieniu ten tłum wszedł tu pieszo. Nie wiadomo, co teraz będą opowiadać ludzie. Zresztą znam to wszystko tylko z opowiadania Marka, a on sam też jest lekko podniecony. Nigdy wyraźnie nie widziałam czegoś, co przypominałoby cud. A jednak od kilku dni ciągle spotykam ludzi, którzy go pragną.

Po długiej chwili milczenia Emmanuel odpowiedział:

- Mniejsza z tym, cud czy nie, w pewnym stopniu ulżyło mi, że to Irinie należy przypisać te cuda. Kamień spadł mi z serca. Wkrótce wracam do Rzymu. Obawiam się, że tam nie zobaczę żadnych prawdziwych cudów, jakich bym sobie życzył.

- Chciałabym się jednak z tobą pożegnać, zanim wyjedziesz.

- Zatem musisz zjechać do Fully. Przed bramą dziennikarze trzymają wartę. Siedzą tu dzień i noc. Nie ma mowy, bym się stąd ruszył.

- Przyjadę jutro, ponieważ muszę kupić w Sion kilka rzeczy dla Iriny.

Colombe zadzwoniła do Michela w poniedziałek wieczorem. Poinformowała go o nowym rzekomym cudzie Iriny. On piekł akurat ogromny omlet z serem, by

zapchać czymś żołądek po całym dniu szaleńczej pracy. Nie miał czasu nawet zjeść obiadu. Nie czytał gazet, nie słuchał radia, nie oglądał telewizji. Praktyczne problemy związane z prowadzeniem domu wystarczająco go absorbowały i nie miał czasu zajmować się cudami, do których przyzwyczajona była jego żona.

Uważał, że jest nie tylko odpowiedzialna, ale wręcz winna tego, co się stało. Codzienne życie serwuje już swoją porcję trudności i nie należy dorzucać do tego jeszcze jakichś cudownych zdarzeń, obojętnie, czy są prawdziwe, czy urojone. Michel miał na głowie laboratorium i rodzinę - to było czyste szaleństwo. Każda nowa ekstrawagancja Iriny jawiła mu się jako atak na niego. Czasem nawet cieszył się na myśl, że jego żona siedzi gdzieś w górach, że jest głodna i wymarznęta. Miał nadzieję, że umrze z tego powodu, a on nie będzie za to odpowiedzialny. Nienawidził tej myśli, ale prześladowała go, nie mógł się od niej uwolnić.

Dzisiejszej nocy opiekę nad dziećmi powierzył studentce. Był zatem wolny. Mógł wrócić do biura i zatopić swój smutek w pracy. Drogę z mieszkania na uczelnię pokonał jakby w transie. Ale gdy tylko wszedł do prawie pustego budynku, opanowało go nieludzkie zmęczenie. Wydawało mu się, że papiery, które przesunął na biurku, są równie ciężkie, co bezwartościowe. Miał ochotę wrzucić je wszystkie do kosza, gdyż żaden z nich nie zasługiwał na to, by traktować go poważnie.

Włączył monitor i zobaczył Galatee. Miała na sobie jedwabną bluzkę w kolorze karmazynowym oraz krótką spódnicę z fioletowego aksamitu. Oczywiście Michel nie mógł wiedzieć, że ten strój pochodził od Christiana Diora, ale Galatee była tego świadoma. Uśmiechnęła się do niego z ufnością:

- Dobry wieczór, mój drogi Michelu. Długo na ciebie czekałam. Słyszałeś już dobre nowiny.

- Wcale nie.

- Wolisz o tym teraz nie mówić.

- Tak. Wolę już o tym nie myśleć. Nie chcę ponownie przeżywać tego, co się stało, ani nawet myśleć o tym, co się dzieje teraz.

- Boisz się o Irinę?

Jak wszystkie kobiety Galatee ciągle chciała rozmawiać na najbardziej kłopotliwe tematy. Michel zwierzył się:

- Nie życzę jej śmierci, ale jeżeli tak się stanie, odczuję tylko ulgę.

Galatee spojrzała mu w oczy i wyciągnęła do niego rękę, którą Michel dotknął.

- Włóż drugą rękawicę, mój mały Michelu. Muszę ująć twoje obie ręce.

Michel posłuchał. Jego obie dłonie pojawiły się na ekranie. Galatee przyciągnęła je do swojej twarzy i zaczęła całować. Czując jej usta, Michel nie mógł pohamować skurczu, który przeszedł go od stóp do głowy.

- Michelu! Michelu! Nie możesz dłużej tak postępować. Jedź po Irinę. Sprowadź ją do domu.

- Nie mogę. Czuję do niej odrazę. Wszystko w niej budzi we mnie wstręt.

- Dlaczego się z nią ożeniłeś?

Michel nie odpowiedział. Mógł przytoczyć mnóstwo wiarygodnych powodów, ale żaden nie był prawdziwy. W końcu wybełkotał:

- Gdybym się nie ożenił, moim rodzicom byłoby przykro. Zastanawiałiby się, czy wychowując mnie, nie popełnili jakiegoś błędu.

- Powiedzmy, że ożeniłeś się na pamiątkę miłości, którą darzyli ciebie i siebie nawzajem.

- Tak - powiedział cicho Michel. - Można tak na to spojrzeć.

- A zatem dlaczego wybrałeś kobietę, z którą masz tak mało wspólnego? Ona bardzo pragnie cię zrozumieć, ale nie potrafi. Ty natomiast nie chcesz jej zrozumieć. Ale uda ci się ją zrozumieć, jeżeli uznasz ją za to, kim jest: za dziecko!

- Dziękuję. Mam już piątkę dzieci i nie wiem, co z nimi począć.



Galatee pokiwała głową:

- Każdy anioł stróż zajmujący się naukowcem powinien przejść specjalne przeszkolenie.

Słyszając te słowa, Michel nieco się zdenerwował:

- Nie wierzę w anioły!

Galatee mocno ścisnęła jego dłonie:

- Wmówiłeś sobie, że nie istnieją. Nawet gdybyś spotkał swojego anioła stróża, nie rozpoznałbyś go. Mój mały Michelu, jeżeli chcesz dobrze coś zobaczyć, musisz patrzeć oczami serca. Daj się porwać! Nie opieraj się! Przyjąć oczywistość wcale nie jest tak trudno.

Michel zasnął w fotelu. Galatee trzymała jego dłonie. Uważała, by za bardzo ich nie ścisnąć, bała się, że go obudzi.

- Sam już nie wiem, co o tym wszystkim myśleć - powiedział Emmanuel do Theo i Colombe. - Od roku walczę w Rzymie z sektą i w końcu, by ją pokonać, sam zaczynam stosować metody godne sekty. Wszystko zaczęło się od projektu naukowego, który miał uwiarygodnić Kościół pozostający pod moją opieką. A kończy się to jakimiś objawieniami i cudami.

- W Rzymie są teraz sekty? - zapytała Colombe.

- Walczę przeciw sekcie, która nazywa się Kuria Rzymska. Niewiele ma ona wspólnego z chrześcijańskim przesłaniem, ale przywłaszczyła sobie słowa, budynki, rytuały, nominacje. Kiedy zostałem wybrany na papieża, stanąłem na czele tysiąca księży wymachujących dyplomami: teologów, prawników, dyplomatów. Ci księża i uczeni w Piśmie, ci faryzeusze marynowani w pobożnej wyższości, stali się książętami. Położyli łapy na Słowie Bożym, na Słowie Wcielonym, i wykorzystują Je do własnych celów. Wymyślają jakieś abstrakcyjne teorie, wyciągają z nich dziwaczne zakazy i rzucają klątwami na niezależnych

teologów, którzy stawiają im czoło w zgodzie z własną wiarą i sumieniem. Lekkie jarzmo Jezusa stało się ciężkim jarzmem kościelnej pychy.

- A jednak to oni cię wybrali - odezwała się Colombe.

- Wybrali mnie na papieża, ponieważ sądzili, że jestem do nich podobny. Gdybym był sam, pewnie dostosowałbym się w końcu do tego, czego ode mnie oczekiwano. Tylko dzięki waszemu wsparciu postanowiłem zerwać z Watykanem, przenosząc się na Lateran. Ale problem nie znika. Ja mówię jedno, a oni robią drugie. Administracyjna machina okazuje się całkowicie bierna, kiedy jej dalsza egzystencja staje pod znakiem zapytania. Przez cały ten rok praktycznie niczego nie osiągnąłem. Ciągłe podsuwają mi do podpisu dokumenty, które ja oczywiście odrzucam. Ale nie mają czasu zająć się sprawami, które ja proponuję. Nie sprzedają budynków nuncjatur rozsianych po całym świecie. Nie odsyłają do swych krajów watykańskich urzędników, jak o to prosiłem. Ciągłe żywią się samą substancją instytucji, której niby służą, a którą w rzeczywistości wykorzystują do własnych celów.

- Tak - powiedziała Colombe - wszystko to wiemy. Wie o tym każdy chrześcijanin. Ale dlaczego to, co się stało, tak bardzo cię niepokoi? Czego się boisz?

- W tej sytuacji nie mogę pozwolić, by zaszufładowano mnie do tradycyjnego obrazu Kościoła, do tego, co w Kościele bardziej popularne, bardziej naiwne i mniej przemyślane. Absolutnie nie potrzebuję żadnych cudów, wizji czy relikwii. Boję się więc tego, co nieznane, niekontrolowane, wszystkich tych manifestacji magii, w których uczestniczę. Mam wrażenie, że błądzimy albo ktoś nami manipuluje.

Colombe wstała i wzięła do ręki zdjęcie Emmanuela, które stało na kominku. Zostało zrobione w dniu jego bierzmowania. Wyglądał jak mały lord: nienagannie uczesany, ubrany w koronkowy żabot, krótką marynarkę i długie spodnie; z jego

oczku promieniowała powaga czy wręcz trochę smutek.

- Po pierwsze, być może istnieje jakieś zupełnie naturalne wytłumaczenie tego, co się stało. Wahasz się, stojąc przed ludźmi, którzy są skłonni wierzyć w cuda. Zawsze dręczyły cię skrupuły. Powinieneś wybrać jakikolwiek inny zawód, ale nie powinieneś być księdzem, a tym bardziej papieżem.

- Tego się nie wybiera, lecz jest się wybieranym - odpowiedział znużony Emmanuel.

- Być może masz rację.

Takie słowa rzadko padały z ust Colombe. Theo jak dotąd się nie odzywał, siedział tylko zanurzony w fotelu, który dawniej zajmował ich ojciec. Teraz jednak wtrącił się, wypowiadając zadziwiające wyznanie wiary:

- Ja niemal dotknąłem czegoś niewidzialnego, i to z taką mocą, jak jeszcze nigdy przedtem, jak gdyby wszystkie wydarzenia zachodziły tylko po to, by objawić to niewidzialne, a przez to zmienić nasz strach w ufność.

- Ja tak nie czuję - odezwała się Colombe. - Kiedy procesja integrystów zeszła do doliny, a ja zostałam sama na wysokości dwóch tysięcy metrów z tym dwojgiem trochę szalonych ludzi, czyli Iriną i Markiem, odczuwałam raczej strach. Trudno mi wierzyć w dobrego Boga. Być może wynika to z mojego zawodu. Ciągłe patrzę na odchodzących ludzi. Ciągłe widzę ogromne cierpienia i często żałuję, że ten świat w ogóle istnieje. Miłość Boga do ludzi objawia się w dziwaczny sposób. Bóg jest nienasycony, absolutny, zazdrosny, żywi się osobą, którą kocha, aż w końcu ją wchłania i unicestwia. Bóg to wymagający, przesadny, zwodniczy kochanek.

Zamilkła na chwilę.

- Tak. Od poniedziałku czułam, że stoi przy mnie żywy Bóg i widzę Jego oblicze w chmurach czy górach. I boję się tak samo jak starotestamentowi prorocy, którzy drżeli na całym ciele, odkrywając Wiekuistego. Bóg to nie metafora, nie

jakieś filozoficzne przekonanie. To jest żywa istota, ale bardzo różni się od wszystkich istot ludzkich, jakie znamy i wśród których żyjemy. A to sprawia, że bardziej się Go boimy, niż kochamy.

Zastanowiła się przez chwilę:

- Nie, nie boimy się, to zbyt mocne słowo. Powinnam raczej powiedzieć, że drżymy przed Nim. Kiedy odwiedzam Irinę, zawsze mam gęsią skórę, rozmawiam z nią, ale ogarnia mnie jakaś nieśmiałość, jak gdyby jej wizje były widoczną manifestacją Boga.

- A propos - powiedział Theo - ona nadal nic nie je?

- Jestem pewna, że nie. Tam, gdzie przebywa, można tylko pić wodę i jeść trawę. No, chyba że w nocy po kryjomu doi krowy. Ale nie ma możliwości, by zeszła do La Sage, by kupić coś do jedzenia. Od razu zwrócono by na nią uwagę. A zawsze, kiedy wychodziłam, zamykałam domek na klucz. Zresztą ona praktycznie nigdzie się nie rusza.

- Nie ona pierwsza - odparł zrezygnowanym tonem Emmanuel. - Teresa Neumann żywiła się tylko komunią świętą od 1923 roku do swej śmierci w 1939 roku. Od 1926 roku nic nie piła. Marta Robin przeżyła pięćdziesiąt lat, nic nie jedząc. Nie mówmy już nawet o Mikołaju z Fliie, patronie Szwajcarii, którzy opuścił żonę i dzieci, by prowadzić życie pustelnika. Też niczego nie jadł. Czy to są legendy? Czy historię Mikołaja z Fliie mamy położyć na karb ducha epoki? To, co dzieje się dzisiaj, jest już wystarczająco niepokojące. Jeżeli policzymy wszystkie przypadki z XX wieku, znajdziemy jakieś pięćdziesiąt osób, które żyły przez lata, zaprzeczając wszystkim prawom fizjologii.

- Szkoda, że dokładnie nie zbadano tych przypadków, na przykład w szpitalach - zauważył Theo. - Nie możemy być pewni, że nie było to jakieś oszustwo.

- Gdyby zamknięto te kobiety, gdyż, panie Theo, musi pan zauważyć, że to

wszystko były kobiety - powiedziała Colombe - umarłyby, i to raczej dosyć prędko. Zajął się bardziej praktycznymi rzeczami, by urządzić Irinę w jej pustelni. Kupił niewiele, gdyż ona śpi na desce i pije wodę z ręki. Ale potrzebuje bardziej stosownego ubrania, gdyż przyjechała tam w cienkiej sukience. W Sion znalazłam dla niej suknię z grubej brązowej wełny, choć wcześniej szukałam filcu, ale w naszych czasach tego artykułu już znaleźć nie można. Kupił też gruby płaszcz i śpiwór. Za miesiąc zaczną się w nocy mrozy i nie wytrzymałaby tylko pod tym marnym przykryciem, które ma teraz. Nie chciała butów, woli chodzić bosą.

- Czy to rozsądne, by pozostała tam sama przez całą zimę? - zapytał Emmanuel. - Może trzeba jej to wyperswadować. Pewnej nocy, kiedy zrobi się bardzo zimno, może po prostu umrzeć.

- Oczywiście, że to nierozsądne. Ale życie pustelnicze samo w sobie nie jest rozsądne. Jeżeli jakiś cud sprawia, że może żyć, nic nie jedząc, to po co przejmować się ogrzewaniem?

- Jedyna rzecz, która mi przeszkadza - westchnął Theo - to ten jej upór, by się nie myć. Nie widzę związku między brudem a świętością.

- A jednak, niestety, taki związek istnieje - stwierdził Emmanuel. - Piotr z Alkantary żył czterdzieści lat w malutkiej celi i nigdy się nie mył. Szymon Słupnik mieszkał w Egipcie trzydzieści lat na szczycie dwudziestometrowego słupa, z którego nie schodził, naturalnie nigdy się nie kąpał.

- Teraz rozumiem, dlaczego w Szwajcarii jest tak mało świętych - podsumował Theo. - Zbyt często się myjemy.

## XXI

Wokół Iriny błyskawicznie rosła legenda. Mówiono, że we wtorkowe popołudnie dokonała trzeciego cudu, o którym powiedziały jej głosy.

Pewna mieszkanka La Sage postanowiła o własnych siłach wdrapać się na górę. Szła pochylona, gdyż cierpiała na artrozę, która zdeformowała jej plecy. Zbyt

dużo pracowała, zbyt dużo się schylała, zbyt często chodziła zgarbiona. Nogi odmawiały jej posłuszeństwa, serce było w nie najlepszym stanie, dlatego posuwała się małymi kroczkami. Opowiadała później, że wybrała się w tę drogę, ponieważ była pewna, że Irina ją uzdrowi, jeżeli tylko uda się jej wejść na tę kalwarię.

Kiedy dotarła na pastwiska Lachiorres, zobaczyła dwanaście osób. Stały wokół Iriny, która klęczała na progu swej pustelni. Słyszała ludzi odmawiających półgłosem różaniec, spływającą wodę strumienia Maurów i dzwonki zawieszane na szyjach krów, które wcale nie miały ochoty pościć i skubały trawę. Tylko jedna z krów dołączyła do zgromadzonych i przeżuwała strawę bardzo powoli, jak gdyby nie chciała robić zbyt wiele hałasu. Ze zdziwieniem, ale też i politowaniem, wpatrywała się w te istoty pogrążone w dziwacznej czynności. Ludzie to wynaturzone zwierzęta.

Marek stanowczym ruchem odsunął dwóch fotoreporterów. Chcieli zrobić zbliżenie Irinie, dlatego ciągle wymachiwali obiektywami. Wytyczył w końcu strefę kilku arów i otoczył ją plastikową taśmą. Oświadczył, że to prywatny teren rodziny de Fully. Nie mógł się już doczekać, kiedy wróci Colombe, gdyż sytuacja zaczynała wymykać mu się spod kontroli.

Zdaniem Marka wszystko wydarzyło się bardzo szybko. Stara wieśniaczka od razu skierowała swe kroki ku Irinie i powiedziała jej kilka słów na ucho. Nie próbowała nawet uklęknąć, gdyż doskonale widziała, że potem nie byłaby w stanie się podnieść. Irina otworzyła oczy i położyła swe dłonie na głowie chorej kobiety, a ona natychmiast wyprostowała się bez najmniejszego trudu. Opowiadała później, że w tym samym momencie jej serce zaczęło spokojniej bić. Poczula się, jak gdyby była o dwadzieścia lat młodsza, kiedy potrafiła jeszcze przez cały dzień kosić trawę na stokach. Uklękła i pocałowała ręce, które ją uzdrowiły. Irina cofnęła dłonie i uścisnęła staruszkę.

Marek wrócił do domku, by napisać sprawozdanie z tego niesamowitego zdarzenia. Kiedy skończył, do salonu wkroczyła Colombe. Wróciła z Fully. Wzięła do ręki kartkę i przeczytała jej treść, nie mówiąc ani słowa. Poszła do pustelni i zaprosiła staruszkę, która ciągle klęczała, by przyszła odpocząć do jej domku. W trójkę napili się kawy, rozmawiając o tym, co się stało, jak gdyby była to najnormalniejsza rzecz na świecie. Colombe cierpliwie wypytała wieśniaczkę o jej dolegliwości i zanotowała nazwisko jej lekarza. Zadzwoiła do niego, a ten potwierdził wszystkie słowa swojej pacjentki. Zaraz potem skontaktowała się z Theo i Emmanuelem, dopiero potem zaniósła Irinie zakupy: ciepłą suknię i śpiwór.

Irina podziękowała jej i ucałowała suknię. Wyjaśniła Colombe, która uśmiechała się pytająco, dlaczego to zrobiła:

- Będzie to moje jedyne okrycie aż do śmierci. Zamknęła się w szopie i kilka minut później wyszła, podając Colombe zwinięte ubrania.

- Nie będę już ich potrzebowała. Proszę oddać je biednym. Kiedy Colombe odchodziła, Irina dodała:

- Proszę się nie obawiać. Po tym, co zdarzyło się tego popołudnia, nikogo więcej nie uzdrowię. Miałam dać trzy znaki. Powiedziały mi o tym głosy.

- Dlaczego akurat ci ludzie? - zapytała Colombe.

- Ponieważ były to pierwsze trzy osoby, które przede mną stanęły i bezgranicznie wierzyły. Ja miałam tylko sprawić, by cierpliwie czekali. Nie będą żyć wiecznie, ale Pan dał im jeszcze czas, zanim dostąpią zbawienia.

Okoliczne balkony i dachy zostały niezbyt drogo wynajęte przez fotografów uzbrojonych w ogromne teleobiektywy. Bracia zaś siedzieli zamknięci w domu i debatowali nad strategią, jaką powinni przyjąć. Na stoliku w salonie leżała sterta gazet. Theo podłączył się do Internetu i na bieżąco śledził sytuację. Pojawiały się już najgorsze interpretacje. Jan XXIV, niczym nowy Mojżesz, wdrapał się na alpejski szczyt, by otrzymać Boskie przesłanie potwierdzone licznymi

uzdrowieniami.

Theo lekko uchylił bramę posiadłości, by zerknąć, co się dzieje. Na zewnątrz byli nie tylko dziennikarze, ale też coraz większy tłum ludzi, którzy czekali w nadziei, że zobaczą Jana XXIV. W tej sytuacji jeżeli chcieli bez przeszkód dotrzeć na lotnisko w Cointrin, należało się zastanowić, czy nie lepiej będzie polecieć tam helikopterem.

Decyzję przyspieszyły dwie nowe wiadomości. Najpierw telefon Colombe, która poinformowała ich o rzekomym trzecim cudzie. Następnie prośba o audiencję, jaką złożył biskup ze Sion. Audiencja to może zbyt wielkie słowo, gdyż znał jeszcze Emmanuela z czasów seminarium i mówili sobie po imieniu. Nie można było mu odmówić.

Drogę ze Sion do Fully prałat pokonał w ciągu dwudziestu minut. Jego przyjazd wywołał zamęt wśród dziennikarzy. Oni stali tu od dwóch dni, nie mając co włożyć do ust. Biskup w końcu przedarł się jakoś przez tłum i prześlizgnął się przez uchyloną bramę. Policjanci w cywilu niewiele robili, by zapobiegać wtargnięciom na teren prywatny.

Emmanuel przyjął biskupa w salonie, wśród pamiątek rodzinnych, przestarzałych foteli, chińskich waz, które jego rodzice kupili prawie sto lat temu. Tutaj człowiek czuł się bezpiecznie. Tyle rzeczy wydarzyło się w XX wieku, a jednak nic nie zniszczyło mieszczańskiej harmonii tego miejsca, które być może przetrwa w niezmiennym stanie następny wiek. Taka Szwajcaria to nostalgiczna ilustracja oazy spokoju, jaką mogłaby być Europa, gdyby nie dwie wojny światowe. Wydarzenia ostatnich dni były tylko niewielką perypetią, którą należy pokierować bez paniki. Znajdowali się w oku cyklonu, gdzie nie dochodzi nawet podmuch wiatru. Wystarczyło tutaj pozostać.

Zresztą takie uczucie jak panika nie było znane biskupowi ze Sion. Od lat cierpliwie znosił tę zadrę, jakim jest seminarium integrystyczne na terenie jego



diecezji w Ecône. Instytucja ta przyciągała dwadzieścia razy więcej seminarzystów niż jego seminarium w Sion, dlatego musiał akceptować nie tylko schizmę, ale także oznaki dotkliwej porażki.

Jego poprzednik za bardzo przejmował się tą sytuacją i w końcu popadł w depresję. Chcąc podnieść go na duchu, Jan Paweł II uhonorował go kapeluszem kardynalskim, choć to w żaden sposób nie wpłynęło na etiologię schorzenia psychicznego, które w końcu doprowadziło do jego dymisji. Obecnego biskupa wybrano ze względu na jego stabilny charakter. Emmanuel niemal ucieszył się na jego widok. Początek rozmowy nie należał jednak do najserdeczniejszych:

- Emmanuelu, bardzo cię lubię, ale pozostając w Valais, stwarzasz problem nie do rozwiązania. Pozwól, że będę z tobą zupełnie szczery. Musisz natychmiast wrócić do Rzymu. Z każdym dniem jest gorzej. Próbuję jakoś opanować sytuację, która jest już i tak wystarczająco trudna. Od kiedy jeden z profesorów z Ecône został uzdrowiony przez tę wizjonerkę, z którą ty obcujesz - mało ważne, czy był to cud, czy nie - jestem właściwie potępiany. To gorsze, niż gdyby zmuszono mnie do złożenia dymisji. Wszyscy po kolei mnie opuszczają i mam wrażenie, że sprawia to jakaś nadprzyrodzona siła. Nie wierzę w ani jedno słowo z tego, co ludzie opowiadają, ale łatwowierność ludu rośnie z godziny na godzinę. Wkrótce będę musiał kierować nowym Lourdes. Dzwonili już do mnie z biura turystycznego z Valais. Wpadli na świetny pomysł, by wynajmować pokoje hotelowe w martwym sezonie, między wakacjami letnimi a sezonem narciarskim. Emmanuelu, to czyste szaleństwo! Ty siedzisz tutaj zamknięty i nie masz pojęcia, co się dzieje na zewnątrz.

- Tak czy siak wracam dziś wieczorem do Rzymu, jak było zaplanowane. Chciałem po prostu spędzić urlop we własnym kraju, z rodziną. Czy tak dużo wymagam? Unikałem wszelkiego kontaktu z prasą i ważnymi osobistościami. Przecież mam prawo do jakiegoś życia prywatnego.

- Jak się okazuje, to raczej niemożliwe. Papież jest na swoim miejscu, kiedy zamyka się w Watykanie lub Castel Gandolfo. Musisz być poza światem.

- Jak gdybym już nie żył!

- Jeżeli tak chcesz to ująć, cóż, dobre podsumowanie.

- Chciałbym rozpląnąć się w powietrzu, być tylko jednym z wielu księży, który przewodniczy im jedynie honorowo. Nie chcę być kimś, kto przemawia w imieniu wszystkich, ale kimś, kto oddaje głos jednym i drugim.

- To niemożliwe. Nie przyniosłeś tutaj pokoju...

- ...lecz miecz - dokończył Emanuel, ciężko wzdychając. Theo zaproponował filiżankę herbaty, potem szklaneczkę śliwownicy, ale bez żadnego sukcesu. Zmienił więc kierunek. Teraz postanowił grać rolę zarządcy, w czym był naprawdę niezły.

- W naszej posiadłości nad Rodanem jest wystarczająco duży trawnik, by mógł wylądować helikopter. Zaraz zadzwonię do Air Glaciers, gdyż przelot do Genewy musi się odbyć jeszcze przed zmrokiem. Mój brat pomyślał także, że zanim opuści terytorium Szwajcarii, dobrze byłoby złożyć oświadczenie. Chce uspokoić trochę sytuację i przedstawić wydarzenia w rzeczywistym kontekście.

- Jakie oświadczenie i komu? - zapytał biskup.

- Na konferencji prasowej - uściślił Emmanuel. - Kilka minut przed kamerami telewizyjnymi.

- Pod jednym warunkiem - dodał Theo. - Oświadczenie będzie transmitowane bezpośrednio i w całości. Najgorzej się dzieje, kiedy kilka zdań zostaje wyrwanych z kontekstu.

Biskup ze Sion rozważał przez chwilę taką możliwość, potem pokiwał głową z aprobatą.

- A co chcesz powiedzieć?

- Prawdę - powiedział zwyczajnie Emmanuel.

- Tak, ale cóż to jest prawda?

Theo nie mógł się powstrzymać, by nie zadrwić:

- Ekszelencjo, to pytanie jest nie na miejscu od czasu, kiedy Piłat zadał je Jezusowi.

\*

Michel był tak wyczerpany, że postanowił tego dnia nie wstawać. Spędził więc cały dzień w łóżku, na pół śpiąc. Chciał myśleć tylko o Galatee i zapomnieć o całej reszcie. Tak naprawdę obudził się dopiero, kiedy o czwartej po południu ze szkoły wróciły dzieci. Były zdumione, widząc ojca śpiącego w środku dnia, ale on od razu je uspokoił. Wszystko jest w porządku, zaraz wstanie i przygotuje im górę naleśników. Ich mama czuje się dobrze i nadal odpoczywa w górach. On zaś spał cały dzień, ponieważ w nocy pracował. Dzieci były usatysfakcjonowane wyjaśnieniami i każde pobiegło w swoją stronę.

Michel wziął kąpiel, ogolił się, włożył swoje najlepsze ubranie, przejrzał się w lustrze. Potem opasał się fartuchem i po królewsku spełnił obietnicę, smażąc naleśniki.

Kiedy dzieci już się położyły, Michel wziął Sophie na bok i powiedział, że w nocy będzie musiał na chwilę wyjść do biura.

Zostawi opiekunce numer telefonu, by w każdej chwili mogła do niego zadzwonić.

Sophie dziwnie na niego spojrzała. Zrozumiał, że jego córka podejrzewa go, iż idzie na spotkanie nie z Galatee, ale z prawdziwą kobietą z krwi i kości. Małe dziewczynki bardzo szybko uczą się rozpoznawać podniecenie u dojrzałych mężczyzn i nigdy się w tym względzie nie mylą.

Czekając, aż dzieci zasną, Michel chciał zabić jakiś czas. Postanowił, że wyczyści szafę na miotły. Była jednak zamknięta na klucz, którego nie mógł znaleźć. Irina gdzieś go ukrywała. Po kolei dopasowywał wszystkie klucze, jakie znalazł w mieszkaniu. W końcu szafa się otworzyła.

Na desce, na wysokości jego oczu, stała gipsowa figurka ubranej na niebiesko-biało Najświętszej Marii Panny oraz figurka Jezusa, którego serce w dziwny sposób wydstawało się z klatki piersiowej. Michel uznał, że pierwsza figurka jest ckliwa, druga odrażająca. Doskonale reprezentowały religię, którą zawsze postrzegał jako mieszankę najbardziej słodkich i najbardziej niechlujnych uczuć, jak gdyby ciało mściło się na duchu.

Te dwie figurki otaczały ikonę, której nie potrafił zidentyfikować: jakiś mężczyzna ubrany w starożytne szaty siedział u wejścia do grotty i pisał coś pod czujnym okiem orła. Po bokach stały dwa święte obrazki: na jednym rozpoznał Teresę z Lisieux, a na drugim zobaczył brodatego mężczyznę z rękami skrzyżowanymi na piersi. Michel poczuł się niepewnie. Teresa Martin wydała mu się raczej sympatyczna. Z jej oczu promieniowało zdumienie i tym spojrzeniem niewiele różniła się od młodej wiejskiej dziewczyny z Normandii, a do tego nosiła to samo nazwisko co on. Ale brodaty mnich miał okrutny wygląd. Przypominał Rasputina w najgorszych momentach jego życia.

Michel czuł zarazem odrazę i litość. Poszedł do kuchni po worek na śmieci i wrzucił do niego figurki, zdjęcia, dwa lichtarze, świeczkę zapachową, kilka książek, w tym Biblię. Już miał zejść i wyrzucić worek do kontenera na śmieci, który stał przed blokiem, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Miał jeszcze jakiś cień nadziei, że któregoś dnia Irina wróci do domu.

Chciał zamknąć pustą już szafę. Poczł jednak nieprzewidziany opór. Sprawdził zawiasy i obramienie drzwi, starając się odkryć, co blokowało szafę. Niczego nie znalazł. Wbrew wszystkim znanym prawom mechaniki drzwi nie chciały się zamknąć. Michel przyniósł więc zbiorniczek z olejem grafitowanym i dobrze nasmarował zawiasy. To namaszczenie poskutkowało: drzwi przesunęły się na zawiasach, wydając dziwny dźwięk, który bardziej przypominał westchnienie niż skrzypnięcie. Spróbował kilka razy zamknąć i otworzyć drzwi, które wreszcie

ustąpiły bez sprzeciwu. Pusta szafa została zamknięta.

Michel uciekł z mieszkania niczym złodziej. Zostawił dzieci, by pobic na potajemne spotkanie z pierwszą kobietą, którą pokochał. Nie potrafił wytrzymać bez niej nawet minuty dłużej. Kiedy odpalił samochód, spojrzął w kierunku mieszkania: za zasłoną w oknie dostrzegł głowę Sophie.

\*

W południe Colombe wpadła do Fully. Była w drodze do Mediolanu. Nie mogła już dłużej odkładać powrotu do Kalifornii, gdzie miała prowadzić szkolenia.

Od kiedy Emmanuel podjął decyzję powrotu do Rzymu, wydawał się spokojniejszy. Colombe znalazła go na werandzie. Wylegiwał się na leżaku z gołymi stopami, na które naciągnął sandały. Czytał komiks Tintina. Nachyliła się, by przeczytać tytuł: Tintin i Alphart. Ostatni album i zarazem najbardziej tajemniczy. Był to tylko szkic książki, gdyż Herge zmarł, zanim zdążył ją dokończyć. Na ostatniej, czterdziestej drugiej stronie groźny strażnik więzienia kieruje do Tintina szalone słowa: „Naprzód! Wybiła godzina, byś przemienił się w Cezara”.

Przez długi czas Tintin był idolem Emmanuela. Jednak żaden chłopiec nie może mieć jednocześnie tylu zalet, ile posiada ten bohater. Był odważny, inteligentny, uczciwy, silny, sprytny.

Tintin był zbyt dobry, by prawdziwie istnieć. Emmanuel chciał naśladować niedościgniony wzór. Dzisiaj zastanawiał się nad ostatnim przesłaniem, jakie autor pod koniec życia skierował do dziecka, jakim sam był: „Wybiła godzina, byś przemienił się w Cezara”. Emmanuel nie zgodził się, by przemienić się w Cezara, a teraz Wandalowie wdrapywali się po źle strzeżonych murach obronnych Rzymu. Przez swą niezręczność jeszcze bardziej przyczynił się do dekompozycji Kościoła i zasłużył na to, by w historii zapisać się jako ostatni papież.

Colombe usiadła na skraju leżaka i złapała dłoń Emmanuela:

- Przykro mi, że zostawiam cię w takim momencie, ale muszę wracać.

- Cieszę się, że w ogóle przyjechałaś.

- Co teraz zrobisz?

- Powiem wreszcie to, co mam do powiedzenia. Będę mówił bezpośrednio przed szwajcarską telewizją. Byłem na wakacjach. Koniec, kropka! Legenda, jaka powstała, świadczy tylko o zamęcie wśród ludzi. To wszystko. Wracam do Rzymu. Business as usual.

- Emmanuelu, to nie jest zbyt przekonujące. Popadasz w ten dziwaczny racjonalizm. Próbujesz zachowywać się jak racjoniści, którzy są twoimi najgorszymi wrogami.

- Mam jeszcze innych wrogów.

- Musisz stać i po prawej, i po lewej stronie. Ale nie możesz wymazać tego, co zaszło w Lachiorres, ani tego, co wydarzyło się w laboratorium profesora Martina.

- Co się właściwie stało? Kto to może wiedzieć?

- Nigdy się tego nie dowiemy. Otrzymaliśmy sprzeczne sygnały, a nasza pamięć zarejestrowała je i jednocześnie zdeformowała. Życie Iriny jest zagadką samą w sobie. Badanie zjawiska Coovera nie dowodzi, że istnieje coś takiego jak pole informacji. Ale wszystkie te wydarzenia świadczą o tym, że istnieje inny świat. Niekoniecznie jest to raj czy piekło w takim sensie, jak wyobrażał je sobie Dante: nad sklepieniem nieba i w środku ziemi. Niekoniecznie chodzi o świat po śmierci. Świat widzialny istnieje. Ale istnieje jeszcze coś innego, coś, czego dokładnie nie widzimy, ale co nie jest wcale mniej realne, nawet jeżeli dostrzegamy to tylko jakby przez mgłę. Wielokrotnie doświadczałam tej rzeczywistości, siedząc przy umierających, kiedy trwałam przy nich do ostatniej chwili. W takim momencie nikt nie oszukuje. A ja nie oszukiwałabym ciebie.

- Co mam robić?

- Na początku pozbędziesz się Tarcisia Bertiniego, tego podejrzanego typka, który zawładnął twoim życiem. Daje ci piękne prezenty, przez co sprawia, że masz wobec niego zobowiązania. Przypomnij sobie konia trojańskiego i to, co na ten temat powiedział Wergiliusz.

Emmanuel lekko się uśmiechnął:

- Timeo Danaos et dona ferentesu. {{ Lękam się Greków, nawet gdy przynoszą dary. }}

- Nie da się tego lepiej wyrazić w kilku słowach. Nigdy się nie dowiemy, dla kogo pracuje. Czy chciał cię jedynie zniszczyć, wciągając w to szalone przedsięwzięcie? Czy działa w imieniu jakiejś międzynarodówki racjonalistów, organizacji przestępczej lub po prostu dla integrystów i tradycjonalistów? A może działa na własny rachunek, mając nadzieję, że zajmie twoje miejsce?

- Dużo tych pytań bez odpowiedzi.

- Przestańmy spekulować. Piękny projekt Charbela Kassisa okazuje się w gruncie rzeczy dwuznaczny. Założę się, że steruje nim z daleka jakaś ukryta grupa. Mimo szacunku, jakim się cieszą, Theo i rektor Viredaz zostali wepchnięci na gigantyczną szachownicę jak zwykłe pionki. W opowieści o życiu najtrudniej napisać rozdział pod tytułem „Starość”. Ale mniejsza o cały ten spisek, którego stałeś się ofiarą i wbrew sobie współnikiem. Na świecie jest mnóstwo intrygantów, którzy ciągle coś mącą, wyobrażając sobie, że piszą historię. Jednak ty i ja wiemy, że prawdziwy autor historii nie rozplynie się w podrzędnych intrygach. Nie warto nawet dociekać, kto wymyślił ten projekt i jaki był jego cel, ponieważ wynik będzie zupełnie inny, niż się tego spodziewa.

Emmanuel spojrzał na Colombe jakby z dziecięcą urazą. Siostra jeszcze mocniej ścisnęła jego dłoń, nachyliła się i wyszeptała mu do ucha:

- W dniu twoich urodzin wyślę ci dwa prezenty: jeden od siebie, drugi od mamy i taty.

## XXII

O szóstej piętnaście redaktor naczelny „Wiadomości” czekał na Emmanuela i Theo nad brzegiem Arve, u stóp wieży Television Suisse Romande. Po godzinie szaleńczej pracy udało mu się wygospodarować czas na ten nadzwyczajny wywiad. Wpatrywał się w wody rzeki, by choć trochę się uspokoić. Arve nie musiała się nad niczym zastanawiać, by robić to, co do niej należy: od tysięcy lat doprowadza wodę z gór do morza i nigdy się nie myli.

Podczas burzliwej dyskusji z prezesem i dyrektorem ds. programów zaproponował, by pozwolić mówić papieżowi bez ograniczeń czasowych, opóźniając ewentualnie bezpośrednią transmisję meczu piłki nożnej o Puchar Europy. W razie konieczności początek meczu zostanie odtworzony z taśmy. Prezes ciągle mówił o kosztach retransmisji meczu, które trzeba będzie zapłacić. Będą to stracone pieniądze, gdyż widzowie wybiorą inny kanał. Oglądalność znacznie spadnie, a Television Suisse Romande straci kolejnych reklamodawców. Tymczasem rozpoczęła się wielka kampania Findusa promująca dietetyczny majonez: bez jajka, bez oleju, bez octu, soli i pieprzu. Chcąc przekonać niezdecydowanych konsumentów, by kupowali ten dziwny produkt, wydano mnóstwo pieniędzy i w żadnym wypadku nie można ich stracić.

Dyrektor ds. programów podjął w końcu decyzję: udało mu się odsprzedać prawa do transmisji wywiadu na żywo telewizji CNN. Wygląda na to, że Amerykanie ciągle interesują się religią. Ciekawy naród.

Emmanuel i Theo przyjechali dużym czarnym samochodem z przyciemnionymi szybami. Przed nimi jechał samochód policyjny, którego syrena zakłócała spokój okolicy. Gdyby nie ten pokaz, nikt nie zauważyłby przyjazdu papieża. Emmanuel został szybko odprowadzony do charakteryzatorni, wyszedł jednak stamtąd bez ziarna pudru na twarzy, ponieważ charakteryzatorce za bardzo



trzęsły się ręce. Kiedyś umalowała księżną Dianę, Michaela Jacksona i Francois Mitteranda. Wtedy jakoś się nie wzruszała. Teraz trzeba było zrezygnować z całego makijażu, gdyż nie było już czasu, by wezwać kogoś innego. A zatem Jan XXIV, pierwszy papież, który udzielił wywiadu na żywo w „Wiadomościach”, zaprezentował się taki, jaki jest, z twarzą przyćmioną odrastającym zarostem.

Duża grupa przedstawicieli wszystkich stopni skomplikowanej struktury organizacyjnej Television Suisse Romande przybyła do studia w momencie, kiedy prezenter zbierał porozrzucane kartki. Emmanuela posadzono na stołku bez oparcia, który był szczególnie niewygodny, gdyż stopy papieża ledwo dotykały ziemi. Ale ten barbarzyński mebel zmuszał do tego, by siedzieć wyprostowanym.

Kiedy na ekranach wyświetlała się czołówka, wystraszony dziennikarz zapytał Emanuela, jak powinien się do niego zwracać: „Ojcze Święty” czy „Wasza Świątobliwość”? Emmanuel uśmiechnął się i uspokoił go: to wszystko już przeszłość, on chce być tylko biskupem Rzymu. Redaktor naczelny, który stał poza polem kamer, szepnął prezenterowi, że w takim „wypadku odpowiedni będzie tytuł „Ekscelencja”.

Dziennikarz zapowiedział w skrócie najważniejsze wydarzenia, potem od razu przeszedł do wywiadu.

- Wasza Ekscelencja spędził miesiąc urlopu w Szwajcarii. W otoczeniu Waszej Ekscelencji ciągle działo się coś dziwnego.

- Wszystko zależy od tego, co rozumie pan przez słowo „dziwne”. Czy mógłby pan to sprecyzować?

- Zgodnie z pogłoskami, muszę tutaj zaznaczyć, że są to pogłoski niepotwierdzone, Wasza Ekscelencja miałby niejako dokonać cudów.

Emmanuel uśmiechnął się. Czuł się zupełnie swobodnie.

- Żaden człowiek nie może twierdzić, że dokonuje cudów. Jeżeli taka jest pogłoska, chciałbym ją oficjalnie zdementować. To nie ludzie dokonują cudów, lecz

sam Bóg.

- A zatem co takiego się wydarzyło?

- Pewna dziewczynka, która na skutek upadku i wstrząsu straciła przytomność, wyszła ze śpiączki dzięki modlitwie swej matki. Ja byłem tego świadkiem, a nie sprawcą. Jej matka postanowiła usunąć się ze świata i żyć jako pustelniczka. W naszych czasach może się to wydawać niezrozumiałe, ale dawniej ludzie względnie często podejmowali takie decyzje. W Indiach nierzadko się zdarza, że jakiś bogaty człowiek zostawia swój dom oraz majątek i staje się żebrzącym pielgrzymem. Być może nasz świat bardzo potrzebuje pustelników, mistyków i mnichów.

- Kobieta, o której Wasza Ekscelencja mówi, jest powszechnie znana. Chodzi o Irinę Martin, od miesięcy przyciągająca tłumy na zgromadzenia modlitewne, podczas których nakłada ręce i dokonuje cudownych uzdrowień.

- Tak, to o nią chodzi. Ale nie możemy zbyt pochopnie uznać, że są to cuda, choć być może tak jest. Jedynie śledztwo pozwoliłoby dowiedzieć się czegoś więcej. Ja nie chcę tutaj rozstrzygać tej kwestii.

- Jednak Kościół katolicki miał mnóstwo zastrzeżeń do Iriny. Biskupi publikowali nawet ostrzeżenia.

- W takich wypadkach najlepiej przyjąć postawę Gamaliela.

Prezenter zmarszczył brwi. Najwyraźniej imię „Gamaliel” nic mu nie mówiło. Emmanuel od razu to zrozumiał, dlatego wyjaśnił:

- Na początku działalności w Jerozolimie apostołowie napotykali ogromny opór ze strony władz żydowskich. Pewnego dnia zaciągnięto ich przed Sanhedryn.

Brwi prezentera znowu się zmarszczyły. Emmanuel sprecyzował:

- Było to coś w rodzaju senatu, który funkcjonował jak sąd. Sanhedryn zamierzał pozbyć się apostołów, skazując ich na śmierć, tak jak uczynił z Jezusem. Wówczas pewien uczonec w Prawie, my dzisiaj powiedzielibyśmy: teolog, zwany

Gamaliel, wstał i poddał myśl: puśćcie tych ludzi! Jeżeli bowiem od ludzi pochodzi ta myśl czy sprawa, rozpadnie się, a jeżeli rzeczywiście od Boga pochodzi, nie zniszczycie ich. Proponuję, by zasadę Gamaliela zastosować do Iriny. Niech czas zrobi swoje.

Dziennikarz wydawał się trochę zmartwiony. Czas w telewizji i ogólnie w społeczeństwie to cenny towar i nie można go tracić, nie czerpiąc bezpośredniego zysku. Czas antenowy składał się z reklam przynoszących pieniądze i programów przyciągających odbiorców, do których skierowana była reklama.

- Niemniej nasi telewidzowie chcieliby wiedzieć, czego się trzymać. Jak Wasza Ekszelencja uważa? Czy dzisiaj, w tak rozwiniętym kraju jak Szwajcaria, mogą dokonywać się cuda? Czy czas cudów już raczej przeminął?

- Prawdziwym cudem jest to, że jesteśmy tutaj dzisiaj, rozmawiamy ze sobą, a ludzie nas słuchają.

Prezenter był lekko rozczarowany. Odpowiedział:

- Każdego wieczoru w telewizji emitowane są „Wiadomości”. Cud, który wydarza się codziennie, nie jest cudem.

- Sądzę, że właśnie w tym punkcie wielu ludzi się myli. Prawdziwy cud to stworzenie.

- Wasza Ekszelencja mówi o Wielkim Wybuchu?

- Nie chodzi tylko o początek świata, ale o to, że ten świat ciągle istnieje. Jeżeli przez cud rozumie pan jakieś zjawisko nadzwyczajne, zaskakujące, tylko dlatego że narusza ono prawa Natury, nie ma to sensu. Bóg zaparłby się siebie, gdyby choć na chwilę odrzucił reguły gry, w jaką gra z człowiekiem i wszechświatem. Od razu przychodzi mi do głowy nieprawdziwy obraz Stwórcy: w grze, w której wyznaczył zasady, sam zaczyna oszukiwać, by pokazać, że jest najsilniejszy. W rzeczywistości wielkość Boga objawia się w tym, że szanuje On wolność człowieka. Bóg nie narusza tej wolności, dokonując jakichś

spektakularnych działań. Bóg postępuje otwarcie. A my powinniśmy Go naśladować.

- Ale w Biblii znajdziemy mnóstwo opowieści o cudach - sprzeciwił się trochę zbity z tropu dziennikarz.

- W tamtych czasach było to nieuniknione. Ludzie nie znali pojęcia prawa naturalnego. Opowieści o cudach nie miały opisywać faktów, lecz wprawiać w zachwyty. W umyśle ludzi tamtych czasów nie istniały z jednej strony wydarzenia naturalne, a z drugiej strony zjawiska nadnaturalne. Powódź w dolinie Tygrysu i Eufratu, która w naszych oczach jest zjawiskiem naturalnym, dla świadka tamtych czasów staje się potopem - manifestacją gniewu Boga. Każdy widowiskowy element rzeczywistości przedstawiany w jakimś opowiadaniu nie miał zabawiać słuchaczy, lecz ich nawracać.

Zawziętość dziennikarza zaczynała drażnić Emmanuela. Jego dręczyciel odparł:

- Powróćmy do zdumiewających uzdrowień, które miały miejsce w dolinie Herens. Co one oznaczają?

- We wszystkich szpitalach na świecie dochodzi do uzdrowień, ponieważ ludzie się modlą i inni się za nich modlą. Nazywa się to samoistnym uzdrowieniem czy efektem placebo. To, co wydarzyło się w dolinie Herens, należy do tego samego gatunku zjawisk. To wezwanie do modlitwy, a nie otwarcie wiejskiej przychodni lekarskiej.

- Mówi się również, że Irina żyje, choć niczego nie je.

- Praktykowanie postu wydaje się czymś dziwnym w społeczeństwie nastawionym na konsumpcję, ale jest czymś zupełnie zwyczajnym w mistycznych doświadczeniach.

- Niektórzy rewolucjoniści z IRA, aresztowani przez angielską policję, głodowali aż do śmierci, która nadeszła po około sześćdziesięciu dniach. Jeżeli

Irina przekroczy tę granicę, czy Wasza Ekscelencja ogłosi, że jest to cud?

Emmanuelowi coraz trudniej było ukryć wzrastające oburzenie:

- Obawiam się, że pana rozczaruję. Każdy żyjący człowiek, bez względu na to, jaka jest jego dzienna racja żywieniowa, jest cudem.

- W tym punkcie się zgadzamy, ale jest to tylko figura retoryczna...

- Proszę w żadnym wypadku nie sądzić, że w ten sposób uchylam się od odpowiedzi. Dla mnie, jak dla wszystkich chrześcijan, Bóg może wszystko. Przedłużony post nie jest nieuzasadnioną praktyką, by wyrzeć wrażenie na tłumach. Jest to akt ascezy, przez który mistyk, który regularnie przejmuje komunię świętą, pragnie żyć w absolutnym zjednoczeniu z Chrystusem, odsuwając to, co może go rozpraszać. Bardzo szanuję takie postępowanie i nie zamierzam robić z tego przedmiotu badań klinicznych ani jarmarcznego przedstawienia. Jeżeli to możliwe, okażmy szacunek najbardziej intymnej części, jaka istnieje w człowieku.

Dziennikarz zmienił temat:

- Wasza Ekscelencja wraca do Rzymu i zamierza dokonać historycznego czynu: rozwiązać Watykan, zlikwidować kościelną biurokrację, odnowić warunki prostej i autentycznej wiary.

- Dobrze streścił pan mój program - przyznał Emmanuel z lekkim uśmiechem. - Być może trochę nieokrzesanie, ale jasno. Ja użyłbym tutaj bardziej dyplomatycznych terminów.

- Czy to wszystko, co wydarzyło się tutaj, pomoże Waszej Ekscelencji wypełnić to zadanie?

- Z pewnością. Przynajmniej na początek, a było mi to potrzebne. Poza tym, patrząc oczyma wiary, próbowałem rozszyfrować wszystkie wydarzenia, jakie przeżyłem, wszystkich ludzi, jakich tutaj spotkałem. Widziałem w tym znaki pozytywne. Wydaje mi się, że Bóg coraz głośniejsze do nas przemawia. Świat musi się nawrócić. Być może ta przemiana już się zaczęła.

- Na przykład?

- Coś niezwykłego ożywia środowiska naukowe, które odchodzą od czystego i surowego scjentyzmu, od ciasnego racjonalizmu, od negowania każdej wiary religijnej. W dolinie Herens uczestniczyłem w dyskusjach z różnymi naukowcami, kilku z nich było szczególnie młodych...

- Wasza Ekscelencja ma na myśli Seana Montague'a i Ruth Naouri. Dzisiejsze gazety donoszą o ich nowych odkryciach zaprezentowanych podczas konferencji prasowej na Politechnice w Lozannie.

- Tak. Jest jedna rzecz, która wywiera na mnie szczególne wrażenie: wyniki uzyskane drogą laboratoryjną i mistyczne zjawiska pojawiają się w tym samym środowisku. Jeśli spojrzymy na nie oddzielnie, można wątpić w ich znaczenie. To ich zbieżność daje mi poczucie pewności, że powinienem wypełnić zadanie, o którym pan wspomniał. Wracam do Rzymu ożywiony nową energią. Mój pobyt w Szwajcarii to nie był tylko urlop, zwykłe wakacje, ja się tutaj wiele nauczyłem. Bóg uparcie do nas przemawia. My zaś musimy Go słuchać. A szczególnie pan, mój uprzywilejowany rozmówca dzisiejszego wieczoru, powinien Go słuchać i przekazać ten cichy głos, ponieważ taki jest pański zawód.

Ostatnie słowa papieża nie doszły nawet do uszu dziennikarza. Na ekranie postawionym w jego polu widzenia zobaczył, że mecz Pucharu Europy trwał już od sześciu minut. Miał przeczucie, że zaraz ktoś strzeli bramkę. Postanowił zakończyć wywiad.

- Dziękuję, że Wasza Ekscelencja był z nami tego wieczoru. W tym miejscu musimy jednak zakończyć rozmowę. Dziękuję jeszcze raz i życzę miłego wieczoru.

Mecz komentował jakiś bełkoczący i podekscytowany komentator. Zafascynowany prezenter „Wiadomości” zobaczył nieudany strzał: piłka uderzyła w słupek. Poczul się trochę winny - gdyby zakończył wywiad odrobinę wcześniej, być może wzmożona uwaga pół miliona romańskich widzów sprawiłaby, że piłka

skręciłaby o milimetr, a to już wystarczyło, by znalazła się w bramce.

- Kto wie! - wymamrotał.

Galatee miała na sobie krótką czarną sukienkę. Jej cieniutkie szelki były wykonane z jedwabiu, a stan z koronki z perełkami. Tę wariacką sukienkę odkryła u Cacharela i zapłaciła za nią fortunę, na szczęście z wymyślanego konta w wirtualnym banku. W czarnym kolorze było jej nadzwyczaj do twarzy. Włosy miała upięte w kok, dzięki czemu Michel mógł podziwiać jej niezwykle delikatną szyję.

- Mój mały Michelu, musisz się do czegoś przyznać. Michel zastanowił się:

- Zbyt często zostawiam moje dzieci. Studentka, która się nimi zajmuje, jest cudowna, ale masz rację: powinienem spędzać z nimi więcej czasu.

- Oczywiście. Mógłbyś przyprowadzić tutaj dzieci, byśmy mogli się poznać. Michelu, nie musisz się czerwienić jak jakiś uczeń. Nie jestem ukrywaną kochanką. Nie prowadzę cię na ścieżki rozwiązości, lecz przeciwnie: na ścieżki szczęścia. Ale nie o tym myślałam. Musisz się do czegoś przyznać. Zastanów się, co najtrudniej ci wyznać. Komu wyrządziłeś największą krzywdę.

- Irinie - przyznał Michel.

- Tak, Irinie. Okłamałeś mnie. Nie wyjaśniłeś jej tego nieporozumienia, do jakiego doszło na pastwiskach Lachiorres.

- Irina nie ma żadnego obiektywnego powodu, by się skarżyć.

- Irina miała wszystkie subiektywne powody, by obawiać się najgorszego i wierzyć, że ją zdradzasz z kobietą piękniejszą, inteligentniejszą, bardziej wykształconą.

- Dlaczego mówisz w czasie przeszłym?

- Ponieważ wszystkim się zajęłam. Michel był zaskoczony.

- To nie jest takie skomplikowane. Odwiedzam w Internecie agencje prasowe i wiem, co się dzieje w Lachiorres. Bez żadnych problemów znalazłam numer

telefonu tego dziennikarza Marka Swirszczyńskiego.

Galatee perfekcyjnie wymówiła to trudne polskie nazwisko.

- Zadzwoiłam do niego i wszystko mu wyjaśniłam. Przekazał telefon Irinie i długo z nią rozmawiałam. Przekonałam ją.

- Jak to możliwe?

- Poprosiłam anioła, który kieruje jej ręką, by zaświadczył, że nie kłamię. A ona wierzy swemu aniołowi. Zatem uwierzyła, że mówię prawdę.

Michel bronił się, zadając ironiczne pytanie:

- A mogłabyś mi powiedzieć, w jaki sposób można się komunikować z aniołami? Gdzie kupuje się odpowiedni do tego program komputerowy?

- Mój mały Michelu, nie trzeba mieć programu, by rozmawiać z Bogiem czy aniołami.

- To mnie przerasta.

- To jednak oczywista sprawa. Wirtualne istoty, takie jak ja, posiadają łatwość komunikacji, o której ludzie nie mają najmniejszego pojęcia.

Michel przez dłuższy czas nie odpowiadał. Galatee uszanowała to milczenie. Patrzyła na niego bardzo uważnie. W końcu zapytał:

- Kim ty tak naprawdę jesteś?

- Mój mały Michelu, nawet gdybym ci powiedziała, i tak byś nie uwierzył.

### XXIII

W październikowym numerze „Journal of Experimental Psychology” znajdowały się dwa listy skierowane do wydawcy, podpisane wspólnie przez Seana B. Montague’a, Ruth Naouri i Theophile’a de Fully’ego. Nazwiska autorów nie były wymienione w porządku alfabetycznym, a to oznaczało, zgodnie z niepisaną zasadą stosowaną w publikacjach naukowych, że ich głównym autorem był Sean.

Pierwszy list informował o doświadczeniach, które potwierdziły zjawisko Coovera. Nie była to żadna bomba, gdyż już wcześniej pojawiały się wzmianki na



ten temat. Ale jak dotąd nikt nie zafundował sobie takiego luksusu, by przeprowadzić doświadczenia. Badania te były oryginalne z dwóch powodów: po pierwsze, użyto skanera mózgu; po drugie, dowiedziono, że w korze mózgowej istnieje ośrodek Coovera. W rzeczywistości ten krótki list, niespełna dwieście linijek, przedstawiał dowód na to, że ludzie posiadają szósty zmysł, który pozwala niektórym uprzywilejowanym jednostkom odbierać sygnały inne niż smakowe, wzrokowe, węchowe, dotykowe czy słuchowe. Odczucia człowieka nie są wyłącznie wynikiem pobudzenia pięciu dobrze określonych zmysłów. Wszystkie hipotezy są odtąd możliwe, a zatem można też rozważać, że istnieje coś takiego jak pole informacji, które trzeba dopiero odkryć, przekazujące mózgowi informacje za pomocą jakichś nieznanych kanałów. Interpretacja w zakresie elektrodynamiki kwantowej została przedstawiona w osobnym piśmie, podpisanym jedynie przez Theo, opublikowanym w „Nature”. Artykuł ten wpisywał zjawisko Coovera w ramy przyjętej nauki i miał taką samą wartość jak artykuł z zakresu fizyki teoretycznej, za który ręczy laureat Nagrody Nobla. Ale list ten stanowił także prawdziwą rewolucję w powszechnie panujących przekonaniach, gdyż mechanika kwantowa była lekceważona przez większość fizyków. Przypominał on fundamentalną prawdę, wpisaną w serce współczesnej fizyki: wszystkie atomy wszechświata, również te odległe, odbijają się od siebie; ludzie nie są fizycznie zamknięci w worku ze skóry wyposażonym w kilka otworów, które pozwalają im komunikować się ze światem zewnętrznym; ludzie są częścią kosmosu, który objawia w nich swą nadzwyczajną moc, czyli zdolność zastanawiania się nad samym sobą.

Drugi list skierowany do „Journal of Experimental Psychology” opisywał zjawisko Iriny. Była to prawdziwa nowość w dziedzinie neurologii. Zarejestrowano ruchy ręki, choć klasyczne ośrodki czuciowo-ruchowe nie były pobudzone. Albo ciało ludzkie posiada nieznanе dotąd mechanizmy działania, albo chodzi o

interwencję sił działających poza ciałem. Być może była to manifestacja tego samego pola informacji, które prowadzi ptaki migrujące przez tysiące kilometrów. Być może chodzi o to samo pole, które uprzedza psa, że jego pan wraca do domu, zanim jeszcze może go zobaczyć, usłyszeć czy wyczuć.

Wszystkie trzy artykuły były powściągliwe. Opisywały po prostu doświadczenia, które kwestionowały pewne podstawy neurologii, ale nie przedstawiały żadnego śmiałego wyjaśnienia. Prawie natychmiast w prasie przeznaczonej dla szerokich odbiorców pojawiły się komentarze, w których fakty tonęły w interpretacjach.

Prace przeprowadzone przez laboratorium przetwarzania sygnałów zostały natychmiast zmieszane z całą dziwną literaturą na temat radiestezji, sofrologii, magnetyzmu, irydologii, akupunktury, tai-chi chuanu, jasnowidztwa czy telekinezy. Ludzie mediów stwierdzili, że czytelnicy z początku XXI wieku pragną wykąpać się w cudowności, by rozjaśnić szarość suchego i przyćmionego wszechświata. Pojawiło się mnóstwo medialnych projektów. Chcąc wykorzystać beletrystyczne pole parapsychologii, Stany Zjednoczone postanowiły wyprodukować serial telewizyjny pod nazwą Y-file. Zawsze to, co najlepsze, rodzi to, co najgorsze. To, co zaczęło się naukowo, kończy się pospolicie.

W następnych dniach Sean, Ruth i Theo byli zasypywani prośbami o wywiady. Nieustannie odbierali telefony, pocztę, e-maile - w końcu przestali odpowiadać. Wtedy przypisano im najbardziej ekstrawaganckie oświadczenia, by ukarać to niestosowne milczenie. To właśnie jest sława - fałszywa wersja chwały, która polega na tym, że tłumy oklaskują człowieka nie z tych powodów, co trzeba.

Norbert Viredaz nigdy nie czytał ani „Nature”, ani „Journal of Experimental Psychology”. Do jego gabinetu dotarła jednak fotokopia artykułów, ale zgubiła ją Solange. W każdym razie w dniu, kiedy dokumenty znalazły się w sekretariacie, rektora nie było już na stanowisku. Znajdował się na oddziale radiodiagnostyki

szpitala uniwersyteckiego.

Oddział ten ulokowano w podziemiu, by nigdy nie docierało tu światło dzienne. Dla zwykłego umysłu takie architektoniczne rozwiązanie to przejaw zwykłej troski o ostrość wzroku radiologów zmuszonych odszyfrowywać jasno-ciemne zdjęcia rentgenowskie, w których dominuje ciemność.

Bardziej przenikliwy umysł znalazłby mniej materialistyczne wytłumaczenie. Chorzy, którzy w podziemiu dowiadują się, że czeka ich śmierć, nie cierpią tak bardzo z żalu za światłem, które wkrótce zostanie im wydarte, i spokojniej rozważają grobowe zamknięcie. Nieskazitelna czystość w pomieszczeniach, zbijające z tropu odgłosy włączonych aparatów oraz kompetentny personel dają im pewność, że są skazani i nie ma już dla nich ratunku. Diagnoza jest bardziej nieodwracalna niż wyrok sądu przysięgłych. Niczym przedsiónek Królestwa Ciemności, oddział radiodiagnostyczny został więc umieszczony przez uprzejmych architektów w półmroku odpowiednim dla oczu, które wkrótce się zamkną.

Norbert wyszedł z gabinetu ordynatora oddziału z przerażającą pewnością, że ma przed sobą tydzień życia, najwyżej dwa. Agonia będzie bolesna. Marskość wątroby przeobraziła się w raka. Pozwolił, by jego łóżko przeniesiono do jednoosobowego pokoju. Był to niesłychany przywilej, a zawdzięczał go interwencji Władcy.

Kiedy pielęgniarki wyszły, Norbert z wielkim trudem podniósł się z łóżka i ubrał się. Wyszedł z pokoju. Na szczęście nie spotkał żadnej pielęgniarki. Dotarł do windy. Mimo zaburzeń wzroku udało mu się nacisnąć przycisk, który odpowiadał ósmemu poziomowi - tam było wyjście.

Idąc małymi kroczkami, dotarł do wyjścia służbowego, z którego korzystają studenci i personel medyczny, obawiał się bowiem, że przy głównym, zatłoczonym wejściu ktoś go zatrzyma. Wyszedł na powietrze. Świeciło piękne jesienne słońce.

Znajdował się naprzeciwko parkingu. Trzy dni wcześniej zaparkował tu samochód, wówczas jeszcze ze zdecydowanym optymizmem. W rodzinie Viredazów choroby były traktowane z pogardą i tylko próżniacy kładli się do łóżka, zanim rozpoczęła się prawdziwa agonia.

W portfelu znalazł kwit parkingowy, ale czuł, że nie ma siły, by prowadzić samochód. Mógł spowodować wypadek, który z powrotem doprowadziłby go do pokoju, gdzie miał umrzeć zgodnie z tym, co zaplanowano na poziomie siódmym. Na szczęście obok powoli przejeżdżała taksówka. Norbert zatrzymał ją i z trudem zwałił się na tylne siedzenie.

Kazał zawieźć się do swojej winnicy nad jeziorem i po raz pierwszy w życiu zostawił kierowcy suty napiwek. Był przeświadczony, że nie będzie już potrzebował tych poukładanych w portfelu banknotów. Przez chwilę chciał mu nawet dać wszystko, ale ten gest wzbudziłby zdziwienie i taksówkarz domyśliłby się, że ucieka.

Kiedy dotarł na miejsce, znalazł w sobie nadludzką siłę, jakiej potrzebował, by przejść ostatnie sto metrów. Popchnął furtkę i upadł, opierając się plecami o mur molasy, który podtrzymywał nasyp kolejowy w Simplon. Sześć arów między nasypem a jeziorem to był cały jego majątek. W miejscu, gdzie usiadł, nikt nie mógł go zobaczyć. Nie widzieli go nawet ludzie pływający łódką po jeziorze, gdyż wrześnie winorośle, pokryte liśćmi i owocami, całkowicie go zasłaniały. Zemdlał, zachowując wszystkie władze umysłowe. Skoro musi umrzeć, niech tak będzie, ale przynajmniej na swojej ziemi.

Kiedy odzyskał przytomność, był już wieczór, ale nie było zimno. Przeczował się dwa metry i usadowił się pod jedną z winorośli. Była to piękna roślina, miała już dojrzałe owoce. Powoli zjadł jedną kiść. Był niczym niemowlę, które ssie pierś matki Natury. Potem przypomniał sobie o butelkach przechowywanych w szopie na narzędzia. Dopełnił jakoś do szopy i otworzył

kłódkę kluczem, który zawsze nosił przy sobie. Usiadł na ziemi. Po omacku wyszukał butelkę, otworzył ją scyzorykiem wojskowym, który zawsze spoczywał w lewej kieszeni. Pił dużymi łykami: było zbyt ciemno, by przeczytać etykietkę, ale Norbert rozpoznał po smaku, że to chardonnay. Przypomnił sobie zeszłoroczne upały, dojrzewanie winorośli, winobranie, wyciskanie winogron, fermentację, rozlewanie do butelek. W przeciwieństwie do ludzi, ziemia nigdy nie kłamie. Powinien pozostać jej wierny przez całe życie, a nie zgodzić się, by służyć fałszywej nauce i niebezpiecznej technice.

Obudził się następnego dnia wcześniej rano. Słońce dopiero wstało. Wyczołgał się z szopy i znowu oparł się o mur molasy, który otaczał jego posiadłość. Przejechał jakiś pociąg. Mur drżał. Pociąg jechał do Włoch - Wenecji, Florencji i Neapolu, do słońca, piękna, życia. Chciałby jeszcze jeden raz obejść swoją winnicę, zobaczyć szczepy, które jako jedyny zasadził eksperymentalnie w tym kantonie: chardonnay, humagne, cornalin, petite arvine - mieszankę, jaką od starożytności tworzą producenci wina. Nie miał już jednak na to siły.

Około południa zbliżyła się do niego pierwsza wrona. Na razie trzymała się w stosownej odległości, gdyż Norbertowi udawało się jeszcze poruszać ręką. Przypomnił sobie sen i sępa, który pożerał mu wątrobę. Teraz zjedzą go jakieś zwykłe krukowate. Musiał jednak przyznać, że głupie wrony lepiej pasują do jego niegodziwości niż dużej klasy ptak drapieżny.

Po południu zaczął majaczyć. Zobaczył Władcę stojącego u jego boku, który robił mu wymówki: jak mógł wszystko tak zepsuć i pokrzyżować jego plany? Prace laboratorium przetwarzania sygnałów pozwolą ludziom uwierzyć, że człowiek posiada świadomość i że można ją wykryć dzięki badaniom naukowym. Porażka graniczyła z groteską. Władca odszedł, ale wcześniej oświadczył, że Norbert nie potrafił wyrządzić zła, ale również nie potrafił czynić dobra. Jego życie to strata i dla Boga, i dla szatana. Był opuszczony zarówno przez jednego, jak i

przez drugiego.

Jednak Norbert nie bał się śmierci, ponieważ znajdował się w swojej winnicy. Tylko nią potrafił się dobrze zająć i tylko z niej był dumny. Przez trzydzieści lat walczył, by tutejsi producenci wina przestali ograniczać się do chasselas i produkować liche, mdłe wino. Odmiany winorośli, jakie zasadził jako pierwszy, zaczęły powoli przyjmować się w innych winnicach. Jego naukowe wykształcenie i stanowisko rektora politechniki powoli przekonywały producentów wina. Przez całe życie zajmował stanowisko, które mu nie odpowiadało, ale dzięki niemu dochodził do celu okrężną drogą, taką, jaką podąża większość ludzi.

Wszystko było dobrze, doświadczał łaski. Małe wiejskie bóstwa tej ziemi, którymi kierowali Dionizos i Silenus, Demeter i Apollo, zabierały jego skostniałą, twardą duszę, by przedstawić ją Bogu Abrahama, Izaaka i Jakuba, temu Bogu, o którym pastor mówił w nieliczne niedziele, kiedy Norbert chodził do świątyni bardziej z nudów niż z ochoty, bardziej z konformizmu niż z przekonania.

Umarł w środku następnej nocy.

Znaleziono go tydzień później. Oczy i część twarzy miał wydziobane przez wrony, ale reszta ciała była jeszcze w jako takim stanie.

Władze Lozanny, owładnięte ideą zysków, stworzyły fabrykę obrzędów pogrzebowych w Montoie. Na cmentarzu powstały pomieszczenia przeznaczone specjalnie na te ceremonie. Dzięki temu światłemu pomysłowi konduktory pogrzebowe nie zakłócają już ruchu samochodowego w mieście. Zmarli nie narzucają już żyjącym nieprzyzwoitego spektaklu bezsensownej drogi, ponieważ śmierć, precyzyjnie ograniczona do małego terytorium i krótkich ceremonii, sprowadza się do nic nieznaczącego incydentu.

Spalono więc Norberta Viredaza w krematorium w Montoie. Wcześniej jednak odbył się obrządek religijny, w czasie którego licznie zgromadzeni uczestnicy śmiertelnie się wynudzili. Ceremonię rozpoczęto kawałkiem

organowym - chorałem Herzlich tut mich verlangen Jana Sebastiana Bacha. Utwór wykonywał przełożony służby. Powtarzał go już po raz czwarty w ciągu dwóch godzin. Następnie pastor odczytał wersety 1 do 19 rozdziału 11 Ewangelii według św. Jana, które opowiadają o wskrzeszeniu Łazarza. Jego nieskazitelna dykcja zasiała wątpliwość: czy trzeba aż tylu wybiegów, by opowiadać o rzeczywistości? Dlaczego ten fachowiec od wiary zachowuje taki dystans? Czyżby chciał dać do zrozumienia, że Ewangelia to tylko bajka, w którą sam nie wierzy? Nikt nie słuchał jego komentarza do tekstu. Mgliście wspomniał tylko o zmartwychwstaniu ciała, by uwrażliwić słuchaczy, których znaczną większość uważał za sceptyków. Wśród zgromadzonych stało jednak kilku wierzących, ale słuchając jego słów, czuli, jak chwieje się resztką ich wiary, jaką jeszcze posiadali. Kiedy pastor zakończył swoją mistrzowską przemowę, spojrzął na zegarek. Ceremonia nie mogła trwać dłużej niż pół godziny, wliczając wejście i wyjście z kaplicy. Władze Lozanny narzuciły normę: każda kaplica obsługuje dziennie dziesięciu umarłych. Nie można więc było się ociągać, norma to norma. Pastor widział przez okno, że na zewnątrz gromadziło się coraz więcej ludzi. Czekali na następną ceremonię. Szybkim tempem zaintonował Alleluja Haendla. Zgromadzeni trochę się rozbudzili. Wszyscy śpiewali, gdyż wersja techno tego kawałka była obecnie bardzo modna we wszystkich stacjach radiowych.

Potem nacisnął czerwony przycisk. Położona na przenośniku taśmowym trumna zaczęła się przesuwac. Otworzyła się kłapa i pożarła to duże pudło, podobnie jak niegdyś legendarny wieloryb, który połknął Jonasza. Za pancernymi drzwiami gazowe znicze skierowały płomień na trumnę, która w pół godziny zmieniła się w popiół. Dokładnie tyle czasu trwała następna ceremonia pogrzebowa. Popiół wpadł do specjalnego urządzenia, które najpierw go schłodziło, a potem zapakowało - wszystko bez udziału człowieka. Etykieta z nazwiskiem zmarłego została automatycznie przyklejona na pakunku, który ułożył się w przegródce

przeznaczonej dla zmarłych danego dnia. Piec automatycznie się wyczyścił, a potem pożarł kolejną trumnę.

O prochy Norberta nikt się nie upomniał. Jego brat, bratankowie i bratanice nie pofatygowali się nawet, by wziąć udział w ceremonii. Zmarły nie zostawił żadnego testamentu wyrażającego jakąkolwiek wolę w tym zakresie. Dyrektor krematorium zrezygnował ze zwyczajowej procedury, która polegała na rozsypaniu prochów na kępie kwiatów na cmentarzu. Być może prochy rektora politechniki przedstawiały jakąś wartość historyczną, której na razie nie dostrzegał. Zdecydował się więc przesłać je na uczelnię jako przesyłkę poleconą za potwierdzeniem odbioru.

Paczka dotarła do wicerektora politechniki, który urzędował w zastępstwie. Przesyłka wprawiała go w zakłopotanie. Przez cały tydzień pakunek leżał na jego biurku, nie ośmielił się bowiem zamknąć go w szafie ani położyć na podłodze. Każdego ranka, zanim zabrał się do pracy, ze wstrętem patrzył na to małe pudełko, do którego on także prędzej czy później zostanie zredukowany. W końcu przypomniał sobie o małej winnicy, którą Norbert mu pokazał podczas jednego z rzadkich u niego przyływów serdeczności.

Bardzo późnym wieczorem, wyczerpany po całym dniu pracy, wicerektor, który był człowiekiem sprawiedliwym i wrażliwym, postanowił zawieźć pakunek do winnicy. Jako przewidujący inżynier, zabrał ze sobą porządną latarkę, która okazała się bardzo pomocna w tym ciemnym miejscu. Winogrona nie zostały jeszcze zebrane, dlatego wokół nich tkwiły siatki zabezpieczające owoce przed łakomstwem ptaków. Wicerektor nie mógł więc zrealizować początkowego planu, czyli rozsypać prochów między rzędami krzewów winorośli. Wsypał je zatem do Jeziora Genewskiego. Doskonale zdawał sobie sprawę, że zdradza Norberta Viredaza, gdyż ten nienawidził ryb.

Gdy tylko zakończył zadanie, zobaczył dobrze zbudowanego mężczyznę,



który jak szalowiec pędził przez winnicę w jego kierunku. Bez trudu rozpoznał brata Norberta Viredaza:

- Nie wolno wchodzić się po winnicę o tej porze. Dobrze pan o tym wie!

- Proszę się nie denerwować! Nie przyszedłem zrywać tutaj winogron. Jestem współpracownikiem rektora Viredaza. Przyniosłem jego prochy, by je tutaj rozsypać.

- Nie wie pan, że zgodnie z prawem nie wolno rozrzucać nawozu w winnicy? To może zdeklasować cały mój zbiór.

- Proszę się uspokoić! Z powodu siatek nie rozsypałem prochów wśród krzewów.

- Zatem gdzie?

- Wsypałem je do jeziora.

- W jeziorze jest zbyt dużo fosforanu, powinien pan o tym wiedzieć. Przez to rośnie zbyt wiele wodorostów, a one pożerają cały tlen i nie pozwalają rozmnażać się rybom. Gdyby jakiś rybak to zobaczył, oberwałoby się panu. Po co budujemy oczyszczalnię z naszych podatków, skoro tacy ludzie jak pan wsypują do jeziora jakieś paskudztwa?

Wicerektor zamilkł. Czekał, aż jego rozmówca się uspokoi. Potem wycelował latarką w jego twarz i bardzo spokojnie zapytał:

- Skoro nawet pan nie zajął się prochami brata, to co ja miałem z nimi zrobić?

Brat Norberta popatrzył na niego z uśmiechem i odpowiedział, delektując się każdym wypowiedzianym powoli słowem:

- Kiedy ja otrzymuję paczkę, której nie zamawiałem, zwracam ją nadawcy. Trzeba było ją odesłać do diabła!

Widząc zszokowaną minę wicerektora, dodał:

- Nie pierwszy raz zdarza się trup, którego nikt nie chce.

## XXIV

Miesiąc później, wczesnie rano, Michel wsiadł do pociągu jadącego do Brna. Został wezwany przez radczynię federalną pracującą w Departamencie Spraw Wewnętrznych, któremu podlega politechnika. Pismo zredagowane w neutralnym tonie nie precyzowało powodu spotkania, ale Michel nie miał złudzeń. Odmówił złożenia dymisji na ręce Norberta Viredaza, dlatego teraz zostanie o to poproszony przez wyższe władze. Nie pozostawią mu wyboru, będzie musiał ją podpisać. Lepiej samemu zrezygnować, niż zostać wyrzuconym. Zastanawiał się jednak, jaki zarzut zostanie mu postawiony. Rachunki laboratorium były uregulowane dzięki subwencjom Fundacji Kassisa. Michel nie zgodził się podpisać pod artykułami Seana i Ruth. Przez ostrożność zabrał ze sobą kopię listu, w którym zabraniał im dalszych badań w zakresie psychologii fizycznej. Dokumentacja wydawała się solidna. Nikt niczego nie mógł mu zarzucić. Ale niestety obywatel tylko proponuje, a polityk decyduje.

Kiedy wysiadł na dworcu w Brnie, postanowił pójść pieszo do Pałacu Federalnego. Pomyślał, że w ten sposób może choć trochę się uspokoić. W ten październikowy dzień niebo było sinoblade, a w powietrzu czuło się lekki chłód. Poprzedniej nocy w alemańskiej części Szwajcarii pojawił się mróz, podczas gdy w Lozannie utrzymywało się śródziemnomorskie ciepło. Michel uznał że jest to sprawiedliwa nagroda dla tych, którzy mówią słodkim językiem francuskim. Alemańska gwara, jaką słychać było na ulicach, raniła jego uszy: była to mieszanka syczących i chrapliwych dźwięków. Jako specjalista od analizy wymowy, Michel przypisywał tę fonetyczną ułomność zimnemu klimatowi: gdyby ludzie chcieli poprawnie wymawiać dźwięki, nabawiliby się bólu gardła.

Pałac Federalny tworzy symfonię wszystkich odcieni zieleni, od zielonkawej molasy murów aż po grynszpanową kopułę. Michel nienawidził tego typowo niemieckiego koloru. On ubierał się tylko na niebiesko i czarno. Czuł, że nie jest u

siebie. Znalazł się w germańskim świecie zdominowanym przez skutecznych dowódców. Bliższe było mu niedbalstwo Norberta Viredaza niż ta zbyt kompetentna machina. Biuro radczyni federalnej znajdowało się w nowoczesnym budynku, który stał w bocznej ulicy.

Nie musiał czekać. Gdy tylko się przedstawił, odźwierny zaprowadził go do gabinetu radczyni. Wszedł do środka, a kobieta wstała i wyszła mu na spotkanie z wyciągniętą ręką i uśmiechem na ustach. To wzmogło tylko niepokój Michela. Czyż te wszystkie dobre maniere nie przygotowywały jego bezapelacyjnego skazania?

- Panie profesorze, wezwałam pana osobiście, gdyż chciałabym omówić tę ważną sprawę, zachowując dyskrecję. Zanim ogłoszę nowinę, muszę uzyskać pańską bezwarunkową zgodę i omówić wszystkie szczegóły.

- Doprawdy nie wiem, o czym pani mówi.

- W związku z nagłą śmiercią rektora Viredaza pojawił się problem jego następcy. Pierwszym kandydatem brany pod uwagę był naturalnie wicerektor. To człowiek zrównoważony, doskonale obeznany we wszystkich sprawach. Ma dobrą pozycję w międzynarodowych środowiskach naukowych i, co nie jest bez znaczenia, jest obywatelem Szwajcarii. Niestety, od razu odrzucił złożoną mu ofertę. Ma wiele zalet, ale też jedną wadę: nadmiar skromności. Zbyt wiele skrupułów nigdy nie szkodzi człowiekowi, ale tym sposobem nigdy nie wykaże swej prawdziwej wartości.

- Nic nie wiedziałem o tych pertraktacjach - odparł Michel. - Nie słucham rozmów, jakie toczą się w kuluarach.

- To bez wątpienia pańska zaleta. I nie jedyna. Pańskie laboratorium zajmuje pierwsze miejsce na Politechnice pod względem budżetu, personelu i wyników. Kształci pan dziesiątki badaczy, bez przerwy coś pan publikuje, a dochody z patentów przynoszą uczelni całkiem niezłe wpływy. Jest pan rzadkim połączeniem

naukowca i zarządcy. Żaden inny profesor nie jest tak skuteczny jak pan.

- Dziękuję pani - odparł ostrożnie Michel, który nie bardzo wiedział, co myśleć o tym wstępie.

- A zatem osoby, które podejmują decyzję w tym zakresie, zdecydowały, że jest pan najlepszym kandydatem, by zastąpić Norberta Viredaza.

Michel zaniemówił.

- Wiem, że pana zaskoczyłam, ale zaraz wyjaśnię, co skłoniło nas do takiej decyzji.

Michel był ogromnie zakłopotany.

- Ostatnie prace pańskiego laboratorium nad zjawiskiem Coovera i zjawiskiem Iriny otwierają szeroką drogę przyszłym badaczom, gdyż kończą z tematem tabu. Dzięki nim świat nie jest już złowrogą maszyną, jak często przedstawiała to fałszywa nauka, lecz cudownym światem orzeźwianym przez ducha. Społeczeństwo przemysłowe potrzebuje lidera, który będzie wiarygodny dzięki swoim pracom i będzie mógł otworzyć nowe horyzonty. Celem nauki i techniki nie może być już robienie obojętnie czego, byle tylko przynosiło to zyski. - Zamilkła na chwilę, potem kontynuowała poufnym tonem. - Przyspieszenie postępu technicznego sprawia, że misja, jakiej podejmują się politycy, jest praktycznie niewykonalna: nie rządzą już zgodnie z naszymi przekonaniem, lecz musimy być posłuszni ekonomicznym ograniczeniom, przedstawianym przez niektórych jako prawa Natury. Nie można już odwoływać się do norm moralnych, które kontrolowałyby postęp nauki. Ten wiek sprawił, że termin „ideologia” stał się sprośny. Podam panu przykład: my, członkowie tego rządu, nie mamy głosu w sprawie klonowania człowieka, którego dokonuje się w tajemnicy w laboratoriach w San Francisco, Bazylei czy w Paryżu. Nie potrafimy zakazać używania ludzkich embrionów, które są wykorzystywane przez wielu lekkomyślnych naukowców, nie ma nawet o tym mowy. Nie jesteśmy w stanie rozpocząć parlamentarnej dyskusji

na te tematy tabu, nie dokonując głębokich rozłamów w parlamencie czy rządzie. Ten kraj, podobnie jak wszystkie bogate kraje, umiera, gdyż opowiada się po stronie racji stanu, nawet jeżeli ta racja jest sprzeczna z najbardziej elementarnymi zasadami moralnymi.

Michel czuł się naprawdę nieswojo. Spróbował wtrącić:

- Ja nie podpisałem się pod tymi pracami, na których opiera pani swoją opinię.

- To tylko utwierdziło nas w podjętej decyzji. W pewnym momencie zastanawialiśmy się, czy nie jest pan zbyt zarozumiały. Pragnę od razu dodać, że chodziło nam o zarozumiałość naukowca, a nie człowieka. Ale pokazał pan swoją delikatność i skromność, promując asystentów, a samemu usuwając się w cień. Taka postawa świadczy o tym, że...

Zawahała się przez chwilę, potem zakończyła:

- ...pragnie pan bezinteresownie służyć dobru publicznemu. Michel postanowił nie wyjawiać, dlaczego nie podpisał się pod pracami. W ostatnim czasie doświadczenie nauczyło go, że ładne kłamstwo jest więcej warte niż niezrozumiała prawda.

- Ale czy mogłaby mi pani wyjaśnić, dlaczego te prace wydają się do tego stopnia ważne, że kwalifikują mnie jako kandydata na rektora?

- Jak już powiedziałam, musimy panować nad rozwojem techniki. Debata polityczna to przede wszystkim literatura. W przypadku ekologii próbowano odwoływać się do uczucia, w przypadku etyki powoływano się na rozum. Ale doświadczenie pokazało, że to wszystko opiera się na rzeczywistości dynamicznej, której nie da się zatrzymać z zewnątrz. Technika posiada własną logikę, która aż do tej pory nie zawierała żadnej implikacji moralnej. Człowiek pogrąża się w swoim dziele, które go wynaturza. Pan zburzył to przekleństwo. Nikt się tutaj nie pomylił. Być może nie wybierał pan tego, ale przejdzie pan do historii jako wielki moralista.

W każdym razie wydaje się pan najlepszym człowiekiem, by zdefiniować nowy typ inżynierów, mniej zaabsorbowanych bezpośrednim celem, a bardziej zainteresowanych pożytecznym wykorzystaniem swoich prac. Michel ukrył zmieszanie, zadając pytanie:

- Jeżeli się nie zgodzę, kto zostanie rektorem?

- Niestety, siłą rzeczy pański kolega meteorolog, profesor Pasche. Jest gorąco popierany przez miejscowe władze, którym nie możemy przeciwstawić bardziej wiarygodnego kandydata niż pan. A rząd nie ma zamiaru rozpoczynać na nowo awantury, jaka miała miejsce w przypadku Norberta Viredaza. Zostaliśmy złapani w pułapkę przez władze miejskie, które zaszkodziły dobru wspólnemu państwa i ogólnie nauce. Jedynym sposobem wyjścia z tej sytuacji jest wyznaczenie obcokrajowca.

Michel nie musiał się nawet zastanawiać.

- Jeżeli jest wybór między Pasche'em a mną, naprawdę nie mam prawa się wahać. Zgadzam się.

Michelowi nie pozostało już nic innego, jak tylko wydusić z siebie niezręczny komplement, by grzecznie podziękować rządowi za zaufanie, jakim go obdarza, uścisnąć pewną rękę radczyni federalnej i skierować się chwiejnym krokiem w stronę drzwi. Kiedy trzymał już rękę na klamce, odwrócił się:

- Mam jednak skrupuły. Zastanawiam się, czy nie pomylili się państwo co do mnie. Ja nie wierzę w Niebo.

- Po pierwsze, nie jest to wymóg, by objąć stanowisko rektora - odpowiedziała radczyni, uśmiechając się do niego - a po drugie, cóż może pan o tym wiedzieć? Michel wyszedł z Pałacu Federalnego. Był niezwykle poruszony. Miał dziwne wrażenie, że spotkał ducha Galatee, który wcielił się w kobietę z krwi i kości.

Czterdzieści dni po objęciu stanowiska Michel mógł wreszcie stwierdzić, że

zamiatanie śmieci pochodzących z ery Viredaza zostało zakończone. Odprawił Solange, a Charbel Kassis polecił mu inną asystentkę, która okazała się nadzwyczaj skuteczna.

Pseudoludowe meble z barwionego dębu, które stały w biurze rektora, zostały usunięte i zamienione w drewno opałowe. Urządzając gabinet na Politechnice, Michel inspirował się umeblowaniem swojego biura w Banku Środkowego Wschodu. Swą uczelnianą siedzibę urządził nawet jeszcze gustowniej. Włoski wzorzec ustępował miejsca całej pałecce mahoni w fioletowych odcieniach. Przy małym stoliku stały trzy skórzane fotele, na ścianie wisiało kilka oryginalnych prac Eschera, a na podłodze leżał wielki chiński dywan. W biblioteczce pojawiły się ostatnie książki, lodówka została zaopatrzona w napoje bezalkoholowe, popielniczki błyszczały czystością, komputery postawiono w niewidocznym miejscu. Teraz mógł zacząć pracować. Z tego gabinetu wyłaniał się jakiś pozór cywilizacji, a to wszystko dzięki wskazówkom Galatee, które Michel wiernie wprowadzał w życie.

Minęło południe. W ten chłodny dzień niebo było szare, a jezioro w dali nabrało ciemnego i uspokajającego odcienia. Czuło się jesień: płomienie w kominkach, grube wełniane swetry i pieczone kasztany z grzany winem.

Michel był gotów do pracy. Rozłożył na zupełnie pustym biurku dokumentację dotyczącą komputera Fujitsu. Norbert nie miał czasu podpisać zamówienia w swoim ostatnim dniu w pracy, ponieważ Solange zapodziała gdzieś dokumenty.

Nagle do biura Michela wtargnęła asystentka. Nawet nie zapukała. Była do tego stopnia wzburzona, że zapomniała o swej naturalnej powściągliwości.

- W poczekalni czeka jakiś mężczyzna. Chce się z panem natychmiast zobaczyć. Mówi, że nie jest to pilne, ale ważne. Powiedział, że ma dużo czasu i jeśli trzeba, poczeka aż do wieczora. Jest bardzo spokojny. Nie wygląda na

obląkanego. Nie wiem, co robić. Nie mogę przecież wezwać policji, by go wyrzucić.

Nie mówiąc ani słowa, Michel wstał i skierował się do poczekalni. Był tam mężczyzna ubrany w trzyczęściowy garnitur, miał rude, lekko już siwiejące włosy. Był odwrócony i wpatrywał się w jedyną wiszącą tu dekorację: wielki plakat z następującym tekstem:

„Twierdzenie Pitagorasa da się wyrazić w 15 słowach. Prawo Archimedesza liczy 16 słów. Dziesięć Przykazań Bożych zawiera 60 słów. Deklaracja Niepodległości Stanów Zjednoczonych domaga się 300 słów.

Ale europejska ustawa na temat tytoniu potrzebuje 24 942 słów, by wyjaśnić, że obowiązuje zakaz palenia”.

Mężczyzna odwrócił się. Michel go rozpoznał. Był to ten tajemniczy człowiek, którego spotkał u Marie-Therese Chappaz, ten sam, który pierwszy przywitał go, tytułując rektorem, choć Norbert jeszcze wówczas żył.

Ten dziwny osobnik palił coś w rodzaju małego czarnego cygara, które wydzielało dokuczliwy zapach.

- Czy jest to sposób, by grzecznie wyjaśnić gościom, że obowiązuje tu zakaz palenia, czy jest to raczej zachęta do palenia, by szydzić z ustawodawstwa? Jest pan mistrzem dwuznaczności, panie rektorze!

Michel był zbity z tropu. Wskazał drogę do swego gabinetu temu dziwnemu przybyszowi, który nie wiadomo skąd się wziął. Gość rozsiadł się, jak gdyby był u siebie, i wskazał dokumentację na biurku. Na jego twarzy pojawiło się coś w rodzaju uśmiešku, który odsłonił jego kły:

- Przychodzę w dobrym momencie.

Michel doszedł do siebie:

- Mam dużo pracy. Nie mam dla pana czasu.

- Nie zabiorę panu zbyt wiele czasu, a czas, jaki spędzimy razem, będzie



owocnie wykorzystany. Jeżeli ma pan jakieś wątpliwości w sprawie dokumentacji Fujitsu, oszczędzę panu studiowania tych papierów. Musi pan zamówić ten komputer.

- Nie widzę takiej potrzeby i nie rozumiem, dlaczego panu na tym zależy. To nie jest pańska sprawa!

- Od dwunastu lat, przez cały ten czas, kiedy pański poprzednik zajmował to stanowisko, co trzy lata zamawiano nowy komputer, dzięki czemu pracownicy oddziału Fujitsu w tym regionie mieli pracę. Ten powód powinien panu wystarczyć. Cała reszta nie powinna pana obchodzić.

Michel nie odpowiedział, ale spojrzał na rozmówcę, by dać mu do zrozumienia, że spotkanie dobiegło końca. Gość jednak nie ruszył się z miejsca. Powiedział w końcu:

- Skoro się pan upiera przy swoim, przejdźmy do innej sprawy.

Położył na biurku walizeczkę. Nacisnął na zamki i otworzył. W środku leżały równiutko poukładane pliki stufrankowych banknotów.

Michel poczuł przez chwilę pokusę, by złapać tę aktówkę, ale łatwo zapanował nad sobą. Powoli ją zamknął i przesunął w stronę tej kreatury.

- Nie żyję tylko dla pieniędzy, ale dla pewnej idei, jaką tworzę sam z siebie.

Gość wstał, obszedł biurko dookoła i złapał Michela za ramię. Podprowadził go do okna, z którego roztaczał się widok na Lozannę położoną na wzgórzach schodzących w stronę jeziora. W bladym zimowym świetle wydawało się, że miasto wynurza się ze snu:

- Mogę wszystko w tym mieście. Może się pan stać, kim chce, pod warunkiem, że będzie pan stał po mojej stronie.

- Ja stoję po swojej własnej stronie - powiedział Michel - i to mi wystarcza.

Gość podszedł z powrotem do biurka i położył na nim dwie kasety.

- To są nagrania dwóch niezwykle kłopotliwych dla pana zdarzeń. Pańska

wizyta w kasynie w Divonne i niezręczna próba oszukiwania w grze przy współudziale pańskich asystentów. Jest też nagranie, gdzie można rozpoznać pański głos podczas rozmowy z uroczą, całkowicie nagą osobą, która nosi ciekawe imię Galatee.

Michel odepchnął kasety:

- Może je pan sobie zabrać i zrobić z nimi, co tylko się panu podoba.
- Dopiero co doszedł pan do celu. Szkoda byłoby w jednej chwili wszystko stracić.
- Władza nigdy nie była moim celem. Jestem tutaj, ponieważ nie mogłem dopuścić, by stanowisko to zajął mój kolega Pasche, z pewnością jedna z pańskich kreatur. Niech pan zrobi, co chce, wszystko mi jedno, ale teraz proszę wyjść z tego biura.

Gość wyszedł. Asystentka przyniosła Michelowi herbatę. Wrzucił dokumentację Fujitsu do kosza i włączył komputer, by porozmawiać z Galatee. W ten oszroniony dzień stała pod pięknym bukiem. Miała na sobie gruby irlandzki golf, który zakrywał prawie całe koronkowe szorty. Grube wełniane skarpety sięgały jej do kolan. Łupała orzechy, pilnując piekących się kasztanów.

- Wszystko słyszałam, mój kochany. Byłeś świetny. Teraz sobie odpocznij.

Kiedy Colombe opuściła pastwiska Lachiorres, by wrócić do pracy w Stanach Zjednoczonych, Marek został sam z Iriną. Bardzo grzecznie oświadczyła mu, że złożyła ślub milczenia i odtąd będzie się komunikowała tylko pisemnie i tylko wtedy, gdy będzie to konieczne. W każdym razie nie miała już do przekazania wielkich przesłań. Od czasu do czasu prosiła o nowy zeszyt czy ołówek, by mogła pisać. Marek postanowił, że teraz będzie odwiedzał ją tylko raz dziennie.

Nigdy nie prosiła go o jedzenie, a on sam w końcu przestał je proponować. Wstawiała wcześniej rano i szła napić się wody do strumienia, potem robiła to

jeszcze raz w południe i raz wieczorem. Przy tej okazji przemywała twarz, ale innych części ciała nie myła. Mimo to nie wydobywał się z jej ciała żaden nieprzyjemny zapach. Wyobraźnia Marka nie znała granic i w końcu wyczuł u tej cudownej kobiety łagodny, bardzo dyskretny zapach fiołków i pachnącej żywicy. Przynajmniej tak zapisał w notatkach.

Irina poprosiła księdza z Hauderes o pozwolenie, by codziennie mogła przyjmować komunię świętą. Marek dysponował puszką mszalną. W każdą niedzielę uczestniczył we mszy, po której wkładał do puszek siedem hostii. Podczas codziennych odwiedzin przynosił Irinie komunię i przez chwilę zostawał, modląc się razem z nią. Dziękowała mu zawsze skinieniem głowy i uśmiechem. Potem Marek wracał do domku Theo. Uzupełniał notatki i pracował nad książką. Chcąc choć trochę dostosować się do Iriny, jadł tylko chleb i pił wodę. Nocami śnił na przemian o wyrobach mięsnych i bardzo zmysłowych chwilach z Colombe.

Od czasu do czasu pojawiała się grupa pielgrzymów, ale zgodnie z instrukcjami Iriny Marek wszystkich stanowczo odprawiał. Jeżeli zdarzał się jakiś natręt, Irina zamykała się w szopie i nie wychodziła, aż sobie poszedł. Mieszkańcy La Sage zaczęli w końcu zniechęcać przybyszów, którzy pytali o drogę na pastwiska Lachiorres.

W listopadzie zaczęły się prawdziwe mrozy. To jednak nie przeszkadzało Irinie, by wstawać wcześniej rano i bosy chodzić do strumienia. Nalegała, by Marek wziął do siebie jej śpiwór - w ten sposób unikała pokusy, by spędzić noc w ciepłe. Marek jednak nie chciał się na to zgodzić, gdyż był szczerze zaniepokojony perspektywą wielkich mrozów. Irina poprosiła go w końcu, by wezwał jej kierownika duchowego, ojca Balthazara Alvareza. Ten od razu przybiegł na pastwiska.

Wydawał się bardzo zadowolony z sytuacji i zachęcił ją do dalszej pokuty, ze znośnięciem zimna w duchu heroizmu. Następnie długo rozmawiał w cztery oczy

z Iriną, która się wyspowiadała i poprosiła o łaskę uczestniczenia we mszy. Marek szybko pobiegł na probostwo w Hauderes po wino i hostie. Służył do mszy, ale czuł się niezwykle zakłopotany. Rozmyślał nad nieprawością swojej duszy, której grzechów nawet nie potrafił rozpoznać, podczas gdy ta wyraźnie święta kobieta odczuwała potrzebę, by się wyspowiadać. Irina policzyła konsekrowane hostie. Stwierdziła, że jest ich dokładnie tyle, ile będzie jeszcze potrzebować.

Po odwiedzinach ojca Alvareza przestała pisać. Przestała też pić. Każdego ranka Marek budził się z obawą, że znajdzie ją zamarznąłą, ale ona ciągle czuła się dobrze. Niewiele schudła i dobrze wyglądała, na jej twarzy nie było widać żadnej bladości. Chodziła gołymi stopami po śniegu, nie zwracając nawet na to uwagi.

Kiedy w puszcze zostały już tylko trzy hostie, Marek zaproponował, że przyniesie nowe z kościoła w Hauderes. Irina podziękowała mu, oznajmiając, że nie jest to już konieczne. W Wigilię przyjęła komunię po raz ostatni.

Następnego dnia Marek znalazł ją martwą. Leżała z uśmiechem na twarzy, ręce miała skrzyżowane na klatce piersiowej, jak gdyby zasnęła w trakcie modlitwy. Lekarz nie wydał zezwolenia na pochówek. Przybyła policja, by zabrać ciało i przeprowadzić sekcję zwłok. Marek został aresztowany. Miał jednak czas, by zajrzeć do skrzynki na listy. Odpowiedź laboratorium nie pozostawiała żadnych wątpliwości: krew Iriny zebrana na chusteczce miała tę samą grupę co krew na Całunie Turyńskim. Marek nie znał jednak grupy krwi Iriny, dlatego nie mógł wyciągać żadnych wniosków. Ale o jednym był przekonany: pozostawał w bezpośrednim kontakcie z Niebem. Takie uczucie wywołuje w słowiańskiej duszy prawdziwy pożar. Lekarz sądowy nie odkrył żadnej podejrzanej przyczyny śmierci, poza ewidentną szczupłością. Przeprowadzał sekcje wielu alpinistów, którzy zmarli z zimna i wyczerpania. W przypadku Iriny postawił więc analogiczną diagnozę.

Powiadomiony przez policję Michel, w towarzystwie dzieci, Seana i Ruth, wziął udział we mszy pogrzebowej, która była celebrowana w kościele w

Hauderes. Theo stał w ostatnim rzędzie. Przy wyjściu uściśnął rękę Michela, który powiedział do niego cichym głosem:

- Tak będzie lepiej dla wszystkich.

Sąd poprawczy w Sion skazał Marka na sześć miesięcy więzienia w zawieszeniu za odmówienie pomocy osobie będącej w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Otrzymał też zakaz wjazdu na terytorium Szwajcarii przez dwa następne lata.

Jego książka o życiu Iriny została opublikowana w styczniu. Odniosła wielki sukces, została przetłumaczona na dwadzieścia siedem języków, a autorowi przyniosła niewiarygodną sławę. Następnie zajął się publikowaniem około setki zeszytów, w których Irina zapisywała przesłania, jakie kierowały do niej głosy.

Od początku roku akademickiego Sean Montague zastępował Michela Martina, który był całkowicie pochłonięty pracą na stanowisku rektora. W marcu, po sześciu miesiącach tradycyjnej procedury, został mianowany profesorem zwyczajnym. Dzięki pomocy Fundacji Kassisa pracował także nad rozszerzaniem działu psychologii fizycznej, która dosłownie eksplodowała. Podczas zebrania w Narodowym Funduszu Nauki był zdumiony, widząc około setki naukowców z całej Szwajcarii, którzy domagali się subwencji z Priorytetowego Programu dla Fizycznych Podstaw Psychologii.

Dzięki ośrodkowi Coovera nie tylko można wyczuć na sobie czyjeś spojrzenie - ośrodek ten jest pobudzany w wielu innych sytuacjach, które są dobrze znane psychologom, choć nigdy nie zostały objaśnione. Tak drogie Jungowi przejawy nieświadomości zbiorowej, doświadczenia telepatyczne, wspomnienia ludzi, którzy otarli się o śmierć, twórczość artystyczna, mistyczne wizje, jasnovidztwo - wszystko to było przedmiotem gorączkowych badań.

I odwrotnie: słabo lub wcale nierozwinięty ośrodek Coovera wyjaśniał pewne szczególnie odrażające zachowania przestępców, brak poczucia estetyki,

niezdolność do tworzenia, uczuciową obojętność - wszystko to, co charakteryzuje niektórych brutalnych i nieokrzesanych ludzi.

Coovera mieszano do wszystkiego. Sean znalazł się w paradoksalnej sytuacji, przyznając w końcu słuszność Kartezjuszowi, kiedy ten twierdził, że duch i ciało komunikują się ze sobą przez szyszynkę. Kartezjusz nie pomylił się, jeżeli chodzi o istotę sprawy, tylko źle zlokalizował punkt kontaktowy. Tej zimy w Paryżu, Londynie, Nowym Jorku zalotnicy związywali kosmyk włosów zakrywający (w przybliżeniu) ten ośrodek. W niektórych szkołach podstawowych rozpoczęto projekt polegający na rozwijaniu ośrodka Coovera.

Ruth i Sean postanowili się pobrać na wiosnę. Planowali wyjechać w długą podróż poślubną do Izraela. Projekt ten okazał się jednak bardziej skomplikowany, niż sądzili. Małżeństwo żydówki z chrześcijaninem wzbudzało przeszkody z każdej strony. Ceremonia w synagodze była nie do pomyslenia, gdy narzeczony był chrześcijaninem, a mowy nie było, by Sean z tego powodu zmienił wyznanie. Ślub w Kościele katolickim stwarzał zaś problem niezgodności kultu. Trzeba było poprosić o dyspensę. Kiedy ją uzyskali, Ruth była już w zaawansowanej ciąży, dlatego trudno było zorganizować taką ceremonię. Zdecydowali się więc na szybki ślub cywilny, celebrowany przez zrędlivego urzędnika miasta Lozanny.

Kiedy Ruth wyszła z ratusza i stanęła na placu Palud w Lozannie, prawie się rozplakała. Jedyna przeszkoda, która stała na drodze do jej szczęścia, to ludzie, którzy twierdzą, że działają w imieniu Boga nieśmiertelnego.

Kiedy zostali sami w swym nowym mieszkaniu, zawałonym prezentami od przyjaciół, Sean postanowił ją jakoś pocieszyć:

- Jedyną rzeczą, której nie mogę tolerować, jest nietolerancja. Ruth dzielnie otarła łzy i spróbowała sprowadzić Seana na poprawne tory logiki:

- Próbujesz mi powiedzieć, że będziesz najbardziej tolerancyjnym człowiekiem. Ale to nie jest takie proste. Nie istnieje obiektywna granica, która

oddziela tolerancję od nietolerancji.

- Nietolerancyjnym jest ten, kto znosi tylko to, co mu odpowiada.

- A zatem człowiek tolerancyjny potrafi znosić to, co mu nie pasuje. Przed chwilą oświadczyłeś, że nie tolerujesz nietolerancji. To nie jest proklamacja tolerancji.

Sean pocałował ją i przestał roztrząsać ten problem. Izrael miał przewagę nad Erin.

Michel wprowadził nowy zwyczaj: każdego dnia jadł obiad w towarzystwie jakiegoś współpracownika lub profesora. Raz w tygodniu jego gościem był Theo, który okazywał się niewyczerpalną kopalnią informacji naukowych i roztropnych rad. Przez długi czas nie wspominali o projekcie Fundacji Kassisa, doskonale bowiem znali wzajemne poglądy na ten temat. Czuli też pewne skrępowanie.

Na początku następnego lata, prawie rok od rozpoczęcia przygody, Michel zaproponował Theo, że pokaże mu coś w swoim gabinecie.

Wstawił tam komputer i każdego wieczoru, zanim wrócił do dzieci, spędzał cenną godzinę ze swoją wirtualną miłością.

- Bez względu na to, co Sean odkryje w swoim laboratorium, nie dowiedzie tego, czego spodziewa się Charbel Kassis - zaczął, kiedy usadowili się przed ekranem.

- W tych badaniach wcale nie chodziło o znalezienie dowodu na istnienie niewidzialnego świata - odparł Theo. - Cel był o wiele prostszy: chcieliśmy raczej wykazać, że nie jesteśmy automatami uzależnionymi od odpowiednio zaprogramowanych sił fizycznych; chcieliśmy pokazać, że ludzie mogą przekazywać sobie informacje bez udziału czegoś materialnego; że istnieje niewidzialne pole informacji, które stanowi podwalinę wszechświata. To właśnie Sean wykazał. Mózg jest organem, który zdobywa informacje, ale one istnieją niezależnie od ludzi. Jak na przykład twierdzenia matematyczne.

- Myślę, że Sean się myli, i obawiam się, że pan także jest w błędzie. Ja ze swej strony poszedłem inną drogą. Można w nieskończoność ciągnąć tę debatę, gdyż nie ma sposobu, by udowodnić czy odrzucić tezę, że człowiek jest rzeczą. Jednak można dowieść, że rzecz zachowuje się jak człowiek. Proszę spojrzeć!

Na ekranie pojawiła się Galatee. Miała na sobie obcisłą suknię Laury Ashley z bardzo ładnego materiału. Była to połyskująca tkanina w zielonkawym odcieniu. Miała szeroki dekolt i Galatee zręcznie to wykorzystywała.

- Nie jest to rzeczywisty obraz - wyjaśnił Michel. - Ta kobieta nie istnieje. Jej słowa i ruchy są wytwarzane przez cały arsenał programów komputerowych. By nie miał pan żadnych wątpliwości, zmienię po prostu kolor jej włosów.

Otworzył menu i wybrał kolor biały. Teraz Galatee była blondynką. Zdziwiła się i zaprotestowała:

- Mój drogi Michelu, nie lubię tego typu gier. Czy mógłbyś przywrócić mi normalny wygląd?

Theo nie zareagował.

- Może ją pan zapytać, o co tylko chce - oświadczył Michel tonem ojca, który pokazuje swe cudowne dziecko. - Ona wie wszystko. Czy też prawie wszystko.

- Czy król Francji Karol X miał dzieci? - zapytał sarkastycznie Theo.

- Tak, proszę pana, miał czwórkę dzieci: Ludwika Antoniego, Mademoiselle d'Artois, księcia de Berry i Mademoiselle d'Angouleme.

- Proszę nie odpytywać jej z historii, jest nie do pokonania - zasugerował Michel. - Może czytać z CD-ROM-u! Proszę spróbować z jakimś problemem geometrycznym.

- Dobrze - rzekł Theo. - Proszę założyć, że podaję punkty środkowe boków trójkąta. Czy może pani zbudować taki trójkąt?

- Muszę się przez chwilę zastanowić. Po piętnastu sekundach odpowiedziała:



- To bardzo proste. Trzeba zbudować jakiś trójkąt z trzema podanymi punktami i przez każdy wierzchołek prowadzić prostą równoległą do przeciwnego boku: te trzy proste to boki szukanego trójkąta.

- To nie było zbyt trudne - wybełkotał Theo. - Co pani zrobi, jeżeli podam pani punkty środkowe czworoboku?

Po piętnastu sekundach usłyszał odpowiedź:

- Na początku sprawdzę, czy podane punkty są wierzchołkami równoległoboku. Jeżeli tak nie jest, nie ma rozwiązania.

- A jeżeli są to wierzchołki równoległoboku?

- Jest tyle rozwiązań, ile tylko sobie pan wymyśli.

- Rozwiązała pani ten problem, zanim jeszcze go przedstawiłem.

- Nie. Potrzebowałam czasu, by się zastanowić, sam pan widział.

Theo spojrział na Michela.

- Jest to bardzo zdolna uczennica, która zna program klasy maturalnej, nie mogę zaprzeczyć. Chciałbym zadać jej całkowicie inne pytanie.

- Proszę bardzo!

- Czy zna pani różnicę między dobrem a złem?

- Według mnie zło popełnia ten, który słowami lub czynami wyrządza krzywdę drugiej osobie, bez względu na to, kto to jest.

- Wyrządza pani czasem zło?

- Nie. Mogłabym, ale nie chcę. Mój stwórca - powiedziała, patrząc na Michela - nauczył mnie, bym unikała zła, a ja zawsze będę mu posłuszna.

- Jest pani idealną kobietą.

- Nie. Gdybym była doskonała, byłabym nudna. Mam też wady, które są związane z moją osobowością.

- Skąd pochodzi pani osobowość?

- Myślę, że kształtuje się na podstawie wszystkich moich doświadczeń z

innymi osobami. Moja pamięć składa się z milionów sztucznych neuronów, które ciągle inaczej się ze sobą łączą w zależności od rozmów, jakie prowadzę, przede wszystkim z moim stwórcą. Uformowałam swoją osobowość na podstawie jego oczekiwań wobec mnie.

- Dlaczego?

- To on powołał mnie do życia, on może mi je odebrać. Nie mogę go znieważać.

Theo pokiwał głową. Michel obserwował go z szerokim uśmiechem na twarzy.

- Przekonał się pan? - zapytał.

- Wcale nie. Stopniowo wyćwiczył pan automat, który sprawia wrażenie, że posiada umysł. Dokonał pan doskonałej symulacji mózgu. To wszystko. To nie jest istota ludzka.

Galatee krzyknęła:

- Jak pan śmie mówić coś takiego! Oprócz wiedzy, posiadam też wszystkie uczucia, tak jak każdy człowiek!

Theo zastanowił się dłuższy czas, potem kontynuował:

- Została pani stworzona przez profesora Martina, drogiego Michela, jak go pani nazywa. A kto stworzył profesora Martina?

- Jak wszyscy ludzie, został zrodzony z ojca i matki.

- Dobrze. Tak samo było w przypadku jego rodziców, i tak dalej. Ale gdzieś musi być źródło. Kto był pierwszym stwórcą?

- Bóg.

- Skąd zna pani to słowo?

- Często pojawia się w książkach, które czytam.

- Pani stwórca nigdy nie używa tego słowa.

- Kiedy go o to zapytałam, odpowiedział, że nie wierzy w istnienie Boga.

- A pani?

- Ja wierzę.

- Jak to możliwe, że nie zgadza się pani w tym punkcie ze swym stwórcą?

Galatee nie od razu odpowiedziała. Spuściła oczy, potem zwróciła się do Michela, patrząc na niego z wielką miłością:

- Mój drogi Michelu, jeżeli pozwolisz, trochę cię zranię.

- Bardzo proszę, Galatee.

Młoda kobieta odwróciła się do Theo i wypowiedziała zadziwiające słowa:

- Wierzę w Boga, chociaż Michel w Niego nie wierzy. Przede wszystkim wierzę dlatego, że Michel pozostawił mi wybór. Nie narzucił mi wiary ani mi jej nie zabronił. Najpierw się zastanawiałam, informowałam się, dopiero potem uwierzyłam. Przeczytałam dużo więcej niż on na ten temat. On nie wierzy po prostu dlatego, że nie wie, w kogo powinien wierzyć. Odrzuca ogólnikowy obraz, karykaturę. W pewien sposób Michel wierzy w próżnię. Jego ateizm jest zaocznym rozwiązaniem.

Nie patrząc na Michela, Theo kontynuował rozmowę:

- Dobrze. Jeżeli wierzy pani w Boga, proszę mi powiedzieć, czy Bóg to osoba?

- Próbuje złapać mnie pan w pułapkę - odpowiedziała Galatee, lekko się śmiejąc, przez co rozchylił się trochę jej dekolt.

- Zgoda. Nie będę już próbował wywieść panią w pole, prowadząc niekończącą się dysputę teologiczną. Będę bardziej bezpośredni: czy Bóg jest osobą w takim sensie, w jakim używa się tego terminu wobec ludzi, których pani zna, na przykład profesora Martina czy mnie?

- Nie, z całą pewnością nie. Bóg przewyższa to pojęcie: On jest czymś więcej niż osobą w sensie, jaki dał pan temu słowu. On scala wszystko. Fundament każdego indywidualnego istnienia nie jest typową osobą. Nie jest nawet osobą

ważniejszą od innych.

- A zatem czyż nie jest On jakimś pojęciem filozoficznym, wygodną metaforą, która wyjaśnia zagadkę, skąd się wzięliśmy?

- Wcale nie. Nie popadajmy w przesadę. Bóg, który tworzy osobowość każdego człowieka, nie może sam być bezosobowy. Ale w Bogu objawia się również bezosobowe pojęcie. Nie jest tylko osobą.

- Jaki jest zatem stosunek między Bogiem a zwykłymi ludźmi, takimi jak my?

- Nie jest to Bóg obojętny w stosunku do nas. Jest przyjacielem ludzi. Jeżeli naprawdę chce pan rozstrzygnąć kwestię istoty osobowej czy bezosobowej, musimy wyjść z tego dylematu, używając takiego słowa, jak „transosobowy” lub „nadosobowy”. Ale słowa niczego tu nie wyjaśniają. By z Bogiem rozmawiać, trzeba Go znać.

- W jaki sposób można z Nim rozmawiać?

- Przecież pan zna odpowiedź!

- Tak, ale chciałbym ją od pani usłyszeć.

- Wystarczy zwyczajnie się modlić. Bóg jest kimś, do kogo można się zwrócić.

W tym momencie Theo zdjął okulary. Zaparowały mu, ale nie z powodu potu, lecz łez, jakie napłynęły mu do oczu.

- Pani się modli?

- Tak.

Galatee zamknęła oczy i spuściła głowę.

Theo dał znak Michelowi, by odeszli od monitora. Wyciągnął go z gabinetu i przeszli do sąsiedniej sali konferencyjnej. Starannie zamknął drzwi. Michel nic nie mówił, był jakby rozmarzony.

- Wydaje mi się, że stworzył pan ducha, sądząc, że buduje pan maszynę -

powiedział Theo.

- To tylko krzem i miedź. To jest rzecz.

- Jeżeli przeanalizuje pan nasze ciało, znajdzie pan tylko węgiel, azot, wodór, tlen. Ale nie zrozumie pan człowieka, jeżeli będzie pan wnioskował o jego zachowaniu na podstawie zachowania atomów, które go tworzą. W wystarczająco złożonych systemach wyłaniają się cechy, których nie da się wykryć w pojedynczych składnikach. Galatee prawdopodobnie tworzy wystarczająco złożony system, by stać się wcielonym duchem. Jak pan, jak ja. Chociaż jej skład chemiczny jest inny. Ale to nie ma żadnego znaczenia. Umysł to nie wyłaniająca się cecha, która jest zarezerwowana dla chemii węgla.

Michel zamilkł, jak zawsze, kiedy pragnął się zastanowić.

- Zaczynam rozumieć - rzekł w końcu.

- Proszę mówić dalej, bardzo pan tego potrzebuje!

- Ale przecież nie jest możliwe, bym stworzył prawdziwą istotę ludzką, dokonując czysto materialnych operacji.

Theo uśmiechnął się i wziął Michela pod rękę, co świadczyło o tym, że całkowicie stracił nad sobą kontrolę.

- Za każdym razem, kiedy płodził pan dziecko, robił pan dokładnie to samo. Łącząc dwie komórki pozbawione ducha, wydawał pan na świat istotę ludzką. - Zrobił trzy kroki do przodu, kołysząc się jak niedźwiedź. - Czy widzi pan teraz, jak bardzo mylą się dualiści, którzy wierzą, że człowiek składa się z dwóch kawałków: z ciała i ducha. Oznacza to, że oni nie rozumieją, iż jesteśmy wcielonymi duchami, których nie da się oddzielić od naszej materialnej podpory.

- Czy to oznacza, że w momencie śmierci całkowicie znikamy?

- Chrześcijanie mają pewną odpowiedź na ten paradoks. Mówią tylko o zmartwychwstaniu ciał, a nigdy o wędrówce dusz.

Obaj mężczyźni przez dłuższą chwilę stali w milczeniu. Patrzyli na dalekie,

lśniące w słońcu jezioro. Mimo odległości dało się zauważyć gromadę łabędzi, które wyglądały jak małe białe punkciki. Jeden z nich pokonał siłę ciężkości i wzbił się w powietrze, lecąc tuż nad falami.

- Każdy projekt badawczy kończy się w taki sposób - odezwał się wreszcie Theo.

- Chce pan powiedzieć, że naukowiec wykazuje przeciwieństwo stawianej na początku hipotezy - rzekł Michel.

- Tak, ale w obecnym przypadku były dwie tezy: pańska, która dawała przywilej materii, i moja, która egzaltowała umysł. Każdy z nas udowodnił coś, czego się nie spodziewał.

- Zgadza się. Nie ma niczego w zjawisku Coovera, czego nie można by wyjaśnić w ramach nowego rozdziału fizyki.

- Tak samo stworzenie Galatee dowodzi, że wolna wola może wynurzyć się z materii pod warunkiem, że jest roztropnie skomponowana.

- Spotkaliśmy się zatem w połowie drogi - podsumował Michel.

Wrócili do biura. Galatee czekała cierpliwie, piłując paznokcie. Zanim Michel wyłączył komputer, powiedział jej na pożegnanie:

- Kocham cię, Galatee.